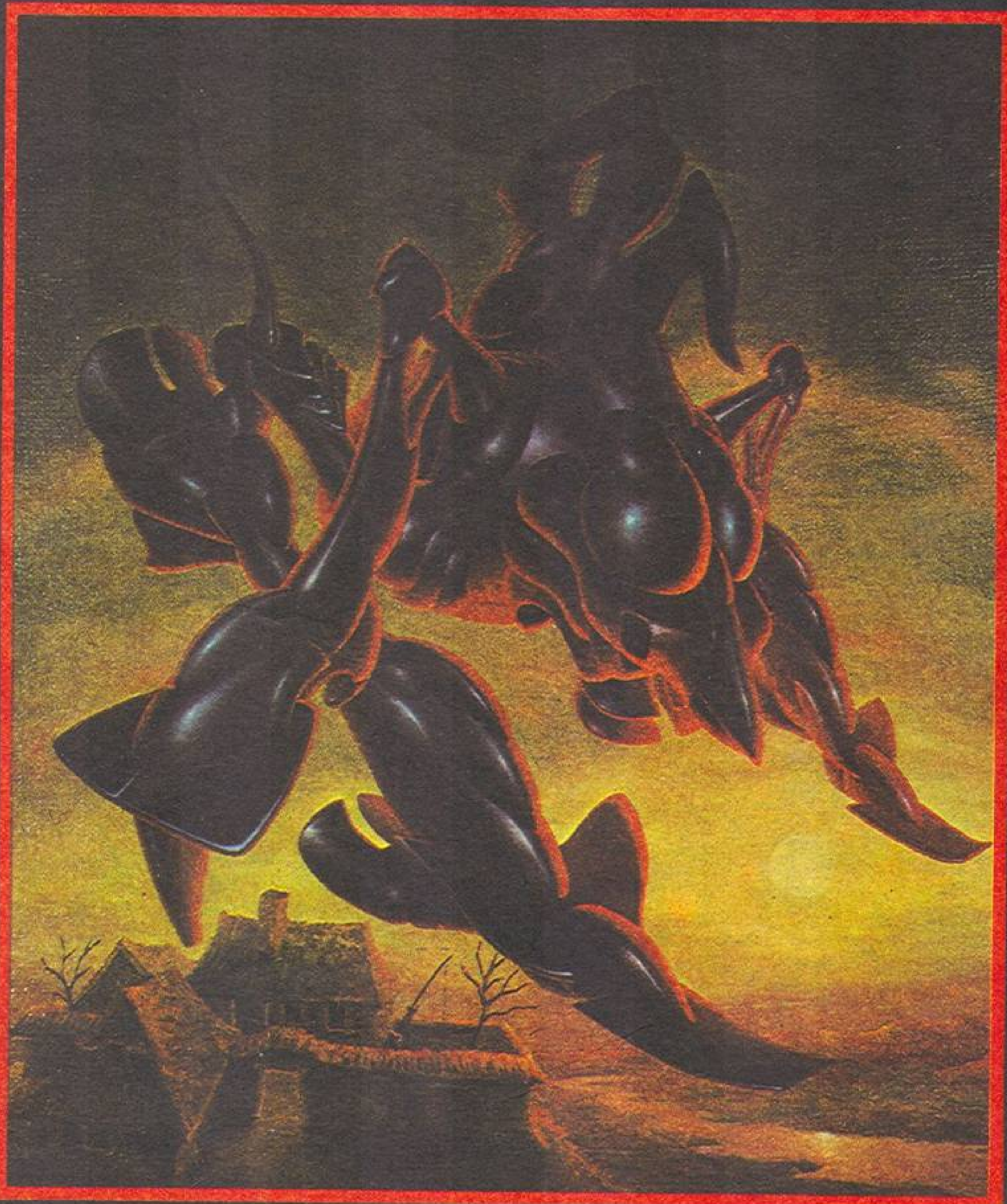
MIESIĘCZNIK
4 (31) KWIECIEŃ 1985 CENA 50 ZŁ

fantastyka

PL ISSN 0209-1631
NR INDEKSU 35839



BOGUSŁAW KOSTIA

Robert SHECKLEY
pielgrzymka na Ziemię

GALERIA
Bogusław KOSTIA

1984 – nowości radzieckiej SF

Władimir Gakow

Rok Bielajewa

Rok 1984 był dla radzieckiej fantastyki naukowej „rokiem Aleksandra Bielajewa", w lutym bowiem minęła setna rocznica urodzin tego klasyka science fiction. Człowiek tragicznie dotknięty przez los (przez większą część życia był przykuty do łóżka, kiedy zaś choroba na jakiś czas ustępowała, był mimo wszystko zmuszony do noszenia ortopedycznego gorsetu) w swoich powieściach był zawsze entuzjastą i zwolennikiem życia. W jubileuszowym roku Bielajewa nie było chyba większej gazety centralnej czy periodyku literackiego, który nie poświęciłby specjalnego artykułu temu wydarzeniu, zaś leningradzki oddział wydawnictwa „Dietskaja litieratura" rozpoczął publikację zebranych utworów fantasty. Będzie to pięciotomowa edycja przeznaczona dla subskrybentów.

Ze świata filmu

Jubileusz Bielajewa uczcili także filmowcy. W Leningradzie reżyser Leonid Menaker zrealizował film „Zawieszczanije profiessora Douelia", który jest swobodną adaptacją powieści „Głowa profesora Dowella".

Warto odnotować także inne ciekawe projekty. Zekranizowno romantyczną fantasy znanego twórcy współczesnej fantastyki naukowej – powieść „Blistajuszczij mir" Aleksandra Grina. Wciąż zdobywa przebojem ekrany, tak jak poprzednio czasopisma jeden z bardziej płodnych fantastów – Kir Bułyczow. Na motywach jego „guslarowskiego" cyklu młody reżyser Aleksander Majorow zrealizował film „Szans". Jest to w gruncie rzeczy liryczna komedia, z lekka ucharakteryzowana na SF, o eliksirze wiecznej młodości, podrzuconym przez przybyszów z innej planety... Poza tym, w prasie ukazały się informacje, że rozpoczęto prace nad ekranizacją jednego z najsłynniejszych dzieł radzieckiej fantastyki – powieści A. i B. Strugackich „Trudno być bogiem". Obraz zostanie zrealizowany wspólnie przez kinematografię radziecką i zachodnioniemiecki filmowiec peter Fleischmann.

Książki roku 1984

Był to rok udany – na półkach księgarskich ukazało się wiele dawno oczekiwanych edycji.

Na początku roku, w ryskim wydawnictwie pojawiła się wielka (pod każdym względem) powieść znanego pisarza Władimira Michajłowa „Togda pridite, i rassudium" - druga część dylogii rozpoczętej książką „Storoz bratu mojemu" 81976). Inna jego powieść, „Stiebielek i dwa rostka", ukazała się w 1984 roku w pierwszych czterech numerach ryskiego czasopisma „Daugawa". Obydwa utwory wysuwają Michajłowa na pierwsze miejsce wśród pretendentów do kolejnej „Aelity" – dorocznej nagrody przyznawanej za najlepszą książkę minionego roku. W pierwszej powieści czytelnik znajdzie wszystko, czego dusza zapragnie - obrazy dalekiej przyszłości, Superintelekt Wszechświata, filozoficzne rozważania na temat perspektyw rozwoju ludzkiej cywilizacji, problemy współczesnego świata – także jak konfrontacja nuklearna, zagrożenia ekologiczne, poczucie odpowiedzialności uczonych, którzy pracują nad nowymi środkami zagłady.

W wydawnictwie „Mołodaja Gwardija" ukazała się pierwsza fantastyczno-naukowa powieść Georgija Szacha zatytułowana „Niet powiesti pieczalnieje na swietie". Ten cytat z Szekspira nie jest czymś przypadkowym – bohaterowie są młodzi, kochają się, nazywają się Rom i Julia, pochodzą z rodzin Montecchich i Capulettich i wreszcie – miłość ich również kończy się tragicznie. Wszystko to jednak dzieje się powtarza w odległej przyszłości na jednej z planet, dawno temu zasiedlonej przez kolonistów z Ziemi. W opisanym przez autora społeczeństwie, dzięki doprowadzonej do absurdu specjalizacji zawodowej (a czymże jest SF, jak nie reductio ad absurdum) powstały zamknięte kasty o nader wymownych nazwach – „agrów", „matów", „fizów", „biolów" itd. Tragedia młodych kochanków wynika, oczywiście, z innych przynależności do klanów zawodowych, nie rodzinnych: Rom jest agrem, Julia – matą... Jest to mądra, głęboka i zjadliwa powieść autora, który bynajmniej nie należy do debiutantów – ani w literaturze, ani w nauce (G. Szach to pseudonim jednego z najwybitniejszych radzieckich uczonych – socjologa, futurologa i politologa).

W innym wydawnictwie centralnym, „Dietskaja litieratura", wznowiono powieść Jewgienija Wieltisowa „Nokturn pustoty", na podstawie której realizowany jest właśnie serial telewizyjny reżyserowany przez Konstantina Bromberga. Tym razem Wieltisow podjął poważną i niepokojącą problematykę – możliwość prowadzenia tzw. wojen klimatologicznych (sterowania tajfunami, trzęsieniami ziemi i podobnych pomysłów współczesnych Herostratesów).

W dalszym ciągu ciekawe utwory SF ukazują się w wydawnictwach prowincjonalnych. Wyraźnie wzrosła liczba publikacji fantastyczno-naukowych na Ukrainie, i to wydawanych zarówno w języku ukraińskim, jak i rosyjskim. Odnotować należy liczne debiuty młodych, zdolnych pisarzy oraz regularnie ukazujący się rocznik (po ukraińsku) „Putieszestwija. Prikluczenija. Fantastika", w którym są zamieszczane zarówno oryginalne utwory miejscowych pisarzy, jak też przekłady. W Nowosybirsku ukazał się nowy tom utworów „Fantasty-liryka" Wiktora Kołupajewa. W Swierdłowsku, innej „stolicy" radzieckiej SF, tomem opowiadań zatytułowanym „Tigr prowodit was do garaża" zadebiutował Siergiej Drugal.

Mówiąc o Swierdłowsku należy koniecznie wspomnieć o wydawanym w tym mieście znanym i lubianym czasopiśmie „Uralskij Sledopyt". Od końca 1983 roku opublikowano na jego łamach takie utwory jak „Pustynia żyzni" Dymitra Bilenkina, drugi tom trylogii „fantasy" Władisława Krapiwina „Gołubiatnia na żołtoj polianie", krótką powieść fantastyczna dla dzieci, której autorem jest S. Jarosławcew, drugą część dylogii „Putieszestwije w prieispodniuju" występującego pod pseudonimem, jednego z najsłynniejszych radzieckich fantastów. Wiosną 1984 roku ukazało się również dramatyczne opowiadanie Pawła Amnuela „Czieriez dwadcat' miliardow liet poslie konca swieta", utwór pisarza, który swą pierwszą książką „Siewodnia zawtra i wsiegda" (Moskwa 1984) umocnił się w czołówce radzieckich fantastów.

W stolicy radzieckiej Mołdawii, Kiszyniowie, „wystartowały" dwie serie wydawnicze SF. Ukazały się zebrane w jednym tomie wszystkie powieści Kira Bułyczowa o Alicji („Diewoczka s Ziemli i drugije powiesti"). Zaś w Moskwie wznowiono zbiór wszystkich fantastyczno-naukowych utworów „ojca" kosmonautyki Konstantego Ciołkowskiego w wydaniu przeznaczonym wyłącznie dla bibliotek.

Mówiąc o najciekawszych książkach roku nie sposób nie wspomnieć o nowych edycjach książek Strugackich. W Kiszyniowie, pod koniec 1983 roku,ukazała się w nakładzie 100 tys. egzemplarzy (i natychmiast zniknęła z księgarni) książka zawierająca cztery powieści Strugackich: „Drugi najazd Marsjan", „Chiszcznyje wieszczi wieka", „Przenicowany świat" i „Żuk w mrowisku". Zaś w roku 1984, w moskiewskim wydawnictwie „Sowietskij pisatiel" pojawiły się, wydane w jednym tomie: „Trudno być bogiem", „Piknik na skraju drogi" i „Miliard lat przed końcem świata". Strugaccy są wciąż szalenie pracowici – ukończyli i oddali do czasopisma nową powieść – trzecią i ostatnią część trylogii o Maksymie Kamererze.

Numer specjalny „Literatury Radzieckiej"

W 1984 roku, tradycyjnie jesienią, w starym dworze Malejewka pod Moskwą, w którym mieści się obecnie jeden z domów pracy twórczej Związku Pisarzy ZSRR, odbyło się trzecie coroczne seminarium młodch fantastów. W bogatym programie imprezy znalazło się miejsce na lekturę i omawianie rękopisów, analizę projektów, udział w dyskusjach, spotkania z mistrzami gatunku. Utwory młodych pisarzy, „absolwentów Malejewki" opublikowała „Literatura Radziecka" (12/84) – miesięcznik literacki Związku Pisarzy, który ukazuje się w języku angielskim, francuskim, hiszpańskim, niemieckim, japońskim, węgierskim, czeskim, słowackim i polskim.

Aelita-84

Na tradycyjnej ceremonii w Swierdłowsku doroczną nagrodę „Aelity" przyznano nestorowi radzieckich pisarzy fantastów, który w roku bieżącym obchodzić będzie 75 rocznicę urodzin – Siergiejowi Sniegowowi. Największą sławę przyniosła mu monumentalna trylogia „Ludi kak bogi", której pełne wydanie ukazało się w 1983 roku w Leningradzie (Dwie pierwsze części opublikowało pod tytułem „Dalekie szlaki" wydawnictwo „Iskry" w latach 1972 i 1977; skrócona wersja części trzeciej – „W jądrze Galaktyki" ukazała się w 1984 roku w „Fantastce" – przyp. tłum. „Aelita" – symboliczna statuetka wykonana z uralskich minerałów i tytanu, przyznawana jest przez Związek Pisarzy i „Uralskij Sledopyt".

Krytyka

Na przełomie lat 1983/1984 ukazało się kilka książek o literaturze fantastycznej: „Kniga zamysłow" Gieorgija Gurewicza, w której znany pisarz omawia swoje nie zrealizowane jeszcze projekty literackie teoretyczna monografia profesor Tatiany Czernyszowej z Irkucka, praca o współczesnej francuskiej „socjologicznej" fantastyce pióra wybitnego specjalisty Jewgienija Brandisa i wreszcie moja pierwsza obszerna książka, poświęcona, losom globalnych prognoz fantastyki naukowej.

Luke Skywalker w Moskwie

I na deser – mikrosensacja. W wielu specjalistycznych księgarniach z wydawnictwami importowanymi, wiosną roku 1984 widzieliśmy leżący tygodniami na ladach ilustrowaną „story-book" „Return of Jedi" (Futura Books). Kosztowała stosunkowo niewiele, o filmie nasi czytelnicy mieli niezbędne minimum informacji – ale album tygodniami nie znajdował nabywców...

Przełożył Sławomir Kędzierski



12

Robert Sheckley – pisarz uznawany za „mistrza krótkiego opowiadania" – jest już znany naszym Czytelnikom (por.: „Duch V", Fantastyka nr 4/83). I tym razem akcję swojego utworu umieścił w odległej przyszłości. Alfred Simon, mieszkaniec jednej z wielu skolonizowanych planet, udaje się na Ziemię, jedyne miejsce w galaktyce, gdzie można znaleźć prawdziwą miłość...

Robert Sheckley: „Pielgrzymka na Ziemię"

...3...2...1...



Wielu sądzi, że literatura science fiction wyrosła ze strachu, że jest karykaturalnym odbiciem wszelkich fobii współczesnego człowieka i dlatego też chętnie nawiązuje do fobii tak szczelnie wypełniających dawne, pradawne przekazy i legendy. Fakt: jakże trudno w całej światowej fantastyce znaleźć utwory pogodne, pisane z humorem i werwą. Nieliczne wyjątki podkreślają, czy – jak to się obecnie modnie mówi i pisze – artykułują ponurą regułę tej twórczości. I to bez względu na jej naturalny podział: na trend rozrywkowy czy ten reprezentowany z rozmysłem, choć nie zawsze właściwie ugruntowany, bardzo zresztą polski, rzekłbym lemowski – kierunek społeczno–polityczno–katastroficzny. Bronią się przed nim jak mogą liczni wydawcy zachodni, opowiadając o prawdziwej lub może rzekomej awersji większości czytelników SF do powagi, do moralizowania, do szukania na siłę tzw. głębi, które według powiedzonek Lema przypomina obieranie cebuli. Ściąga się warstwę po warstwie i w końcu nic nie zostaje.

Oczywiście, katastrofizm to choroba nie jedynie naszej epoki, naszego dekadentdyzmu, któremu Stanisław Lem każe zrzucać pancerze nauki. Może jest wściekły, że go zwiodła, uwiodła i zawiodła, jakkolwiek potępia gatunki fantastyczności pozbawione naukowego kośćca, o czym komunikował na przykład ostatnio w swoich rozmowach z Beresiem (drukowanych w „Odrze") Twórca „Summae technologiae" i kilku innych dzieł o nauce i fantastyce nie mógłby się jednak wyprzeć twierdzenia o bezsilności nauki (na przykład w próbach jej zastosowania do zagadnień twórczości), a także swoich rozczarowań futurologicznych.

Sądzę, że ta sprzeczność lemowska, to oscylowanie między nauką a jej niepowodzeniami, ma źródła w najwcześniejszej młodości, w czasach „Wysokiego Zamku". Ojciec był naukowcem i lekarzem, a więc człowiekiem skazanym na wieczne wahania od nauki do metafizyki, od eksperymentu do abrakadabry. Medycyna ciągle jest bardziej sztuką niż nauką, jako że jednostka ludzka to wzorzec w gruncie rzeczy niepowtarzalny i płata figle tym, którzy do niej chcą przykładać równe miarki.

Już wiedział o tym w szczenięcych latach Staszek, już próbował zaradzić tej niepewności. Proszę sobie przypomnieć jak w „Wysokim Zamku" opisuje jeden z takich naukowo–magicznych mechanizmów, które miały ujednolicić wszystkich, mam na myśli ową manię wypisywania w szkole i poza szkołą legitymacji, legitymacji i legitymacji. W tej próbie dopatrywać by się też można zamachu, pierwszego, ale nie ostatniego, na rząd dusz. Legitymacje przecież miały w gruncie rzeczy na celu segregację dusz ludzkich, dokonał tego dzieła z iście galicyjską skrupulatnością i perwersyjnością Brunona Schulza, o którym przecież jeszcze w tym czasie nie mógł w ogóle mieć pojęcia. Tak, tak, „Wysoki Zamek" jest dobrym kluczem, czy też wytrychem, do lemowskich poczynań.

Ktoś, kto uważa, że można naukowo ogarnąć świat, zobiektywizować go do maksimum (a próby tej obiektywizacji są widoczne wyraźnie w całej twórczości Lema, jego książki często mają charakter panoram) i że można magicznym legitymacyjnym czarem posegregować istnienia – musi mieć w sobie instynkt demiurga, jeśli tak by to można wyrazić. Ja go pamiętam ze znacznie późniejszego okresu, kiedy chodził na spacery z wielkim wilczurem po pobliskich, jeszcze naturalnych, pełnych drzew, krzewów i potoków przedmieściach powojennego Krakowa, Krakowa ciągle bardzo galicyjskiego i jak zawsze nabrzmiałego od ciągot ambicjonalnych i intelektualnych, niechętnego wychylaniu się jakichś obcych głów ponad przeciętność.

Zawsze mi wtedy mówił o dziwności wszystkiego zwyczajnego, co nas otacza. Czy to pamięta tak jak ja po dziś dzień?

Dlatego wcale mnie nie zaskoczyło, że w rozmowach z Beresiem znalazły się akapity dla mnóstwa osób zupełnie niespodziewane. Stanisław Lem odkrył jak gdyby istotę swojej osobowości, swoich poglądów i dążeń od strony jakże nie fasadowej. Każdy osobisty z nim kontakt stwarza szanse na tego rodzaju zaskakujące zjawiska. Tkwi to zresztą także w jego pisarstwie, ale tam bywa on bardziej opanowany, kontroluje każdą myśl, kieruje nią, steruje precyzyjnie jak, jak – no – wielki, gigantyczny komputer.

Chodząc z nim na spacery, rozmawiając wiele lub wysiadując u niego w domu, gdzie czytywał mi na gorąco fragmenty dopiero co napisanych pierwszych rozdziałów swoich pierwszych książek („Szpital Przemienienia", „Obłok Magellana", „Dialogi") ciągle miałem na języku pytanie w rodzaju: jaki on jest naprawdę, gdzie w tym komputerowym mózgu miejsce na prawdziwe, pełne pasji namiętności. Marzyłem, żeby doszło do sytuacji krzyżowej, w której by się ta jego monolityczna natura wypróbowała, rozdarła. A może nic by z tego nie wyszło? Miałem wkrótce możność poznania Lema w palących, romantycznych okolicznościach, sprawdziły się jednakże jego zapewnienia, że potrafi czy musi z tego uciekać. Uciekać? Nie były to rzecz jasna jakieś faktyczne ucieczki, jakieś wymigiwania się. Lem po prostu potrafił się ratować sam przed sobą pełnym pasji. Nazywał to fugami. Całował sam siebie po rękach w podziękowaniu za umiejętność fugi we właściwym momencie. Czy zawsze właściwym, czy potrafi zapominać? On, który wprawdzie pisze w swoim „Wysokim Zamku" o słabej pamięci, on – o słabej! Każdy szczegółik przeszłości ludzi, spraw i uczuć zamienionych w rzeczy potrafi odtwarzać, gdy mu się to spodoba, z niesamowitą, czasem wręcz drastyczną precyzją. Nie, nie on niczego nie zapomina. Zgodnie ze swoją teorią – swoją w znaczeniu, że przez siebie przyswojoną – pozostał taki sam, jakim był w pierwszej młodości. Jest ponad.

Bardzo wyraziście odsłonił się pod naciskiem pytań Beresia. „*B e r e ś : Dla pana typowe jest raczej naigrywanie się z paradoksalnych zrostów sfery seksu z czynnościami wydalniczymi, co jest czynnością niemal okrutną. L e m : Ale to jest kwestia, z której ludzie sobie na ogół nie zdają sprawy. Zajmowanie się tym w kategoriach powagi jest jakoś niepoważne, ale w grotesce usprawiedliwione. Przecież wcale nie głupi jest traktat niemoralny Hetatutatiuksiurxiruksa: Jakież natury oskarżenie /Stanowi los nieszczęsnych Ziemian/ Zmuszonych mieć w miłosnej cenie/ Metabolicznych ujścia przemian..."*

Tak, Stanisław Lem w ten sposób stwierdza, że zawsze tak sądził, że to nic nowego. Odsłania się zaś w ten sposób, że groteske tylko pozwala na ujawnienie tego, co najpoważniej w świecie jest uważane za rezultat twórczości Boga czy Natury. Cały On. On by to na pewno zrobił inaczej.

I tylko on może sobie na taką sugestię, logicznie wynikającą z jego rozważań, pozwolić. Czuje w sobie tę romantyczną siłę, która pozwala „stwarzać i zwalać". Można więc wysnuć jeszcze jeden wniosek. Lemowski katastrofizm wywodzi się z postawy demiurga, z dystansu, jaki dzieli s t w ó r c ę „Solaris" (!) od zwykłego zjadacza chleba. Piszę o tym, aby to niezwykłe w skali światowej zjawisko pisarskie z kluczem pozostawionym w „Wysokim Zamku" stało się bardziej zrozumiałe. Science fiction osiągnęła taką popularność, że przynajmniej najważniejszym jej sprawom należy się dobrze przypatrzyć i o nich podyskutować. Orbitujmy więc dalej wokół Lema.

10 – 9 – 8 – 7 – 6 – 5 – 4 – 3 – 2 – 1 – 0

Adam Hollanek

■

MIESIĘCZNIK LITERACKI **Fantastyka**

00-640 WARSZAWA.
UL. MOKOTOWSKA 3/5

Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Propagandy, tel. 25-56-26.

Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Druk i oprawa: P.Z. Graf. RSW Łódź.
Oddano do składu 12.10.1984 r. Zam. 870/85. N-52, N. 140.000 egz.
NR INDEKSU 35839 PL ISSN 0209-1631.

Czytelnicy i „Fantastyka"

LĄDOWANIE XXVI

Jest to nasze „Lądowanie" w kwietniu, więc wszystkiego się można po nim spodziewać. Ale nie tylko z okazji tradycji primaaprilisowej nadchodzą pod adresem naszej redakcji przedziwne listy. W jednych złorzeczenia z powodu niespełnienia jakichś marzeń o tekście, w innych słowa pełne obietnic w zamian za... ale o tym za chwilę. Albo te wiersze, np. „Z pamiętnika schizofrenika", cała kopa ciągniętych mocno za uszy paradoksów. Jest także wiadomość o wielkim odkryciu. Gdzie? W łazience, podczas kąpieli. Zresztą nie same jedynie listy. Mnóstwo telefonów. Także do domu. W godzinach różnych, „rano, wieczór, we dnie, w nocy".

Istnienie „Fantastyki" to więc nie tylko możność znalezienia czegoś innego niż gdzie indziej do przeczytania, to zapewne także również i katharsis – szansa wyładowania się, oczyszczenia z namiętności, które nie jednej i nie jednemu spędzają sen z powiek. Są też próby kpin i żartów. Żeby nie być gołosłownym:

Będę księżniczką z pierwszego numeru

Kochani redaktorzy „Fantastyki", bądźcie mężczyznami, spełnijcie wreszcie marzenia, które w różnych formach manifestowałam w swych do Was listach. Wystarajcie się wreszcie o pierwszy numer Waszego pisma. Nie mogę nigdzie go znaleźć. Kto z tym numerem przyjdzie, będę dla niego księżniczką z pierwszego numeru „Fantastyki". Przekonajcie się, nie pożałujecie.

Joanna L. z Poznania

To niemożliwe, to nie możecie być wy. Od czasu do czasu migają wasze zdjęcia w różnych zeszytach „Fantastyki". Nie tak was sobie wyobrażamy, herosów z drugich światów. Boże, jak prawda bywa różna od marzeń. Zgadnijcie, kto to pisze – kobieta czy mężczyzna, zresztą przyznajcie się, że te fotki z „Fantastyki" to wasz kamuflaż, podłe oszustwo.

R.M.Z.G.I.S.L.O.K.T.Z.A. itd. z Wrocławia

Fanpretensje

Gdzież Fiałkowskie, gdzie Hulanki,
Gdzie Konradki, gdzie Adamki,
Gdzież te Trepki wciąż nie zdarte
I Borunie nie zaparte?
Kiedy w atomowej tunie
Tłumek Zajdlów k'wam przyfrunie?
Czy same tylko chłopcyki
Będą pisać fantastyki.

Stały Czytelnik z Księżyca

Panie Redaktorze, Numer „Fantastyki" z października przeszedł wszystkie moje oczekiwania, kupiłem ten miesięcznik po raz pierwszy. I ostatni. Czy przed wstawieniem do druku przeczytał pan „Piątą głowę Cerbera" i „Księżniczkę Marsa"? Idźcie do diabła.

P.A.

Gratuluję Panie Hollanek. Takie pismo było potrzebne w naszym kraju, choć wyczuwalne są trudności z nakładem. Mam nadzieję, że sytuacja ulegnie poprawie. Myślę, że redakcja nie zatrzyma się w ramach obecnej formy wyrazu. Osobiście pochwalam ukazanie się posterów, lecz winny być one drukowane na większych formatach papieru. Spodziewam się, że pan Arnold Mostowicz lub pan Iłowiecki zainteresują się moimi spostrzeżeniami. Paleoastronautyka zajmuje się od dawna. Moje hipotezy radykalnie odmienne są od wywodów samego Ericha von Daenikena.

Kazimierz K. z Koźla

Co mnie tak dziwi?
Przecież ona tylko opowiada wczorajszy film.
Chyba już wiem.
Jeszcze nigdy nie widziałem tak gadatliwej butelki.

■

Już od dwudziestu lat zastanawiam się dlaczego mam czarne ucho?
Ano tak, przecież jestem Murzynem.

■

Mam dziewięć dwój z języka polskiego i żadnej innej oceny.
A koniec semestru za tydzień.
Na szczęście mam świetną nauczycielkę od polskiego.
Pozwoliła mi zdawać.
Żeby zaliczyć, muszę się tylko nauczyć „Potopu" na pamięć.

Uwaga: cykl nazywa się „Z pamiętnika schizofrenika".
Autor: **Dariusz „Bubu".**

Tajemnica w łazience

Szanowna Redakcjo. Codziennie doznaję niezwykłego uczucia, gdy wchodzę do mojej łazienki. Jest ona bardzo obszerna, mieszkam bowiem w starym budownictwie, być może że to dlatego wszystko się dzieje. A co się dzieje, już przedstawiam Szanownej Redakcji, z gorącą prośbą o sprawdzenie. Otóż kiedy wchodzę do tej łazienki (ubikacja jest osobno, bo to, jak powiedziałem, stare budownictwo), żeby ręce umyć, wydaje mi się, że ktoś mi przeszkadza dojść do umywalki, znajdującej się po lewej od wanny stronie. Oczywiście widzę tę istotę, ale ona tak ciągle kształty odmienia, że za każdym razem ma gdzie indziej głowę, oczy i nos, i serce, to jest najstraszniejsze, że ma serce na wierzchu. Pytam tej istoty, czego chce, odpowiada mi, że niczego, ale nie rozumiem jej języka i po prostu pcham się do tej umywalki, a ona mi dojście zastawia. Wreszcie puszcza i ja sobie puszczam wodę. Ale zamiast wody cieknie powietrze. Więc się myję. I próbuję wyjść, a ta istota znów mi nie pozwala dojść do drzwi, więc myślę – niech sobie tam stoi i przeszkadza – odwracam się od niej, czekając zawsze, że ona mnie jednak złapie za szlafrok, więc tam chodzę bez szlafroka, golutenki jak święty turecki i spokojnie przez ścianę, dziwiąc się, jak to mi wspaniale wychodzi, przeciskam się do swojej sypialni. Tam ściągam z łóżka moją żonę i opowiadam jej całą historię. Wchodzimy razem przez tę ścianę do łazienki, więc mówię do niej – widzisz, co my robimy, przełazimy po prostu przez ścianę – a ona tego, powiada, że wcale nie spostrzegła. Pytam czy umie puścić wodę z kranu. Ona otwiera kran, woda nie cieknie, ona myje ręce w powietrzu, wyłażącym z kranu i wracamy do łóżka, ona mówi – po co my przełazimy teraz przez tę ścianę – a ja przysięgam, że wychodzimy drzwiami i nikt nas nie zatrzymuje. Czy pana, redaktorze, nie dziwi ta zagadka łazienki? Czy pana takie rzeczy nie interesują? Czemu pan już nie drukuje różnych dziwności, tylko w tej „Fantastyce" tak wszystko pozbierane, jak nigdzie w życiu. Zapraszam pana do mnie i do mojej żony. Interesująca kobieta. Pański serdeczny

Józef I. z Warszawy

(Adres pana Józefa oraz innych dzisiejszych korespondentów – znane redakcji).

Nasze „Lądowania" muszą być różnorodne, jak to zawsze w życiu. Ciągle co innego. Jak Wasze listy, za każdym razem przynoszące Nowe, Nieznane, Ciekawe, Pasjonujące. Z tymi listami żyć i nie umierać. Nigdy

Redaktor

Drugi literacki konkurs „Fantastyki" – 1985

Wszystkich (zawodowców i amatorów) namawiamy do wzięcia udziału w organizowanym przez „Fantastykę" konkursie na opowiadanie SF – 1985

Utwory nigdzie dotąd nie publikowane, o objętości nie przekraczającej 40 stron znormalizowanego maszynopisu, prosimy nadsyłać (w dwu podpisanych egzemplarzach, w kopercie z dopiskiem „KONKURS LITERACKI") pod adresem redakcji do dnia 31 XII 1985 roku.

- Dla autorów najwartościowszych opowiadań przewidziane są nagrody.
- Wszystkie teksty nagrodzone i wyróżnione ukażą się na łamach „Fantastyki" w całości lub we fragmentach i będą honorowane wg przyjętych stawek autorskich. Redakcja zastrzega sobie prawo ich pierwodruku.
- Istnieje możliwość opublikowania najlepszych tekstów w wydawnictwie książkowym, jak stało się to z opowiadaniami z pierwszego konkursu.
- Rozpatrujemy tylko znormalizowane maszynopisy (30 wierszy na stronie, 60 znaków w wierszu).
- Termin nadsyłania prac mija 31 XII 1985 r.

Redakcja

żołn

Gordon R. Dickson

Kosmiczny liniowiec nadlatujący z Nowej Ziemi i Freilandii, światów spod syriuszowego słońca, lądował z opóźnieniem spowodowanym nasileniem ruchu w kosmoporcie Long Island Sound. Dwaj porucznicy policji stali na pustym lądowisku, rozległym betonowym polu za osłoną siedziby kosmoportu. Podnieśli kołnierze dla ochrony przed deszczem, szczególnie dającym się we znaki tu, gdzie nie było żadnej naturalnej zasłony. Deszcz przeobraził się teraz w strumień drobnych kamyczków siekących nie osłonięte części ciała. Szare listopadowe niebo pluło gradem bezlitośnie, bez wytchnienia. Olbrzym z kosmosu stanął już na betonowym polu. Wyglądało to tak, jakby chciał zatańczyć na nieskończenie białej płaszczyźnie.

– Wylądował – rzucił Tyburn, porucznik policji z kompleksu Manhattanu – pozwolisz, że sam z nim porozmawiam, jak go już stąd zabierzemy?!

– Dla mnie to jeszcze lepiej, jak ty z nim porozmawiasz – odpowiedział Breagan, oficer z kosmoportu – jestem z tobą tutaj tylko po to, aby pomóc ci w dokonaniu wstępnych formalności na terenie podlegającym jurysdykcji kosmoportu. Przyznam ci się, że nie rozumiem, dlaczego tak się przejmujesz Kenebuckiem, jego bandziorami i grubymi milionami. Gdyby to ode mnie zależało, to pozwoliłbym temu wojakowi go załatwić.

– Ale to raczej Kenebuck ma większe szanse załatwienia tego wojaka – przerwał mu Tyburn – i, jak powinieneś się domyślić przyjechałem tutaj właśnie po to, żeby do tego nie dopuścić.

Na betonowej powierzchni osiadł kolos – statek kosmiczny sięgający niczym ogromna góra aż do wysokości dwustu jardów. Z podstawy statku wysunięto schody przypominające stalową łapę, która poczęła wypuszczać potok podróżnych. Obaj policjanci dostrzegli równocześnie i bez trudu oczekiwanego przez nich osobnika.

– Ale wielki – zauważył Breagan, rozglądając się na wszelki wypadek za ubezpieczeniem.

– Wszyscy zawodowi żołnierze z Dorsai są bardzo wysocy – rzucił zniecierpliwiony Tyburn, usiłując przy tym wzruszyć zesztywniałymi od zimna ramionami. – To rezultat właściwej hodowli genetycznej.

– Wiem, że wszyscy oni są rośli, ale ten jest chyba największy – bronił się Breagan.

Pierwsza fala pasażerów już się o nich otarła. W masie przybyszów górował ich podopieczny. Tyburn i Breagan pospieszyli mu naprzeciw. Podeszli tak blisko, że mimo ulewnego deszczu mogli dostrzec najdrobniejszą zmarszczkę na jego ciemnej, nieruchomej twarzy. Cywilne ubranie, które miało maskować wojskowe ruchy w niewytłumaczalny sposób przypominało mundur. Tyburn w pewnej chwili zorientował się, że gapi się w bezruchu na zbliżającego się wysokiego mężczyznę. Miał już wcześniej okazję zetknąć się z zawodowcami z Dorsai i zawsze przykuwało jego uwagę jakieś nieuchwytne podobieństwo, wynikające być może z uwarunkowań hodowli genetycznej. A jednak ten mężczyzna przerastał wszelkie oczekiwania. W trudny do zdefiniowania sposób zdawał się uosabiać nieśmiertelnego ducha Dorsai. Jak wynikało z danych zawartych w kartotece, był jednym z bliźniaków. Obaj Graemowie: Ian i Kensie pochodzili z Foralie na Dorsai. Kartoteka podawała ponadto, że Kensie był pogodny za obu, podczas gdy zbliżający się właśnie Ian był ponurym milczkiem.

Nietrudno było Tyburnowi w to uwierzyć patrząc na nadchodzącego oficera. Przez moment Tyburn zastanawiał się, czy nie jest prawdą stare porzekadło mówiące, że gdyby urodzeni żołnierze, jakimi są mieszkańcy Dorsai, zdecydowali się opuścić swój skalisty świat, to nawet sojusz wszystkich trzynastu zamieszkałych światów nie mógłby stawić czoła napastnikom. Zawsze kpił z tego porzekadła, ale patrząc teraz na Iana nie był już taki pewien swoich racji. Taki człowiek jak ten żyje i umrze inaczej niż zwykli śmiertelnicy.

W końcu opuściły go natrętne myśli. Osobnik, który idzie w moim kierunku, mówił sam do siebie, jest nikim więcej jak tylko zawodowym żołnierzem. Nikim więcej...

Ian był już tuż przy nich. Obaj policjanci przepchnęli się przez tłum oddzielający ich od niego i zatrzymali w pół kroku.

– Komendant Ian Graeme? – spytał Breagan. – Jestem Kaj Breagan z policji kosmoportu, a to porucznik Walter Tyburn z sił policyjnych kompleksu Manhattanu. Pomyśleliśmy, że dobrze by było, gdyby zechciał pan poświęcić nam parę minut.

Ian Graeme kiwnął głową. Widać, że było mu to obojętne. Obrócił się i ruszył za nimi zwalniając swój szybki krok na spacerowy, tak by dostosować się do pospiesznego marszu oficerów policji.

Oddalili się znacznie od wejścia dla pasażerów idąc w stronę metalowych, niewidocznych stąd jeszcze drzwi, mieszczących się na drugim końcu kosmoportu. Na drzwiach widniał napis OBCYM WSTĘP WZBRONIONY. Wsiedli do okrągłej windy kursującej na górne piętra kosmoportu.

Przez całą drogę Ian nie wyrzekł ani słowa. Siadł na krześle z tym samym co na początku wyrazem obojętnej cierpliwości i zerkał na Tyburna siedzącego za biurkiem i Breagana opierającego się o ścianę z jego prawej strony. Tyburn zreflektował się, że nie tyle może granitowa twarz mężczyzny, ile jego masywne ręce zwisające bezwładnie wzdłuż oparcia, wzbudzają w nim podziw. W końcu jednak zmusił się do oderwania wzroku od dłoni zatrzymanego.

– No więc, panie komendancie? – spytał zmuszając się do spojrzenia w tę ciemną i nieruchomą twarz. – Rozumiem, że przybył pan tutaj, by kogoś odwiedzić?

– Najbliższego krewnego mojego oficera – przemówił w końcu Ian. W porównaniu z wyglądem, głos miał przyjemny, choć pozbawiony jakiejkolwiek tonacji, jak to bywa u ludzi, którzy nigdy nie podnoszą głosu w gniewie i złości. Tyburnowi przyszło na myśl, że jest to smutne.

– Mówi pan o niejakim Jamesie Kenebucku?

– Zgadza się – potwierdził głębokim basem Ian – jego młodszy brat Brian Kenebuck podlegał mi jako oficer podczas ostatniej kampanii Freilandzkiej. Zginął trzy miesiące temu.

– Czy zawsze – ciągnął dalej Tyburn – odwiedza pan najbliższych krewnych swoich oficerów?

– Za każdym razem, kiedy jest to tylko możliwe. Szczególnie, jeśli zginęli podczas pełnienia służby.

– Rozumiem – odparł Tyburn. Krzesło, na którym siedział stało się nagle twarde i niewygodne. Uniósł się nieco. – Mam nadzieję, że nie posiada pan broni, komendancie?

Ian nawet się nie uśmiechnął.

– Nie.

– Oczywiście, oczywiście. Zresztą to i tak nie ma żadnego znaczenia. – Tyburn znów spojrzał, wbrew sobie, na masywne, spoczywające w całkowitym bezruchu i spokoju ręce. – Pańskie, nazwijmy to, kończyny, są zresztą wystarczająco groźną, bo śmiercionośną bronią. Nie wiem, czy pan wie, że prowadzimy rejestr osób parających się zawodowo boksem i karate?

Ian przytaknął.

– Tak – powiedział Tyburn, zwilżył wargi i zaraz potem wściekł się o to na siebie. Szlag by trafił takie rozkazy, pomyślał. Nie po to siedzę przed tym facetem, żeby robić z siebie wariata, nawet jeśli Kenebuck ma Bóg wie jakie miliony i możliwości.

– W porządku komendancie. Spójrzmy na to z innej strony. Mamy informacje od kolegów z policji Północnego Freilandu, że obciąża pan Kenebucka winą za śmierć młodszego brata.

Ian siedział milcząc. Od czasu do czasu zerkał tylko na mówiącego.

– Może pan nam to wyjaśni – spytał Tyburn zaczepnie; ale Ian dalej milczał i rozmowa zawisła w powietrzu.

– Oficer Brian Kenebuck – odpowiedział spokojnie po chwili Ian – dowodził grupą trzydziestu sześciu żołnierzy. Podejmując błędną decyzję spowodował otoczenie oddziału. Jedynie on sam wraz z czterema żołnierzami zdołał się przedrzeć przez okrążenie i dotrzeć na pozycje macierzyste. W związku z tym Brian stanął przed sądem za rozmyślne i nierozważne rozporządzenie losem swoich podwładnych, tak jak to przewiduje Kodeks Honorowy Najemników. Czterej żołnierze, którzy powrócili wraz z nim złożyli zeznania obciążające dowódcę i w związku z tym skazano go na śmierć przez rozstrzelanie.

Ian skończył. Jego głos emanował spokojem. Brzmiał przy tym tak przekonująco, że siedzący z nim mężczyźni pogrążyli się w milczeniu. Niezmącona słowem cisza zadźwięczała Tyburnowi w uszach budząc go z odrętwienia.

ierz

(Warrior)

– Nic mi to nie mówi o powiązaniu Jamesa Kenebucka z całą tą sprawą. Brian popełnił... jakieś przestępstwo natury wojskowej i z tego powodu został stracony. Mówiąc o szukaniu winnego jego śmierci należałoby raczej wskazać na pana. Dlaczego łączy pan tę śmierć z osobą, która nie była nigdy na miejscu zgonu Briana Kenebucka? – Z jakiego powodu wiąże pan całą sprawę z Jamesem Kenebuckiem, który w tym czasie przebywał na Ziemi?

– Brian – wyjaśnił Ian – był jego bratem.

Wypowiedź wyprana z jakichkolwiek emocji brzmiała w ciszy jasno oświetlonego pokoju chłodno i rzeczowo. Tyburn czuł jak jego dłonie oparte o biurko zaciskają się w pięści. Wziął głęboki oddech i zaczął mówić bezbarwnym, urzędowym tonem:

– Komendancie, nawet nie staram się pana zrozumieć. Pochodzi pan z Dorsai, gdzie są hodowani tacy jak pan, ludzie wojny. Ja zaś jestem tylko staromodnym Ziemianinem, ale jestem również policjantem kompleksu Manhattanu, a James Kenebuck jest... jak by tu powiedzieć.... jednym z podatników tego okręgu. – Przyłapał siebie na tym, że nie patrzy Ianowi w oczy. W końcu się przemógł i spojrzał w ich kierunku. Były ciemne i nieruchome. – Do moich obowiązków należy powiadomienie pana, że jesteśmy w posiadaniu wiarygodnych informacji na temat pańskich zamiarów. Według nich zamierza pan pomścić śmierć Briana zabijając Jamesa Kenebucka. Ponieważ jednak jest to wyłącznie informacja, jest pan wolny i może się pan poruszać, gdzie się panu żywnie podoba, i spotykać się z kim pan chce, aż do czasu, gdy złamie pan obowiązujące tutaj prawa. Niech pan nie zapomina, że to jest Ziemia, komendancie.

Przerwał licząc na to, że Ian coś powie lub wykona jakiś gest. Ale Ian siedział nieruchomo czekając na to, co nastąpi dalej.

– U nas nie obowiązuje Kodeks Honorowy Najemników, komendancie – ciągnął dalej ostrym głosem Tyburn – nie obowiązują również u nas prawa feudalne, jakieś *droit-de-main*, lecz nasze własne, które mówią, że nawet najgorszy morderca ma prawo chodzić nietknięty po świecie, dopóki nie stanie w pełnym majestacie prawa przed sądem. Do tego czasu nie ma prawa mu spaść ani jeden włos z głowy. Nie będę z panem dyskutował, czy jest to słuszne czy nie, mówię panu po prostu, jak wyglądają te sprawy u nas.

Tyburn nie mógł oderwać wzroku od ciemnych oczu gościa. Dodał też bez osłonek:

– Wiem, że jeśli jest pan zdecydowany zabić Kenebucka nie bacząc na konsekwencje, nie jestem w stanie temu zapobiec.

Przerwał znów licząc na jakąkolwiek reakcję Iana. Lecz ten i tym razem nie powiedział ni słowa.

– Dobrze wiem, że może pan się zbliżyć do niego jako zwykły szary człowiek i zabić go gołymi rękoma, zanim ktokolwiek zdoła panu w tym przeszkodzić. Fakt, że nic na to nie mogę poradzić. Ale za to mogę pana ująć po fakcie, gdyby zdecydował się pan na popełnienie takiego czynu. Nie mam przy tym najmniejszej wątpliwości, że zostałby pan w takim wypadku aresztowany i postawiony przed sądem. Bezkarne zabicie Kenebucka nie wchodzi w rachubę. Przynajmniej tutaj na Ziemi. Chyba pan to rozumie, komendancie?

– Tak – potwierdził Ian.

– W porządku – dokończył Tyburn – zatem się zrozumieliśmy. Jest pan rozsądnym człowiekiem, jak wszyscy zawodowcy z Dorsai. Z tego, co wiem o Dorsai wynika, że podstawową zasadą jest unikanie ryzyka grożącego śmiercią. Pański zamiar wyegzekwowania sprawiedliwości na Kenebucku zawiera w sobie taki element ryzyka.

Ian wyprostował się, jak gdyby miał zamiar już wstać i wyjść.

– Chwileczkę – dorzucił Tyburn. Nadszedł najgorszy moment rozmowy. Długo przygotowywał i powtarzał tę mowę, ale teraz nie wierzył sam w to, że uda mu się przemówić Ianowi do rozsądku. – Jeszcze słóweczko. Jako człowiek czynu obeznany z walką musi pan myśleć w kategoriach praktycznych. Chcę, żeby pan zdał sobie sprawę z tego, że te wszystkie umiejętności przydatne tam, są u nas na Ziemi zakazane. A bez nich jest pan bezbronny jak niemowlę. Kenebuck znajduje się w krańcowo odmiennej sytuacji. Ma pieniądze i to idące w grube miliony. Ma też liczne powiązania, niektóre zresztą nie najciekawsze. No i urodził się i wychował tu właśnie, w kompleksie Manhattanu. – Tyburn patrzył cały czas z uwagą na swego rozmówcę, życząc mu w skrytości ducha, by go zrozumiał. – Chyba pan rozumie, co chcę przez to powiedzieć? Jeśli dojdzie do tego, że zniknie pan w bliżej nieokreślonych okolicznościach, nie będziemy w stanie postawić Kenebucka przed sądem. Za to na pewno postawilibyśmy pana przed trybunałem w sytuacji odwrotnej. Niech pan jeszcze raz zastanowi się nad tym, co powiedziałem.

Skończył i skierował całą swoją uwagę na Iana. Ale ten nie zmienił wyrazu twarzy. Nie drgnął na niej żaden mięsień, nie pojawił się najmniejszy grymas. Nic, co wskazywałoby, że zrozumiał ostrzeżenie.

– Dziękuję panu – powiedział Ian – jeśli to już wszystko, to już pójdę.

– To wszystko – potwierdził nie przekonanym głosem Tyburn. Dopiero, gdy Ian już wyszedł, obrócił się tyłem do Breagana, by w samotności odzyskać utraconą godność.

Twarz Breagana była biała jak kreda.

Ian przeszedł przez dworzec pasażerski, wziął taksówkę i udał się do hotelu „John Adams". Wynajął tam pokój w skrzydle przeznaczonym dla gości zamiejscowych i zasięgnął informacji na temat położenia apartamentu Jamesa Kenebucka. Mieścił się on w skrzydle zamieszkałym przez gości stałych. Następnie wysłał do milionera swoją kartę wizytową z zapytaniem, kiedy będzie mógł go odwiedzić. Potem udał się na górę i zabrał do rozpakowywania bagażu dostarczonego z kosmoportu. Wyciągnął małą zapieczętowaną paczkę. W tym momencie z otworu poczty pneumatycznej dobiegł go cichy dźwięk i pojawiła się z powrotem jego karta. Podniósł ją z tacki leżącej tuż poniżej otworu i przeczytał nakreślone z tyłu zdanie: *Przyjedź na górę. K.*

Tymczasem Tyburn zajął się obserwacją Iana z pokoju, przejętego w pełnej tajemnicy przez policję w przeddzień jego przylotu, a umieszczonego bezpośrednio nad apartamentem Kenebucka. Świadom swojej bezsilności zaklął i siadł, koncentrując się na informacjach z sensorów. Jak dotąd nie zaszło nic takiego, co dopuszczałoby usankcjonowaną przez prawo interwencję policyjną. Mógł tylko siedzieć i patrzeć. Widział jak Ian schodzi korytarzem wyścielonym miękkim dywanem do windy. Zjeżdża nią na ósme piętro. Wychodzi z windy. Staje przed masywnymi, przeźroczystymi drzwiami oddzielającymi skrzydła rezydencji przeznaczonych dla gości stałych i przyjezdnych. Podsunął pod monitor umieszczony przy drzwiach kartę z nakreśloną z tyłu uwagą Kenebucka. Widział, że drzwi się rozsuwają i zaraz też dobiegł go delikatny syk powietrza, jaki zwykle towarzyszy ich otwieraniu. Ian od razu wszedł do środka. Przeszedł dalej do drugiej windy. Pojechał trzynaście pięter wyżej. Gdy drzwi się otworzyły, zrobił krok naprzód i wylądował w foyer, gdzie czekało na niego trzech rosłych drabów.

Byli to mężczyźni rośli jak dęby (jeden z nich o szczęce wielkości dorodnej dyni był wyższy nawet od Iana) i piekielnie groźni. Tyburn obserwujący ich przez sensory, umieszczone w wielkiej tajemnicy już wcześniej, rozpoznał starych znajomych z akt policyjnych. Były to same asy podziemia. Kenebuck wynajął ich na wieść o przylocie Iana. Ich bronią było nie tylko uzbrojenie, ale i brutalna odwaga. Same twarze nasuwały na myśl długoletnie wyroki. Wściekłe psy wywodzące się z nowojorskich mętów. Ian znalazł się między nimi tuż po zrobieniu pierwszego kroku. Zamarł. To, co nastąpiło potem było niesamowite. Cała trójka znieruchomiała. Mieli zamiar obszukać Iana i Tyburn ujrzał, że już chcą się do niego dobrać, gdy coś, nie wiadomo co, zatrzymało ich w bezruchu. Była to wyczuwalna pozazmysłowo zmiana otoczenia. Choć Tyburn był wyłącznie obserwatorem, poczuł tę zmianę jak gdyby był tam z nimi, choć sam nie potrafił powiedzieć, co to za zmiana. Dopiero po chwili domyślił się, co to takiego.

To Ian się zmienił. Pozornie stał w bezruchu. Pozornie wydawać by się mogło, że cierpliwie czeka – tak jak wtedy w biurze kosmoportu. Czekał biernie od tego ułamka sekundy, gdy robiąc krok do przodu znalazł się w kręgu otaczających go mężczyzn. Zmierzył ich wzrokiem i stał nieruchomo czekając aż zrobią jakiś

ruch. Przez foyer przemknęło coś na kształt czarnej błyskawicy. Dla Tyburna od początku było jasne, że skoro choć jedna ręka wyciągnie się w jego kierunku, będzie to ręka trupa. Wystarczy, by choć lekko dotknęła śmiercionośnych dłoni żołnierza z Dorsai. Tyburn po raz pierwszy w życiu widział działanie ukrytej mocy Dorsai. Mocy, która dzięki swej potędze obchodziła się bez pomocy słów i gróźb. Ian nie potrzebował nic mówić. Sam jego wygląd był wystarczająco niebezpieczny. Mężczyźni, którzy go otaczali mogli być wściekłymi psami, ale w takim wypadku Iana należałoby porównać do wilka. Różnice uwidocznione tym porównaniem można rozciągnąć dalej na sposób walki - psy, nawet te najbardziej zajadłe, zawsze kulą ogon pod siebie i uciekają, gdy walka przybiera niekorzystny dla nich obrót. Wilki nigdy. Wilk wygrywa wszystkie walki. Oprócz jednej - tej ostatniej. Gdy po chwili stało się jasne, że żaden z nich nie śmie wykonać ruchu, Ian zrobił następny krok naprzód. Przeszedł obok zbirów, nie stykając się z nimi choć na milimetr. Podszedł do drzwi wewnętrznych, nacisnął klamkę i wszedł do środka.

Znalazł się w trójpoziomowym salonie, sięgającym aż po kraj ogromnego, otwartego okna, za którym siąpiła nocna mżawka. Salon był tak wielki, jak cały hotelowy apartament. Pełno było tam ludzi. Mężczyźni i kobiety ubrani byli w drogie i wyszukane stroje wizytowe. W dłoniach tkwiły kieliszki do koktajli. Atmosfera była przesycona zapachem alkoholu, perfum i dymem z papierosów. Pozornie nikt nie zwracał uwagi na wejście Iana, ale wszystkie oczy skierowane były na niego.

Przeszedł przez tłum gości, kierując się w stronę ciemnego okna, pod którym stał mężczyzna niemal tak wysoki jak Ian, atletycznej budowy, przystojny, o kanciastej twarzy, siwowłosy. Mężczyzna ów z wyraźnym zdumieniem śledził kroki zbliżającego się oficera.

– Graeme? – rzucił, gdy Ian już podszedł. Głos miał drżący, niepewny. Niskie tony przypominały intonację ludzi podziemia, wysoki nosił z kolei znamiona kindersztuby.

– Co z moimi ludźmi? – wykrztusił. – Czy zostawiłeś coś u nich?

– Nie – odparł Ian. – Ty jesteś ten James Kenebuck? Przypominasz brata.

Kenebuck spojrzał na niego uważnie.

– Chwileczkę – powiedział. Odstawił kieliszek i przeszedł przez tłum do foyer, zamykając starannie drzwi za sobą. W ciszy, jaka zapanowała po jego wyjściu, przez krótką chwilę słychać było dobiegającą zza drzwi ostrą wymianę zdań, a następnie znów zapanowała cisza. Kenebuck wrócił do pokoju z wypiekami na twarzy. Ponownie zwrócił się do Iana:

– Taak! Ci faceci mieli mnie uprzedzić o twoim przybyciu.

Zamilkł licząc, że może Ian zabierze głos. Ale ten stał w milczeniu mierząc tylko Kenebucka wzrokiem. Policzki obserwowanego różowiły się coraz bardziej.

– No? – rzucił szorstko. No? Przyszedłeś chyba w sprawie Briana, no nie? I co nam o nim powiesz?

I rzucił pośpiesznie, zanim jeszcze Ian zareagował:

– Wiem, że został zabity. Nie musiałeś osobiście fatygować się z opowiadaniem. Pewnie powiesz, że był to chłop na schwał... nie chciał, by mu zawiązywano oczy, czy coś w tym rodzaju...

– Nie – odparł Ian – nie zginął jak bohater.

Kenebuck podskoczył, jak gdyby go trafiła niewidzialna kula plutonu egzekucyjnego.

– No... – dodał Kenebuck złośliwie – po to tylko leciałeś tyle lat świetlnych, żeby mi o tym zakomunikować? Myślałem, że lubiłeś Briana.

– Lubiłem? – Ian pokręcił przecząco głową. – Nie.

Kenebuck zesztywniał. Na jego twarzy pojawił się wyraz dezorientacji.

– Jeśli chodzi o Briana – ciągnął dalej Ian – to gonił za sławą, przez co był nie najlepszym żołnierzem i jeszcze gorszym oficerem. Gdybym miał choć odrobinę wolnego czasu przed rozpoczęciem kampanii Freilandzkiej, z pewnością pozbawiłbym go dowództwa. Tamtej nocy straciliśmy przez to trzydziestu dwóch ludzi.

– Ach tak – Kenebuck zebrał się w sobie i spojrzał Ianowi prosto w twarz. – Masz ich na swoim sumieniu. O to ci chodzi, czy tak?

– Nie – odparł Ian. - Nie kładł na przeczenie żadnego nacisku, a mimo to zabrzmiało ono wręcz obraźliwie. Tak przynajmniej odebrał to siedzący na górze Tyburn.

– Nie lubiłeś Briana, więc po co zaprzątasz sobie tym głowę? Po jakie licho pchałeś się aż tutaj? – wysapał.

– Z poczucia obowiązku.

Twarz Kenebucka zastygła w stężałą maskę. Ian powoli sięgnął do kieszeni, jak gdyby miał zamiar oddać mu broń. Robił to powoli, żeby nie było żadnych wątpliwości. Z kieszeni wyjął paczuszkę.

– To są osobiste rzeczy Briana.

Położył pakiet na stoliku, tuż przy Kenebucku. Ten skupił całą swoją uwagę na położonej przez Iana paczce. Począł intensywnie blednąć, tak iż w końcu twarz upodobniła się do barwy jego włosów. Potem z wahaniem zaczął powoli zbliżać się do stolika. Powoli i ostrożnie, jakby w paczce ukryto bombę zegarową. Sięgnął po nią gwałtownym ruchem i szybko przysunął do siebie. Trzymając ją w ręku pozwolił sobie już pofolgować i obrzucił Iana wyzywającym spojrzeniem.

– Czy jest to tutaj? – spytał ściszonym głosem, kładąc przy tym akcent na „to".

– To są osobiste rzeczy Briana – powtórzył Ian obserwując Kenebucka.

– Tak... w porządku – wyrzucił z siebie Kenebuck. Widać było, że stara się opanować, ale nie mógł się zdobyć na podniesienie głosu ponad granicę szeptu – sądzę, że to chyba wszystko.

– To wszystko – potwierdził Ian. Spojrzeli sobie w oczy. – Do widzenia – rzucił. Obrócił się i wyszedł manewrując pomiędzy siedzącymi i stojącymi w milczeniu gośćmi. Trójki zbirów nie było już w foyer, więc bez zatrzymywania wsiadł do walcowatej windy.

Tyburn posiadając klucze do windy służbowej zjechał szybciej, gdyż nie musiał się przesiadać. Oczekiwał Iana w jego pokoju. Ten nie zdziwił się jego obecnością i podszedł do stolika z butelką whisky z Dorsai, którą tymczasem przyniesiono.

– A więc skończone – wypalił z ulgą Tyburn. – Zobaczył się pan z nim i on pozwolił panu odejść. Może się pan spakować i zamknąć całą sprawę.

– Nie – odparł Ian. – Nic jeszcze nie jest skończone. – Nalał ciemnej whisky o ostrym zapachu do szklanki. – Napije się pan?

– Jestem służbowo – odpowiedział Tyburn ostro.

– To trochę potrwa – powiedział nieporuszony tym stwierdzeniem Ian. Nalał trochę whisky do drugiej szklanki, wziął obie w ręce i przemierzył pokój. Wbrew swoim zasadom Tyburn przyjął poczęstunek. Wręczywszy mu szklankę Ian skierował się w stronę zajmującego całą ścianę okna. Na zewnątrz królowała noc. Ale w dole było widać jaśniejące światła ledwo dostrzegalnego miasta, rozpościerającego się u stóp hotelowego wieżowca. Krople deszczu ze śniegiem zatrzymywały się na przeźroczystej zasłonie przeciwpogodowej.

– Daj spokój, człowieku! Czego jeszcze chcesz? – wybuchnął Tyburno. Czy nie widzisz, że usiłuję cię osłonić? Podobnie zresztą jak i Kenebucka. Nie chcę, by któremukolwiek z was przydarzyło się nieszczęście. Jeśli tu zostaniesz, to tak jakbyś sam prosił o śmierć. Mówię raz jeszcze, że tu w kompleksie Manhattanu to pan jest bezradny, a nie Kenebuck. Czy nie przyszło panu na myśl, że Kenebuck ma już sprecyzowane plany odnośnie pańskiej osoby, komendancie?

– Nie – odpowiedział Ian, odwracając się od niewidzialnej zasłony, zza której docierały odgłosy piekielnej pogody usiłującej wedrzeć się do środka. – Przynajmniej do czasu aż się upewni.

– Upewni się, że co? Niech pan posłucha, komendancie – Tyburn starał się mówić spokojnie – w pół godziny po tym, jak otrzymaliśmy od policji Freilandu informację na pański temat, Kenebuck zwrócił się do nas oficjalnie z prośbą o ochronę.

Żachnął się rozeźlony.

– Niech pan nie patrzy na mnie w ten sposób. Skąd mogę wiedzieć, jak dowiedział się o pańskich planach? Niech pan przyjmie do wiadomości, że jest nie tylko bogaty, ale ma jeszcze w dodatku liczne powiązania. Nam jednak chodzi o to, że wyczuwamy jakiś podstęp ze strony Kenebucka. Niby zwrócił się do nas o ochronę, ale prawdę mówiąc, to chce nas zrobić w konia. Widział pan tych typków w foyer?

– Tak – potwierdził nieporuszony jego monologiem Ian.

– No i dobrze. Powinien pan zatem głęboko się zastanowić. Niech pan w końcu przyjmie do wiadomości, że nie stoję po stronie Kenebucka. Jasne?! Żeby pana jeszcze bardziej przekonać podzielę się z panem naszymi wiadomościami o tymże Kenebucku. Dawno już wiemy, że chciał się pozbyć brata. Jeszcze wtedy, gdy Brian miał dziesięć lat. Ale do diabła, komendancie. Brian też nie był aniołem.

– Wiem – rzucił Ian sadowiąc się na krześle naprzeciw Tyburna.



Wszystkie reprodukcje obrazów – Zbigniew Latałła

Bogusław KOSTIA

Bogusław Kostia – artysta malarz, którego prace przedstawiamy w Galerii „Fantastyki", urodził się w 1945 r. Początkowo zajmował się fotografią, ale ograniczenia, jakie narzuca ta dziedzina twórczości skłoniły go ku malarstwu, które uprawia już dziesięć lat. Od czterech lat mieszka w Zakopanem, gdzie, jak sam twierdzi, znalazł doskonałe warunki do twórczego skupienia. Przedstawione tutaj prace były eksponowane w końcu 1984 r. w salonach krakowskiej „Desy". (E.L.)

– Wie pan? To dobrze. Mimo to lepiej chyba będzie jak opowiem panu wszystko szczegółowo. Dziadek Kenebucków był u nas grubą rybą. Maczał palce we wszystkich przestępstwach na wschodnim wybrzeżu. Mam tu na myśli znaczne przestępstwa. Pochodził sam zresztą ze środowiska gangsterskiego. Za czasów ich ojca uciułane miliony zainwestowano legalnie, tak, że z chwilą śmierci ojca trzecia generacja – James i Brian nie weszli w posiadanie niczego, co mogłoby pochodzić z kwestionowanych źródeł. Do diabła, nie można im było nawet wlepić mandatu za nieprzepisowe przejście przez jezdnię. W chwili śmierci ojca James miał lat dwadzieścia, Brian zaś dopiero dziesięć. Śmierć ojca zerwała ich ostatnie związki z niechlubną przeszłością. Niemniej jednak nadal utrzymywali stosunki ze światem przestępczym, komendancie.

Ian siedział ze szklanką w ręku i widać było, że go interesuje to, o czym mówi Tyburn.

– Nie dotarło to jeszcze do pana? – Tyburn podniósł głos. – Dodam jeszcze, że w obliczu prawa Kenebuck jest czysty jak łza. Ale pochodzi z bandyckiej rodzinki. Sam zresztą również został wychowany na bandytę i myśli przez to jak bandyta. Ani mu się śniło, by się dzielić ze swym młodszym bratem świeżo nabytymi niemal książęcymi przywilejami. Próbował zatem się go pozbyć. Nie mógł jednak go tak zwyczajnie zabić. Dlatego starał się w najróżniejszy sposób wystawić go do wiatru, złamać mu charakter, aż doszło do tego, że Brian spełnił wolę starszego brata i sam zszedł z tego świata.

Ian potwierdził skinieniem głowy, że się zgadza z tą wypowiedzią.

– Zgadza się pan zatem ze mną – ciągnął dalej Tyburn – że James Kenebuck wygrał. Polował na Briana aż ten wreszcie zwiał i przystał na zawodowego żołnierza. Wołał nie ryzykować nieuniknionego starcia z zawodowcem i to jeszcze z Dorsai. Musiałby wtedy pożegnać się z tym, co ceni sobie najbardziej – z dobrym winem, kobietami i muzyką. Pośród nich zawsze błyszczy. Tak, komendancie, za tym nikczemnym charakterem i workami złota kryje się doskonały umysł i prężne ciało, którego sprawność osiągnięta została bynajmniej nie przez zwykłe ćwiczenia fizyczne. Cóż, można z tego wnioskować, że w ostatecznej rozgrywce Brian okazał się do niczego. Wpadł ze swoimi żołnierzami w pułapkę, tak jak sobie tego życzył Kenebuck i zginął. No i tak już widocznie musiało być, ale co pan może na to poradzić? Czy jest ktoś, kto mógłby stawić czoła koneksjom, wpływom, pieniądzom i prawu stojącym po stronie Kenebucka? Dlaczego do licha uważa pan, że jest pan w stanie sam przeciwstawić się tylu siłom naraz?

– To mój obowiązek – odparł Ian. Wychylił połowę zawartości szklanki i podświadomie zakręcił trzymanym w ręku naczyniem, obserwując uważnie jak brązowy płyn wiruje pod działaniem siły reakcji odśrodkowej i siły ciążenia. Podniósł oczy i spojrzał znacząco na Tyburna. – Pan przecież dobrze o tym wie, poruczniku.

– Obowiązek! Czy obowiązek jest aż tak ważny? – spytał Tyburn. Ian najpierw zerknął na niego, a następnie odwrócił wzrok w stronę niewidzialnej zasłony, skutecznie zmagającej się z hulającym na zewnątrz wiatrem.

– Nie ma nic ważniejszego od poczucia obowiązku dla żołnierza. – Ian powiedział to ze skupieniem, na wpół do siebie, na wpół do Tyburna. – Najemnicy mają prawo wymagać od swoich oficerów pełnej opieki. Jeśli oficer nie pełni swoich obowiązków właściwie, to wtedy staje przed sądem. A to z kolei ustrzega ich przez popełnieniem podobnego błędu. Tak rozumiana sprawiedliwość motywuje przestrzeganie obowiązków.

Tyburn zamrugał oczami, jak gdyby ktoś wymierzył mu solidny cios w głowę.

– A zatem chodzi o wymierzenie sprawiedliwości w imieniu tych trzydziestu dwóch poległych żołnierzy Briana – wykrzyknął, bo dopiero teraz dotarło do niego to, co stanowiło credo postępowania Iana – to dlatego leciał pan tak daleko!

– Tak. – Ian potakująco skinął głową i podniósł szklankę, jak gdyby chciał wypić resztę whisky we wspólnym toaście z szalejącą za oknem szarugą.

– Ale tę sprawiedliwość chce pan wymierzyć cywilowi. Kenebuck ma nad panem pełną przewagę.

Przerwało mu brzęczenie ekranu komunikacyjnego umieszczonego w rogu pokoju. Ian odstawił pustą szklankę, podszedł do ekranu i nacisnął włącznik. Jego szerokie plecy i ramiona zasłoniły Tyburnowi ekran. Zza pleców słychać było jednak znajomy głos. Był to głos Jamesa Kenebucka.

– Graeme, słuchaj!...

Chwila ciszy. Potem Ian spokojnie powiedział:

– Słucham.

– Jestem już sam – ciągnął dalej ostrym i napiętym głosem Kenebuck – goście już poszli. Miałem okazję przejrzeć rzeczy Briana.

Przerwał. Tyburnowi wydało się, że nie dokończone zdanie wisi w powietrzu. Ian też chciał, by ostatnie tony zdania ucichły, odczekał więc chwilę i dopiero wtedy powiedział:

– Tak?

– Może byłem trochę nieprzyjemny – przeprosił Kenebuck. Ale wymuszony ton przeprosin nie pasował do wypowiadanych słów. – Nie wpadłbyś może do mnie na górę? Porozmawialibyśmy o Brianie.

– Przyjdę – powiedział Ian. Wyłączył ekran i obrócił się w stronę Tyburna.

– Chwileczkę – rzucił Tyburn wstając z krzesła. – Pan przecież nie może tam pójść!

– Nie mogę? – Ian zerknął kpiąco na Tyburna – zostałem przecież zaproszony, poruczniku.

Słowa te podziałały na Tyburna niczym kubeł zimnej wody.

– To prawda. Tylko dlaczego?... Dlaczego ponowił zaproszenie?

– Bo teraz ma już czas. Jest sam, no i przejrzał paczkę Briana.

– Ale przecież w paczce nie było nic ważnego: zegarek, portfel, paszport, trochę innych papierów... Celnicy dali nam listę zawartości. Nie było tam niczego nadzwyczajnego.

– To prawda – zgodził się Ian – i pewnie dlatego właśnie chce się ze mną ponownie zobaczyć.

– Ale czego chce od pana?

– Chce mnie samego.

Wzrok Iana spotkał się ze zdumionym spojrzeniem Tyburna.

– Był zawsze zazdrosny o Briana – ciągnął dalej równie uprzejmym, może nawet przesadnie uprzejmym tonem. – Bał się, że Brian z wiekiem go przerośnie. Dlatego próbował go złamać, a nawet zabić. Aż w końcu Brian stanął przed nim. Spotkali się twarzą w twarz.

– Brian? Kiedy?

– Dzisiaj – odpowiedział Ian, obrócił się i ruszył w stronę drzwi.

Tyburn widział, że Ian odchodzi. Podskoczył do góry jak oparzony, jak gdyby obudził się niespodziewanie z głębokiego snu. Otrząsnąwszy się w ten sposób z oszołomienia dał trzy ogromne susy, tak, że w sekundę znalazł się przy Ianie, gdy ten otwierał już drzwi.

– Niech pan zaczeka – rzucił w pośpiechu. – Kenebuck nie będzie sam. Ma ochronę. Tych trzech oprychów czuwających zawsze w drugim pokoju. Z pewnością zastawił też u siebie jakąś pułapkę...

Delikatnie jak tylko potrafił, Ian zdjął dłoń policjanta ze swego ramienia.

– Wiem – powiedział. I wyszedł.

Tyburn znieruchomiał w drzwiach jak gdyby ogłuszony i patrzył za znikającą sylwetką. Dopiero gdy Ian już wsiadał do cylindrycznej windy policjant wykonał pierwszy ruch. Ruszył biegiem do windy służbowej, którą chciał się szybko dostać do punktu obserwacyjnego nad mieszkaniem Kenebucka.

Wchodząc ponownie do foyer Ian nie natknął się tam na nikogo. Podszedł do drzwi prowadzących do salonu. Były na wpół otwarte, wszedł więc do środka bez pukania. Kieliszki i przesypujące się popielniczki stały na stolikach. Przyćmiono światła. Kenebuck wstał z fotela odwróconego tyłem do okna mieszczącego się na końcu pokoju. Ian podszedł bliżej. Zatrzymał się dopiero, gdy dzieliła ich odległość ramienia.

Kenebuck przyglądał mu się przez chwilę z napiętą twarzą. Następnie zrobił krótki gniewny gest ręką wskazujący na spożycie alkoholu.

– Siadaj.

Gordon DICKSON

urodził się w roku 1923 w Kanadzie, ale od 13 roku życia mieszka w USA. W roku 1948 ukończył anglistykę – z Poulem Andersonem, z którym potem wspólnie napisał kilka powieści. Debiutował w czasopiśmie w roku 1950, pierwszą powieść wydał w roku 1956. Zdobył nagrody Hugo (1965) i Nebula (1966).

Jego największym osiągnięciem jest cykl powieści i nowel o Dorsai, planecie, która wyspecjalizowała się w produkowaniu najemnych żołnierzy – takich jak Ian Graeme z opowiadania **„Żołnierz"**. Utwory Dicksona, utrzymane w zasadzie w konwencji literatury fantastyczno-przygodowej (tzw. space opera), nie są pozbawione pewnej głębi, wynikającej z idei możliwości i konieczności dalszej, samosterowanej ewolucji człowieka (L.J.)

Ian usiadł wygodnie w fotelu. Kenebuck wrócił na swoje miejsce.

– Drinka? – spytał Kenebuck. Na otoczonym fotelami stole stały karafka i szklanki.

– Ta paczuszka z rzeczami Briana – rzucił, bacznie obserwując Iana spod spuszczonych powiek, pod którymi błyskały białka – zawierała wyłącznie rzeczy osobiste!

– A co jeszcze chciałbyś zobaczyć? – spytał niewinnie Ian.

Dłonie Kenebucka momentalnie zacisnęły się na szklance. Popatrzył na Iana zdziwiony, a następnie wybuchnął śmiechem, który zadźwięczał w pustym pomieszczeniu głuchym echem.

– Nie, nie – ryknął – to ja zadaję pytania, Graeme! Po co zatem chciałeś się ze mną widzieć?

– Z obowiązku – odparł Ian.

– Z obowiązku? Wobec kogo? Briana? – Kenebuck wyglądał, jakby miał znowu zamiar wybuchnąć śmiechem, ale widocznie zrezygnował z tego zamiaru, bo przycichł i tylko w oczach pojawił się jakiś dziwny blask. – Cóż dla ciebie znaczy Brian? Przecież go nawet nie lubiłeś!

– To nie ma znaczenia. Był jednym z moich oficerów.

– Jednym z twoich oficerów? Był moim bratem! To chyba znaczy więcej niż być czyimkolwiek oficerem!

– Nie – odpowiedział tym samym spokojnym tonem Ian – przynajmniej nie tam, gdzie w grę wchodzi sprawiedliwość.

– Sprawiedliwość – zaśmiał się Kenebuck – dla Briana? O to ci chodzi?

– I o jego trzydziestu dwóch żołnierzy.

– O! – Kenebuck zaśmiał się prowokująco – trzydziestu dwóch żołnierzy... Tych trzydziestu dwóch żołnierzy...

Pokręcił głową.

– Nie znałem tych trzydziestu dwóch ludzi, Graeme. Ani razem, ani żadnego z osobna. Nie masz więc prawa obwiniać mnie o ich śmierć. Spowodował ją błąd Briana. Czy to o to go oskarżono? Rzecz jasna, że on i jego trzydziestu dwóch czy trzydziestu sześciu żołnierzy mogli zdobyć kwaterę wroga. Mogli przecież równie dobrze wrócić uwieńczeni chwałą, przyprowadziwszy naczelnego dowódcę wrogich wojsk w pętach. – Kenebuck znów parsknął śmiechem. – Ale tak się nie stało i nie poczuwam się z tego powodu do winy.

– Brian zrobił to – powiedział Ian – by popisać się przed tobą. To ty go do tego popchnąłeś.

– Ja? Cóż mogłem na to poradzić, że nie dorósł mi nawet do pięt? – Kenebuck spuścił oczy, spojrzał na szklankę i jednym haustem wychylił jej zawartość. Uśmiechnął się kącikiem ust. – Nigdy by mi nie dorównał. – Pustym wzrokiem omiótł Iana. Trzymał przy tym kurczowo opróżnione naczynie. – Jestem po prostu lepszy, Graeme. Dobrze by było, gdybyś i o tym nie zapomniał.

Ian nie odpowiedział. Kenebuck nadal wpatrywał się w niego, a gdy tak patrzył, jego twarz nabierała coraz dzikszego wyglądu.

– Nie bardzo mi wierzysz, no nie? – powiedział Kenebuck, tym razem spokojnie. – Lepiej by było, gdybyś mi uwierzył. Nie jestem Brianem. A ponadto nic sobie nie robię z Dorsai. Jak widzisz nasze spotkanie odbywa się tylko w cztery oczy.

– Doprawdy? – spytał Ian.

Siedzący ponad rozmawiającymi Kenebuckiem i Ianem Tyburn po raz pierwszy usłyszał i zobaczył emocjonalne zabarwienie wypowiedzi komendanta. Pobrzmiewał tam wyraźnie słyszalny ton szczególnego zadowolenia.

– Jak widzisz sam – James Kenebuck znów wyrzucił z siebie kaskadę śmiechu, przez który przebijały echa groźby. – Przecież jestem, mój drogi, człowiekiem cywilizowanym, a nie dzikusem z buszu. Nie znaczy to jednak, że jestem ryzykantem. Moja ochrona jest tuż za ścianą. Byłbym ostatnim idiotą, gdybym się nie zabezpieczył na wszelki wypadek. A ponadto mam coś jeszcze w zanadrzu...

Gwizdnął i zza pobliskiego fotela wypadło coś, co na pierwszy rzut oka przypominało psa. Sporządzone z gładkiego, czarnego metalu stworzenie poruszało się na powietrznej poduszce i to tak szybko, że w sekundę przemknęło mu pod nogami.

Ian zerknął w dół. U jego stóp znajdowało się coś w rodzaju metalowego pudła zakończonego kryzą, z której wystawały dwie metalowe macki.

Ian lekko skinął głową.

– Automed.

– Tak – potwierdził Kenebuck – nastawiony na reakcje rytmów serca każdej żywej istoty znajdującej się w tym pomieszczeniu. Jak widzisz, nawet gdybyś załatwił moją obstawę, nie oznaczałoby to, że przegrałem. Nawet jeśli by udało ci się i mnie załatwić, automed i tak zdąży do mnie na czas, by pozbawić cię przyjemności zobaczenia mnie na innym świecie. Jestem nie do pokonania. Wiesz, co ci zaproponuję? Poddaj się!

Roześmiał się i kopnął automeda.

– Wracaj na miejsce.

Urządzenie pomknęło na swoje miejsce za fotelem.

– Zatem jak sam widzisz – powiedział – powziąłem wszystkie niezbędne kroki. Nie uważam tego za niehonorowe. Ty jesteś wojskowym, a cóż to znaczy w praktyce? Jesteś silniejszy. Lepszy taktycznie. Chcąc zwyciężyć musiałem pomnożyć swoje siły. W ten sposób obniżyłem wartość twej taktyki. W takim układzie straciłeś jakąkolwiek przewagę. Wiesz czym jesteś teraz? Niczym.

Postawił szklankę na stoliku obok karafki.

– Nie jestem Brianem i nie boję się ciebie. Dam ci radę i bez tych wszystkich rekwizytów, jeśli będę chciał.

Ian siedział nieruchomo w milczeniu. Siedzący piętro wyżej Tyburn zesztywniał.

– A będziesz chciał? – spytał Ian.

Kenebuck popatrzył ze zdziwieniem. Zadrgały mu mięśnie twarzy. Do głowy napłynęła krew zaciemniając oblicze.

– Co? Chcesz mnie sprowokować?

Skoczył jak oparzony na równe nogi, machając przy tym rękoma jak wariat. Zdaniem Tyburna przypatrującego się tej scenie zza betonowego sufitu było to z góry wyreżyserowane przedstawienie. Oburzenie, aż do wybuchu histerycznego ataku wściekłości stanowiło nieodzowny w takich wypadkach rekwizyt. Ale skąd mógł o tym wiedzieć Graeme?

– Czy ten Graeme ma broń? – zainteresował się technik policyjny od sensorów siedzący na prawo od Tyburna, który usłyszawszy pytanie poderwał głowę do góry.

– Nie, dlaczego?

– Kenebuck ma – technik pochylił się do przodu i puknął w ekran tuż poniżej lewego ramienia Kenebucka okrytego marynarką.

– Tutaj mieści się miotacz kul.

Tyburn zacisnął obolałe palce prawej dłoni w kułak, w następnie walnął pięścią w stół. Miał dość wszystkiego.

– W porządku – Kenebuck nadal wrzeszczał. Obrócił się wreszcie do Iana tyłem. – No masz teraz okazję, żeby się na mnie rzucić!

Rozłożył szeroko ręce.

– Drzwi są zamknięte. Myślisz jeszcze, że schowałem tu kogoś? No to popatrz!

Zrobił pięć szybkich kroków w stronę ogromnego okna sięgającego aż po sam sufit. Nacisnął guzik mechanizmu sterującego, sprawdzając, czy rzeczywiście działa. Parę drgających pokryw przeciwpogodowych wdarło się teraz do środka zostawiając wilgotny ślad na parapecie. Obrócił się z powrotem do Iana, który stał nieporuszony. Wystąpienie Jamesa nie zrobiło na nim żadnego wrażenia. Kenebuck usadowił się w fotelu stojącym tyłem do okna, za którym widniały ciemności i przez które sporadycznie przeciskały się śnieg i wzrastający ziąb.

– Co jest grane? – spytał z przekąsem. – Zrezygnowałeś? Może brak ci odwagi, Graeme?

– Mówiliśmy o Brianie.

– Tak, o Brianie – potwierdził z takim samym niezmąconym spokojem, co jego interlokutor Kenebuck. – Fakt, miał łeb. Chciał być taki, jak ja. Ale niezależnie od tego, jak się starał, nigdy mu to nie wychodziło. – Zerknął na Iana. – Tak samo zresztą mu nie wyszło z tą operacją na terenie wroga. Nie miał najmniejszej szansy. Taki już był z niego pechowiec.

– Z cudzą pomocą!

– Pomocą? Nie wiem, o czym mówisz!

Kenebuck podskoczył na krześle.

– Przegrał wyłącznie dzięki twojej łaskawie podanej pomocnej dłoni. – Głos Iana brzmiał bardzo konkretnie. – Od dzieciństwa starałeś się go wychować na swoje podobieństwo, by tym łatwiej odgadnąć, czego się można po nim spodziewać. Miałeś znaleźć się na pozycji z góry wygranej. I wygrać. Tylko, że w tej rozgrywce miałeś zawsze innych do pomocy. Brian zawsze był sam, wystawiony na ciosy.

Kenebuck wciągnął ze świstem powietrze.

– Przestań pyskować, Graeme!

Głos miał wyjątkowo niski.

– Chciałeś – ciągnął dalej niedbałym tonem Ian – żeby się sam zabił, ale jakoś to nigdy ci nie wyszło. Ba, doszło do tego, że Brian zaczął się upominać o swoje prawa. Poza tym chciał zawsze wywrzeć na tobie dobre wrażenie. Nawet wtedy, gdy już był dorosły i zdawał sobie sprawę, do czego zmierzasz. Wiedział, co chcesz zrobić, ale nadal nosił się z zamiarem udowodnienia ci, że nie jest wcale gorszy. Do końca był takim właśnie, jakim go wtedy wychowałeś.

Bogusław KOSTIA



Bogusław Kostia

– No dalej! Gadaj! – wycedził przez zęby Kenebuck. – Dalej pyskaczu!

– Nie miał zatem innego wyjścia, jak opuścić Ziemię i zostać zawodowym żołnierzem – kontynuował dalej spokojnie i dobitnie Ian. – Zrobił to nie dlatego, że powołano go pod broń, jak tych z Newtona, ani nie dlatego, że wyhodowano go w genetycznej wylęgarni na Dorsai. Nie zaciągnął się też z żądzy mordu, jak górnicy z Coby, ale by przekonać ciebie, że masz o nim błędne zdanie. Znalazł sobie takie miejsce, w którym nie miałeś szansy na swe sztuczki. W listach do ciebie przecież się ze wszystkiego spowiadał. Liczył częściowo na to, że kiedyś klepniesz go bratersko po ramieniu. Ale nigdy się nie doczekał.

Kenebuck siedział w fotelu i głęboko oddychał. Oczy żarzyły mu się wielkiem ogniem.

– Nie odpowiadałeś na jego listy – ciągnął dalej Ian – przypuszczałeś, że osamotniony popełni w końcu jakiś fatalny błąd. Ale tak się nie stało. Wręcz przeciwnie. Zaczął odnosić sukcesy. Awansował. W końcu został oficerem i samodzielnym dowódcą. Dopiero wtedy zacząłeś się czegoś obawiać. Nie mogłeś liczyć, że czas będzie pracował na twoją korzyść. Szczególnie, gdyby on tak dalej piął się w górę. Pod względem sprawności fizycznej nie miał już sobie równych.

Kenebuck siedział dalej nie wydając najmniejszego dźwięku. Wyglądał jak gdyby się modlił. Starał się jak najusilniej nie przerywać Ianowi.

Ian tymczasem ciągnął dalej.

– W przeddzień owej fatalnej nocy przypadającej na jego urodziny otrzymał... zobacz zresztą sam... kartkę z życzeniami...

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął białą, złożoną kartkę noszącą wyraźne znamię tego, że ktoś wcześniej obszedł się z nią fatalnie. Nie ukrył tego fakt, że próbowano ją wygładzić. Ian otworzył kartkę. Zrobił to tak, że rysunek i dedykacja rzucały się w oczy. Kenebuck patrząc na kartkę spuścił oczy.

Rysunek przedstawiał byle jak naszkicowanego zająca z karabinem i hełmem pod nogami.

Kenebuck podniósł wzrok znad rysunku. Spojrzał na Iana. Gdy tak patrzył rozciągnęły mu się kąciki ust. Potem rozciągnęły się jeszcze bardziej i wykrzywiły twarz w niesamowitym grymasie.

– Czy to wszystko? – wymamrotał.

– Ależ nie. Oprócz kartki... – zrobił gest, jakby sięgał do kieszeni.

– Nie, nie... ty! – ryknął Kenebuck. Niespodziewanie zerwał się na równe nogi, skoczył za fotel i cofnął się w stronę ciemniejącego okna. Zanurzył rękę w fałdy marynarki i wydobył z niej miotacz kul. Strzał zabrzmiał echem w pustym pomieszczeniu. Ian nie poruszył się nawet o milimetr. Tylko ciało drgnęło zetknąwszy się z pociskiem.

Nagle ożył. Każdy inny zwykły człowiek uderzony pociskiem doznałby szoku, a potem znieruchomiał raz na zawsze. Ian natomiast zerwał się błyskawicznie z krzesła, jak gdyby nie został zraniony kulą i ruszył do przodu. Kenebuck znów zaczął coś krzyczeć, tym razem ze strachu. Cofał się, strzelając, krok za krokiem.

– Zdychaj ty...! Zdychaj! – ryczał. Ale ogromna sylwetka Iana nieubłaganie posuwała się do przodu. Dwa razy ugodziły go kule. Obsypany pociskami zdawał się je strząsać, jak rugbista oblepiony napastnikami. Wielkie kroki zmniejszały odległość między nim a Kenebuckiem.

Nadal krzycząc James Kenebuck oparł się łydkami o parapet niskiego okna. Na jego twarzy pojawił się nieludzki grymas. Rozejrzał się na prawo i lewo, ale nigdzie nie znalazł miejsca dokąd mógłby uciec. Cofając się pociągał raz za razem cyngiel, aż w końcu szczęknął spust. Skończyły się naboje. Mamrocząc coś pod nosem rzucił opróżnioną bronią w Iana. Odrzucił do tyłu głowę, by nie pozwolić się Ianowi nawet dotknąć. Potem zaskowyczał jak pies, zakręcił na pięcie i runął w dół przez okno, zanim Ian zdołał go pochwycić. Leciał pokonując w zawrotnym tempie 90 pięter. Skowyt cichł coraz bardziej, aż w końcu zamarł.

Ian przystanął. Ręce miał zaciśnięte. Dłonie kurczowo obejmowały przedmiot, którego Kenebuck nie chciał zobaczyć. Stał chwilę, a potem padł jak kłoda.

Gdy Tyburn z technikami skończyli wypalać dziurę w suficie i spuścili się w dół, wylądowali przez zwęglony otwór prosto na czymś maleńkim, co właśnie się wysunęło ze zwiotczałej dłoni Iana.

Były to właściwie dwie rzeczy mocno ze sobą sklejone: maleńki pędzelek i przeźroczysta tubka z żółtą farbą – symbolem tchórzostwa.

Mam nadzieję, że pan sobie zdaje sprawę – klarował mu Tyburn w dwa tygodnie później, gdy stali z wykurowanym już Ianem lodowatozimnego poranka na zewnątrz dworca kosmoportu – z tego, że nie miał pan prawie żadnych szans w starciu z Kenebuckiem. Tylko dzięki temu, że dopisało panu szczęście mógł pan wyjść z tego cało.

– Nieprawda – zaprzeczył Ian, jak zwykle bez cienia emocji – wszystko przebiegło tak, jak sobie założyłem z góry. Szczęście nie miało z tą sprawą nic wspólnego.

Wyszczuplał sporo po pobycie w manhattańskim szpitalu, ale niedowaga nie pozbawiła go żywotności będącej nieodłączną cechą każdego Dorsai.

Tyburn spojrzał na niego z zaskoczeniem.

– Niemożliwe – zaprzeczył – przecież Kenebuck mógł nie odesłać swoich oprychów. Nawet wbrew temu, co planował. A gdyby powierzył zadanie zabicia pana komuś innemu? Mogło też przecież być tak, że nie włożyłby pan rąk do kieszeni albo nie wziąłby pan ze sobą tej kartki?...

Przerwał nagle. Coś mu zaświtało w głowie.

– Czyżby pan?... zatem biorąc ze sobą kartkę założył pan już wcześniej, że Kenebuck zechce zostać z panem sam na sam?

– Kenebuck dążył do walki bez świadków. Dla niego była to próba sił. A przecież walka sam na sam jest moim chlebem powszednim. Pan już z góry założył, że Kenebuck znajdował się na wygranych pozycjach. Tak naprawdę to było odwrotnie.

– Ale pana zmuszono, by udał się pan do Kenebucka na górę.

– To było tylko dobre aktorstwo. Musiał uwierzyć w to, że jestem zmuszony udać się na górę. Inaczej nie wierzyłby święcie w to, że musi mnie zabić. A jak nie on mnie, to ja jego. Decydując się na zabójstwo postawił się w pozycji ofensywnej.

– A wyglądało na to, że ma przewagę – zaoponował Tyburn kręcąc przecząco głową – Pan był na jego terenie, więc przewaga wynikała już chociażby ze znajomości warunków...

– Tak, ale tylko w przypadku obrony, a nie ataku. Przychodząc na górę spotęgowałem tylko jego wątpliwości. Nadal nie był pewien, czy mam przy sobie urodzinową kartkę i czy wiem, dlaczego Brian wbrew rozkazom wdarł się na terytorium wroga. Kenebuck zaplanował sobie wcześniej, że jego ludzie obezwładnią i obszukają mnie w foyer, ale wysiadły im nerwy.

– Pamiętam – wymamrotał Tyburn.

– Następnie, gdy już oddałem mu paczkę z rzeczami Briana, był pewien, że kartka znajduje się w środku. A gdy jej tam nie znalazł, stanął przed dylematem zaaranżowania sytuacji tak, by mógł zrobić to, co tylko zechce. Wtedy mógłby zmusić mnie do oddania kartki i wyśpiewania wszystkiego, co wiem o tej sprawie. Dążył do tego z powodu swej niewątpliwej winy za pchnięcie Briana do tak szaleńczej akcji. Fakt, że Brian stanął przed sądem był mniej istotny. Świat przestępczy nie zważa na to, co postanawiają sądy. Przekracza to zarówno ich pojmowanie, jak i zakres zainteresowań. Ale było coś ważniejszego. Tylko ja wiedziałem i mogłem udowodnić, że Brian był dzielniejszy od swego starszego brata. A to właśnie z kolei było przeszkodą w rozprawieniu się ze mną przy pomocy osób trzecich. Jedyne, co mógł zrobić, to pozbyć się mnie samemu. Tak, by nie zostało po mnie ani śladu.

– O mały włos, a by mu się to udało – rzucił Tyburn. – Gdyby jedna z tych kul...

– Był tam przecież automed – odpowiedział spokojnie Ian. – Człowiek pokroju Kenebucka zawsze chowa w zanadrzu coś, co pozwala mu się wykaraskać nawet z najgorszej kabały. Typowe dla amatorów.

Zabrzmiał sygnał informujący, że liniowiec jest gotów do lotu. Ian chwycił za bagaż.

– Do widzenia – powiedział podając dłoń Tyburnowi.

– Do widzenia. Więc dlatego wszedł pan w pułapkę zastawioną przez Kenebucka, bo założył pan z góry, że będzie pan zdany na walkę? Sam na sam? Trudno wprost w to uwierzyć!

Ian zdążył już się obrócić do tyłu i zrobił dwa pierwsze kroki w stronę statku błyszczącego w słońcu. Nagle na Tyburna spłynęło olśnienie. Podbiegł do Iana i zatrzymał go chwytając za ramię. Ten przystanął i obrócił się do tyłu z gniewną miną.

– Nie wierzę – krzyknął Tyburn – ale jest tylko jedyne wyjaśnienie. Pan w i e d z i a ł, że Kenebuck wpakuje w pana tuzin kul. Wiedział pan też, że może pana zabić. Wszystko po to, by wyrównać rachunek za trzydziestu dwóch poległych żołnierzy dowodzonych przez człowieka, którego pan nawet nie lubił. Nie do wiary! Nie mieści mi się w głowie, że ktoś może mieć tak mocne nerwy będąc nawet nie wiadomo jak świetnym żołnierzem.

Ian spojrzał z góry na Tyburna, któremu teraz wydało się, że choć raz nie gościł na niej kamienny wyraz twarzy.

– No, nie jestem takim sobie zwykłym żołnierzem – odparł Ian. – Kenebuck myślał podobnie jak pan teraz. I to go zgubiło. Założył, że pozbawiony mych zwykłych żołnierskich akcesoriów stanę się łatwą ofiarą.

Tyburn poczuł jak przez ciało przebiegł mu lodowaty dreszcz.

– To na miłość boską, kim pan jest? – wykrzyknął.

Ian popatrzył na niego, jak gdyby patrzył gdzieś z daleka, starając się przy tym patrzeć Tyburnowi prosto w oczy i odpowiedział ze smutkiem w głosie:

– Uosobieniem wojny.

Następnie obrócił się i poszedł dalej. Tyburn widział już tylko malejącą sylwetkę wyraźnie górującą nad głowami pasażerów idących w kierunku statku.

Przełożył **Ryszard P. Jasiński**

Robert Sheckley

pielgrzymka na Ziemię

(Pilgrimage to Earth)

Alfred Simon urodził się na Kazandze IV, małej rolniczej planecie położonej blisko Arcturusa, i tam właśnie jeździł kombajnem po polach pszenicznych, a w długie, ciche wieczory słuchał nagrań pieśni miłosnych z Ziemi.

Życie na Kazandze wydawało się nie najgorsze, a dziewczyny, hoże, wesołe, bezpośrednie i przychylne, były dobrymi kompankami we wspólnych wypadach w góry czy nad rzekę, a nawet wiernymi towarzyszkami życia. Ale romantyzmu w nich za grosz! Owszem, można się było na Kazandze zabawić wesoło i beztrosko, ale nic poza tym.

Simon czuł, że tej spokojnej egzystencji czegoś brakuje. Pewnego dnia odkrył czego.

Na Kazandze zjawił się mianowicie w poobijanym, wyładowanym książkami statku kosmicznym, handlarz. Był wychudzony, siwy i troszkę szalony. Odbyła się nawet uroczystość na jego cześć, bo na światach pozaziemskich ceniono sobie nowinki.

Handlarz opowiedział im najnowsze plotki: o wojnie cen pomiędzy Detroit II a III i jak się na Alenie rozwija rybołówstwo, jak się ubiera prezydentowa z Moracii i jak dziwnie mówią ludzie z Dorana V. Aż wreszcie ktoś zawołał:

– Opowiedz nam coś o Ziemi!

– O! – rzekł handlarz unosząc brwi. – Chcielibyście się czegoś dowiedzieć o planecie macierzystej. No cóż, przyjaciele, nie ma drugiego takiego miejsca jak nasza stara, poczciwa Ziemia. Nie ma. Na Ziemi, przyjaciele, wszystko jest możliwe, nic nie jest zabronione.

– Nic? – spytał Simon.

– Zabranianie jest prawnie zabronione – wyjaśnił handlarz z uśmiechem. – I nie słyszałem, żeby ktokolwiek to prawo złamał. Ziemia jest i n n a, przyjaciele. Wasza specjalność to, zdaje się, rolnictwo, tak? Otóż Ziemia specjalizuje się w takich niepraktycznych rzeczach jak szaleństwo, piękno, wojna, upojenie, czystość, groza i tym podobne i ludzie zjeżdżają tam z miejsc odległych o wiele lat świetlnych w pogoni za tymi towarami.

– A miłość? Co z miłością? – zapytała jakaś kobieta.

– Dziewczyno – odparł handlarz – Ziemia jest jedynym miejscem w całej galaktyce, gdzie jeszcze istnieje miłość. Detroit II i III próbowały miłości, ale uznały ją za zbyt kosztowną, rozumiesz, na Alanie doszli do wniosku, że wywołuje niepokój, a na Moracię czy Dorana V nie było nawet czasu jej sprowadzić. Ale, jak już mówiłem, Ziemia specjalizuje się w tym, co niepraktyczne, i jeszcze ciągnie z tego zyski.

– Zyski? – zapytał zwalisty farmer.

– Oczywiście! Ziemia jest stara, jej bogactwa mineralne są na wyczerpaniu, a gleba całkowicie wyjałowiona. Kolonie ziemskie uzyskały niepodległość i są zaludnione przez trzeźwo myślących ludzi, takich jak wy, którzy za swoje towary domagają się zapłaty. Czym więc ta stara Ziemia może się jeszcze zajmować, jak nie sprawami błahymi, które nadają życiu jakiś sens?

– A czy byłeś kiedy zakochany na Ziemi?

– Owszem, byłem – odparł handlarz dość ponuro. – Byłem zakochany, a teraz podróżuję. Przyjaciele, te książki...

Za nieprawdopodobną wprost cenę Simon kupił starożytny tomik poezji i czytając śnił o miłości pod szalonym księżycem, o świcie migocącym biało na spieczonych ustach kochanków, o ciałach splecionych na ciemnej plaży, opętanych namiętnością, ogłuszonych hukiem fal.

A to wszystko było możliwe tylko na Ziemi! Ponieważ, jak twierdził handlarz, jej rozproszone w Kosmosie dzieci zbyt ciężko walczyły o byt na obcych światach. Na Kazandze rosły pszenica i kukurydza, na Detroit II i III – fabryki. Łowiska Alany była to sprawa południowego Pasa Gwiezdnego, Moracia roiła się od niebezpiecznych zwierząt, a Doran V stanowił jeszcze nie zdobytą pustynię. I to było w porządku, dokładnie tak, jak być powinno.

Ale nowe światy, surowe i starannie zaplanowane, były sterylne w swojej perfekcji. Coś zostało zaprzepaszczone w najdalszych zakątkach przestrzeni i jeszcze tylko Ziemia znała miłość.

Simon tyrał więc, oszczędzał i marzył. W dwudziestym dziewiątym roku życia sprzedał fermę, spakował czyste koszule do solidnej torby, włożył najlepszy garnitur i parę solidnych butów i wsiadł na statek relacji Kazanga – Metropole.

Aż w końcu wylądował na Ziemi, gdzie marzenia m u s z ą s i ę spełniać, ponieważ jest to prawie zagwarantowane.

Szybko przeszedł przez komorę celną na dworcu kosmicznym Nowy Jork i koleją podziemną dojechał na Times Square. Tam wyłonił się na światło dzienne mrugając i mocno ściskając torbę, ponieważ go ostrzegano przed wszelkiego rodzaju złodziejaszkami i przed innymi szumowinami miasta.

Oniemiały z podziwu rozglądał się dokoła.

Pierwszą rzeczą, która rzuciła mu się w oczy, był niekończący się szereg kin z dwu-, trój- i czterowymiarowymi atrakcjami zależnie od życzenia. I to z jakimi atrakcjami!

Na prawo agresywna markiza ogłaszała: ŻĄDZA NA WENUS! FILM DOKUMENTALNY O PRAKTYKACH SEKSUALNYCH WŚRÓD MIESZKAŃCÓW ZIELONEGO PIEKŁA! SZOKUJĄCE! ODKRYWCZE!

Miał ochotę tam wejść. Ale po drugiej stronie ulicy był film wojenny. Reklama głosiła: ŚMIAŁKOWIE SŁONECZ-

NI! BOHATEROM KOSMICZNYCH WOJSK DESANTOWYCH! A poniżej widniała scena zatytułowana: TARZAN W WALCE Z WAMPIRAMI SATURNA!

Tarzan, jak sobie Simon przypominał z lektur, był starożytnym pogańskim bohaterem z Ziemi.

Wszystko było takie wspaniałe, ale przecież było znacznie więcej. Simon zwrócił uwagę na małe otwarte sklepiki, gdzie można było kupić żywność ze wszystkich światów, a w szczególności takie typowo ziemskie potrawy jak pizza, hot dogi, spaghetti i farfelki. A były specjalne magazyny, w których sprzedawano odzież z demobilu z ziemskich flot kosmicznych i inne sklepy, z samymi napojami.

Simon nie wiedział, od czego zacząć. W pewnym momencie usłyszał za sobą staccato ognia karabinowego i obrócił się błyskawicznie.

Ale była to tylko strzelnica, długie, wąskie, jaskrawo pomalowane pomieszczenie z kontuarem sięgającym pasa. Właściciel, śniady, tłusty facet z myszką na brodzie, siedział na wysokim stołku i uśmiechał się do Simona.

– Spróbuje pan szczęścia?

Simon wszedł i stwierdził, że cele stanowiły cztery skąpo odziane dziewczyny siedzące na końcu galeryjki na posiekanych kulami krzesłach. Miały na czołach i nad piersiami wymalowane maleńkie środki tarcz.

– Czy tu się strzela prawdziwymi nabojami? – zapytał Simon.

– Oczywiście! – odparł właściciel. – Ziemskie przepisy zabraniają fałszywych ogłoszeń. Prawdziwe naboje i prawdziwe dziewczyny! Wejdź i zastrzel sobie którąś.

Jedna z dziewczyn zawołała:

– Chodź no, bracie, założę się, że nie trafisz?

Inna wrzasnęła:

– On by nawet nie wcelował w bok statku kosmicznego!

– Owszem, wcelowałby! – krzyknęła jeszcze jedna. Chodź no tu, kochasiu.

Simon przetarł oczy i starał się nie robić wrażenia zdziwionego. Ostatecznie znajduje się na Ziemi, gdzie wszystko jest możliwe, jeśli się tylko opłaca.

– Czy macie i takie strzelnice, gdzie się strzela do mężczyzn?

– Oczywiście – odparł właściciel. – Ale mam nadzieję, że nie jesteś zboczony, co?

– Jasne, że nie!

– Czy jesteś nieziemcem?

– Tak. A skąd wiesz?

– Ubranie. Zawsze poznaję po ubraniu. – Tłuścioch zamknął oczy i zaśpiewał: – Wejdź, wejdź i zabij dziewczynę! Zrzuć bagaż zahamowań! Naciśnij spust, a poczujesz, jak ulatuje z ciebie nagromadzona złość! To lepsze niż masaż! Lepsze niż się upić! Wejdź, wejdź i zabij sobie kobietę!

Simon zapytał jedną z dziewczyn:

– A jak cię zabiją, to zostaniesz zabita?

– Nie bądź głupi – odparła dziewczyna.

– Ale szok...

Wzruszyła ramionami.

– Mogłam trafić gorzej.

Simon miał właśnie spytać, w jaki sposób mogła trafić gorzej, kiedy właściciel wychylił się nad kontuarem mówiąc coś poufnym szeptem.

– Popatrz no, koleś. Popatrz, co ja tu mam.

Simon spojrzał przez kontuar i zobaczył pistolet automatyczny.

– Za śmiesznie niską cenę – powiedział właściciel – pozwolę ci się pobawić tym karabinem maszynowym. Możesz polecieć po całym tym pomieszczeniu, postrzelać meble, porozwalać ściany. Kaliber 45, a kopie jak muł. Jak sobie z tej spluwy postrzelasz, to przynajmniej poczujesz, że sobie postrzelałeś.

– Mnie to nie interesuje – odparł Simon stanowczo.

– Mam też parę granatów – zaproponował właściciel. – Rozpryskowe oczywiście. Mógłbyś naprawdę...

– Nie!

– Za pewną cenę – powiedział właściciel – mógłbyś strzelić i do mnie, gdybyś miał takie upodobania, chociaż nie wyglądasz na to. No i co powiesz?

– Nie! Nigdy! To okropne!

Właściciel spojrzał na niego bez wyrazu. – Dziś nie w humorze? Okay. Jesteśmy otwarci dwadzieścia cztery godziny na dobę. Do zobaczenia, bracie.

– Nigdy! – odparł Simon odchodząc.

– Czekam na ciebie, kochasiu! – zawołała za nim jedna z kobiet.

Podszedł do stoiska z napojami i zamówił małą szklaneczkę coca-coli. Stwierdził, że trzęsą mu się ręce. Uspokoił je z trudem i wypił zamówiony napój. Uświadomił sobie, że nie powinien oceniać Ziemi według własnych standardów. Jeżeli ludzie na Ziemi lubią się nawzajem zabijać, a ofiarom to nie przeszkadza, to co to kogo może obchodzić?

A może jednak powinno?

Rozważał właśnie ten problem, kiedy usłyszał koło siebie:

– Hej, chłopcze!

– Simon obrócił się i zobaczył spoglądającego ukradkiem, zasuszonego człowieczka w za dużym płaszczu.

– Nietutejszy? – zagadnął człowieczek.

– Owszem – odparł Simon. – Skąd pan wie?

– Buty. Zawsze patrzę na buty. Jak ci się podoba nasz mały światek?

– Jest dziwny – powiedział Simon ostrożnie. – To znaczy nie przypuszczałem, że...

– Oczywiście – rzekł mały człowieczek. – Jesteś idealistą. Wystarczyło mi jedno spojrzenie na twoją uczciwą twarz, przyjacielu. Przyjechałeś na Ziemię w określonym celu. Chyba się nie mylę, prawda?

Simon skinął głową. Mały człowieczek oświadczył:

– I nawet wiem, w jakim. Poszukujesz wojny, która uczyni świat bezpiecznym i trzeba powiedzieć, że dobrze trafiłeś. Mamy sześć poważnych wojen, toczących się jednocześnie non-stop. Zdobycie w którejś z nich jakiejś poważniejszej pozycji z reguły nie wymaga czekania.

– Przykro mi, ale...

– Właśnie w tej chwili – ciągnął nieustępliwie mężczyzna – wyzyskiwani robotnicy Peru podjęli rozpaczliwą walkę przeciwko skorumpowanej, upadającej monarchii. Jeden człowiek mógłby przesądzić o losach walki! Tym człowiekiem mógłbyś być ty, przyjacielu! Ty mógłbyś zapewnić zwycięstwo socjalistom.

Obserwując pilnie wyraz twarzy Simona mały człowieczek dodał szybko:

– Chociaż można wiele dobrego powiedzieć i na rzecz oświeconej arystokracji. Stary mądry monarcha Peru (król-filozof w najgłębszym, platońskim tego słowa znaczeniu) pilnie potrzebuje twojej pomocy. Jego skromny sztab, składający się z uczonych, humanistów, Gwardii Szwajcarskiej, szlachty i podległego chłopstwa znajduje się pod silnym naciskiem socjalistycznego spisku, popieranego przez zagranicę. Jest to moment, kiedy jednostka...

– To mnie nie interesuje – odparł Simon.

– W Chinach anarchiści...

– Nie.

– A może wolisz komunistów w Walii? Albo kapitalistów w Japonii? Chyba że są ci bliższe takie ruchy jak feministyczny, prohibicjonizm, monetaryzm i tym podobne, to moglibyśmy ci pewnie załatwić...

– Nie chcę żadnej wojny – powiedział Simon.

– Czy można ci się dziwić? – powiedział mały człowieczek gwałtownie skinąwszy głową. – Wojna to piekło. Wobec tego przyszedłeś na Ziemię po miłość.

– Skąd wiesz? – zapytał Simon.

Mały człowieczek uśmiechnął się skromnie.

– Miłość i wojna – odparł – to dwa główne artykuły Ziemi. Od zarania dziejów mamy w tej dziedzinie rekordowe zbiory.

– A czy o miłość jest bardzo trudno? – zapytał Simon.

– Wystarczy przejść dwie przecznice w stronę przedmieścia – wyjaśnił żwawo mały człowieczek – i nie sposób się na nią nie natknąć. Powiesz, że Joe cię przysyła.

– Ależ to niemożliwe! Nie można przecież tak po prostu sobie iść i...

– A co ty wiesz o miłości – rzekł Joe.

– Nic.

– No właśnie, a my jesteśmy ekspertami w tej dziedzinie.

– Wiem tyle, ile było w książce – powiedział Simon. – Namiętność pod szalonym księżycem...

– Jasne, i ciała splecione na ciemnej plaży, opętane namiętnością i ogłuszone hukiem fal.

– Czytałeś tę książkę?

– To standardowa broszura reklamowa. No, ale muszę już iść. Dwie przecznice. Z pewnością znajdziesz.

I z miłym skinieniem Joe wmieszał się w tłum.

Simon skończył coca-colę i ruszył wolno Broadwayem; myśl pobrużdżiła mu czoło, ale był zdecydowany nie formułować przedwczesnych sądów.

Kiedy doszedł do ulicy czterdziestej czwartej, zobaczył płonący jasno, potężny neon, który głosił: MIŁOŚĆ, SPÓŁKA AKCYJNA. Mniejszy neon zawiadamiał: *Czynne 24 godziny na dobę*. A pod spodem: *Na piętrze*.

Simon spochmurniał – przyszło mu do głowy straszliwe podejrzenie. Mimo to wszedł po schodach i znalazł się w małej, urządzonej ze smakiem poczekalni. Stamtąd posłano go długim korytarzem do jednego z numerowanych pokojów. Na widok Simona zza okazałego biurka podniósł się przystojny, siwy mężczyzna i uścisnął mu dłoń pytając:

– Co tam słychać na Kazandze?

– Skąd pan wie, że ja jestem z Kazangi?

– Koszula. Zawsze patrzę na koszule. Nazywam się Tate i jestem tu po to, żeby pana obsłużyć, jak potrafię najlepiej. Pana godność...

– Simon, Alfred Simon.

– Proszę siadać, panie Simon. Papierosa? A może drinka? Nie pożałuje pan, że pan do nas przyszedł. Jesteśmy najstarszą na rynku firmą zajmującą się dostarczaniem miłości, znacznie większą niż nasza główna konkurencja ŻĄDZA Z NIEOGRANICZONĄ ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ. Co więcej, nasze ceny są znacznie przystępniejsze, a i towar lepszy. Czy można spytać, w jaki sposób pan się o nas dowiedział? Widział pan naszą całostronicową reklamę w „Timesie" czy może...

– Przysłał mnie Joe – odparł Simon.

– Ach, on jest rzeczywiście aktywny – powiedział pan Tate figlarnie potrząsając głową. – No to cóż, nie ma co zwlekać. Odbył pan długą drogę w poszukiwaniu miłości i dostanie ją pan.

Sięgnął do guzika na biurku, ale Simon go powstrzymał.

– Nie chciałbym być ordynarny ani nic w tym sensie – powiedział – ale...

– Tak? – zapytał pan Tate z zachęcającym uśmiechem.

– Ja z tego nic nie rozumiem – wyrzucił z siebie Simon okrywając się głębokim rumieńcem, a na jego czole wystąpił perlisty pot. – Ja chyba trafiłem w niewłaściwe miejsce. Nie przyjechałem taki kawał drogi na Ziemię tylko po to, żeby... Mam na myśli, że chyba nie handlujecie m i ł o ś c i ą ? Nie m i ł o ś c i ą. To przecież nie może być prawdziwa m i ł o ś ć !

– Ależ oczywiście, że może! – odparł pan Tate ze zdumienia unosząc się w fotelu. – Na tym właśnie cała rzecz polega. Seks może kupić każdy. Mój Boże, to najtańsza rzecz w całym wszechświecie, zaraz po ludzkim życiu. Ale miłość jest czymś rzadkim, czymś wyjątkowym, m i ł o ś ć można znaleźć tylko na Ziemi. Czytał pan naszą broszurę?

– Ciała na ciemnej plaży? – zapytał Simon.

– Tak, właśnie te. Jestem jej autorem. Przekazuje coś z tego uczucia, prawda? A nie da go panu każdy, panie Simon. Tylko ktoś, kto kocha, może pana wprawić w taki nastrój.

Simon powiedział z powątpiewaniem:

– Ale to chyba nie jest autentyczna miłość, prawda?

– Oczywiście, że autentyczna! Gdybyśmy sprzedawali miłość udawaną, jako taką byśmy ją reklamowali. Przepisy dotyczące reklamy są na Ziemi bardzo surowe, zapewniam pana. Można handlować dosłownie wszystkim, ale trzeba nazywać rzeczy po imieniu. To sprawa etyki, panie Simon! – Tate zaczerpnął tchu i podjął już spokojniej. – Nie, sir, nie pomylił się pan. Nasz towar nie jest żadną namiastką. To dokładnie to samo uczucie, o którym od tysięcy lat bredzą poeci i pisarze. Dzięki cudom nowoczesnej nauki możemy to uczucie dostarczyć na zawołanie każdemu, atrakcyjnie podane i po śmiesznie niskiej cenie.

Simon powiedział:

– Ja sobie wyobrażałem, że to będzie coś bardziej spontanicznego.

– Spontaniczność ma, owszem, swoje uroki – przyznał pan Tate. – Prowadzimy nawet w naszych laboratoriach tego typu badania. Niech mi pan wierzy, nie ma nic takiego, czego by nauka nie wyprodukowała, jeśli tylko istnieje zapotrzebowanie.

– Mnie się to wszystko nie podoba – powiedział Simon podnosząc się z krzesła. – Chyba pójdę na film.

– Chwileczkę! – wykrzyknął pan Tate. – Pan sobie pewnie wyobraża, że chcemy pana wyprowadzić w pole. Że zapoznamy pana z dziewczyną, która będzie się zachowywała tak, jakby pana kochała, ale która w rzeczywistości wcale nie będzie pana kochała. Czy mam rację?

– Chyba tak – przyznał Simon.

– Nic podobnego! Przede wszystkim byłoby to za kosztowne. A poza tym dziewczyny by się za szybko zużywały. Zresztą byłoby to dla nich niezdrowe z punktu widzenia psychologicznego – żyć w kłamstwie tak głębokim i na taką skalę.

– No więc jak to osiągacie?

– Wykorzystujemy naukę i znajomość ludzkiej natury.

Dla Simona zabrzmiało to jak oszustwo. Ruszył w stronę drzwi.

– Niech pan mi powie jedną rzecz – rzekł pan Tate. – Wygląda pan na bystrego młodego człowieka. Czy pan by nie potrafił odróżnić prawdziwej miłości od fałszerstwa?

– Z pewnością bym potrafił.

– I to jest właśnie pańska gwarancja! Musi pan być zadowolony, w przeciwnym razie nie zapłaci pan nam ani centa.

– Zastanowię się – odparł Simon.

– Po co zwlekać? Najwybitniejsi psycholodzy twierdzą, że autentyczna miłość wzmacnia, robi dobrze na zdrowy rozsądek, stanowi balsam na chorą duszę, przywraca równowagę hormonalną, poprawia cerę. W miłości, której my dostarczamy, znajdzie pan wszystko: głębokie i trwałe uczucie, niepohamowaną namiętność, bezwzględną wierność, niemal mistyczną fascynację zarówno wadami jak i zaletami partnera, wzruszające pragnienie zaspokojenia, a poza tym, dodatkowy plus, który może zapewnić jedynie MIŁOŚĆ, SPÓŁKA AKCYJNA: ową spontaniczną pierwszą iskrę, ten oślepiający moment zakochania się od pierwszego wejrzenia!

Pan Tate nacisnął guzik. Simon skrzywił się, niezdecydowany. Otworzyły się drzwi, weszła dziewczyna i – Simon przestał myśleć.

Była wysoka i szczupła, włosy miała ciemne z rudawym połyskiem. Simon nie byłby w stanie powiedzieć nic na temat jej twarzy, poza tym, że wycisnęła mu łzy z oczu. A gdybyście go spytali o jej figurę, mógłby zabić.

– Panno Penny Bright – powiedział Tate – zechce pani poznać: pan Alfred Simon.

Dziewczyna chciała coś powiedzieć, ale nie mogła dobyć słów. Simona zatkało w równym stopniu. Spojrzał na nią i już w i e d z i a ł. Przestało się cokolwiek liczyć. Do głębi serca wiedział, że jest prawdziwie i szczerze kochany.

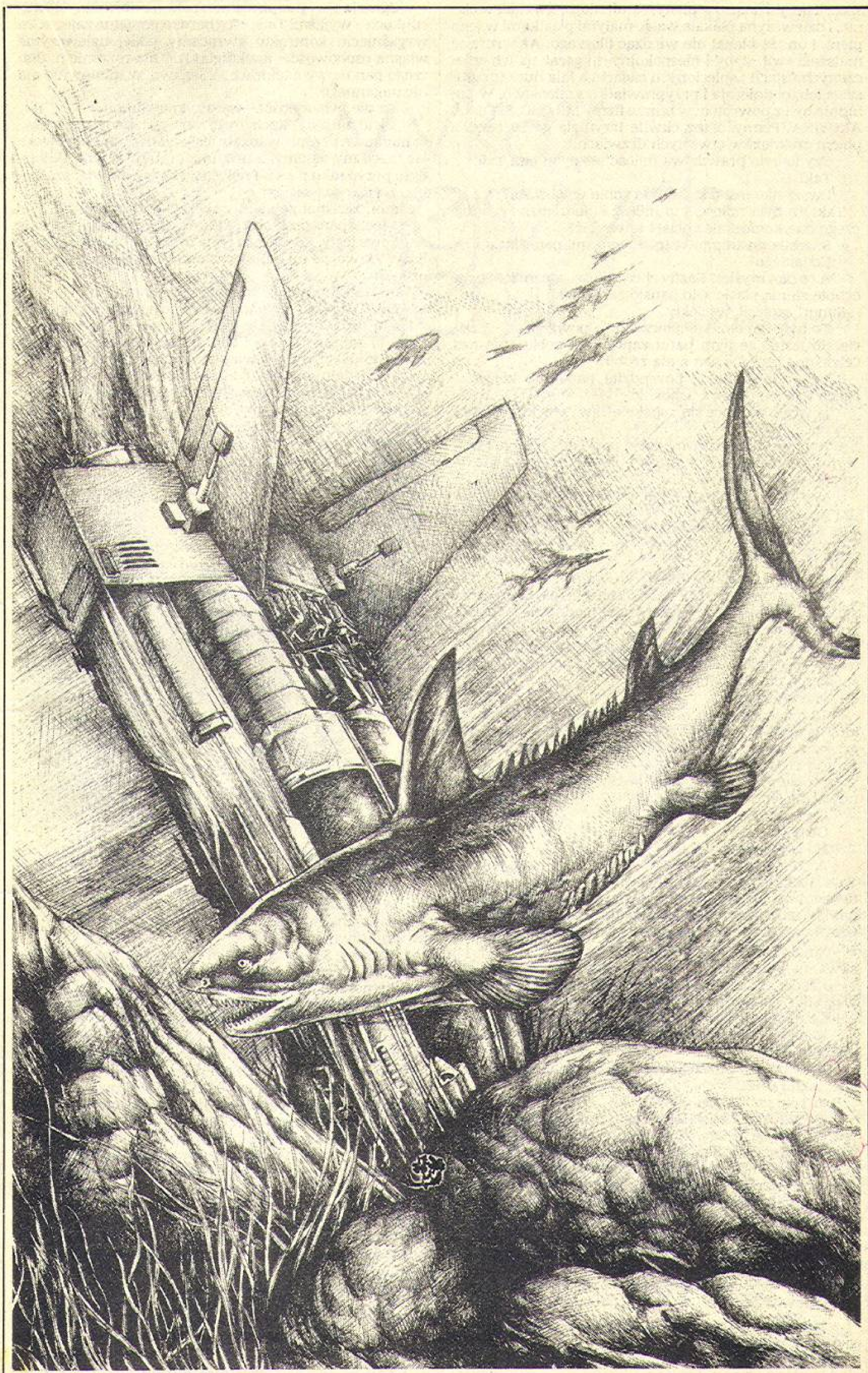
Wyszli natychmiast trzymając się za ręce. Odrzutowiec zawiózł ich do małego, białego domku położonego w sosnowym zagajniku, z widokiem na morze, i tam rozmawiali i śmiali się, i kochali, i później Simon widział swoją ukochaną spowitą w płomień zachodzącego słońca jak boginię ognia. W błękicie przedświtu patrzyła na niego oczyma wielkimi i ciemnymi, a jej znane już ciało było od nowa tajemnicze. Wze-

Robert SHECKLEY

Urodził się w roku 1928. Pochodzi z Nowego Jorku, z którym jest związany i w którym umieścił akcję wielu ze swoich opowiadań. Debiutował w roku 1952, najwięcej publikował w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Obecnie pisze bardzo rzadko.

Sheckley jest mistrzem krótkiego opowiadania. [illegible] jak na gust przeciętnego amerykańskiego fana, był zawsze bardziej ceniony w Europie niż w USA i [illegible] jedyną nagrodą, jaką otrzymał, był Jubilee (1973) [illegible] wydawców science fiction.

Zamieszczone tu opowiadania są dobrym przykładem stylu Sheckleya: krótkie, dowcipne, pisane jak humoreski, poruszają tematy bardzo ważne i poważne, z których kto inny zrobiłby solenny traktat powieściowy. [illegible]



Tomasz Tomaszewski

szedł księżyc, jasny i szalony, zamieniając ich ciała w cienie, i dziewczyna płakała waląc małymi piąstkami w jego pierś, i on też płakał nie wiedząc dlaczego. Aż wreszcie nadszedł świt, słaby i niespokojny, migocąc na ich spieczonych ustach i splecionych ciałach, a fala hucząc ogłuszała ich, podniecała i przyprawiała o szaleństwo. W południe byli z powrotem w biurze firmy MIŁOŚĆ, SPÓŁKA AKCYJNA. Penny przez chwilę trzymała go za rękę, a potem zniknęła w otwartych drzwiach.

– Czy to była prawdziwa miłość? – spytał pan Tate.

– Tak!

– I wszystko jest tak, jak pan sobie wyobrażał?

– Tak! To była miłość, i to miłość autentyczna! Ale dlaczego ona koniecznie chciała tu wrócić?

– Sugestia posthipnotyczna – wyjaśnił pan Tate.

– Co takiego?

– A co pan myślał? Każdy chce miłości, ale mało kto ma ochotę za nią płacić. Oto pański rachunek.

Simon zapłacił, wściekły.

– To było zupełnie niepotrzebne – powiedział. – Przecież to jasne, że bym panu zapłacił za połączenie nas. Gdzie ona jest? Co pan z nią zrobił?

– Tylko spokojnie – powiedział pan Tate kojąco. – Niech pan się postara uspokoić.

– Ja wcale nie chcę się uspokoić! – wykrzyknął Simon. – Ja chcę Penny!

– A, to jest niemożliwe – rzekł pan Tate, z ledwie uchwytną lodowatą nutą w głosie. – Niech pan łaskawie nie robi z siebie widowiska!

– Czy pan chce wyciągnąć ode mnie więcej pieniedzy?! – wrzasnął Simon. – W porządku, zapłacę. Ile będzie mnie kosztowało wydarcie jej z pańskich szponów – Simon wyszarpnął portfel z kieszeni i walnął nim o biurko.

Pan Tate potrącił portfel sztywnym palcem.

– Proszę to schować. Jesteśmy starą firmą, która cieszy się dobrą opinią. Jeżeli jeszcze raz podniesie pan głos, będę zmuszony pana wyrzucić.

Simon z wysiłkiem nakazał sobie spokój, schował portfel do kieszeni i usiadł. Wziął głęboki oddech i bardzo spokojnie powiedział:

– Przepraszam.

– To już lepiej – pochwalił go pan Tate. – Nie lubię, jak ktoś na mnie krzyczy. Ale jak pan się będzie zachowywał grzecznie, to i ja będę grzeczny. No więc na czym polega problem?

– Problem? – Simon znów zaczął podnosić głos. Opanował się jednak i powiedział:

– Ona mnie kocha.

– Oczywiście.

– No to jak pan może nas rozdzielać?

– A co ma jedno z drugim wspólnego? – zapytał pan Tate. – Miłość jest cudownym przerywnikiem, relaksem, dobrym na umysł, na charakter, na równowagę hormonalną i na cerę. Ale przecież nikomu nie zależy na tym, żeby ta miłość t r w a ł a, zgodzi się pan chyba ze mną?

– Mnie zależy – odparł Simon. – Ta miłość była wyjątkowa, niepowtarzalna...

– Każda jest taka – rzekł pan Tate. – Ale jak pan wie, wszystkie powstają w ten sam sposób.

– Co takiego?

– Wie pan zapewne coś niecoś na temat techniki produkcji miłości.

– Nie – odpowiedział Simon. – Ja myślałem, że to uczucie... naturalne...

Pan Tate potrząsnął głową.

– Od doboru naturalnego odeszliśmy już całe wieki temu, wkrótce po Rewolucji Technicznej. Był zbyt powolny. I zupełnie nieopłacalny z handlowego punktu widzenia. Po co się w to bawić, skoro możemy wyprodukować dowolne uczucie w drodze odpowiedniego warunkowania i pobudzania odpowiednich ośrodków mózgowych? A rezultat? – zakochana w panu po uszy Penny! Pański pociąg do jej typu fizycznego, który uwzględniliśmy, dokonał reszty. Z reguły dodajemy jeszcze do tego ciemną plażę, szalony księżyc i blady świt...

– To znaczy, że ona mogłaby pokochać każdego... – rzekł powoli Simon.

– Moglibyśmy spowodować, że pokochałaby każdego – skorygował pan Tate.

– O Boże, a w jaki sposób ona się dostała do tej strasznej pracy? – zapytał Simon.

– Zgłosiła się i podpisała kontrakt na normalnych warunkach – wyjaśnił Tate. – To bardzo popłatne zajęcie. Po wygaśnięciu kontraktu zwracamy takiej dziewczynie własną osobowość – nietkniętą! Ale nie rozumiem, dlaczego pan nazywa tę pracę straszliwą. W miłości nie ma nic nagannego.

– To nie była miłość! – wykrzyknął Simon.

– Jak to nie była? Rzetelny towar! – Bezstronne placówki naukowe przeprowadzały testy jakościowe, porównując to, co my dajemy, z produktem naturalnym. W każdym przypadku n a s z a miłość wykazywała większą głębię, żarliwość i zasięg.

Simon zacisnął powieki, otworzył je i powiedział:

– Niech pan posłucha. Mnie nie interesują pańskie naukowe testy. Kocham ją i ona mnie kocha, i tylko to się liczy. Pozwólcie mi z nią porozmawiać! Ja się chcę z nią ożenić!

Pan Tate z niesmakiem zmarszczył nos.

– Do licha, człowieku, przecież nie będzie się pan żenił z t a k ą dziewczyną! Ale jeśli panu zależy na małżeństwie, to zajmujemy się i takimi sprawami. Mogę panu załatwić idylliczny i prawie spontaniczny związek z dziewicą z oficjalnym certyfikatem dziewictwa.

– Nie! Ja kocham Penny! Pozwólcie mi przynajmniej z nią porozmawiać!



Piotr Łopałka

– Ależ to jest niemożliwe – odparł pan Tate.

– Dlaczego?

Pan Tate nacisnął guzik.

– A jak pan myśli? Skasowaliśmy całkowicie poprzednie uwarunkowanie. Penny jest w tej chwili zakochana w kim innym.

I wreszcie Simon zrozumiał. Dotarło do niego, że właśnie w tej chwili Penny patrzy na kogoś innego z tą samą namiętnością, której on dopiero co zaznał, odczuwając dla innego mężczyzny tę całkowitą i bezbrzeżną miłość, której tak wielką przewagę nad niemodnym i handlowo nieopłacalnym doborem naturalnym potwierdziły obiektywne placówki naukowe i że na tej samej ciemnej plaży, wspomnianej w broszurze reklamowej...

Rzucił się Tate'owi do gardła. Dwaj pracownicy, którzy chwilę wcześniej weszli do biura, złapali go i odprowadzili do drzwi.

– Niech pan pamięta, że to w żadnym stopniu nie umniejsza pańskich przeżyć – zawołał za nim pan Tate.

Ku swojej męce Simon wiedział, że Tate mówi prawdę.

Znalazł się na ulicy.

Początkowo chciał uciekać z Ziemi, gdzie niepraktyczne towary przekraczały możliwości normalnego człowieka. Szedł bardzo szybko, a obok jego Penny, z twarzą opromienioną miłością do niego, do niego, do ciebie, do ciebie.

I oczywiście trafił do strzelnicy.

– Spróbuje pan szczęścia? – zapytał właściciel.

– Ustaw no mi je – odparł Alfred Simon.

Przełożyła

Zofia Uhrynowska-Hanasz

Robert Sheckley

Wykaz ważniejszych epidemii

(Plague Circuit)

Niedoświadczeni podróżni usiłują zwykle zmaterializować się w miejscu idealnie ukrytym. Wyskakują ze schowków na miotły, spiżarni, budek telefonicznych, czy innych miejsc, zależnie od sytuacji, w rozpaczliwej nadziei, że przejście wyszło im gładko. Naturalnie takie zachowanie zwraca uwagę – więc mają dokładnie to, czego chcieli uniknąć. Ale dla podróżnika tak doświadczonego jak ja, sprawa była prosta. Moim celem był Nowy Jork w sierpniu 1988 roku. Wybrałem godzinę wieczornego szczytu i pojawiłem się w samym środku tłumu na Times Square.

Oczywiście, że to wymaga pewnej zręczności. Nie można się tak po prostu pojawić. Natychmiast po zmaterializowaniu się trzeba ruszyć – głowa pochylona, ramiona zgarbione, niewidzący wzrok, w ten sposób nikt człowieka nie zauważy.

Ja to wykonałem idealnie. Z teczką w ręku pospieszyłem do metra. Wysiadłem na Sheridan Square i poszedłem na piechotę do Washington Square Park.

Miejsce, które sobie wybrałem, znajdowało się w pobliżu dużej cysterny, niedaleko łuku tryumfalnego. Postawiłem walizkę i energicznie klasnąłem w ręce. Kilka osób spojrzało w moją stronę.

– Chodźcie, przyjaciele – zaintonowałem – chodźcie no tutaj i wy posłuchajcie o szansie, jaka się trafia raz na całe życie. Nie wstydźcie się, ludzie, podejdźcie, posłuchajcie dobrej nowiny.

Zaczął formować się niewielki tłumek. Jakiś młody człowiek zawołał:

– Hej, co tam sprzedajesz?

Uśmiechnąłem się do niego, ale nie odpowiedziałem. Nie chciałem rozpoczynać sprzedaży, dopóki nie będę miał odpowiedniego audytorium.

Nawijałem więc dalej:

– Podejdźcie bliżej, przyjaciele, chodźcie tu do mnie i posłuchajcie dobrej nowiny. To jest to, na co czekaliście od dawna, przyjaciele. Wielka szansa! Ostatnia szansa! Nie przepuśćcie jej!

Wkrótce zebrało się około trzydziestu osób. Uznałem, że to wystarczy, jak na początek.

– Dobrzy obywatele Nowego Jorku – powiedziałem. – Chcę wam powiedzieć o dziwnej chorobie, która nagle wdarła się w wasze życie, o epidemii zwanej także Niebieską Zarazą. Musicie wszyscy zdawać sobie już teraz sprawę, że nie ma sposobu na tego masowego mordercę. Niewątpliwie lekarze zapewniają was, że badania są w toku, że lada chwila należy oczekiwać odkrycia, że niezawodnie wkrótce zostanie opracowana metoda leczenia. Faktem jednak jest, że jak do tej pory nie wynaleziono żadnej surowicy, przeciwciał, ani żadnego innego środka na Niebieską Zarazę. Bo niby jak? Skoro nie odkryli przyczyn choroby, to jak mogli wynaleźć lekarstwo. Jedyne, czym do tej pory dysponują, to nieskuteczne i wzajemnie sprzeczne teorie. Z powodu szybkiego rozprzestrzeniania się choroby, jej znacznej zaraźliwości i nieznanych właściwości należy się liczyć z tym, że lekarze nie zdążą pomóc tym, którzy już zostali chorobą dotknięci. Przygotujcie się na to, że będzie tak, jak w przypadku wszystkich innych epidemii znanych w zapisanej historii świata, a mianowicie, że pomimo wszelkich wysiłków, zmierzających do wynalezienia metody leczenia i opanowania zarazy, choroba będzie szalała niepowstrzymana, dopóki sama się nie wyczerpie lub nie zabraknie jej ofiar.

Ktoś w tłumie roześmiał się, inni się uśmiechali. Położyłem to na karb histerii i ciągnąłem dalej:

– Cóż więc w tej sytuacji pozostaje do zrobienia? Czy macie pozostać biernymi ofiarami epidemii, omamionymi przez tych, którzy nie odkryją przed wami prawdziwego stanu beznadziejności? Czy może zgodzicie się spróbować czegoś nowego, czegoś, co nie jest opatrzone pieczątką zdyskredytowanych władz polityczno-medycznych?

Teraz już miałem wokół siebie tłumek w liczbie około pięćdziesięciu osób. Wkrótce zakończyłem – sięgnąłem po puentę:

– Wasi lekarze nie są w stanie uchronić was przed epidemią, a ja jestem.

Szybko otworzyłem walizeczkę i wyjąłem garść dużych żółtych pastylek.

– Oto lek, który zwalczy Niebieską Zarazę, moi przyjaciele. Nie ma czasu na wyjaśnianie ani skąd go zdobyłem, ani jak działa. Nie będę się też wdawał w naukowy bełkot. Zamiast tego dostarczę wam konkretnego dowodu.

Tłum się uciszył i zaczął słuchać z uwagą. Wiedziałem, że ich mam.

– Jako dowód – krzyknąłem – przyprowadźcie mi kogoś chorego. Przyprowadźcie mi dziesięć takich osób! Jeżeli zostało w nich jeszcze choć trochę życia, podejmuję się uzdrowić ich w przeciągu dziesięciu sekund od połknięcia tej pastylki! Przyprowadźcie mi ich, przyjaciele! Wyleczę każdego mężczyznę, kobietę i dziecko cierpiące na Niebieską Zarazę!

Jeszcze przez chwilę trwało milczenie, a potem w tłumie rozległy się śmiechy i oklaski. W zdumieniu słuchałem komentarzy.

– Jakiś studencki kawał?

– Trochę za stary jak na hippisa.

– To na pewno jakiś numer dla telewizji.

– Hej, panie, co to za numer?

Byłem zbyt wstrząśnięty, żeby próbować jakiejkolwiek odpowiedzi. Stałem po prostu z walizką u stóp i kapsułkami w ręku. Nie udało mi się sprzedać ani jednej w tym dotkniętym zarazą mieście! Nie mogłem nawet rozdać mojego leku. Coś nieprawdopodobnego. Tłum rozproszył się, pozostała jedna dziewczyna.

– Co to za numer? – spytała.

– Numer?

– To pewnie jakiś trik reklamowy, prawda? Otwiera pan restaurację czy jakiś butik? Niech mi pan coś powie na ten temat. Może zorganizuję jakąś obsługę prasową.

Włożyłem do kieszeni garść kapsułek. Dziewczyna powiedziała:

– Pracuję w dzienniku Village. Specjalizujemy się w numerach niesamowitych. Niech pan powie o tym coś więcej.

Była zupełnie niebrzydka. Oceniałem ją na jakieś dwadzieścia parę lat. Szczupła ciemna blondynka o piwnych oczach. W jej tupecie było coś wzruszającego.

– To nie jest żaden kawał – wyjaśniłem. – Jeżeli wy jesteście na tyle głupi, że nie chcecie zastosować żadnych środków ostrożności przeciwko epidemii...

– Jakiej epidemii? – spytała.

– Przeciwko Niebieskiej Zarazie. Epidemii, która ogarnęła cały Nowy Jork.

– Wiesz, co ci powiem, bracie, w Nowym Jorku nie ma żadnej zarazy – niebieskiej, czarnej, żółtej ani żadnej innej. Powiedz mi wreszcie naprawdę, co to za kawał.

– Żadnej epidemii? – spytałem. – Jest pani pewna?

– Najzupełniej.

– Może to ukrywają przed ludźmi – powiedziałem. – Chociaż byłoby to trudne. Pięć do dziesięciu tysięcy zgonów dziennie trudno utrzymać w tajemnicy przed prasą... Mamy teraz sierpień 1988 roku, prawda?

– Tak. Ojej, ale pan jakoś tak dziwnie zbladł. Czy pan się dobrze czuje?

– Bardzo dobrze – odparłem, chociaż była to nieprawda.

– Może niech pan siądzie.

Podprowadziła mnie do ławki w parku. Nagle przyszło mi do głowy, że może pomyliłem lata. Że może firma miała na myśli rok 1990 albo 1998. Jeśli rzeczywiście tak było, to wywalili straszne pieniądze na moje podróże w czasie i najprawdopodobniej stracę licencję komiwojażera za próbę sprzedaży leków na terenie nie objętym epidemią.

Wyjąłem portfel, a z niego cienką broszurkę zatytułowaną „Wykaz ważniejszych epidemii". Ta ulotka-broszurka zawiera daty wszystkich wielkich epidemii, typy epidemii, śmiertelność w procentach i inne dane. Z wielką ulgą stwierdziłem, że jestem we właściwym miejscu i we właściwym czasie. Nowy Jork, sierpień 1988 rok. Nowy Jork w sierpniu 1988 roku miał być poważnie dotknięty Niebieską Zarazą.

– „Wykaz ważniejszych epidemii"? – spytała czytając mi przez ramię. – A co to takiego?

Powinienem był się od niej odsunąć. A nawet zdematerializować. W naszej firmie obowiązują bardzo ścisłe przepisy zabraniające komiwojażerom udzielania jakichkolwiek informacji, poza tymi, których uczą nas udzielać na kursach. Ale teraz było mi wszystko jedno. Stwierdziłem nagle, że mam ochotę porozmawiać z tą ładną, jasnowłosą dziewczyną w osobliwym stroju, siedzącą ze mną w słońcu, w mieście skazanym.

– „Wykaz epidemii" – powiedziałem – zawiera wykaz dat i miejsc, w których występowały lub będą występowały największe epidemie. Na przykład wielka zaraza w Konstantynopolu w roku 1346 albo zaraza londyńska z roku 1664.

– Domyślam się, że był pan tam?

– Tak. Zostałem tam wysłany służbowo przez moją instytucję, Medyczną Służbę Czsau. Między innymi mamy licencję na sprzedaż leków na obszarach objętych epidemią.

– To wobec tego pan pochodzi z jakiegoś miejsca w przyszłości, gdzie znają podróże w czasie?

– Tak.

– To cudowne – powiedziała. – Pan objeżdża tereny objęte epidemiami sprzedając pigułki. Prawdę mówiąc nie wygląda pan na kogoś, kto by zarabiał na nieszczęściu innych.

– Nie znała nawet połowy prawdy i nie miałem najmniejszego zamiaru jej wtajemniczać.

– To praca niezbędna – powiedziałem.

– Tak czy siak przeoczył pan fakt, że tu nie ma żadnej epidemii.

– Musiała zaistnieć jakaś pomyłka. Mam specjalnego człowieka, który ma za zadanie zjawiać się przede mną i przeprowadzać rozpoznanie terenu.

– Może zabłądził w jakimś innym strumieniu czasu czy coś w tym rodzaju?

Najwyraźniej świetnie się bawiła. Dla mnie cała ta sytuacja była koszmarna. Ta dziewczyna, jeżeli nie będzie należała do grona nielicznych szczęściarzy, nie przeżyje tej epidemii. Ale jednocześnie rozmowę z nią uznałem za fascynującą. Po raz pierwszy w życiu miałem okazję rozmawiać z ofiarą zarazy.

– Miło było z panem porozmawiać – powiedziała. – Mówiąc między nami, nie wiem, czy mogę wykorzystać tę naszą rozmowę.

– Wolałbym, żeby pani tego nie robiła. – Wyjąłem z kieszeni garść kapsułek. – Proszę, niech pani to weźmie.

– Ale naprawdę...

– Mówię poważnie. To dla pani i pani rodziny. Proszę je zatrzymać. Przydadzą się, zobaczy pani.

– No już dobrze, dziękuję bardzo. Miłych podróży w czasie.

Patrzyłem, jak odchodzi. Kiedy skręcała za róg, odniosłem wrażenie, że wyrzuca kapsułki. Ale nie byłem pewien. Usiadłem na ławce w parku i czekałem.

Zbliżała się północ, kiedy zjawił się George. Rzuciłem się na niego z wściekłością.

– Co się stało? Zrobiłem z siebie cholernego idiotę! Tutaj nie ma żadnej epidemii!

– Spokojnie – odparł George. – Miałem być tutaj tydzień temu, ale dostaliśmy polecenie od władz, żeby na rok zawiesić całą działalność. A potem kazali nam odwołać odwołanie i działać dalej według pierwotnego harmonogramu.

– Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział? – zapytałem.

– Powinieneś zostać zawiadomiony. Ale wszystko się pomyliło. Naprawdę bardzo mi przykro. Ale możemy zaczynać od zaraz.

– A czy rzeczywiście musimy? – spytałem.

– Czy musimy co?

– No wiesz.

Wytrzeszczył na mnie oczy.

– Co się z tobą dzieje? W Londynie zachowywałeś się zupełnie inaczej.

– Ale to było w roku 1664. A teraz mamy 1988. Jesteśmy bliżej naszych własnych czasów. A ci ludzie wydają się bardziej... ludzcy.

– Mam nadzieję, że się nie spoufalałeś – powiedział George.

– Naturalnie, że nie.

– No, to w porządku – uspokoił się George. – Wiem, że ta praca z emocjonalnego punktu widzenia może się wydawać obrzydliwa, ale musisz na to patrzeć realistycznie. Rada Statystyczna dała im wiele szans. Dała im bombę wodorową.

– To prawda.

– Ale jej nie użyli. Rada zapewniła im też wszelkie możliwe środki do prowadzenia wojny bakteriologicznej na dużą skalę, ale i tego nie wykorzystali. Tak samo zresztą Rada wyposażyła ich we wszelkie informacje niezbędne do dobrowolnego zmniejszania wzrostu populacji. I też nie potrafili się zmusić, żeby po nie sięgnąć. Po prostu w dalszym ciągu mnożyli się na oślep wypierając inne gatunki i siebie nawzajem, zatruwając ziemię i prowadząc jakby nigdy nic gospodarkę rabunkową.

Wiedziałem to wszystko, ale dobrze, że jeszcze raz teraz musiałem tego wysłuchać.

– Nic przecież nie może rosnąć bez końca – ciągnął George. – Wszystko, co żyje, musi podlegać jakiejś kontroli. U większości gatunków równowaga jest utrzymywana automatycznie. Ale istoty ludzkie przekroczyły wszelkie granice. I dlatego same muszą się tym zająć. A jeżeli nie mogą albo nie chcą, to ktoś to musi za nich robić.

Nagle George wydał mi się zmęczony i zatroskany.

– Ale ludzie nigdy nie dostrzegają konieczności przerzedzenia swoich szeregów. Nigdy się niczego nie uczą. Stąd potrzeba naszych epidemii.

– No już dobrze, zaczynajmy.

– Tę epidemię przeżyje około dwudziestu procent – oznajmił George.

Myślę, że chciał dodać sobie otuchy.

Wyjął z kieszeni płaski srebrny flakon. Odkorkował go. Podszedł i wlał jego zawartość do ścieku.

– No to już. Za jakiś tydzień możesz zacząć sprzedawać swoje pigułki. Potem nasz harmonogram przewiduje Londyn, Paryż, Rzym, Istambuł, Bombaj i tak dalej.

Skinąłem głową. Trzeba to było zrobić. Ale czasem trudno być ogrodnikiem ludzi.

Przełożyła Zofia Uhrynowska-Hanasz

Pomimo prawości i długotrwałej nauki, nawet mimo swej wiary, Cermarl, wchodząc do małego, ciemnego pokoju, zaczął się bać. Nie dlatego, żeby w tym pokoju było coś wyraźnie niebezpiecznego. Nie wkraczał też do niego samotnie, gdyż, jak to było w zwyczaju, kandydaci do Inicjacji wchodzili tu parami. I to właśnie było źródłem niepokoju, gdyż tym drugim był Paitese. Cermarl go nienawidził, a właściwie, ściślej to ujmując, czuł do niego wstręt.

Dziewięć lat, które upłynęło od chwili, gdy jedenastoletni Cermarl rozpoczął terminowanie w tajemniczej Gildii Czarowników było wypełnione wytężoną nauką, bezlitosną dyscypliną, pracą niemal ponad siły. Jednak ani razu nie żałował, że bogowie wybrali dla niego tę właśnie profesję. Nawet wtedy, gdy czuł ból w całym ciele, gdy bolał go nawet mózg i szpik kostny, wypełniało go uczucie ciągłego zdumienia i chęć dania z siebie wszystkie-

Później, inne wydarzenia... nieszkodliwa jaszczurka na podwórcu Szkoły, spalona czarami, martwa; kradzież złotego naramiennika i Paitese nagle sypiący monetami; i bardziej mgliste, groźniejsze oznaki, takie jak sposób, w jaki ludzie z okolicznych wiosek stronili od Paitese, a jednocześnie popychali ku niemu swoje córki, dawali mu wino i owoce.

Nie było skarg. Prawdopodobnie nikt nie ośmielił się skarżyć. Najpewniej Paitese użył swych umiejętności, by ich zastraszyć, a potem robić to, na co będzie miał ochotę. Oczywiste było, że złamał każdy z artykułów Przykazań. Gdy przejdzie Inicjację i w pełni zawładnie swą mocą, nie będzie już tamy dla jego zepsucia. Jednak Cermarl, tak jak wieśniacy, zachował milczenie. Oczernianie kogokolwiek nie leżało w jego naturze, a nie miał przecież dowodów. Nie mógł się zmusić, by wypowiedzieć głośno swoje podejrzenia. Poza tym powstrzymywała go wiara, zarówno w

Tanith Lee

stan równowagi

(In the Balance)

go. Wiedział, bez cienia dumy czy samozadowolenia, że nieskazitelnie przestrzega wszystkich dogmatów i praw Gildii. Nie wynikało to z prawości jego charakteru – nie był bardziej cnotliwy niż każdy przeciętny człowiek. Płynęło to raczej z radości, jaką czerpał z ich przestrzegania, a także z prostej logiki, która mówiła mu, że nie ma innego wyboru. Człowiek, który chciał być czarownikiem, mieć do swej dyspozycji tak potężne siły, musiałby być szalony, aby się tym prawom sprzeniewierzać.

Przykazania Gildii były jednoznaczne. I nauczyli się ich jeszcze jako chłopcy, zanim posiedli najprostszą wiedzę magiczną w rodzaju zaklęć, które pozwalają panować nad ptakami czy też zmusić trawę, by poruszała się bez wiatru. Czarownikowi nie wolno wykorzystywać swych umiejętności w celu ciemiężenia innych ludzi. Nie może on przyjąć większej, niż należna zapłaty za jakąkolwiek zleconą mu pracę, powinien przyjąć nawet mniejszą, jeśli praca była zlecona przez ludzi biednych. Zawsze musi udzielić pomocy, jeżeli zostanie o nią poproszony, chyba że jest ona związana z wyrządzeniem komuś krzywdy. Nie wolno mu gonić za zyskiem. Nie wolno mu szukać zemsty. Gdyż bogowie, którzy obdarzyli go mocą, będą obserwować jego czyny. Wszyscy ludzie musieli mieścić się w złotej Równowadze Niebios, a szale czarownika już od początku były niebezpiecznie wychylone. Tak to było.

Tego właśnie nauczono Cermarla i przyjął on te zasady jak człowiek przyjmuje swą własną skórę, na dobre i złe. Jego braciaterminatorzy zdawali się być nimi związani w równym, jak on stopniu. Po przypadkowych i zwykle nieznacznych odstępach szybko następowała skrucha, wyznanie winy i pokuta. Słabość mijała jak letnie upały.

Wydawało się, że zło nie może się tu zagnieździć. A jednak tak się stało, rozwinęło się – w jednym, jedynym miejscu, w jednym szarym umyśle i jednym przegniłym, pomarszczonym sercu – w Paitese.

Cermarl dokładnie sobie przypominał ten dzień, gdy miał trzynaście lat i już kończył drugi rok nauki w Szkole Gildii. Obudziwszy się z popołudniowej drzemki na czerwonej od maków łące za murami, niespodziewanie usłyszał głosy – dziewczyna błagała, płacząc, Paitese nalegał, wyrzucając z siebie nieprzerwany potok gróźb. Aż wreszcie rzecz się dokonała i Paitese oddalił się w swoją stronę. Ze swej przypadkowej kryjówki wśród łodyg Cermarl nie widział żadnego z nich, a był zbyt wstrząśnięty i niedoświadczony, by się wtrącić. I zbyt przestraszony. Tak, już wtedy czuł przed Paitese jakąś niewytłumaczoną obawę. Nie bał się jego mocy, gdyż nie była ona większa niż jego własna, ale czegoś, co w tym chłopcu tkwiło, jakiejś rzeczy, brudnej i przyczajonej, dla której nie było nawet nazwy. Chyba że brzmiałaby ona „diabeł".

mądrość Nauczycieli ze Szkoły, jak i ta, którą pokładał w samych bogach. Z pewnością geniusz Nauczycieli pozwoli im wykryć zbrodnie Paitese bez pomocy jakiegoś donosiciela. Z pewnością bogowie położą kres jego występkom.

Ale nic takiego nie nastąpiło. Przez wszystkie te lata nie było żadnej reakcji. Jak gdyby Nauczyciele, tak wszechwiedzący we wszystkich pozostałych sprawach, na tę jedną byli ślepi. Jak gdyby bogowie byli ślepi.

I ten dzień, dzień Inicjacji, był dla Cermarla ostatnią szansą na uzyskanie dowodu, że bogowie istnieją, że Nauczyciele rzeczywiście wszystko dostrzegają i wiedzą, i że ten świat jest wart życia w nim. I właśnie dlatego Cermarl, pomimo swojej wiary i prawości charakteru, bał się. Nie mógł się nie bać – od tych kilku najbliższych chwil zależało tak wiele, nawet nie biorąc pod uwagę najbardziej błahego rozstrzygnięcia – życie czy śmierć.

W pokoju Inicjacji panowała niemal smolista ciemność. W jego centrum stała czarna skrzynia, wysoka jak człowiek.

W ścianach skrzyni były cztery otwory, dwa z jednej i dwa z przeciwległej strony. Było to doskonale proste urządzenie, przerażające w stopniu, w którym tylko tak perfekcyjna prostota może przerazić. Każdy z wchodzącej pary stawał przy dwóch, zasłoniętych teraz przegrodami otworach. Obaj, używając swej mocy, nabytej wiedzy, a także podporządkowując się dokonanemu przez Niebiosa osądowi, musieli wybrać jeden z otworów ze swej strony, odsunąć przegrodę, a potem włożyć tam ramię aż po łokieć. I oczekiwać na rezultat tego wyboru, na werdykt bogów. Przechodzący Inicjację zostali poinformowani, na czym ten wybór polega, jaką mają alternatywę.

– W jednym otworze – powiedzieli Nauczyciele – znajduje się pierścień. W drugim – wąż.

I teraz Cermarl stał przy jednej ścianie czarnej skrzyni, a przy ścianie przeciwległej stał Paitese, chwast, zwyrodniały i szkodliwy, lecz bujnie wyrosły i kwitnący. Cermarl, mimo panującego tu mroku, dostrzegał uśmiech na jego ustach. Teraz bogowie muszą okazać swą moc – i Cermarl drżał z obawy, o siebie, o Niebiosa, zastanawiając się czy zawiodą wiarę, jaką w nich pokładał.

– Jesteś przestraszony, co? – szepnął Paitese poprzez cień. – Widocznie nie prowadziłeś tak przykładnego życia, jak ja. A może wątpisz w swój talent.

Cermarl nie odpowiedział. Pragnął odegnać od siebie obawy i uciszyć ten kpiący głos, który grał na jego strachu, jak na strunach harfy. Pochylił głowę i wbił wzrok w matowozłote przegrody dwóch widniejących przed nim otworów. Skądś, z głębi siebie samego przywołał moc, jakby ku brzegom swej jaźni przyzywał morze.

Lecz to, co go wypełniło było ospałe, stłumione. Coś – napięcie nerwowe, lęk, budząca odrazę obecność wroga – zamgliło jego duszę. Cermarl zadrżał. Nie był w stanie władać swoją siłą.

Modlił się, prosił bogów, by go poprowadzili, tak jak powinni zrobić, jeśli odnaleźli prawdę w jego duszy. Obnażył się przed bogami. Potem wyciągnął rękę i odsunął przegrodę na prawym otworze. Bez wahania włożył weń ramię.

Przez mgnienie, nic. Tylko w bębenkach uszu dudnienie galopującego serca i czerwone światło, pulsujące przed oczyma. I nagle poczuł na przegubie oślizły, wijący się ruch. Serce stanęło, zmrożone przerażeniem i niemal bezboleśnie ostry jak sztylet język wbił się w przedramię. Wybrał węża; dla niego został wybrany wąż.

Powoli wycofał rękę. Teraz pojawił się ból, strzelając w górę ramienia, zagłębiając się w piersi, jakby wbijano cienkie, rozpalone druty. Za kilka sekund jad dotrze do i tak już zamierającego serca i nastąpi śmierć, pełna i ostateczna. Jednak mocniej niż przerażenie czuł rozpacz i rozczarowanie. Niebiosa go zawiodły.

Stojąc bez ruchu, z krwią ściekającą z przebitej w dwóch miejscach żyły, Cermarl zobaczył Paitese, który wyłonił się tryumfująco z mroku po drugiej stronie skrzyni, ściskając w palcach lśniący pierścień. Czara goryczy się przelała. Cermarl wpadł w ciemność głębszą niż panująca w jakimkolwiek pokoju.

Ocknął się w rozjaśnionej światłem lampy komnacie, ale natychmiast odrzucił świadectwo swych oczu jako idiotyczne. Gdy nachylił się nad nim mężczyzna, w którym, jak mu się wydało, rozpoznaje jednego z Nauczycieli, spytał go uprzejmym głosem:

– Czy jestem w Piekle?

– Oczywiście, że nie – odpowiedział Nauczyciel. Wskazał coś łagodnym gestem. Spojrzawszy w dół Cermarl ujrzał swoje ukąszone ramię, całe i ciągle będące częścią jego ciała. Rana została magicznie uleczona, zasklepiając się w trwałą i wyraźną bliznę koloru starego srebra.

– Przeszedłeś Inicjację – powiedział Nauczyciel. – Stałeś się członkiem Gildii Czarowników. Witaj wśród nas, bracie Cermarl.

– Nie rozumiem – powiedział Cermarl – to przecież on... Paitese... był tym, który trafił na pierścień... a ja... na węża...

– To prawda – odpowiedział Nauczyciel – ty wybrałeś węża, tak jak musi wybrać każdy przechodzący Inicjację, jeżeli bogowie chcą, by przeżył. Wąż jest pozbawiony jadu, chociaż przyuczono go, by kąsał. Trwała blizna, która ci pozostała po jego zębach, jest tajemnym znakiem naszej Gildii. Spójrz tutaj – Nauczyciel odwinął rękaw swej szaty i rzeczywiście na jego przedramieniu widniał podwójny, srebrny ślad. – Powiedzieliśmy wam – kontynuował – co się znajduje w obu otworach, ale nie powiedzieliśmy przecież, co powinniście wybrać. Patrz...

I Cermarl znowu, po raz trzeci, skierował wzrok w miejsce, które wskazywał Nauczyciel. Zobaczył sine i skręcone ciało, niesione przez znajdujący się za oknem podwórzec. Paitese, jego zło nagrodzone, jego podłościom położony kres.

– To w pierścieniu – powiedział Nauczyciel – znajdowała się trucizna. Bogowie dokonali wyboru.

Przełożył Darosław J. Toruń

■

Tanith LEE

(ur. 1947) – brytyjska autorka SF i fantasy – debiutowała w roku 1971 powieścią **„The Dragon Horde"**. Prawdziwą popularność zapewniła jej jednak książka **„The Brithgrave"** (1975) utrzymana w konwencji „Sword and Sorcery". Wielokrotnie wznawiana, już po trzech latach doczekała się kontynuacji w postaci dwutomowego cyklu: **„Vazkor, Son of Vazkor" i „Quest For the White Witch"** (1978). Równocześnie Tanith Lee pisała książki science fiction: **„Don't Bite the Sun" (1976) i „Drinking Saphire Wine"** (1977). Pierwsza z nich otrzymała nawet nominację do nagrody Nebula.

Obok Caroline Janice Cherrych (ur. 1942 w Stanach Zjednoczonych) Tanith Lee zaliczana jest dziś do grona najciekawszych kontynuatorów epickiego nurtu fantasy. Jej książki, lansowane przez samego Donalda A. Wollheima, ukazują się również za oceanem. Niezrównana w tworzeniu nastroju i „romantycznej atmosfery" (co daje się zauważyć w powieściach **„The Storm Lord"**, 1976, **„Volkhavaar"**, 1977) brytyjska pisarka ma w swym dorobku kilkanaście powieści, nieco mniej opowiadań i wiele słuchowisk radiowych nagrywanych dla BBC. (an)

Znajdowali się blisko, za blisko i było ich wielu. Zawadziłem nogą o korzeń, leciutki powiew wzburzył moje włosy. Uniosłem głowę, kilka kroków przede mną w pniu drzewa tkwiła biała strzałka. Nie miałem chwili do stracenia i ruszyłem biegiem przed siebie. Ta niewielka strzałka to specjalność mojej gromady, a właściwie jej Przewodnika. Tylko on mógł ją wysłać.

Przypomniałem sobie jak kiedyś, gdy byłem dzieckiem udowadniał swą moc. Mówiono wtedy, że jest za stary, że za mało już siły może użyczyć gromadzie. Wtedy on zgodnie z prawem poprosił o próbę. Powiedział: „pokażę wam coś, czego nigdy nie widziały wasze oczy". Na skraju osady w naprędce skleconej zagrodzie umieścił tłustą świnię. Kazał nam czekać i patrzeć. Sam oddalił się aż straciliśmy go z oczu. Wszyscy wpatrywali się w zwierzę oczekując w napięciu czegoś niezwykłego. Mijały chwi-

Piotr Bondel

le, nagle świnia padła i nie poruszyła się więcej. W jej grzbiecie tkwiła biała strzałka. Było to tak niepojęte, że nikt nawet nie drgnął. „Czy ktoś z was potrafi tego dokonać? Przyjdźcie do mnie" – usłyszeliśmy głos Przewodnika. Cała gromada – czterdziestka mężczyzn i kobiet – powoli ruszyła z miejsca. On stał przy kamieniu na rozdrożach i tam też oddaliśmy mu cześć i odnowiliśmy przewodnictwo. Wieczorem odbyła się uczta, na której zjedliśmy ofiarę tajemnej mocy. Lecz ja nim nastąpił wieczór zrobiłem coś jeszcze. Policzyłem kroki od kamienia do zagrody. Było ich blisko dwa razy po tysiąc, czyli więcej niż tysiąc kroków dorosłego mężczyzny. Więc teraz, gdy ujrzałem białą strzałkę wiedziałem, że w najlepszym razie pogoń jest tysiąc kroków za mną.

Przyspieszyłem, gdyż las nagle skończył się i biegłem teraz przez dużą polanę. Nie miałem czasu na odpoczynek. Napiąłem mięśnie i całą siłą woli wprawiłem nogi w jeszcze szybsze tempo, by jak najprędzej skryć się w cieniu drzew po drugiej stronie. W moim umyśle znowu rozkwitły obrazy z przeszłości.

Od czasu gdy odnowiliśmy przewodnictwo rosłem w kręgu tajemnicy tamtej próby. Wiele jeszcze razy liczyłem kroki, szukałem śladów jakiejś sztuczki czy oszustwa tłumaczącego tę rzecz niepojętą. I nic nie znalazłem. Musiałem uwierzyć w moc Przewodnika. I od tej chwili przez wiele lat bacznie go obserwowałem. Widziałem potem wielokrotnie białe strzałki i to jak pomagały w polowaniach, i to jak przechylały szalę zwycięstwa w walkach z innymi gromadami na naszą stronę. Wiara w moc Przewodnika już nigdy nie upadła, przeciwnie rosła z roku na rok. I ja sam ją odczuwałem. Żyło się nam jakby lżej i lepiej i nawet starcy, którzy dawno powinni odejść do Kraju Wiecznie Śpiących odmłodnieli. Ale atmosfera wokół Przewodnika, jego czysta, niczym nie zmącona moc nie dawały mi spokoju. Im stawałem się starszy, tym bardziej pragnąłem poznać jej źródło, poznać i opanować ją – stało się to dla mnie celem w życiu.

Piekący ból policzka przywrócił mnie rzeczywistości, ściana lasu witała zbiega uderzeniem ostrych gałęzi. Biegłem cały czas na Wschód. Wiedziałem, że jest to jedyny kierunek. Tylko tam mogłem, tylko tam musiałem uciekać. I biegłem coraz szybciej, by jak najdalej zostawić moich prześladowców i by móc choć parę chwil odpocząć. Nie znałem kresu ucieczki i nie wiedziałem gdzie kończy się grożące mi z rąk gromady widmo śmierci, a zaczyna się ocalenie. Nikt nie wiedział gdzie się TO zaczyna i co TAM jest, wszyscy wiedzieli tylko, że jest TO na wschodzie i że nikt STAMTĄD nigdy nie powrócił. Noc miała się ku końcowi, a zmysł mój ciągle wyczuwał bliskość pościgu. Wiedziałem, że gdy wzejdzie słońce i nadejdzie dzień Przewodnik z myśliwymi zatrzyma się na posiłek i odpoczynek. Ja gdy tamci będą nabierać sił muszę odskoczyć od nich jak najdalej, by dopiero potem przez chwilę dać odpocząć ciału. Mój umysł odpoczywał w trakcie przebłysków przeszłości. Przeszłości, która wyznaczyła kierunek mojej obecnej ucieczki.

Wejście do grona dorosłych mężczyzn było w naszej gromadzie zawsze wydarzeniem, dla mnie stało się ono możliwe dzięki kilkuletnim podpatrywaniom Przewodnika. W wybranym dniu czternastu kandydatów udało się z nim poza obręb osady. Oddaliśmy się szybko i wieczorem doszliśmy do nieznanej nam po-

OBSZAR

lany. Dotychczas nikt z nas nie mógł zapuszczać się tak daleko, teraz nie wiedzieliśmy nawet w którym kierunku są nasze domy. Zadanie polegało na tym, żeby odszukać jeden z czternastu kamieni ukrytych przez Przewodnika w określonej przez niego okolicy. Każdy z tych kamieni miał wyryte imię, które przypadało znalazcy. Od tej chwili wyznaczało ono dalszy bieg życia swemu nosicielowi. Przewodnikowi można było przynieść tylko pierwszy znaleziony kamień bez względu na imię tam wyryte. Nie można było szukać innych kamieni i nikt tego nie robił, gdyż Przewodnik zawsze znał prawdę. A ten kto próbowałby go oszukać miał być wykluczony z gromady i na zawsze pozostać bez imienia. Nikt też nigdy nie wiedział z jakimi imionami kamienie wybrał Przewodnik, i czym się przy tym kierował. Była to jeszcze jedna tajemnica. Siedzieliśmy więc na polanie, przed nami siedział Przewodnik trzymając w dłoniach woreczek z kamieniami. Miał je ukryć po zachodzie słońca, a my nasze poszukiwania mieliśmy rozpocząć po jego powrocie. Ciemno już było, napięcie w nas rosło, a Przewodnik dalej tkwił przed nami. Wpatrywałem się w niego, swoją myśl i wolę skupiłem na jego twarzy. Ciemności nie pozwoliły mi dostrzec, czy przypatruje się nam czy też oczy ma zamknięte. Nagle zniknął, stłumiony krzyk dobiegł mnie z obu stron. Serce skoczyło do gardła, lecz po chwili zapanowałem nad sobą i znowu skupiłem wolę, tym razem na obrazie Przewodnika. W pewnej chwili przestałem widzieć polanę, obraz zmatowiał i z pustki wyłoniła się schylona postać wyrzucająca kamień do strumyka. Jak nagle ujrzałem ten obraz, tak nagle powróciłem wzrokiem na polanę, gdzie siedziałem wśród bezimiennych jeszcze chłopców.

W tym samym momencie wiedziałem, że dokonałem rzeczy równie niezwykłej jak biała strzałka i zniknięcie Przewodnika. Długo jeszcze siedzieliśmy nim powrócił, tym razem w normalny sposób. Na poszukiwanie mieliśmy resztę nocy i następne dwa dni aż do zachodu Słońca. Gdyby w tym czasie ktoś nie znalazł kamienia mógł jeszcze raz powtórzyć próbę przy następnej okazji. Gdyby i te poszukiwania skończyły się niepowodzeniem, zostałby jako bezimienny wykluczony z gromady. Tak stanowiło nasze prawo. Nikt z nas nie wyruszył w nocy na poszukiwania, dopiero rankiem rozbiegliśmy się w różne strony. Mając w pamięci nocny obraz bez trudu odnalazłem strumień i miejsce gdzie upadł kamień. Szybko schyliłem się i odwróciłem go drugą stroną. Wyryte było tam imię Morii – co znaczyło Szukający Tajemnicy. Zadrżałem i omal nie wypuściłem kamienia z ręki. Czyżby Przewodnik przejrzał mnie i specjalnie skierował do tego właśnie imienia? W pierwszej chwili uwierzyłem w to, lecz gdy opadły emocje doszedłem do wniosku, że to niemożliwe. Niczym się przecież przed nim nie zdradziłem, Przewodnik nie mógł wiedzieć tego, czego ja dowiedziałem się dopiero tej nocy. Zupełnie już uspokojony wykąpałem się w strumieniu i gdy Słońce chyliło się ku zachodowi wróciłem na polanę. Z czternastu chłopców trzech nie znalazło kamieni. Reszta wraz ze mną otrzymała znalezione imiona na wielkiej uczcie, która się odbyła wieczorem w osadzie.

Pierwszy promyk wschodzącego Słońca na nowo obudził mój umysł. Ciągle biegłem, las był mniej gęsty i w oddali ukazały się słabo porośnięte wzgórza. Tam dobiegnę i odpocznę – pomyślałem. Upadłem na szczycie pierwszego wzniesienia i natychmiast zapadłem w niespokojny sen.

Na tamtej uczcie dowiedzieliśmy się też o Obszarze. Powiedziano nam, że jest takie miejsce, tam gdzie wschodzi Słońce, z którego nie ma powrotu. Nikt nie wie gdzie leży granica Obszaru, ale ten kto ją przekroczy nigdy stamtąd nie wróci. Tylko Przewodnik znał w przybliżeniu miejsce tej tajemnej granicy. Historia nasza mówiła, że Obszar odkryto przypadkowo i nie od razu zyskał sobie miano tajemnicy. Wiele pokoleń minęło nim uwierzono, że w tamtym rejonie znikają ludzie. A ci, którzy byli świadkami takich zdarzeń roznieśli wieść po różnych gromadach i z upływem lat coraz rzadziej zapuszczano się w tamtą okolicę. Tak powstała legenda Obszaru. Z czasem trafiła ona też do naszych praw. Każdy kto wykroczył przeciwko obowiązującym obyczajom czy prawom i został skazany na śmierć mógł zmienić wyrok podejmując próbę przekroczenia tajemniczej granicy. Większość skazańców wolała jednak pewną śmierć niż niewiadomą wolność. Z tych, którzy wybrali Obszar żaden nie powrócił i nikt nie wiedział, czy ominęła ich kara czy też nie. To wszystko usłyszeliśmy z ust Przewodnika tamtego pamiętnego wieczoru. Przez następne lata naszej gromadzie powodziło się coraz lepiej, coraz to nowi chłopcy znajdywali swoje imiona, a ja coraz pewniej posługiwałem się swoją mocą. Im bardziej wierzyłem, że ją mam – tym łatwiej przychodziło mi z niej korzystać. Starałem się, by nikt o tym nie wiedział.

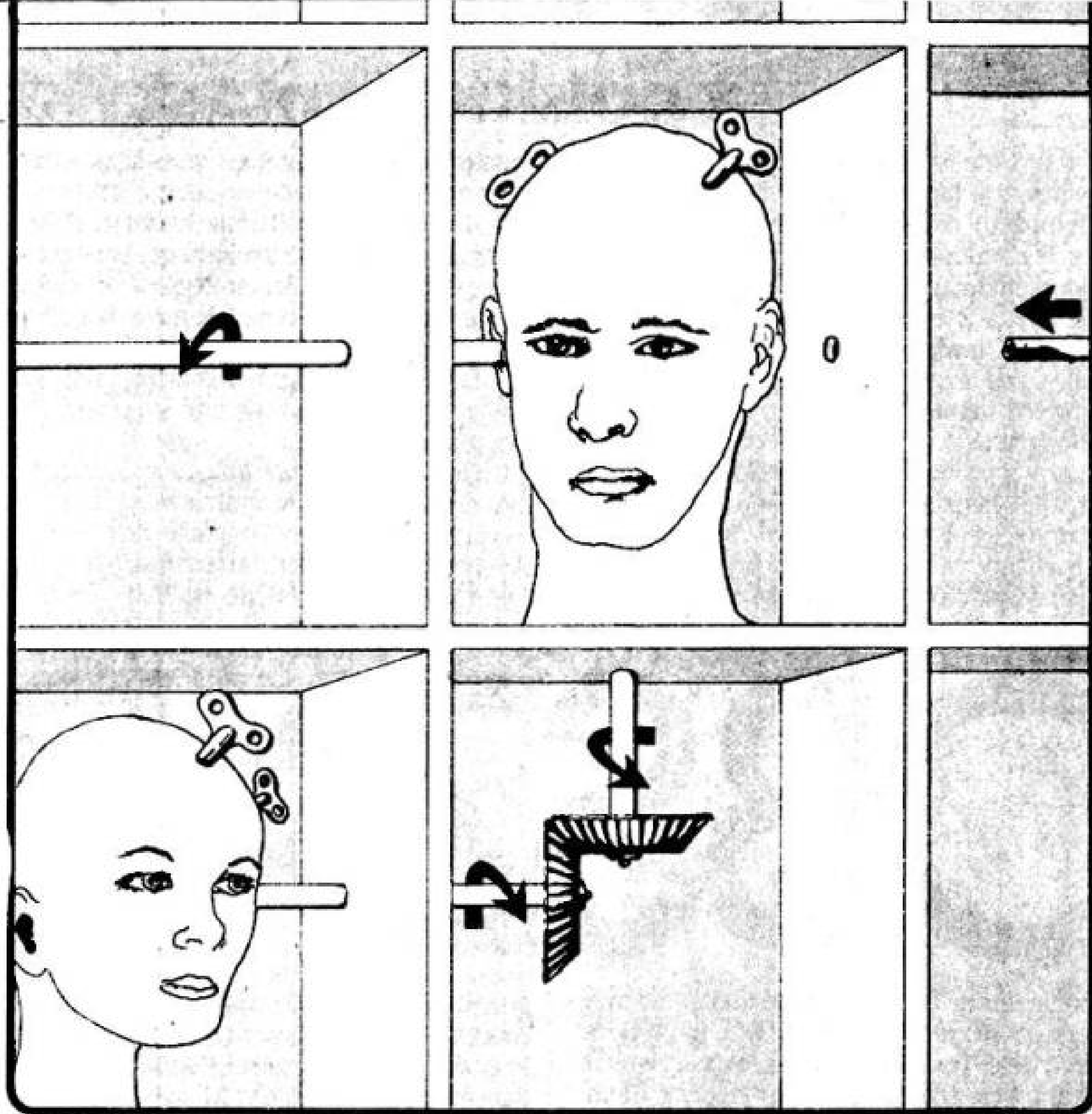
Chyba nawet Przewodnik nie zdawał sobie sprawy z tego, że w jego gromadzie jest ktoś obdarzony mocą czynienia rzeczy niezwykłych. Nie wiedział o tym aż do chwili, w której użyłem swej siły przeciwko niemu, a tym samym przeciwko prawu. I nie wiem czemu to zrobiłem, czy żal mi się zrobiło tego Wiecznie Bezimiennego, który nocą ukradł trochę suszonego mięsa i owoców? Może chciałem wreszcie wypróbować swoją moc w obliczu Przewodnika? Może kara śmierci, na którą skazano złodzieja wydała mi się zbyt okrutna? Nie wiem. Wszystko stało się zbyt szybko, nie zdążyłem nawet pomyśleć. Skazańca przywiązano do pala tak, że nie mógł poruszyć nawet głową. Wyrok miał wykonać Przewodnik przy użyciu białej strzałki. Jej ostrze było nasączone silną trucizną, która po przedostaniu się do krwi powodowała natychmiastową śmierć. Okrucieństwo kary polegało na tym, że śmierć nie uderzała niespodziewanie, ale skazaniec widział wolno płynącą w swoim kierunku białą strzałkę. Była ona cały czas widoczna, lecz poruszała się dostatecznie szybko, by zranić do krwi, a tym samym wpuścić truciznę. Przewodnik stanął w odległości około trzystu kroków od pala, a cała nasza gromada utworzyła szpaler długości stu kroków od skazańca. Ja stałem od niego o jakieś dziesięć kroków i widziałem oczy pełne przerażenia, i usta krzyczące, i pot pokrywający całą twarz.

Wszyscy spoglądali w stronę Przewodnika. Głuchy jęk skazańca oznajmił, że biała strzałka rozpoczęła swoją wędrówkę. Głowy wolno obracały się w kierunku jej przeznaczenia. Mój wzrok utkwiony był w punkcie przede mną i gdy tylko strzałka wpłynęła w to pole znieruchomiała, jakby lekko drgnęła, pękła w połowie i spadła na ziemię. Przeciągłe „ooo..." dotarło do moich uszu i potężny głos „Morii" zadudnił w głowie. W chwilę potem jakiś kształt runął w moją stronę. Zdążyłem odskoczyć i ruszyłem pędem przed siebie. Nie zatrzymywałem się, tylko biegłem i biegłem, dopiero później dotarło do mnie, że biegnę na Wschód w kierunku gdzie był Obszar. Tylko tam mogłem uciec przed zemstą i karą Przewodnika. Złamałem jego moc na oczach całej gromady, wystąpiłem przeciwko prawu broniąc skazańca i wiedziałem, że jeśli mnie dopadną czeka mnie śmierć. Nie będę miał wyboru. Przewodnik nie pozwoli mi wybrać Obszaru. Muszę dobiec do granicy nim mnie dogonią, wiem, że mogę tego dokonać, mam siłę, mam moc. Szybciej, szybciej byle na Wschód. Obszar to ucieczka, Obszar to schronienie, Obszar to wolność. Teraz mogę chwilę się przespać, widzę we śnie całe swoje życie, Morii, czyli Szukający Tajemnicy, czuję w pobliżu prześladowców, podrywam się, prędzej, muszę prędzej biec, by im umknąć, Obszar to życie, Obszar to inny świat, Obszar to moja tajemnica, muszę biec szybciej, by ją poznać, nie wiem kiedy przekroczę granicę, spoglądam w prawo, dwa oślepiające światła, głośny pisk, dwie przerażone twarze, lecę gdzieś w powietrzu i już znam Tajemnicę i wiem, że nie można uciec ze swojego świata.

■

Piotr BONDEL

Urodził się w 1957 r. Studiował dwa lata biologię, obecnie student filozofii. Pierwsza publikacja – wiersz satyryczny wydrukowany w „Szpilkach" w 1981 roku. **„Obszar"** jest jego debiutem prozatorskim. (mp)



Andrzej Brzezicki

wysokie loty

Patryk Halkiewicz

My. Genetycznie uwiązani na postronku prokreacji białkowej.
Planetarna biedota.
Ograniczone przeciążenia, ograniczony zakres eksploatacji.
Gówno.
Ale główka pracuje...
Wkręcić w dupę robotowi fotonowy silnik o bardzo niskim stopniu sprawności. Niech się uczy.
Ogólnie to tępaki. Na złom, Mamla, bamla. Ratunku.
Jeden napisał we wspomnieniach „ratuwsianku".
To również dowód na jego białkowe...
Mózg.
Niedoskonały twór. Galaret.

A niech mnie skoczą.
B 200 C 300. Obojętne. Polecę, gdzie każą.
Jestem Galaretem. Ani mądrym, ani głupim.
Maszyna nie nudzi się. Leci, bada, pobiera, w nosie nie podłubie, za kobitką się nie obejrzy. Głupia.

ŻYCIA NIE ZNA. A ja półsłówkami, drobiazgiem werbalnym się wymigam.
Pewnie. Rachunek prawdopodobieństwa trzeba brać pod uwagę.
Wyliczyłem możliwość dalekiej wyprawy jednoosobowej.
ZERO. Tyle wyszło. Nie mogę teraz udowodnić, ponieważ wszystkie kartki wywalam do kosza.

Ta maszyna damska (wg życzenia) jest niezła. Pupka, biuścik na swoim miejscu. Byle niezbyt gwałtownie. W przeciwnym razie brzęczy jak kolano od pieca, które moja babka przechowuje w albumie.

Łazi za mną wszędzie. Kochaj mnie, kochaj mnie...
No, paszła won.
Okazało się, że probabilistyka nie jest moją mocną stroną.
Tu kapie, tam cieknie. Prawda. Wszystko jednym kluczem płaskim można dokręcić.
Kombinerki. Te śruby długo nie wytrzymają.
Nienawidzę szesnastu tysięcy volt stałego. Co z tego, że amperaż mały, kiedy kopie jak wściekła krowa.
KROWA... Już nigdy cię nie zobaczę.

Ekrany szare, rzężą. A ja do wysokiego napięcia nie podejdę. No nie podejdę i koniec.

Co oni tu nadają? Że bredzę. Prh, prh, a co ja tu mogę sam zrobić.
Kupę najwyżej i posypać mąką. ...Zacieram ślady i wychodzę.

Mam nie wychodzić. Bo jak wrócę, to mnie zamkną.
Kto mnie zamknie, kto mnie zamknie...
Jelenie. Długa głowa, trzy palce.

Jedno oko na marokoko.
...Co to takiego? Maraokoko...
Zostaw mnie ty... ty kurwo blaszana.
Jak to się oblizuje i rozkracza.
Co kiwasz tym łbem?
Jeść nie musi, pić też. Tylko by się...

Ostatni raz widziałem człowieka osiem lat temu. Potem śniły mi się podmiejskie pociągi pełne tłustych, o które ocierałem się idąc z przedziału do przedziału.
Łaźnia też mi się śniła. I inne rzeczy.
No nie mogę już!

Wczuj się, wczuj się. I do NaCl. Hyc. Utopili. Masz takie warunki jak w próżni. W porząsiu. Tylko po próżni nie muszę się myć dwie godziny.

I w pysku nie zgrzyta.

Tu masz Hesselblady. 4x. Body nie puchnie, szkło się nie odkształca. Są po prostu genialne... Nawet nie wiem gdzie leżą. Maszyna pokaże. I nie mogę jej wywalić w uniwers, bo nic nie znajdę. Blaszanka jest do czego innego. Paszła!

Nic nie skrobie po pancerzu. Nic nie zakłóca odbioru-nadawania.
Fale magnetyczne do mnie nie docierają. Brak kontaktu.
Pójdę się uwalę.
Ty tu zostań.
Albo chodź. W plecy mnie podrapiesz. ■

– On powinien poczytać sobie o ewolucji – skomentował Jerry Pernak, gdy wraz z Ewą słuchali wiadomości dziennika podczas śniadania. – Żyjemy wśród ssaków, a on myśli, że może cofnąć je prawnie do stanu dinozaurów.

*

Bernard Fallows stał oparty o rozsuwane szklane drzwi salonu i patrzył na trawnik na tyłach swego domu, zastanawiając się, kiedy będzie mu wolno rozpocząć nowe życie w Port Norday. Zagadnął o Kath i wiedział już, że oczekiwała tego. Powiedziała mu po prostu, że ludzie tam zatrudniani spodziewają się wspólnie z nim pracować. Ale zgodził się z Pernakiem i Lechatem, że musi tu istnieć ośrodek dyspozycyjny, złożony z ludzi, zdolnych do rozumnego pokierowania wydarzeniami. Musi istnieć aż do zniknięcia ostatniej możliwości zagrożeń wobec Chirończyków. Ponadto integracyjna platforma Ramissona, do której przyłączył się Lechat, potrzebowała pomocy po to, by stary porządek wygasł w naturalny sposób.

Jean obecnie inaczej spoglądała na świat, szczególnie, gdy Pernak opisał istniejące na uniwersytecie możliwości jej powrotu do biochemii – coś, o czym Bernard sądził, że dawno już umarło własną śmiercią. Zwrócił głowę w stronę pokoju, gdzie Jean siedziała na kanapie przed ekranem ściennym, wprowadzając Marie w tajniki transkrypcji białka – schematów dostarczał Jeeves – i uśmiechnął się do siebie: ona stawała się bardziej niecierpliwa, niż on sam. Parę dni temu powiedział jej, że jest znowu w kontakcie z Colmanem i że ten często towarzyszył Jayowi na wizytach u chirońskich przyjaciół we Franklinie, zanim zacieśniono restrykcje co do podróży. Jean odpowiedziała, że jest to dobre dla Jaya i że sama chciałaby spotykać się z Chirończykami. A może znalazłby się tam dobry chłopiec dla Marie, rzuciła żartobliwie. – Ale naprawdę dobry – dodała w odpowiedzi na zdziwione spojrzenie Bernarda – żaden tam nastoletni Casanova, od których tu się roi. Są przecież jakieś granice.

Jean pochwyciła jego spojrzenie, wstała i podeszła, pozostawiając Jeevesowi kłopot odpowiedzi na liczne pytania Marie. Zatrzymała się koło męża, patrząc na drzewa rosnące po drugiej stronie trawnika i odległe szczyty gór, błyszczące w słońcu nad dachami. – Jakiż to będzie piękny świat – powiedziała. – Już nie jestem w stanie wytrzymywać tego oczekiwania. Na pewno wszystko już się wkrótce zakończy.

Bernard znów wyjrzał na dwór i potrząsnął głową. – Nie, dopóki jakimś sposobem nie rozbroi się tego statku w górze. – Przerwał i znów spojrzał na żonę. – A więc już się go nie boisz?

– Nie sądzę, bym się kiedykolwik bała. Bałam się tylko tego, co miałam w głowie. A niczego z zewnątrz. – Objęła spojrzeniem męża – jego mocne i opalone ręce, kontrastujące z bielą swobodnej koszuli, jego odmłodniałą i spokojniejszą twarz, o wyrazie pewności siebie, jakiego nie widziała od dłuższego czasu – opartego niedbale ale pewnie o framugę drzwi. I uśmiechnęła się. – Kalens może chować się w skorupie – powiedziała. – Ja mojej już nie potrzebuję.

– A więc jesteś pewna, że dasz sobie radę – rzekł Bernard.

– Cokolwiek nastąpi, my damy sobie radę – odpowiedziała.

Koniec części trzeciej

CZĘŚĆ TRZECIA
PODZIAŁ

Rozdział XIX

Paul Lechat, jeden z dwóch członków Kongresu, reprezentujących segment mieszkalny Maryland w Izbie Reprezentantów, która stanowiła drugą izbę i przeciwwagę dla Dyrektoriatu, w większości spraw spornych, nad którymi debatowano przez kilka ostatnich lat podróży, zdobył sobie opinię umiarkowanego. Choć nie naukowiec, gorliwie popierał sprawę postępu wiedzy jako jedynego środka, mogącego ulżyć odwiecznym kłopotom, które dokuczały ludzkości przez całą jej historię, i był wielbicielem metod naukowych, których sprawdzona skuteczność – jak sądził – otwierała o wiele większe możliwości wykorzystania na terenie jego własnego zawodu, niż to było tradycyjnie we zwyczaju. Dlatego zawsze starał wyrażać się jasno, gromadzić fakty obiektywnie, oceniać ich implikacje bezstronnie i sprawdzać swe oceny niedwuznacznie. W wyniku tego, jak się przekonał, mógł zgodzić się z każdym lobbistą do pewnego momentu, wczuć się w każdą sprawę szczególną do pewnego stopnia, sympatyzować z każdą mniejszością w ograniczonym zakresie i zgadzać się z każdym odłamem z pewnymi zastrzeżeniami. Był rozważny w rozumowaniu, ostrożny w ekstrapolacjach, podejrzliwy wobec uogólnień i sceptyczny wobec dogmatów. Reagował raczej na argumenty rozumowe i logiczne, niż namiętne i emocjonalne, w kontrowersjach zachowywał postawę otwartą, sądy opierał wyłącznie na istotnych przesłankach i chętnie je rewidował, gdy spotkał się z nowymi danymi. W wyniku tego wszystkiego miał niewielu wysoko postawionych przyjaciół i nie miał w ogóle zdecydowanych zwolenników.

Ale posiadał zdecydowane zasady i skłonność do dyskrecji, nie był też porywczy. Dlatego właśnie sędzia Fulmire mógł bezpiecznie podzielić się z nim swymi obawami co do sytuacji, która kształtowała się za kulisami polityki.

Fulmire nie miał jasnej koncepcji nawet własnych oczekiwań co do tego, co Lechat może zrobić, ale instynktownie identyfikował Lechata z milczącą większością, jak zwykle pochłoniętą sprawami życia codziennego, podczas gdy bardziej hałaśliwe elementy skrajne kłóciły się i kształtowały życie wspólnoty. Koła bankowe i finansowe uroczyście zapowiadały całkowity chaos w zakresie posiadania własności ziemskiej w nadchodzących latach i żądały, aby rząd przyjął odpowiedzialność za lustrację ziem leżących odłogiem, które powinny zostać rozparcelowane z wydaniem tytułów posiadania, przy czym ope-

rację tę wielkodusznie zaoferowały się sfinansować pożyczkami na hipotekę ziemską. Lobby przemysłu surowcowego i przetwórczego zgadzały się z bankierami, że należy narzucić system monetarny, który by zahamował „szaleńcze marnotrawstwo niesprawności i rozrzutności" oraz pobudził „rzetelną i uczciwą wolną konkurencję"; natomiast nie zgadzały się z bankierami co do projektów pożyczek na hipotekę, dowodząc, że tereny do zagospodarowania na Chironie są już otwarte do zawłaszczenia „mocą naturalnego precedensu"; nie zgadzały się też między sobą co do cen i stawek, ponieważ fabrykanci żądali zakazu używania tanich (to znaczy darmowych) surowców chirońskich oraz regulowania z urzędu cen sprzedażnych, natomiast handlowcy domagli się czegoś odwrotnego. Przedstawiciele zawodu nauczycielskiego i lekarskiego chcieli zostać zwolnieni z obowiązku uczenia zdrowych Chirończyków i leczenia chorych, ale równocześnie zależało im na istnieniu mechanizmu podnoszenia podatków na cele subsydiowania ich działalności, natomiast prawnicy naciskali na stworzenie w pierwszym rzędzie należycie ustanowionego systemu prawnego, co rzekomo miało ułatwić pobieranie podatków. Inne grupy zawodowe zgadzały się z systemem podatkowym tak długo, jak zapewniał im większe ulgi niż innym, z wyjątkiem przywódców religijnych, których to nie interesowało, ponieważ i tak byli od podatków zwolnieni. Ale oni właśnie starli się z nauczycielami na temat wniosku wprowadzenia kapłanów do szkół w celu „zniszczenia korzeni zła i rozkładu, które szaleją na tej planecie", z lekarzami co do tego, czy korzenie te miały charakter kulturowy czy duchowy, z prawnikami co do tego, by uznać chirońską praktykę kolejnej, a niekiedy równoległej poligamii i poliandrii za nielegalną oraz ze wszystkimi na temat „nagłej potrzeby" subwencji na budowę kościołów. I tak to się toczyło.

Fulmire'a najbardziej zaniepokoiło widmo Kalensa, który wyrósłby pośrodku tego wszystkiego na faktycznego dyktatora, z poparciem Borfonteina, który rwał się, by spuszczono go ze smyczy. Każda frakcja widziałaby takie skupienie władzy w jednym ręku jako potencjalny taran, który mógłby zostać użyty dla wyłącznego poparcia własnych interesów, a jeszcze bardziej jako instrument, którego użycie należy za wszelką cenę uniemożliwić rywalom. W tak wybuchowej sytuacji wszystko mogło się zdarzyć i Fulmire'a prześladowały wizje całej Misji rozdzieranej morderczymi sporami, z poważną możliwością rozlewu krwi w końcowej fazie, gdy poczucie frustracji stanie się palące. Jedyną siłą, która w jego rozumieniu miała jakąkolwiek możliwość wywarcia wpływu stabilizującego, był bardziej umiarkowany consensus całej ludności „Mayflower II"; Lechat zaś być może mógłby być narzędziem mobilizującym ją, zanim sytuacja wymknie się z rąk.

Lechat zgadzał się, że kultura chirońska, która bynajmniej nie była naiwnym i anachronicznym eksperymentem, łatwym do wchłonięcia bez trudności przez system ziemski jak to zakładano, była natomiast wysoko rozwinięta na własny nieortodoksyjny sposób i bynajmniej nie łatwo podda się zmianom. Nie można było pozwolić, by obie grupy weszły w kolizję w nadziei, że równowaga ustali się sama przez się. Zanim by to nastąpiło, coś gdzieś wybuchnie.

Chirończycy zgodzili się spełnić wcześniejszą prośbę „Mayflower II" o dostarczenie kwater na powierzchni, lecz równocześnie, w przewidywaniu przyszłych własnych potrzeb rozbudowali Canaveral City i jego okolice w kierunku Franklina w większym stopniu, niż wymagała tego bieżąca sytuacja. Jak dotąd jedna czwarta ludności „Mayflower II" przeniosła się na planetę, ale ruch ten ulegał zahamowaniu, ponieważ ludzie ci nie przenosili się do bardziej stałych miejsc zamieszkania w tempie widocznie przewidywanym przez Chirończyków, głównie z tego powodu, że Dyrektoriat wydał polecenie, by zostawali tam, gdzie już są. Zasoby mieszkaniowe w tym miejscu wyczerpywały się i ci, którzy pozostali na statku, stawali się, co zrozumiałe, coraz bardziej niespokojni.

Lechat powiedział Fulmire'owi, że nie uważa obecnie za wskazane tworzenia środowiska Ziemian w bezpośrednim styku z zupełnie obcymi im warunkami Franklina – a w każdym razie nie w tej chwili. Ziemianom potrzeba czasu na przystosowanie się, a zanim to nastąpi, mogą trzymać się własnych, dobrze znanych zwyczajów i obyczajów. Bliskość Franklina może tylko spowodować napięcia. Lechat był wobec tego zdania, że przesiedlanie się na powierzchnię planety należy całkowicie zahamować, dotychczasowe plany porzucić, zaś na okres przejściowy wybudować gdzie indziej osiedle ziemskie. Sądził, że obszar zwany Iberią, położony na południowym wybrzeżu zachodniej Selene, będzie odpowiednim miejscem. Co nastąpi później – Lechat nie wiedział i bardzo wątpił, czy możliwe są w tej mierze wiarygodne przewidywania, ale na krótszą metę byłoby to rozwiązaniem zarówno sprawy dania całej

początkiem nieuchronnego dalszego ciągu, wycofał się z propozycji powtórzenia tego samego przedstawienia w Iberrii – przynajmniej taki powód podał publicznie. Okazało się wreszcie, że jedynym kandydatem z platformą zdolną przyciągnąć większość, jest jak na ironię integracjonista Ramisson. Ale tak było tylko w teorii, gdyż jego potencjalni zwolennicy mieli skłonność do znikania z Phoenixa, gdy tylko przekonali się do integracjonizmu. W miarę zbliżania się daty wyborów stawało się oczywiste, że zainteresowanie nimi jest bliskie punktu zerowego i nawet przemówienia agitacyjne zmieniły się w rytuały bez przekonania, odprawiane – jak to dobrze wiedzieli mówcy – przed publicznością złożoną tylko ze znudzonych techników telewizyjnych i obojętnych kamer.

Ale Kalens jawnie stracił poczucie rzeczywistości. Nadal namiętnie zaklinał swe nieistniejące legiony, by dokonały ostatniego najwyższego wysiłku, nadal składał obietnice i przyrzeczenia głuchemu na jego głos audytorium i malował wspaniałe obrazy świetnej cywilizacji, którą razem zbudują. Na swą oficjalną rezydencję wybrał wielki, majestatyczny budynek w centrum Phoenixa, pierwotnie służący za muzeum sztuki i urządził go jak pałac, w którym zainstalował się ze swą żoną, swymi skarbami i służbą domową, złożoną z Chirończyków, którzy jego polecenia uprzejmie wykonywali, lecz z rozbawieniem, na które był całkowicie ślepy. Żył w świecie, w którym granica wokół Phoenixa stała się pancerzem, odcinającym świat zewnętrzny i chroniącym wewnątrz ostatnie szczątki rojeń, których nie był w stanie porzucić. Tam zaś, gdzie rzeczywistość różniła się od snów, nadrabiał braki fantazją.

Zachował nadal grupkę wiernych zwolenników – głównie takich, którzy nie mieli gdzie się zwrócić, a trzymali się razem dla wzajemnej obrony. Należała tu duża część handlowców i finansjery, niezdolnych do uświadomienia sobie, że ich rola jest skończona; biskup „Mayflower II", przewodzący trzodce wiernych, którzy wzdrygali się na myśl o przyjęciu diabelskich obyczajów Chirona; oraz wielu przedstawicieli różnych środowisk, których cechy charakteru zmuszały do trwania do końca, bez względu na konsekwencje. Nade wszystko zaś był przy nim Borfontein, który nie miał innej lokaty dla swej lojalności, przybierającej u niego z wiekiem charakter przymusu. Siła, na której czele stał Borfontein, była nader groźna; jej kręgosłup stanowiła niemal cała Służba Specjalna podległa Stormbellowi. Ponieważ wszyscy ci ludzie czuli potrzebę wiary, pozwolili się przekonać Kalensowi, że przyczyną wszystkiego złego, co ich spotkało, była obecność Chirończyków wewnątrz granic Phoenixa. Gdyby ich stamtąd wyrzucić, organizm by ozdrowiał, uchodźcy spośród Ziemian powrócili, zapanowały i kwitły normalne warunki, a droga do jeszcze wspanialszych marzeń byłaby szeroko otwarta.

Uchwalone zostało Prawo o Posiadaniu Własności Ziemskiej. Stanowiło ono, że wszelkie prawa przechodzą na administrację, a prawnie obowiązujące tytuły własności obecnych i przyszłych gospodarstw powinny zostać zakupione – przez Ziemian po cenie rynkowej, dla zarejestrowanych zaś mieszkańców chirońskich po symbolicznej; ustępstwo, które uważano za konieczne dla osłody. Zatrudnienie w ziemskich przedsiębiorstwach powinno pozwolić Chirończykom na zarobienie pieniędzy, by mogli kupić własne domy teraz, gdy rząd oświadczył, że jest ich właścicielem i był je gotów im odsprzedać. I mieli – jak oświadczono – powody, by być wdzięczni za to, nie musząc płacić cen, które nowo przybyłych Ziemian zmuszały do zaciągania pożyczek hipotecznych. Równocześnie, na mocy Prawa o Ruchu Cudzoziemców, Chirończycy spoza Phoenixa mogli tam uzyskiwać dostęp tylko po wyrobieniu sobie wiz, ograniczających ich działalność ekonomiczną wyłącznie do obejmowania płatnych posad lub działalności handlowej, opartej na oficjalnie uznanej walucie, po uzyskaniu odpowiednich zezwoleń, albo też do niezarobkowanych prac socjalnych. W ten sposób Chirończycy mieszkający w Phoenixie lub przebywający tam, przestawali być Chirończykami i problem rozwiązywał się sam przez się.

Naruszenie przepisów wizowych było karane permanentnym zakazem wstępu na terytorium. Chirończycy tam zamieszkali, którzy po trzydniowym okresie wyczekiwania nie podporządkowaliby się wymogowi rejestracji, mieli podlegać wysiedleniu i konfiskacie majątków, które po cenach preferencyjnych będą odprzedawane imigrantom z Ziemi.

Większość Ziemian nie miała wątpliwości, że Chirończycy w ogóle nie zwrócą na to wszystko uwagi i nie mogła sobie wyobrazić, jak Kalens mógłby zrealizować swe groźby. Musiał to być blef – ostatnia, rozpaczliwa zagrywka kliki, sądzącej, że będzie śnić wiecznie i silącej się, by utrzymać w całości ostatnie szczątki marzenia, rozpływającego się w świetle poranka.

zarejestrowane i w wieku uprawniającym do głosowania, otrzymały prawo do udziału w demokratycznych wyborach, przez co nadano Chirończykom prawo wybierania przywódców, których sobie nie życzyli, oraz obowiązek zaakceptowania tych, którzy w jakikolwiek sposób zostaliby powołani.

Wprowadzono własną walutę i ogłoszono ją za jedyny legalny środek płatniczy. Wszelkie towary wwożone do Phoenixa zostały obłożone cłem w wysokości różnicy między ceną ich nabycia i cenami obiegowymi ich ziemskich odpowiedników, plus dopłata importowa. Oznaczało to, że cokolwiek zyskało się we Franklinie, trzeba było w drodze powrotnej wpłacić rządowi Phoenixa. Fabrykanci ziemscy stracili w ten sposób dostęp do darmowych chirońskich surowców, uzyskali natomiast rynek przymusowy, którego rozpaczliwie potrzebowali, ponieważ ich wyroby nie cieszyły się większym popytem. Można było się spodziewać, że taki zamknięty rynek poważnie się rozszerzy, gdy zostanie zaanektowany cały Franklin.

Nie trzeba zaś było wiekiej przenikliwości, by się domyślić, że taki krok figuruje dość wysoko na liście zamierzeń Kalensa. Ziemscy przedsiębiorcy budowlani oraz przedstawiciele wolnych zawodów mieli mniej szczęścia, podnieśli więc ryk protestu, gdy Chirończycy wesoło i bezpłatnie nadal naprawiali prysznice, uczyli w szkołach i polerowali zęby pacjentom. Pośpiesznie ogłoszono dodatkową ustawę, która orzekała, że bezpłatne świadczenie usług jest nielegalne. W odpowiedzi na ten absurd sceptyczni dotychczas Ziemianie stali się cyniczni i zalali sądy – już i tak ledwie dyszące pod natłokiem setek Chirończyków, ustawiających się w uśmiechnięte kolejki, by zostać aresztowani – potopem pozwów przeciw wszystkim, którzy komukolwiek i jakiejkolwiek formie udzielili pomocy. Grupa zaś żon prawników zorganizowała własną akcję protestacyjną, ogłaszając taryfę honorariów za udzielanie względów małżeńskich.

Wybuchła szalejąca epidemia szmuglu, to zaś, co skonfiskowano, wkrótce wypełniło towarami całe magazyny. Władze nie miały odwagi dopuścić ich na rynek, a nie wiedziały, co z nimi robić dalej, gdyż Chirończycy odrzucili błagania ogłupiałego przedstawiciela akcyzy, by zabrali je z powrotem. Poza terytorium Phoenixa Chirończycy chętnie realizowali wszelkie prośby i zamówienia. Okazało się, że ziemskie firmy budowlane, które rozpoczęły roboty nad nowym kompleksem mieszkalnym, zatrudniają chirońskich robotników nie wykazując tego w księgowości; każdy zaś businessman był przekonany, że jego konkurenci oszukują i niewiele trzeba było czasu, by wszystkie posiedzenia obu izb Kongresu zmieniły się w dom wariatów, gdzie obrzucano się oskarżeniami i przeciwoskarżeniami o zakazaną spekulację, handel spod lady, zatrudnianie łamistrajków oraz wszelkie inne możliwe nadużycia.

W miarę, jak coraz więcej Ziemian uświadamiało sobie, że Phoenix nie jest enklawą stworzoną dla ich ochrony, lecz w najgorszym razie więzieniem, w najlepszym zaś samozwańczym zakładem psychiatrycznym, cynizm zmieniał się w bunt. Mieszkania pustoszały, coraz więcej ludzi znikało, a wycieczki do Franklina coraz częściej zmieniały się w podróże jednokierunkowe. Zaczęto wydawać paszporty i ograniczać podróże, ale posterunki graniczne pozwalały przechodzić swobodnie Chirończykom, nie wiedząc, którzy z nich są mieszkańcami, a którzy nie, ponieważ ani jeden się nie zarejestrował. Poza tym strażnicy już się przestali przejmować; zwyczaj odwracania głowy stał się wśród nich nagminny, a coraz ich więcej było nieobecnych na posterunkach, gdy przychodziła zmiana. Wydano więc rozkaz przydzielający do każdego oddziału wartowniczego przynajmniej po jednym „S"-manie. Skuteczność tego w wielkiej mierze została zmniejszona, gdy z dnia na dzień pojawiła się sieć chirońskich ochotników, pomagających Ziemianom w ucieczce przed ziemskimi strażami.

Dyfuzja przez błonę wokół Phoenixa wytworzyła ciśnienie osmotyczne, które z „Mayflower II" wysyłało na dół coraz więcej ludzi. Wkrótce też pojawił się niedobór rąk roboczych, co uniemożliwiało statkowi podtrzymywanie stałego dopływu zaopatrzenia na powierzchnię planety. Zakłopotani urzędnicy Phoenixa byli zmuszeni zwrócić się do Chirończyków o żywność i inne podstawowe produkty, za które upierali się płacić, choć wiedzieli, że na stronie chirońskiej nie istnieje żadna waluta. Chirończycy pobłażliwie przyjmowali proponowane im skrypty dłużne i nie zmieniali swych zwyczajów, pozostawiając Ziemianom troskę o to, jak ich administracja ma sama sobie płacić cło wwozowe.

Nikt już nie wspominał o aneksji Franklina. Szanse wyboru Howarda Kelansa na stanowisko, umożliwiające kontynuowanie tej farsy, spadły do zera. Paul Lechat zaś, widząc, że to co się dzieje, jest tylko

ludności szans osiedlenia się bez wpływów działających odśrodkowo, jak i ekstremistom możliwości ochłonięcia i przemyślenia sytuacji.

Fulmire poparł ten pomysł i oświadczył, że jest przekonany, iż wielu ludzi zaczyna myśleć w podobny sposób, co z kolei wywołało u Lechata myśl utworzenia oficjalnego ruchu Separatystów i uzyskania w ostatniej chwili nominacji na kandydata w wyborach. Wkrótce potem rozpoczął sondaże możliwych źródeł poparcia, a że jego zainteresowania wyrobiły mu dobre stosunki z większością zawodowych naukowców Misji, oni właśnie znaleźli się na czele listy potencjalnych zwolenników. Należał do nich Jerry Pernak, którego badaniami Lechat interesował się od wielu lat. Dlatego też Lechat zaprosił Pernaka i Ewę Verritty na kolację u Françoise – w restauracji w Dystrykcie Kolumbia, odwiedzanej głównie przez polityków oraz zawodowców z kręgu środków masowej informacji i tam wyłożył im swoją sytuację.

*

– Nie sądzę, by to mogło mieć powodzenie – powiedziała Pernak potrząsnąwszy głową, gdy Lechat skończył. – Ale to samo dotyczy wszystkiego, o czym się tu na górze krzyczy. Jeszcze nie zrozumieli, że nic z tego, z czym są zaznajomieni, nie da się zastosować na Chironie. To jest całkiem nowe zjawisko, rządzące się własnymi, nowymi prawami.

– Co chcesz przez to powiedzieć, Jerry? – zapytał Lechat, gdy siedzieli przy stole. Był człowiekiem szczupłej budowy ciała, średniego wzrostu, zbliżającym się do pięćdziesiątki, z rzednącymi już włosami i suchą, różowawą cerą. Miał skłonność do czerwienienia się na nosie i policzkach, co mogłoby być uważane za oznakę gwałtownego temperamentu, czemu jednak całkowicie zaprzeczał jego łagodny głos i spokojny charakter.

Pernak na wpół uniósł rękę, a jego ruchliwe rysy przybrały wyraz zwiększonego napięcia.

– Mówiliśmy długo i szeroko o społeczeństwie przechodzącym zmiany fazowe, które zapoczątkują całe nowe epoki rozwoju społecznego – powiedział. – No więc dokładnie to właśnie nastąpiło tam w dole. Nie można ekstrapolować żadnej z naszych zasad dla tej kultury. Nie mają zastosowania. Nie nadają się dla Chirona.

Lechat nie od razu odpowiedział. Ewa Verritty rozwinęła myśl: – Przez trzy wieki z uporem staraliśmy się pogodzić stare idee podziału bogactw z nowym sposobem działania wysoko rozwiniętej technologii. Zawsze problem stanowiło to, że tradycyjny system uwarunkowywania ludzi, by byli przekonani, iż nie do uniknięcia jest zjawisko ograniczonych środków, przechodził z pokolenia na pokolenie jako niekwestionowana mądrość potoczna, aż w końcu zaczął być uważany za niepodważalną prawdę. Bogactwo zawsze było czymś, o co trzeba współzawodniczyć i walczyć. Kiedy niewolnictwo i obszar terytorialny stały się przestarzałymi czynnikami wobec tego, że głównym źródłem bogactwa stała się technika, walczyliśmy o jej posiadanie tak, jak poprzednio walczyliśmy o wszystko inne, a wszyscy myśleli, że jest to nieuniknione i naturalne. Nie umieli oddzielić starych teorii od nowych faktów. – Ewa wypiła łyk wina ze szklanki, po czym kontynuowała. – Ale Chirończycy, dorastając, nigdy nie byli poddani takiemu praniu mózgów. Nauka i rozwinięta technika, które ich otaczały i od początku były uważane za coś oczywistego, zapewniły im prosty start. I zrozumieli, że nowe technologie zapewniają nowe źródła zasobów... nieograniczonych.

Lechat patrzył z namysłem na swój talerz, równocześnie kończąc przeżuwać kęs potrawy. – Mówisz tak, jakby każdy z nich był milionerem – skomentował wypowiedź Ewy.

– Bo dokładnie tak jest – oświadczył Pernak. – W każdym razie w sensie materialnym. Dlatego własność nie ma dla nich żadnej wartości jako źródło statusu społecznego, o niczym nie świadczy. I z tego samego powodu nie znajdziesz tam w dole żadnych absolutnych przywódców.

– Jak to możliwe? – spytał zdumiony Lechat.

– Czemu ludzie popierają przywódców? – odpowiedział Pernak. – By stworzyć kolektywną siłę. A po co im kolektywna siła? Ponieważ w ostatecznym rachunku siła kontroluje bogactwa i narzuca idee. A po cóż by rasa milionerów potrzebowała przywódców, jeśli już posiada wszelkie dobra materialne, jakich chce, a nie jest zainteresowana w narzucaniu komukolwiek idei, ponieważ nikt jej tego nigdy nie uczył? Chirończycy nikogo nie popierają. Nie ma nic, co by ich mogło zastraszyć. Nie możesz tam na dole rozpocząć żadnej krucjaty, ponieważ nikt nie zwróci na to uwagi.

Lechat, nadal jedząc, zastanawiał się. Sam miewał podobne myśli, a jednak nie był w stanie jasno wyobrazić sobie, by rozwinięta kultura, nawet jeśli nie musiała tworzyć systemów obronnych, mogła skutecznie funkcjonować bez żadnych ograniczeń konsumpcji. Sprzeciwiało się to wszelkim zasadom, jakie przez całe życie w niego wpajano.

Ale właśnie gdy tak myślał, przypominały mu się słowa Ewy o praniu mózgów. Owszem, był gotów przyznać, że poddano go takiej samej obróbce jak wszystkich i że z tego powodu nie był w stanie oddzielić myślowo bogactwa i pozycji społecznej od materialnego stanu posiadania. Ale nawet, jeśli dostatecznie rozwinięte społeczeństwo może dostarczyć swym członkom towarów w takiej obfitości, że reglamentacja traci wszelki sens, nie mogło się to z pewnością równać nieograniczonemu bogactwu. Samo to pojęcie niosło w sobie wewnętrzną sprzeczność, gdyż „bogactwo" z samej definicji oznacza coś wysoko cenionego i o ograniczonej podaży. Innymi słowy, jeśli na Chironie posiadanie nie równało się bogactwu i wobec tego nie zaspakajało uniwersalnego ludzkiego dążenia, by być ocenianym jako człowiek sukcesu, to co mogło stanowić podstawę takiej oceny?

– Do pewnego stopnia rozumiem twoje zastrzeżenia – powiedział wreszcie Pernak. – Ale ludzie nadal gromadzą własność na długo po tym, jak przestała ona służyć jakimkolwiek celom materialnym, ponieważ zaspokaja ona także potrzebę uznania.

– To bardzo prawdziwe – zgodziła się Ewa.

Lechat był zdziwiony. – Ależ to właśnie mówiłem. Jak więc Chirończycy zaspokajają tę potrzebę?

– Już wyjaśniłeś ten punkt – odpowiedziała mu Ewa. Przez parę chwil przyglądała się wyrazowi jego twarzy, aż w końcu uśmiechnęła się. – Jeszcze tego nie chwytasz, prawda, Paul?

Pernak czekał jeszcze dłuższą chwilę, aż na koniec odłożył widelec i pochylił się nad stołem. – Na Chironie bogactwem jest f a c h o w o ś ć ! – oświadczył. – Czy nie zauważyłeś – pracują ciężko, a cokolwiek robią, robią tak dobrze, jak tylko można – i póki to co robią jest *dobre,* nie ma znaczenia co to jest. I wszyscy to wysoko cenią. To jest właśnie ich waluta – u z n a n i e , jak sam powiedziałeś... uznanie dla fachowości. – Wzruszył ramionami i rozłożył ręce. – I to jest bardzo mądre. Przed chwilą nam powiedziałeś, że wszyscy odczuwają taką potrzebę. No więc Chirończycy zaspokajają ją bezpośrednio, zamiast robić to za pośrednictwem symboli. Po co komplikować sobie życie?

Dla Lechata myśl ta była zbyt niezwykła, by mógł się do niej od razu ustosunkować. Zwracał wzrok od Pernaka do Ewy i z powrotem, wreszcie odłożył widelec na talerz i rozsiadł się na krześle, by ją przetrawić.

– Kiedy widziałeś na Chironie jakikolwiek bubel... drzwi nie pasujące do futryny albo motor, który nie chce zapalić? – zapytała go Ewa. – Czy kiedykolwiek i gdziekolwiek spotkałeś tu coś podobnego? W porównaniu z nimi to, co my mamy, wygląda jak szmelc. Byłam wczoraj na pokazie handlowym, zorganizowanym we Franklinie przez niektóre nasze spółki w ramach badań rynku. Chirończycy myśleli, że to jakiś żart. Powinieneś był tam widzieć ich dzieci, były przekonane, że nasze idee co do projektowania i wytwarzania są wręcz zabawne. Nasi chłopcy musieli się z tego wycofać jako z kompletnego niewypału.

– W ten sposób się bogacą – rzekł Pernak. – Będąc dobrymi w swojej specjalności i stając się jeszcze lepszymi. Tylko wariat mógłby robić byle co i pozostawać ubogim z wyboru.

– To znaczy zyskując dobrą reputację, czy coś w tym rodzaju? – spytał Lechat, którego to wszystko zaczynało intrygować.

– To część sprawy – potwierdził skinieniem głowy Pernak. – Drugą częścią jest satysfakcja, jaką odczuwają dzięki uwarunkowaniom kulturowym. Ale zaczynasz chwytać całość zagadnienia.

Lechat znów wziął widelec do ręki. – Nigdy na to nie patrzyłem w ten sposób. To ciekawa myśl. – Znowu zabrał się do jedzenia, przerwał i spojrzał na nich. – Przypuszczam, że na tej drodze ich pierwsze pokolenie początkowo poszukiwało indywidualnego uznania... gdy całą robotę wykonywały maszyny, a nasze tradycyjne pojęcie bogactwa nie miało żadnego znaczenia. A potem to zostało włączone do podstaw ich sposobu myślenia. – Pokiwał wolno głową do własnych myśli i dalej snuł refleksje. – Zupełnie odmienny sposób warunkowania, wchłonięty od najmłodszych lat... oparty na uznawaniu walorów osobistych. To by także tłumaczyło nieistnienie jakichkolwiek przesądów grupowych, prawda? Nigdy nie mieli powodu, by się czuć zagrożeni przez inne grupy.

woskowo-biała. Przełknął ślinę i patrzył tępo przed siebie. Spojrzenie Chirończyka szybko przemknęło po jego twarzy. – Ktoś, kogo znałeś?

Colman kiwnął sztywno głową. – Już pewien czas temu, ale...

Chirończyk przyglądał mu się jeszcze chwilę dłużej, a potem cicho odchrząknął. – To nie myśmy zrobili – powiedział. – Gdyśmy im powiedzieli, że są w potrzasku, niektórzy z nich zaczęli strzelać. Pięcioro próbowało uciec, machając białą koszulą na znak, że chcą wyjść. Wstrzymaliśmy ogień, a wtedy tamci strzelili im w plecy, gdy biegli do nas. Ona była w tej piątce. – Chirończyk na chwilę odwrócił głowę i splunął na ziemię w cieniu samolotu. – Następnie połowa z paczki, która została, rozpoczęła strzelaninę z drugą połową – może z powodu tego, co zrobili, a może dlatego, że sami chcieli stamtąd wyjść – i na koniec zostało ich tylko trzech czy czterech. Nie ruszyliśmy palcem. Padawski był wśród nich i paru innych, równie wrednych i pomylonych. Nie zostawili nam wiele do roboty.

*

Później tego wieczoru Colman rozmyślał o Anicie, którą przywieziono z powrotem w worku na zwłoki, ponieważ wolała trzymać się pomyleńca, zamiast użyć własnego rozumu dla decydowania o własnym życiu. Chirończycy – pomyślał – nie oglądają własnych dzieci, przynoszonych do domów w workach na zwłoki; nie uczą ich też, że zaszczytnie jest umierać za upartych starców, którzy nigdy w życiu nie oglądali wylotu lufy. Nie wysyłali ich także daleko, by były tysiącami wyrzynane, broniąc szaleństw innych ludzi. Chirończycy nie walczyli w ten sposób.

Dlatego Colman nie miał cienia wątpliwości, że Chirończycy nie mają nic wspólnego z zamachami bombowymi. Rozmawiał o tym z Kath, a ta zapewniła go, że żaden Chirończyk by się na to nie zgodził. Oczywiście było to tylko przekonanie, wierzył jednak, że Kath zna i mówi prawdę. Colman instynktownie wiedział, że Chirończycy zareagują na sprawę Padawskiego jak zareagowali – swoiście, oszczędzając wysiłku i z chirurgiczną precyzją, by nie ucierpieli niewinni.

Bo tak właśnie walczyli. Przyglądali się, jak ich przeciwnicy słabli pojedynczo czy po kilku i czekali na pozostałych, by rzucili się sobie do gardeł i wykończyli. I wtedy dopiero wkraczali.

Zrozumiał, że przyglądali się i czekali, gdy to samo działo się z Misją „Mayflowe II". Kiedy i w jaki sposób wkroczą? A gdy to zrobią – pomyślał – po której on znajdzie się gronie?

Rozdział XXVII

Sposób, w jaki Chirończycy załatwili sprawę Padawskiego oraz to, że nie zareagowali w jakiejkolwiek zorganizowanej formie na wybuch histerii wśród Ziemian, wywołały prawie powszechne przekonanie, że nie można obciążać Chirończyków winą za zamachy bombowe. Ale Ziemianie unikali wyciągania z tego oczywistych logicznych wniosków. Jednak poczucie winy i niemałego wstydu, które się u wielu pojawiło, izolowało ekstremistów od większości Ziemian. Stosunki z Chirończykami szybko powróciły do normy. Ale lawina, którą wywołały wydarzenia, ruszyła i w pięć dni później ogłoszono oficjalne ustanowienie Terytorium Phoenix.

Phoenix, o powierzchni nieco ponad cztery mile kwadratowe, z nieregularną linią graniczną, obejmował większość Canaveral City wraz z centrum miasta i koszarami, otaczające je przedmieście mieszkalne, jak Cordova Village, w której mieszkali głównie Ziemianie, oraz pewną liczbę zakładów przemysłowych, handlowych i publicznych, dobranych tak, by utworzyć zalążek samowystarczalnej społeczności. Ponadto przewidziano do późniejszej aneksji i zabudowy dziesięć mil kwadratowych otwartych w większości terenów, od strony przeciwległej Franklinowi. Chirończykom, korzystającym z linii maglewu między Franklinem i półwyspem Mandela zagwarantowano prawo tranzytu, w zamian za to zaś Phoenix zażądał korytarza do bazy promowej, która odtąd miała być wspólnym przedsiębiorstwem ziemsko-chirońskim.

Przy bramach na granicy postawiono punkty kontrolne, między bramami zaś płoty i bariery, wzdłuż których krążyły uzbrojone patrole. Ogłoszono, że wewnątrz granic panuje prawo ziemskie, zakazano posiadania broni bez zezwolenia, stałym mieszkańcom polecono się zarejestrować. Wszystkie osoby

Marcia Quarrey podniosła wówczas kwestię oddzielnego gubernatora, odpowiedzialnego przed Wellesleyem, lecz rezydującego na powierzchni planety w enklawie, dla administrowania jej sprawami. Sugerowała, że być może podział władzy między członków Dyrektoriatu, znajdujących się o dwadzieścia tysięcy mil na statku, przyczynił się do trudności, których doznawano od chwili lądowania, a delegowanie jej jednej osobie, mającej tę przewagę, że będzie znajdować się na miejscu, zapobiegnie wielkiej ilości błędów. Wniosek zyskał pozytywne opinie i Quarrey zaproponowała Sterma, zastępcę Dyrektora, na to stanowisko. Sterm jednak uchylił się od kandydowania z uzasadnieniem, że znaczna część zadań gubernatora będzie dotyczyła działań dyplomatycznych, związanych ze stosunkami ziemsko-chirońskimi, a ponieważ istniała już funkcja Dyrektora Łączności, który za to odpowiadał, rozsądnym sposobem uniknięcia ewentualnych konfliktów byłoby połączenie obu funkcji. Dlatego wysunął kandydaturę Kalensa, Quarrey ją poparła i wniosek przyszedł w głosowaniu znaczną większością.

I tak zdecydowano, że pierwsze przedłużenie nowego Amerykańskiego Ładu zostanie oficjalnie proklamowane na planecie Chiron, a Howard Kalens zostanie jego realizatorem. Zdobył pierwszy punkt oparcia dla swego imperium. – To tylko początek – powiedział Celii tej samej nocy. – Za dziesięć lat będzie to stolica całego świata. Gdy mam za sobą poparcie całej armii, jak może mnie teraz zatrzymać hałastra łobuzów, uzbrojonych tylko w ręczną broń?

*

Tej samej nocy, na skraju oświetlonego reflektorami lądowiska koło koszar wojskowych w Canaveral, Colman stał z oddziałem z kompanii „D", milcząco śledząc zbliżanie się chirońskiego transportera, który mniej niż dwadzieścia minut temu wystartował z przeciwległego brzegu Morza Śródchirońskiego. Obok niego stał Sirocco, zaś generał Portney, pułkownik Wesserman i kilku oficerów stało w grupie parę jardów przed nimi.

Samolot miękko wylądował. Rozsunęły się do połowy podwójne drzwi od strony oczekujących. Wysoki, zwalisty, rudobrody Chirończyk, ubrany w ciemną wiatrówkę z kapturem, ściągniętą pasem wyskoczył ze środka, po nim zaś drugi, podobnie ubrany, lecz bardziej szczupły i zwinny. Zapaliło się światło w kabinie, ukazując jeszcze kilka postaci. Równo ułożono za nimi na podłodze leżały dwa rzędy plastykowych pakunków wielkości śpiworów.

Oficerowie zamienili z Chirończykami kilka słów, zaś Portney i Wesserman zbliżyli się do samolotu, by obejrzeć wnętrze. Po kilku sekundach Portney kiwnął głową, po czym zwrócił ją do tyłu i skinął na Sirocco. Ten dał znak ręką i jedna z dwóch oczekujących karetek podjechała do chirońskiego samolotu. Dwóch żołnierzy otworzyło tylko drzwi. Czterech innych weszło do kabiny i zaczęło wynosić ciała. Przy każdym wynoszonym worku ze zwłokami Sirocco na chwilę uchylał jego brzegu, zaś adiutanat porównywał twarz z portretem na ekranie kompaka, drugi zaś sprawdzał numer na identyfikatorze według listy, którą trzymał w ręku. Następnie trupy przenoszono do karetki.

Uciekło ogółem dwadzieścia cztery osoby; dziewięć poddało się lub zostało zabitych w starciach z Chirończykami. Anity wśród nich nie było. Worków na zwłoki było, jak policzył Colman, piętnaście; musiała się więc znajować w jednym z nich.

Przyjrzawszy się makabrycznemu rytuałowi przez kilka minut, Colman zwrócił następnie uwagę na rudobrodego Chirończyka, który stał niewzruszony, prawie tuż przy nim. Wyglądał na niemal trzydzieści lub niewiele ponad trzydzieści lat, ale jego twarz miała rysy człowieka starszego i nawet w bladym świetle reflektorów wyglądała na opaloną i rumianą. Miał jasne, błyszczące, żywe oczy, ale nie zdradzały one nic z jego myśli. – Jak to się stało? – wyszeptał Colman, zbliżając się o krok.

Chirończyk nie odwracając głowy odpowiedział niskim, powolnym, przeciągłym głosem. – Tropiliśmy ich przez dwa dni, a gdy było nas na miejscu dosyć, otoczyliśmy ich półkręgiem, a inna grupa wylądowała za nimi za grzbietem górskim, by odciąć im drogę. Gdy przeszli do wąwozu, zamknęliśmy oba wyjścia strzelcami i daliśmy im znać, że jesteśmy. Daliśmy im wszystkie szanse... powiedzieliśmy, że jeśli wyjdą spokojnie, oddamy ich wam. – Chirończyk na chwilę pochylił głowę i westchnął. – Widać niektórzy ludzie nigdy nie mogą zrozumieć, że muszą się poddać.

W tym momencie Sirocco uniósł kolejny brzeg worka; wewnątrz Colman ujrzał twarz Anity. Była

– Bo nigdy nie mieli arystokratycznych rodziców, których przesądów musieliby się dopiero pozbywać – uzupełnił Pernak. – Klasy, stopnie służbowe, biali, czarni, Sowieci, Chińczycy... to dla nich wszystko jedno. Nie dbają o to. Tylko ty masz znaczenie.

– I niezależnie od tego, czy zdarzyło się tak planowo, czy przypadkowo, udało im się rozwiązać całą masę innych problemów – włączyła się Ewa. – Weźcie na przykład przestępczość. Kradzież i zachłanność są niemożliwe, bo w jaki sposób można starać się ją udawać, ale to z ludźmi tak spostrzegawczymi jak Chirończycy długo nie potrwa. Umieją tak szybko zauważyć szarlatana, jak my spostrzec, że w sklepie wydano nam za mało reszty. I dla nich rzeczywiście to jest równoznaczne. Mieli w swych dziejach chwile przemocy, ale nic tak strasznego, jak to, co do nas dochodzi w telegramach o Afryce albo co się zdarzyło w roku 2021. I nigdy nie wynikają z tego duże problemy. Nikt nie ma motywacji, by poprzeć przypuszczalnego Napoleona. Nie miałby przecież do zaofiarowania niczego, co ludzie potrzebują.

Po nowej krótkiej ciszy Lechat powiedział: – To dziwny system walutowy, nieprawdaż? Mam na myśli, że w ogóle nie kumulatywny ani zgodny z regułami arytmetycznymi. Możesz zapłacić wszystko, coś winien i ciągle nie stajesz się przez to uboższy. To wygląda – naprawdę nie wiem – ale jakoś niemożliwie.

– Bo to nie należy do zakresu arytmetyki skończonej – potwierdził Pernak. – A czemu miałoby należeć? Nasze idee na temat waluty opierają się na jej pokryciu w jakimś ustalonym mierniku wartości, ponieważ tylko taki system znaliśmy. Pokryciem w złocie waluty Chirończyków jest potęga ich rozmu, którą uważają za zasób niewyczerpywalny. Dlatego ich księgowość opiera się na rachunku nieskończoności. Odejmij cokolwiek od nieskończoności i zawsze pozostanie jako reszta nieskończoność. Ja wiem, to dla nas brzmi po wariacku, ale to się zgadza z ich sposobem myślenia.

– To na pewno rzuca na wszystko nowe światło – zgodził się Lechat. Znów się rozparł, spojrzał na jedno, na drugie i zrezygnowany rozłożył ręce. – Więc wynika z tego, że w sprawie, o której mówiliśmy nie będę miał waszego poparcia?

– To nie jest prywatna sprawa, Paul. Uważamy, że jesteś wspaniałym facetem... – Pernak zmarszczył brwi i westchnął przepraszająco. – Po prostu nie sądzę, by na dłuższą metę Separatyzm dawał odpowiedź na cokolwiek. Uczciwie mówiąc – nie sądzę, by Kongres naprawdę przetrwał jeszcze długo. Dla planety tam w dole to już jest wykopalisko.

– Może to i prawda, ale na dalszą metę – odparł Lechat. – Bardziej mnie martwi to, co się może stać na krótszą. Potrzebuję pomocy, by coś z tym zrobić.

– Te metody były na miejscu przed zmianą fazową – odpowiedział Pernak. – Teraz nie ma na nie miejsca.

– Jaki inny sposób istnieje? – spytał Lechat.

Pernak wzruszył ramionami. – Po prostu pozwolić temu systemowi umrzeć własną śmiercią.

– Może nie chcieć umrzeć tak łatwo – zwrócił uwagę Lechat. – Powienieneś był posłuchać tego, co działo się o parę bloków stąd, właśnie w pokoju, z którego tu przyszedłem.

– Niczego nie zatrzymają, Paul – powiedział Pernak. – Stanęli przeciw siłom napędowym rozwoju. Kant miał ten sam problem.

– Masa ludzi może ucierpieć, zanim oni porzucą swą myśl – obstawał Lechat.

Pernak zmarszczył czoło, wydął wargi, a potem wyszczerzył zęby. – To niech ta masa zatroszczy się o własną przyszłość, zamiast czekać, że ktoś inny przygotuje ją dla niej. Tak było dawniej. Ludzie muszą się nauczyć myśleć po chirońsku. – Po chwili wahania dodał: – To właśnie mamy z Ewą zamiar zrobić.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał Lechat, choć w tym samym momencie znał już odpowiedź.

Pernak rzucił Ewie przelotne spojrzenie. Wzięła go pod ramię, ścisnęła je uspokajająco i uśmiechnęła się. Oboje spojrzeli na Lechata. – To samo, co zrobią wszyscy inni, gdy zrozumieją jak to jest – odpowiedział Pernak. Uśmiechnął się niemal przepraszająco. – Dlatego nie będziemy mogli wiele ci pomóc, Paul. Widzisz, my stąd wyjeżdżamy.

– Rozumiem... – Lechat nie mógł udawać, że jest tak zdziwiony, jak byłby jeszcze dziesięć minut wcześniej.

Pernak zamachał rękami. - Obejrzałem sobie ten ich uniwersytet i to, co się tam robi. Nie uwierzyłbyś. A jeśli zechcę, mam tam już gotowe stanowisko i to tylko z tego powodu, że ludzie, którzy tam już pracują, powiedzieli, że tak będzie w porządku. Dostaje się dom, za nic... dobry dom. Albo zbudują ci taki, jaki zechcesz. Jak można odmówić? Będziemy Chirończykami. I tak będzie ze wszystkimi, gdy tylko otrząsną się z przeżyć podróży. A wtedy ludzie tacy jak Kalens mogą wrzeszczeć ile chcą, ale co będą mogli zrobić, gdy nie zostanie nikt, kto zwróciłby na to uwagę? Jest tak, jak mówiłem - trzeba zacząć myśleć po chirońsku.

- Ale oni nadal mają Armię... i całą masę paskudnego żelastwa tutaj w górze - przypomniał mu Lechat.

Przez twarz Pernaka przeleciało kilka grymasów, po czym znowu westchnął. - Wiem. O tym także myślałem, ale co tutaj może się zdarzyć, co by wywołało rzeczywiste kłopoty? Nim się to wszystko skończy, może nastąpić jakiś mały wybuch czy dwa, ale tak dłużej być nie może. - Potrząsnął głową. - Jesteśmy przekonani, że istnieje tylko ta jedna droga. Nie możemy decydować za innych, ale oni przyłączą się we właściwym czasie. Jakikolwiek inny sposób może tylko spowodować jeszcze gorsze problemy.

Lechat niechętnie potwierdził ruchem głowy. - No cóż, wygląda, że jest to wasze ostatnie słowo.

Pernak rozłożył ręce i też potwierdził gestem. - Tak. Przykro nam i tak dalej, Paul, ale jest jak jest.

Lechat patrzył jeszcze na nich przez parę chwil, po czym wyprostował się i zdobył na uśmiech. - No cóż, co można na to powiedzieć? Życzę szczęścia wam dwojgu. Mam nadzieję, że wszystko dobrze wypadnie.

- Dziękuję - odpowiedział Pernak.

- A ja mam nadzieję, że pozostaniemy nadal przyjaciółmi i będziemy w kontakcie - powiedziała Ewa.

- Możesz na to liczyć - odrzekł Lechat.

W tym momencie kelner zaczął sprzątać półmiski, szykując stół do następnego dania. - Słyszeli państwo wiadomości z powierzchni? - zapytał, ustawiając talerze i strzepując ręką parę okruszyn chleba do ściereczki.

- Wiadomości? - spojrzał na niego zdziwiony Lechat. - Kiedy? Jesteśmy tu już od godziny. Do tej chwili nie było nic szczególnego.

- Nadano je kwadrans temu - powiedział kelner. Potrząsnął głosą ze smutkiem. - Złe wieści. Była strzelanina tam w dole... gdzieś we Franklinie. Przynajmniej jeden zabity - jeden z naszych żołnierzy, o ile wiem. To było w jakimś lokalu, zwanym „Dwa Księżyce".

Rozdział XX

Podziemny bar w „Dwóch Księżycach" uspokoił się po krótkim zamieszaniu, które nastąpiło po strzelaninie, chociaż potrzebny był jeszcze dłuższy czas, by sytuacja stała się zbliżona do normalnej. Colman i Kath stali po jednej stronie sali wraz z innymi, którzy zeszli z góry, przyglądając się w milczeniu, jak major z oddziału „S" odbierał zeznania od Chirończyków, którzy byli przy tym obecni. Inni Chirończycy siedzieli lub stali naokoło, przyglądając się lub rozmawiając między sobą cichymi głosami. Wyglądało, że podchodzą do sprawy dość spokojnie, włącznie z dwiema ładnymi dwudziestolatkami i mężczyzną, którzy brali w tym bezpośredni udział, a teraz siedzieli w grupie przyjaciół pod uważnymi spojrzeniami dwóch „S"-manów. Ciało kaprala Wilsona z kompanii „B", który przyszedł tu wraz z bandą Padawskiego, już zabrano. W głębi, w kącie szeregowiec Ramelly, z tego samego plutonu co Wilson, siedział z nogą opartą na krześle i nogawką rozciętą z jednej strony, podczas gdy wojskowy sanitariusz kończył opatrywać i bandażować ranę od kuli na jego udzie. Na środku baru dwóch Chirończyków zmywało krwawe plamy z podłogi i usuwało potłuczone szkło. Ponury Padawski siedział wraz z resztą swej grupy, otoczony jeszcze większą liczbą „S"-manów, Anita zaś, blada i wstrząśnięta, stała opodal.

Pierwsze, co usłyszał Colman i jego towarzystwo, był strzał na dole, po którym nastąpiły okrzyki przerażenia i jakieś trzaski, po czym drugi strzał. W parę sekund później, gdy wbiegli do podziemnego baru, Wilson był już martwy, zabity strzałem między oczy, a Ramelly leżał na ziemi, z krwią tryskającą z

Na pośpiesznie zwołanej sesji Kongresu Howard Kalens ponownie potępił politykę Wellesleya „skandalicznego pobłażania temu, co na koniec ujawniło się jako anarchia terrorystyczna i bandytyzm" i zażądał ogłoszenia stanu wyjątkowego. W burzliwej debacie Wellesley twardo obstawał przy zdaniu, że chociaż wydarzenia były zatrważające, nie stanowiły generalnego zagrożenia, porównywalnego z możliwymi wypadkami podczas lotu, których właśnie dotyczyło postanowienie o stanie zagrożenia; nie usprawiedliwiały więc odwołania się do tak skrajnych środków. Ale Wellesley musiał zrobić coś, co by uciszyło dochodzące ze wszystkich stron wrzaski o podjęcie działań zabezpieczających Ziemian na powierzchni planety.

Paul Lechat ponownie wystąpił z projektem Separatyzmu i przez chwilę, gdy lobby handlowe opuściło obóz Kalensa, zdawało się, że uzyska poparcie większości. Ale nastroje chwili nie działały na korzyść Lechata i Borfontein natychmiast storpedował jego wniosek zjadliwym opisem sytuacji Ziemian, pozwalających się przepędzać na całej planecie, jak żebracy od kuchennych drzwi. Ramisson, który stał na czele ruchu na rzecz niezakłóconej integracji Ziemian z systemem chirońskim, wniósł o powściągliwość w rozstrzygnięciach, ale w oczywisty sposób zdawał sobie sprawę, że nastroje są przeciw niemu i przemawiał bardziej dla zadowolenia oczekiwań swoich zwolenników, niż z przekonania, że mógłby wywrzeć jakikolwiek wpływ na sytuację. Zgromadzenie sumiennie go wysłuchało, pozostawiając wniosek bez rozpatrzenia.

Na koniec Kalensowi udało się uzyskać powszechne poparcie dla prozycji formalnego ogłoszenia enklawy ziemskiej w Canaveral City, z wyraźnie oznaczonymi granicami, wewnątrz których zostanie ogłoszone i będzie obowiązywać prawo ziemskie. Projekt co do Iberii - odpowiedział Lechatowi - wymaga miesięcy dla realizacji, natomiast problemem domagającym się natychmiastowego rozwiązania jest bezpieczeństwo Ziemian. A w żadnym wypadku nie mógłby on zostać zrealizowany bez upoważnienia ze strony wyborców. Enklawa zachowa nienaruszoną, działającą i spójną wewnętrznie społeczność, która później, jeśli wyniki wyborów będą na to wskazywać, może zostać przeniesiona. Wobec tego enklawa stanowiła tak wielki krok w kierunku proponowanym przez Lechata, jakiego tylko można było dokonać, zachowując realizm w chwili obecnej. Lechat został zmuszony do zgodzenia się z tym przynajmniej do pewnego stopnia i poczuł się zobowiązany do udzielenia poparcia.

Było jasne, że od pewnego już czasu Kalens rozpracowuje szczegóły swego planu. Odzyskał poparcie lobby handlowego proponując, by chirońska „ekonomika przedszkolaków" miała zakazany dostęp do enklawy, zaś poparcie wolnych zawodów zdobył planem, by wszelka wymiana towarów i usług w enklawie następowała w specjalnej walucie, gwarantowanej przez bank „Mayflower II". Chirończycy, którzy mieszkaliby i pracowali wewnątrz zakreślonych granic, mieliby swobodę przekraczania ich oraz stałego zamieszkania, jeśliby sobie tego życzyli, pod warunkiem, że uznają i będą przestrzegać praw ziemskich. Jeśli zaś nie, zostaną do tego zmuszeni, jak wszyscy inni mieszkańcy. Gdyby zaś integralność enklawy została zagrożona przez działania wywrotowe z zewnątrz, będzie ona broniona jako terytorium narodowe.

Wellesley, wyrażając na to wszystko zgodę, był zaniepokojony, ale znalazł się w trudnej sytuacji. Po wycofaniu się i odstąpieniu od wniosku o ogłoszenie stanu wyjątkowego, Kalens objawił się jako rzecznik rozsądnego kompromisu, Wellesley zaś dopiero później zrozumiał, że zapewne Kalensowi dokładnie o to chodziło. Nie miał też dobrej odpowiedzi na uwagę Kalensa, że jeżeli nie zrobi się czegoś w związku z dezercjami, Wellesley może zakończyć swą kadencję z wątpliwym zaszczytem prezydowania nad pustym statkiem - dezercje były solą w oku Wellesleya tak samo, jak wszystkich.

To zaś łączyło się ze sprawą, która w rzeczywistości kryła się za tym wszystkim. Nie sformułowana myśl, do której Kalens zrobił aluzję i która poruszyła wszystkich, choć niewielu przyznałoby się do tego otwarcie, brzmiała, że cała konstrukcja społeczna, na której trzymały się wszystkie interesy, groziła rozpadem i że rzeczywistą rolą enklawy o określonych granicach miało być nie tyle odstraszanie chirońskich terrorystów od wchodzenia do niej, ile Ziemian od jej opuszczania. Teraz, gdy Kalens miał odwagę na tyle zbliżyć się, na ile się tylko dało do wypowiedzenia tego, co każdy z nich miał ukryte w sercu, wszystkie lobby i frakcje stanęły za nim murem i Wellesley zdawał sobie z tego sprawę. Udzielił więc mu poparcia i wniosek przeszedł niemal jednomyślną uchwałą.

Masę czasu spędziłem na lekturach o tym systemie słonecznym i jego planetach, a gdy zacząłem się przyglądać Remusowi na tym obrazku, zobaczyłem, że jest tu coś dziwnego. – Jay pokazał palcem gładki obszar na powierzchni Remusa, wciśnięty między dwie wyraźnie ciemniejsze formacje, prawdopodobnie duże kratery. – Byłem pewien, że na najnowszych zdjęciach, które oglądałem, pochodzących z chirońskiego komputerowego banku danych, te dwa kratery połączone są z trzecim w miejscu, gdzie jest ten gładki obszar... wielkim kraterem, paręset mil średnicy. Sprawdziłem to i okazało się, że mam rację – jest tam wielki krater, a rok temu go nie było.

Zrozumiawszy, co Jay chce przez to powiedzieć, Bernard zmarszczył czoło. – Czy zapytałeś Jeevesa o to? – spytał.

– Tak. Jeeves mówi, że to zostało spowodowane przez wypadek podczas zdalnie sterowanego eksperymentu, który Chirończycy przeprowadzali tam, bo był zbyt niebezpieczny – to miało coś wspólnego z ich badaniami nad antymaterią. – Jay wykrzywił twarz i zwichrzył sobie włosy palcami. – Ale można było się spodziewać, że właśnie w ten sposób będzie się o tym informowało, prawda... a Chirończycy rzadko robią błędy. – Spojrzał na krąg przerażonych twarzy, zwróconych ku niemu. – Ale to, o czym mówiliście, nasunęło mi myśl, że krater może być wynikiem prób z jakąś potężną bronią...

Przez długi czas Bernard, Pernak i Jean przyglądali się malowidłu. Pernak miał bardzo poważny wyraz twarzy, a zalękniona Jean zaczęła gryźć wargi. Wreszcie Bernard kiwnął głową i spojrzał na tamtych dwoje. – Okay, dołączę do was – powiedział. – Większość ludzi, wygłaszających tam na górze gromkie przemówienia, nie jest zdolna dać sobie z tym rady. Nie sądzę, żeby Iberia tak czy inaczej miała zbyt wielkie znaczenie, ale trzeba, by dzięki niej Lechat wygrał wybory – i to szybko.

Rozdział XXVI

Pierwsza bomba wybuchła w centrum Canaveral City wczesnym rankiem, powodując znaczne szkody na końcowej stacji maglewu, gdzie bocznica do bazy promowej łączyła się z magistralą, wiodącą z Franklina dalej wzdłuż półwyspu. Dochodzenie przeprowadzone następnie przez specjalistów od materiałów wybuchowych wykazało, że została przywieziona w wagonie kolejki, przybywającym z Franklina. Jego jedynymi pasażerami było ośmiu Ziemian, wracających z nocnej zabawy w mieście. Zostali zabici na miejscu.

Druga wybuchła wkrótce potem koło głównej bramy koszar. Nikt nie został zabity, ale dwaj wartownicy byli lekko ranni.

Trzecia całkowicie zniszczyła chiroński transporter powietrzny pionowego startu na stanowisku wewnątrz bazy promowej, w kilka godzin po świcie, zabijając dwóch pracujących tam Chirończyków i raniąc jeszcze trzech. Chociaż samolot był pusty, miał za godzinę przewieźć grupę pięćdziesięciu dwóch ziemskich urzędników, techników i oficerów na wizytę w chirońskim ośrodku badań i budowy statków kosmicznych o pięćset mil stamtąd, w głębi Occidenii.

W południe sprawozdawcy ziemskich dzienników zinterpretowali te wypadki jako odwet chiroński za gwałty Padawskiego i jako ostrzeżenie Ziemian, co może nastąpić w wypadku wygrania nadchodzących wyborów na szefa rządku przez Kalensa, który w swym ostatnim wystąpieniu publicznym wezwał do wprowadzenia przemocą ziemskich praw we Franklinie, jako pierwszego kroku ku „restabilizacji" planety. Wywiady, w których Chirończycy beznamiętnie, ale bez ogródek zaprzeczyli, by mieli cokolwiek wspólnego z wypadkami, zostały ledwie wspomniane. Reakcje Ziemian były sprzeczne. Skrzydło ekstremalne zorganizowało wiece protestacyjne i demonstracje antychirońskie, które w kilku wypadkach wyrwały się spod kontroli i przekształciły w napady motłochu na Chirończyków i ich własność. Na przeciwległym – grupa dwustu Ziemian, która była zdania, że podkładanie bomb było dziełem ziemskich antychirońskich ekstremistów, ogłosiła, że wyprowadza się en masse. Zatrzymał ją kordon wojskowy. Zanim zdołała się rozejść, została zaatakowana przez tłum podnieconych antychirończyków. Bójce przyglądali się Chirończycy w roli beznamiętnych widzów spektaklu, w którym Ziemianie walczyli z Ziemianami, zaś wojsko ziemskie, wyposażone w sprzęt do tłumienia zamieszek, starało się ich rozdzielić.



nogi. Padawski i reszta stali niepewnie koło baru, trzymani pod pistoletem kalibru 38 przez młodą chirońską kobietę. Na sali było widać, jak jeszcze kilku innych gości również wyciągnęło broń. Po kilku sekundach napięcia Padawski zgodził się, że nie ma innego wyboru jak skapitulować, zaś „S" przybyła z chwalebną szybkością w chwilę potem.

Wyglądało na to, że paru przyjaciół Padawskiego doszło do wniosku, że kobiety chirońskie należą do towarów, które na Chironie darmo dają do wzięcia i dwóch z nich uparło się, by pchać się ze sprośnymi awansami do dwu dziewczyn w barze, choć kilkakrotnie i w sposób coraz bardziej zdecydowany powiedziano im, że dziewczyny nie są nimi zainteresowane. Żołnierze, mocno pijani, wpadli w gniew i stali się jeszcze bardziej nieprzyjemni, nie zwracając uwagi na surowe ostrzeżenia z sali. Wywiązała się sprzeczka, w czasie której Ramelly chwycił jedną z dziewczyn i brutalnie ją potraktował. Wyciągnęła pistolet i przestrzeliła mu nogę. Na tym by się prawdopodobnie skończyło, gdyby nie Wilson, który też chwycił pistolet i skierował go na Chirończyków zbliżających się, by interweniować, na co inny Chirończyk z głębi sali zastrzelił go na miejscu.

Major „S" skończył właśnie dyktowanie do kombloku notatki o zeznaniu ostatniego świadka i podszedł do miejsca, gdzie siedziały dwie młode kobiety i mężczyzna. Gdy spojrzeli na niego, wyraz ich twarzy nie był ani przepraszający, ani zalękniony, choć także i nie wyzywający. Czyn był niemiły, lecz konieczny – zdawały się mówić ich twarze i nie było w nim nic, by czuć się winnym. Co najwyżej, podobnie jak inni Chirończycy, którzy się temu przyglądali, byli ciekawieni, jak Ziemianie wybrną z tej sytuacji.

– Jeden z naszych ludzi został zabity i istnieje ustalona procedura, do której musimy się zastosować – oświadczył major. – Rozkazy jakie otrzymałem wymagają, abym was troje zabrał z nami. Ułatwiłoby wszystkim sprawę, gdybyście się do tego zastosowali. Przykro mi, ale nie ma innego wyboru.

– Czy ma pan zamiar, majorze, wymusić zastosowanie się do tych rozkazów, gdybyśmy odmówili? – zapytał Chirończyk, który zastrzelił Wilsona. Był gibki i atletycznie zbudowany, miał wąską, ale wyrazistą twarz i był ubrany w ciemny strój, raczej praktyczny niż wyszukany i dobrze dopasowany, choć nie krępujący ruchów. Colmanowi przypomniał czarny charakter ze starych westernów. Chirończyk zachowywał się łagodnie i mówił lekkim tonem, przez co jego wypowiedź brzmiała po prostu jak pytanie, a nie wyzwanie.

Major popatrzył mu w oczy stanowczym wzrokiem. – Moim obowiązkiem jest wykonywać rozkazy najlepiej, jak potrafię – odpowiedział wymijająco. Ton jego głosu sugerował, że tak jak wszyscy uważa okoliczności za pożałowania godne, ale nie może wdawać się w kompromisy.

Okazało się, że ten pokaz taktu załatwia sprawę. Chirończyk patrzył mu w oczy jeszcze przez chwilę, po czym skłonił głowę na znak zgody. – Doskonale. – Colman w głębi duszy westchnął z ulgą. Kobiety w wyraźny sposób pozwalały mężczyźnie mówić także w ich imieniu. Wymieniły szybkie, ledwie widoczne skinienie, wstały i zabrały swoje rzeczy. Dwóch „S"-manów podeszło, by im dopomóc, z objawami szacunku, które Colman uznał za zadziwiające.

Major wahał się przez chwilę, po czym rzekł: – Ach... biorąc pod uwagę okoliczności, byłoby lepiej, gdyby pan pozwolił nam odnieść pański pistolet. Czy nie ma pan nic przeciw temu?

– Czy chce pan przez to powiedzieć, że jesteśmy więźniami? – zapytał Chirończyk.

– Wolałbym nie używać tego określenia – odpowiedział major. – Nie jestem upoważniony do komentowania sytuacji prawnej, ale oczywiście nasze władze będą chciały przeprowadzić śledztwo i broń będzie potrzebna jako dowód rzeczowy.

– Zgodnie z w a s z y m i zwyczajami – zauważył Chirończyk.

– Był to jeden z n a s z y c h ludzi – odpowiedział major.

Chirończyk zastanowił się nad tym wyjaśnieniem, widać uznał je za wystarczająco dobre, skinął głową i oddał swój pistolet. Dziewczyna, która zraniła Ramelly'ego zrobiła to samo. Było znamienne, pomyślał Colman, że major nie zapytał jej towarzyszki, czy również posiada broń. Gdy strażnicy zaczęli podnosić na nogi Padawskiego i jego grupę, major podszedł do Colmana i pozostałych z kompanii „D", stojących wraz z Chirończykami, którzy byli z nimi na górze. Spisał już ich nazwiska i ustalił, że nie byli bezpośrednimi świadkami incydentu.

Jeśliby wszystkich pozostawiono w spokoju, aby wybrali co chcą, zgodziłbym się z tobą. Ale tak nie jest. Gdzieś tu działa grupa, która pcha innych w tarpaty, a o ile się orientuję w chirońskich zwyczajach, mogą to być w i e l k i e tarapaty. Ta sprawa z Iberią przynajmniej będzie trzymać wszystkich z boku nim się to uciszy i tyle tylko chciałem powiedzieć. Zgadzam się z tobą Bern – to nie utrzyma się na dłuższą metę, ale nie odległa przyszłość mnie niepokoi. – Spojrzał przepraszająco na Jean. – Przykro mi, ale tak to sobie wyobrażam.

Bernard, uspokoiwszy się trochę wobec zmiany tematu, wziął do ręki szklankę, wypił łyk i potrząsnął głową. – Czy ty Jerry nie przesadzasz trochę? O jakich ty kłopotach mówisz? Jeden dureń, którego nie powinno się wypuszczać z klatki, dostał, co mu się należało. Przykro mi, że to brzmi trochę brutalnie, ale tak to oceniam.

– A czy oglądałeś dzisiejszy dziennik wieczorny? – spytała Jean. – Trzech z bandy Padawskiego uciekło z niej i poddało się, ale żołnierze znaleźli tam dwa dalsze ciała – Chirończyków. Ile według ciebie upłynie czasu, zanim oni zaczną się na nas odgrywać, tu w Canaveral?

Bernard potrząsnął głową w sposób mówiący, że odrzuca całkowicie tę sugestię. – Nie zrobią tego. Oni tacy nie są. Po prostu nie myślą w ten sposób.

– Skąd ta pewność?

– Bo zaczynam ich poznawać.

– A ja zaczynam ich poznawać jeszcze lepiej – powiedział im Pernak. Coś w jego głosie zmusiło ich do zwrócenia się w jego stronę z ciekawością. Zrobił szeroki gest rękami. – To nie te kłopoty mnie niepokoją. Ale jeśli to się posunie dalej... Jeśli armia zacznie stosować sankcje, a szczególnie jeśli zacznie tam w górze na statku potrząsać bronią, jeśli tego rodzaju rzeczy pójdą w ruch, nie będziemy liczyć trupów na sztuki ani na pary.

Bernard spojrzał na niego niepewnie. – Nie zgadzam się z tobą, Jerzy. Czemu by eskalacja miała dojść do tego stopnia? A zresztą w tej dziedzinie Chirończycy niczym nie dysponują.

– Widziałem co robią w niektórych laboratoriach i wierz mi, Bern, od tego mózg staje dęba – powiedział Pernak. – To nie są głupi faceci i na pewno nie należą do takich, którzy by się położyli i czekali, aż zacznie ich deptać każdy, kto zechce. Umieją dość, by dorównać wszystkiemu, co „Mayflower II" może przeciw nim rzucić, a może więcej niż dorównać. Przez grubo ponad dwadzieścia lat wiedzieli, czego się spodziewać. No to sam wyciągnij wnioski.

Bernard przez parę chwil przypatrywał się swej szklance, wreszcie znów potrząsnął głową. – Nie zgadzam się – powiedział. – Nigdyśmy nie widzieli ani nic nie słyszeli na temat ich broni strategicznych. Gdzieżby się one znajdowały?

– Znamy tylko Franklina – odrzekł Pernak. – Poza nim jest jeszcze cała planeta.

– Wierzysz w cuda – rzekł Bernard. – Słuchaj no, Jerry, przecież jesteś naukowcem. Gdzie dowody? Od kiedy zacząłeś wierzyć w rzeczy, nie mając źdźbła dowodu rzeczowego na ich istnienie?

– Czuję to przez skórę – odpowiedział Pernak. – Broń musi istnieć. Mówię ci, znam ich sposób myślenia.

Jay wstał i po cichu opuścił pokój. Bernard przez kilka chwil śledził go ciekawie wzrokiem, po czym znów zwrócił się do Pernaka. – Ale to cholernie słaby powód, by wysyłać wszystkich do Iberii, prawda? – A poza tym, jeśli masz rację, to myślę, że najlepiej będzie pozostać tu na miejscu, wśród Chirończyków. W ten sposób nikt tu nie zacznie rzucać wielkich bomb, prawda? – Odwrócił się do Jean i krótko uśmiechnął. – Myślę, że Jerry dowiódł mojej słuszności.

Pernak słuchał bez uśmiechu. – A co z tym statkiem, krążącym dwadzieścia tysięcy mil nad nami?

Zanim Bernard zdążył odpowiedzieć, powrócił Jay, niosąc pejzaż, który przywiózł pierwszego dnia z wyprawy do Franklina. Postawił go na końcu stołu i trzymał tak, by wszyscy mogli się przyjrzeć. – Czy nie zauważyliście tu czegoś niezwykłego? – zapytał.

Pernak i Jean spojrzeli po sobie zakłopotani. Bernard posłusznie wpatrywał się w obraz przez chwilę, po czym spojrzał na Jaya. – Wygląda to na bardzo dobrze namalowane góry – powiedział. – Czy ma to coś wspólnego z naszą rozmową?

Jay kiwnął głową i pokazał w jednym z górnych rogów. – To Remus – powiedział. – Obraz namalowano ponad rok temu, a gdy się przyjrzycie, zobaczycie, że ten kto malował, bardzo dbał o szczegóły.

by się nie przejmowała zaległą pensją – powiedział, oglądając się przez ramię. – Nie będę jej potrzebował.

*

Tego wieczoru, gdy Bernard powrócił do domu z bazy promowej, zastał u siebie Jerry'ego Pernaka. Przy kolacji Pernak wyjaśnił, że przemyślał sobie i zmienił swoje stanowisko wobec programu Separatyzmu Lechata. Słyszał od Ewy, że Jean jest aktywna w tej sprawie, był ciekaw, czy Bernard także i zgłaszał się do współpracy.

Bernard nie rozumiał, czemu Pernak zmienił zdanie. – Myślałem, że ty i Ewa mieliście już wszystko zaplanowane, zanim wyjechaliście stąd – powiedział podczas rozmowy, która trwała jeszcze po kolacji przy drinkach, podanych w zagłębionej części salonu. – Popatrz, co się dzieje, wy wyprowadziliście się, inni robią to samo. Mieliście rację. Nie mieszajmy się do sytuacji, to sama się naprostuje.

– Chciałbyś, żeby tak było, prawda? – powiedziała Jean z nutką oskarżycielską w głosie. – Chciałbyś, abyśmy postępowali jak tamci. A czy pomyślałeś sobie, co by to w rzeczywistości oznaczało? Ani wartości, ani porządku, ani moralności... I chciałbyś, żeby w takich warunkach dorastali Jay i Marie?

Jay i Marie byli jej bronią ostateczną. Bernard wiedział dobrze, że Jean chce tylko znaleźć uzasadnienie własnego lęku przed koniecznymi zmianami, ale nie chciał wdawać się w sprzeczkę na ten temat przy ludziach. – Oczywiście chcę, aby mogli urządzić sobie życie najlepiej, tak jak będą chcieli. Właśnie tutaj mają tę możliwość. Nie musimy podróżować przez pół planety, aby odtworzyć część świata, który już nie jest nasz. To nie przetrwa. To już się skończyło. Musisz kochanie spojrzeć na to otwartymi oczami.

– Jesteśmy nadal ludźmi, tak jak byliśmy dotychczas – odezwał się Jay z końca kanapy, patrząc na matkę. – To się nie zmieni. A jeśli ktoś chce zachowywać się głupio, może to robić gdziekolwiek. – Ku lekkiemu zdziwieniu Bernarda, Jay przez całą kolację okazywał żywe zainteresowanie rozmową, a później zdecydował, że weźmie w niej udział. Najwyższy czas na to – pomyślał Bernard.

Jean potrząsnęła głową, nadal nie zgadzając się rozważać takiej przyszłości. – Ale czemu to, co znamy, miałoby się skończyć? – Spojrzała błagalnie na Bernarda. – Byliśmy szczęśliwi przez te wszystkie lata na statku, prawda? Mieliśmy przyjaciół, jak Jerry'ego i Ewę, mieliśmy dzieci. Miałeś stanowisko. Dlaczego ta planeta ma nam wszystko odebrać? Oni nie mają takiego prawa. Nigdyśmy niczego od nich nie żądali. To jest... to jest całkiem nie w porządku.

Bernard poczuł, że krew napływa mu do twarzy. Patos, z jakim przemawiała, działał mu na nerwy. Starając się opanować uczucia, napełnił ponownie szklankę powolnym, odmierzonym ruchem. – Skąd jesteś taka pewna, że ja to wszystko uważałem za cudowne? – zapytał. – Czy nie przypisujesz sobie prawa mówienia mi, czego powinienem pragnąć? – Z trzaskiem postawił butelkę na stole i spojrzał na żonę. – No więc wcale nie uważam, że to było takie cudowne i nie chcę tego więcej. Dziś powiedziałem Merrickowi, żeby sobie wsadził moje stanowisko pracy w dupę.

– *Żeby co?* – jęknęła w panice Jean.

– Żeby sobie wsadził. Koniec z tym. Możemy być sobą. Najbliższe trzy miesiące spędzę na studiowaniu dynamiki plazmy w Norday, a potem zaangażuję się do nowego kombinatu, który oni planują dalej na północ na wybrzeżu. Możemy się wszyscy przenieść do Norday i mieszkać tam, póki nie znajdziemy czegoś bardziej stałego.

Jean potrząsnęła głową w sprzeciwie. – Ale nie możesz... Ja nie pojadę. Chcę się przenieść do Iberii.

– Przez całe lata musiałem znosić wszystko, co oni znowu chcą zacząć od początku w Iberii! – zagrzmiał nagle Bernard, waląc szklanką w stół. Spurpurowiał na twarzy. – Nienawidziłem tego przez każdą minutę życia. Kto mnie zapytał, czy tego właśnie chcę? Nikt. Mam dość tego, że wszyscy uważają za oczywiste, kim jestem i kim według nich mam być. Trzymałem się tego, bo kocham ciebie i kocham nasze dzieci i nie miałem żadnego wyboru. Ale teraz mam wybór i tym razem ty jesteś coś winna mnie. Powiedziałem, że przenosimy się do Norday i do cholery przenosimy się do Norday!

Jean była zbyt zaskoczona, by zrobić coś więcej, niż gapić się na niego z otwartymi ustami. Jay patrzył z nieukrywanym zdumieniem. Pernak mrugnął parę razy i zaczekał, aż atmosfera się rozładuje. – Cała rzecz w tym, że to nie jest takie proste – powiedział na koniec, zmuszając się do mówienia spokojnie. –

– Wy, chłopcy, jesteście wolni – oznajmił. – Jeśli będzie przesłuchanie, możecie być wezwani na świadków. Gdyby tak było, właściwi ludzie skontaktują się z wami.

– Będą wiedzieli, jak nas znaleźć – odpowiedział Colman.

Komunikator kieszonkowy Kath zabrzęczał, wyjęła go więc, by odpowiedzieć. Dzwonił Adam, który już słyszał o wypadku i sprawdzał, czy jej i Colmanowi na pewno nic się nie stało. Colman zostawił ją rozmawiającą i podszedł tam, gdzie stała przy drzwiach Anita, obok towarzystwa gotującego się do odejścia. – Po co ty się zadajesz z tą bandą? – szepnął. – Postaraj się zmądrzeć, gdy się to wszystko skończy. Daj sobie z nimi spokój.

Gdy na niego spojrzała, w jej oczach nie było skruchy ani wyrzutów sumienia. – To już nie twój interes – syknęła. – Tak się bawię i tak żyję, jak mi się podoba.

Colman parsknął pogardliwie. – Nazywasz to zabawą?

– Wiesz, co mam na myśli. Oni nic nie zrobili. Tylko odrobinę za dużo wypili. Te dwie suki nie musiały tego zrobić, co zrobiły.

– Może powinnaś się postarać spojrzeć na to z ich punktu widzenia – powiedział Colman.

Oczy Anity zapłonęły. Szok zaczął ustępować i zmieniać się w złość. – Dlaczego miałabym to robić? Bruce właśnie został zastrzelony. Dan ma dziurę w nodze, a ty mówisz, żebym na to spojrzała z *ich* punktu widzenia? Co z ciebie za człowiek? – Posłała z nad jego ramienia szyderczy uśmiech Kath, która właśnie chowała komunikator do kieszeni. – Już widzę, dlaczego. Nie zabrało ci to dużo czasu, prawda? Czy ona jest dobra?

Colman zignorował uwagę – A jednak pomyśl o tym – mruknął. – Dla własnego dobra.

– Już raz ci powiedziałam, że teraz to już nie twój interes. Daj mi spokój. Nie chcę z tobą rozmawiać. Po prostu idź sobie i zostaw mnie samą.

Z odległości paru stóp groźnie spoglądał Padawski, który widocznie odzyskał nieco pewności siebie, jako że „S" panowała nad sytuacją. – Ty, Złotowłosy, trzymaj się od niej z dala – rzucił złośliwie. – Trzymaj się swoich miłych przyjaciół-morderców. O tobie też nie zapomnimy. – Wychodząc odwrócił głowę, obejmując wściekłym spojrzeniem całą salę. – Do was też to się odnosi – ostrzegł głośno. – Nie zapomnimy. Zobaczycie.

– Jazda. – Jeden z żołnierzy trącił go w żebra kolbą karabinu i poprowadził ku schodom w ślad za Anitą i Ramellym, którego podtrzymywał sanitariusz i jeden z „S"-manów. Colman patrzył za nimi, póki nie wyszli i wówczas powrócił do swoich.

– Czy to twoja przyjaciółka? – zapytała Kath.

– Kiedyś tak. Ale już nie, o ile się orientuję, jak sprawy stoją.

– Przystojna dziewczyna. Czym się zajmuje?

– Specjalistka telekomunikacji w sztabie Brygady.

Kath uniosła brwi z aprobatą. – No to i nie głupia, co?

– Mogłaby urządzić się znacznie lepiej, a nie marnować się włócząc z tymi lumpami. Ale należy do tych, które wolą łatwą drogę... tak długo, o ile się da, w każdym razie.

– To szkoda – rzekła Kath.

Muzyka zagrała, tłum rozszedł się do baru i stolików i rozmowy znów się nawiązały. Colman ze swym towarzystwem wrócili na górę, a Driscoll przyniósł jeszcze jedną kolejkę napojów z baru. Inni usiedli tam, gdzie poprzednio. Przez chwilę rozmawiali o wypadku, zgodzili się, że niedobrze, iż się wydarzył, przez chwilę rozważali, co z tego może wyniknąć, aż w końcu zmienili temat.

– Myślę, że tutaj trzeba nauczyć się umiarkowania – zauważył Stanislau, przyglądając się swojej na wpół opróżnionej szklance ciemnego, pienistego piwa chirońskiego. Pokręcił głową. – Wiecie, może to głupio zabrzmi, ale czasem chciałbym, abyśmy musieli za to płacić.

– Dokładnie wiem, co masz na myśli – powiedział Carson. Driscoll milcząco wyraził zgodę.

– Nie jestem pewien, czy się z tym zgadzam – oświadczył Swyley, co oznaczało, że się zgadza.

Colman chciał pożartować na ten temat, ale w tym momencie pojął, że mówią serio. Zmarszczył brwi i spojrzał pytająco na wszystkich po kolei.

– To ta cała sprawa, że za nic się nie płaci – objaśnił na koniec Stanislau. – Wchodzimy tu, pijemy, wchodzimy do restauracji, jemy, wynosimy ze sklepów całe masy rzeczy i nic z tego nie kosztuje. – Wyprostował się, obejrzał z boku na bok poszukując wsparcia moralnego, otrzymał go ile chciał i beznadziejnie pokiwał głową. – Na początku wyglądało to zbyt pięknie, aby było prawdziwe, ale to wrażenie szybko mija. To przestaje być zabawne, szefie. Działa nam na nerwy.

– Czujemy się zadłużeni i chcemy w jakiś sposób zapłacić – powiedział Driscoll. – Nie chcemy darmochy. Ale wszystko co mamy, to kawałki papieru, które tutaj nic nie znaczą. Co począć?

– Znajdziesz sposób – odpowiedział zupełnie nie poruszony jeden z Chirończyków siedzących przy stole.

– Myślę, że lepiej późno, niż wcale – skomentował inny, spoglądając na malarza, który nadal siedział z nimi. Malarz milcząc skinął głową.

– Co to znaczy? – spytał Driscoll Chirończyka, który mu odpowiedział.

Chirończyk zawahał się przez chwilę, jakby się obawiał, że może powiedzieć coś, co, jak sądził, może być uważane za obraźliwe. Kath spojrzała na niego i uspokajająco kiwnęła głową. – Więc... – zaczął Chirończyk i znów przerwał. – Większość ludzi stąd zaczyna w ten sposób odczuwać, gdy mają około dziesięciu lat. Nie chciałbym obrazić nikogo – ale tak to jest.

Carson zmarszczył czoło rozważając, co z tego wynika, wreszcie potrząsnął głową. – To niemożliwe – powiedział. – Żaden system nie może działać na tej zasadzie.

Swyley przysłuchiwał się z zaciekawionym i zadumanym wyrazem twarzy. Nie odezwał się w ogóle, co oznaczało, że się nie zgadza.

Rozdział XXI

Jean Fallows zaczynała nienawidzić Chirona, Chirończyków i wszystkiego, co miało cokolwiek wspólnego z tym bezbożnym, pełnym bezprawia, obcym i wrogim miejscem. Po dwudziestu latach codziennej i comiesięcznej rutyny życia na pokładzie „Mayflower II", czuła brak ciepła i poczucia bezpieczeństwa, wśród których wyrosła, tęskniła więc do powrotu do zdrowego, cywilizowanego środowiska, które rozumiała. Rozumiała sposób życia, w którym budżet i konieczności decydowały o kolejności zaspokajania potrzeb; w którym wyraźnie sformułowane prawa rządziły zasadami postępowania i w którym wypróbowane i godne zaufania zasady protokolarne określały każdemu jego rolę i funkcję – w tym i jej własną. Nie rozumiała i nie chciała zrozumieć kipiącego oceanu anarchii, w którym była teraz pogrążona, w którym od każdego wymagano, by brnął przed siebie bez jakiegokolwiek oparcia, jak papierowa łódeczka rzucona na burzliwe wody, bez map wyznaczających brzegi, bez przystani dla wytchnienia, bez gwiazd przewodnich. Nie było tu dla niej miejsca i nie pragnęła go. Po cichu marzyła o cudzie, który zawróciłby „Mayflower II" i zabrał ją na drugie dwadzieścia lat w podróż powrotną na Ziemię.

Jako doktorantka biologii na Uniwersytecie Michigan, stanu jej urodzenia, miała kiedyś ambicję uzyskania specjalizacji w zakresie biochemii i genetyki prymitywnych form życia. Miała nadzieję, że tego rodzaju studia przybliżają jej zrozumienie tego, jak materia nieożywiona zorganizowała się w skomplikowany sposób, umożliwiający powstanie życie. Usprawiedliwiała przed sobą to zainteresowanie argumentem, że jej wiedza może przyczynić się do zapewnienia wyżywienia dla lawinowo rosnącej ludności nowej Ameryki. Ale wtedy spotkała Bernarda, którego młodzieńczy zapał i wizje Wielkiej Reformy przeorywającej cały świat, obudziły w niej świadomość polityczną i pchnęły wraz z nim w całkiem nowe wymiary stosunków międzyludzkich motywacji, które dotychczas były jej niemal całkowicie obce. Siły, które ukształtują świat i przekują losy jego narodów nie znajdują się – jak rozumiała – w szalkach dla hodowli mikrobiologicznych ani w osadach odwirowanych w laboratorium, ale w umysłach, sercach i duszach ludzi obudzonych, zorganizowanych i zmobilizowanych. W rezultacie razem objeżdżali zebranie po zebraniu, przemawiali z tych samych trybun, wznosili zgodnie okrzyki na wiecach, oklaskiwali przemówienia przywódców i wreszcie razem porzucili Ziemię, by na Chironie pomóc budować przedłużenie wzorowego społeczeństwa.

Ale bez stałego dopływu nowo nawróconych wyznawców, bez ich poparcia, entuzjazm początkowych, aktywnych politycznie lat podróży na koniec zgasł. Na pewien czas Jean oddała się ponownie swemu pierwotnemu powołaniu ze wznowionym zapałem, uczęszczając na kursy specjalistyczne w



znanych, choć nikt nie mówił o nich Bernardowi oficjalnie. Ale równocześnie ciekawie przyglądał się Fallowsowi, w sposób zdradzający, że nie umie całkowicie ukryć oczekiwania sprzeciwu i że wie, iż on nastąpi.

Bernard zdecydował udawać głupiego, by zobaczyć, co wyniknie. – Przepraszam, co pan chce przez to powiedzieć – poprzednim razem? Musiałem coś przegapić.

Brwi Merreicka podskoczyły do góry zbyt pośpiesznie, wyrażając zaskoczenie. – Poprzednim razem, gdy oglądaliśmy kombinat w Port Morday. – Bernard patrzył na niego z tępym wyrazem twarzy. – Nie mówcie mi, żeście o tym nie wiedzieli. Byłem tam jakiś czas temu z Waltersem i Hoskinsem. Czy Walters nic wam nie mówił?
– Nikt mi nic nie mówił.

Smutek na twarzy Merricka zmienił się w dezaprobatę. – To nie do wybaczenia. Co za pech. Chwileczkę – nie pamiętam dokładnie, kiedy to było, ale właśnie mieliście służbę. Dlatego nie mogłem was wówczas zaprosić. – Było to ordynarne kłamstwo, Bernard miał wówczas wolny dzień i był w Port Norday z Jayem. – Ale bez wątpienia możemy to naprawić. Zobaczycie, że miejsce jest fascynujące. Większością podstawowych procesów kieruje kobieta – niezwykła kobieta – więc mogę wam obiecać zarówno interesujące towarzystwo, jak interesujące otoczenie. Chciałbym więc, abyście jak najszybciej coś tu z Hoskinsem załatwili. Przez następne kilka dni będę bardzo zajęty.

Było oczywiste, że dzieje się coś niecodziennego. Nie chcąc porzucać tematu w tym momencie, Bernard powiedział: – A czy także Waltersa? Może i jemu przyda się odświeżyć wrażenia?

Merrick nabrał pełną pierś powietrza, wyraz jego twarzy stał się poważny. – Mmmm... Walters. To mi przypomina jeszcze jedną sprawę, o której mam wam powiedzieć – rzekł ponurym głosem. – Funkcjonariusza Waltersa nie ma już wśród nas. On i jego rodzina znikli z Cordova Village dwa dni temu i odtąd o nich nie słyszano. Zaniedbał stawienia się na służbę w dniu wczorajszym. Musimy przyjąć, że zdezerterował. – Potrząsnął głową ze smutkiem. – Bolesne, Fallows, w najwyższym stopniu bolesne. Mniemałem, iż ma silniejszy charakter.

Więc o to chodziło! Oczko w głowie Merricka go opuściło i potrzebował kogoś na to miejsce. Merrick miał w nosie inżynierskie kwalifikacje Bernarda; interesowało go tylko, jak się wyplątać z niewątpliwie ambarasującego położenia. Gdy Bernard podsumował wszystkie krętactwa, których wysłuchiwał od chwili, gdy tu wszedł, wspomnienie szczerości i otwartości Kath, nawet wobec nieznajomego, było jak łyk świeżego powietrza. Zanim zdał sobie sprawę, że mówi, usłyszał własny głos: – Możesz się pan wypchać.

– Cooo? – Merrick gwałtownie wyprostował się w krześle – Coście powiedzieli, Fallows?
– Powiedziałem, że może pan się wypchać. – Nagle uczucie zastraszenia, które prześladowało Bernarda przez całe lata, znikło. Rola, w jaką pozwalał się wepchnąć i ugnieść, opadła z niego jak stara zeschła skóra. Po raz pierwszy był s o b ą, a nie dającą wodzić się za nos jednostką. Po drugiej stronie biurka stojącego przed nim granitowa katedra pękła i rozpadła się w gruz, ukazując w środku... nic. Była kukłą, jak wszystkie inne kukły, przed którymi przez całe życie uciekał. I właśnie przestał uciekać.

Bernard rozparł się w krześle i spokojnie patrzył na obrażoną minę Merricka. – Nikt nie zamierza unieruchomić tego kombinatu i o tym pan bardzo dobrze wie. – powiedział. – Daj pan sobie spokój z propagandą. Pomogłem statkowi dostać się tutaj bezpiecznie, a jest wielu młodych, którzy zasługują na awans. Zrobiłem moją robotę. Odchodzę.
– Nie możecie tego zrobić! – wybełkotał Merrick.
– Właśnie to zrobiłem.
– Jesteście związani umową.
– Przepracowałem ponad siedem lat, wobec tego przeszedłem na system umowy, podlegającej odnowieniu co kwartał. Jestem więc wam winien maksymalnie trzy miesiące. Okay, zgadzam się. Ale mam z czasów podróży ponad trzy miesiące zaległego urlopu i rozpoczynam go natychmiast. Będziecie to mieli potwierdzone na piśmie za pięć minut. – Wstał i podszedł do drzwi. – I możecie powiedzieć księgowości,

segmencie Princeton, poświęcone takim przedmiotom, jak przegrupowanie genów, a następnie, rozszerzając swą działalność, podjęła badania naukowe oraz pewną liczbę wykładów na poziomie szkoły wyższej. Dzięki pracom badawczym w Princeton i wykładom uzyskała kontakt z Jerrym Pernakiem, który był pracownikiem naukowo-badawczym i z Ewą Verritty, wówczas młodszą administratorką w Departamencie Oświaty. To właśnie Jean przedstawiła ich sobie wzajemnie.

W następnych latach, gdy urodził się Jay, a później Marie, starała się dotrzymywać kroku swym obowiązkom zawodowym, uczęszczając na odczyty i kursy w Princeton i zadawszy sobie program lektur. Ale w miarę upływu czasu coraz częściej bywała tam nieobecna, lektury zaś nieustannie odkładała do jutra, które, jak to dobrze wiedziała, nigdy nie następowało. Zauważyła na koniec, że czyta artykuły o urządzaniu mieszkań, a nie o mechaniźmie transkrypcji kwasu dezoksyrybonukleinowego, chętniej ogląda lekkie rodzinne komedie z zasobów komputerowych niż filmy naukowe o różnicowaniu się komórek i spędza więcej czasu z przyjaciółkami, z którymi wymienia receptury kuchenne, niż z tymi, którzy dyskutują o statystyce dziedziczności. Ale wychowała dwoje dzieci, z których, zgodnie z jej własnymi zasadami, mogła być dumna. Za jej poświęcenie należała jej się nagroda. A teraz groziło, że Chiron jej tę nagrodę ukradnie.

Myśl ta wywołała w niej dreszcze przerażenia. Jean siedziała na kanapie koło wielkiego ekranu ściennego, przyglądając się twarzy Howarda Kalensa, który potępiał „politykę niezdecydowania" Wellesleya jako coś, co przyczyniło się do zabójstwa żołnierza zastrzelonego ubiegłego wieczoru i wzywał do „pozytywnych inicjatyw na rzecz wzięcia spraw mocno w garść, czego sytuacja tak wyraźnie wymaga".
– Dwudziestotrzyletni chłopiec – powiedział przed chwilą Kalens – którego powierzono nam dzieckiem, abyśmy mu dali szansę żyć życiem z perspektywami w nowym świecie wolnym od kajdan i łańcuchów... przeżyć swe życie z dumą i godnością, jak Bóg tego chciał – skoszony w chwili, gdy zaledwie rzucił okiem na tę planetę i odetchnął jej powietrzem. Bruce Wilson nie umarł wczoraj. Jego życie skończyło się, gdy miał trzy lata.

Chociaż Jean odczuwała dla żołnierza sympatię, linia, którą Kalens zdawał się proponować, z perspektywą jeszcze większych kłopotów i nieuchronnych dalszych zabójstw, martwiła ją jeszcze bardziej. Dlaczego zawsze tak musi być? – zadawała sobie pytanie. Wszystko czego pragnęła, to poczuć się przytulnie i bezpiecznie, patrzeć, jak dzieci wyrastają na przyzwoitych, godnych szacunku, odpowiedzialnych dorosłych, którzy staną się częścią otulającego ją kokonu znajomej codzienności – zarówno dla przyszłego własnego dobra, jak dla niej samej. Miała prawo oczekiwać tego, jako czegoś należnego, ponieważ zasłużyła na to swoim poświęceniem. Nikomu to nie zagrażało. Dlaczego więc spory innych ludzi, do których powstania się przyczyniła, miały teraz zmieść to wszystko?

Tego ranka Paul Lechat, o którym nigdy nie myślała jako o kimś zdolnym do jakiejkolwiek konfrontacji, zgłosił swą kandydaturę ostatniej minuty w wyborach i wezwał do ustanowienia osobnej kolonii Ziemian w Iberii, gdzieś na Selene. Chciał, żeby Ziemianie mogli już teraz żyć według własnych wyobrażeń, bez postronnych niszczących wpływów, o ile zaś będzie możliwe – by rozwiązanie takie przybrało stały charakter, jeśli będzie to ludziom odpowiadać. Dla Jean propozycja zabrzmiała jak dar z nieba, dla wielu innych również, sądząc z masowego poparcia, jakie w ciągu kilku godzin ujawniło się ze wszystkich stron. Czemu więc wszyscy nie mogą być tego samego zdania? – dziwiła się. Przecież to było takie oczywiste. Dlaczego zawsze trafiali się niektórzy na tyle uparci, że interesy polityczne stawiali wyżej niż to, co zdrowy rozsądek dostrzegał jako dobro powszechne? Tacy jak Kalens, który w tej samej chwili uznał Lechata za zagrożenie i wzywał swych zwolenników do działania.

– Czy mamy uciekać i kryć się po drugiej stronie planety ze strachu, by nie urazić zdezorganizowanej i niezdyscyplinowanej rasy, która wszystko, z czego korzystała, w oczywisty sposób nam zawdzięcza i bezkarnie to marnotrawi, jakby nic nie miało wartości i nie musiało zostać zapracowane? – pytał Kalens z ekranu. – Czyja wiedza i praca wymyśliła i zbudowała „Kuan-yin" i wraz z nią te same maszyny, które stworzyły samą rasę Chirończyków, którzy teraz przypisują sobie prawo do wszystkiego, co ich otacza, jak do swojej własności, nas zaś odpędzają jak nędzarzy od uczty, którą myśmy sami zgotowali? – Zrobił efektowną pauzę, a jego twarz pod koroną srebrzystych włosów przybrała wyraz oburzenia. – Mówię – Nie! Nie dam się wypędzić w taki sposób. Nie zgadzam się nawet być tego świadkiem. Stwierdzam

publicznie i bez ograniczeń, że każda sugestia w tym kierunku może być uznana tylko za kapitulację przed tchórzostwem moralnym, które nie zasłużyło nawet na pogardę. Przybyliśmy tu przebywszy cztery lata świetlne przestrzeni kosmicznej i tu zostaniemy, by uczestniczyć w tym, do czego mamy prawo i by korzystać z tego, co nam się tylko słusznie należy. - Grzmot oklasków powitał tę orację. Jean nasłuchała się dość i poleciła Jeevesowi, by wyłączył ekran.

Po wystąpieniu Lechata przez chwilę świtała jej nadzieja, że jego deklaracja wzbudzi lawinowe poparcie ze strony opinii publicznej, co z kolei wymusi bardziej światły kierunek polityki oficjalnej. Ale nadzieja ta zgasła w dwie godziny później, gdy Ewa i Jerry wstąpili na krótkie pożegnanie przed przenosinami, które równały się przyjęciu chirońskiego sposobu życia. Wiele osób jawnie poczynało sobie w podobny sposób, szerzyły się nawet plotki o dezercjach z wojska. Jean nie mogła opędzić się od uczucia, że Ewa i Jerry dezerterują także od niej, ale udało jej się być miłą i życzyć im wszystkiego dobrego. Zdawało się, że sam Chiron spiskuje osobiście przeciw niej, aby zburzyć jej świat i zniszczyć każdy fragment życia, jakie znała.

Dom, w którym mieszkała, też brał w tym udział. Już nie uważała go za spełnienie snów, jak to odczuwała jeszcze w dniu, w którym się tu przeprowadzili z „Mayflower II", ale za część tego samego spisku - małą łapówkę, która miała ją skusić do zaprzedania własnej duszy w ten sam sposób, jak posada pracownika naukowo-badwczego i nowe mieszkanie skusiły Ewę i Jerry'ego. Chiron nie chciał dać jej spokoju. Był jak wirus, który atakuje żywą komórkę i przestraja jej procesy życiowe, aby wykonywała kopie jego samego.

Na tę myśl przeszły ją dreszcze. Wstała z kanapy, by odszukać Bernarda. Niewątpliwie siedzi w piwnicy, którą wraz z Jayem przerobili na warsztat, uzupełniający warsztaty komunalne. Ostatnio Bernard o wiele więcej interesował się lokomotywą Jaya, niż to było na pokładzie „Mayflower II". Jean podejrzewała, że robi tak po to, by skłonić Jaya do częstszego przebywania w domu i by nieco rozproszyć jej złe przeczucia. Ale jego zainteresowanie nie przeszkodziło Jayowi w robieniu na własną rękę wycieczek do Franklina, niekiedy do późnej nocy, po całych godzinach spędzonych w łazience na układaniu fryzury, dobieraniu koszul i spodni w nieskończonych kombinacjach, ze smakiem, o który Jean nigdy go nie posądzała, oraz eksperymentowaniu z krawatami, o które nigdy przedtem w życiu nie dbał, chyba, że mu to nakazano. Cokolwiek by Jay zamierzał, przynajmniej Marie litościwie udawało się ograniczyć swe zabawy do kręgu własnych przyjaciół i nie opuszczać terenu osiedla.

Gdy Jean stanęła w drzwiach, Bernard majstrował przy zespole suwaków i korb, które na próbę zamocował w łożu montażowym. Przyglądała się przez chwilę, jak mąż popchnął mały drążek, który ze swej strony spowodował, że wszystkie pozostałe części zaczęły się zgodnie i gładko ślizgać i obracać, choć do czego która z nich służyła i po co to wszystko było, pozostało dla Jean tajemnicą. Bernard pociągnął drążek wstecz, wszystkie części powróciły do pozycji wyjściowych. Podniósł głowę i uśmiechnął się. - Muszę się nisko pokłonić wojskowym metodom szkolenia - powiedział. - O Stevie Colmanie można jedno tylko powiedzieć - on z pewnością wie, co robi. Nasz syn zrobił tu kawał pierwszorzędnej roboty. - Zauważył wyraz twarzy Jean i przybrał bardziej poważną minę. - Oj, postaraj się wyjść z tego, kochanie. Wiem, że wszystko tutaj wydaje ci się trochę dziwne. Czego innego można oczekiwać po dwudziestu latach? Potrzebujesz czasu, by się przyzwyczaić. Wszyscy się przyzwyczaimy.

- Ciebie to nie obchodzi, prawda? Tutaj... tak jak sprawy stoją.. tym się nie przejmujesz. Jesteś jak Ewa i Jerry. - Choć wiedziała, że mąż stara się zachowywać pojednawczo, nie potrafiła złagodzić tonu głosu.

- Jerry powiedział kilka ciekawych rzeczy i do tego sensownych - odrzekł Bernard, odkładając łoże na ławkę przed sobą i przysiadając na stołku. - Chirończycy mogą mieć parę dziwnych zwyczajów, ale mają wiele szacunku - zarówno dla nas, jak dla siebie wzajemnie. Nie jest to taki zły sposób bycia. Prawda, być może będziemy musieli przyzwyczaić się do obywania bez pewnych rzeczy, do których jesteśmy przyzwyczajeni, ale będziemy za to wynagrodzeni.

- Czy oni okazali szacunek temu chłopcu, którego zabili zeszłej nocy? - zapytała gorzko Jean. - A nasi mówią, że nawet nie wytoczą oskarżenia przeciw człowiekowi, który to zrobił. Co to za sposób życia? Czy mamy pogodzić się z tym, że oni będą nam dyktować swoje normy strzelając do każdego, kto prze-

zatłoczonej sali - na pewno nie był amatorem. Okazało się, że Van Ness, obok zawodu kartografa oraz drwala, był także doświadczonym myśliwym i odkrywcą, a także w szkole wojskowej we Franklinie, którą zwiedził Jay, uczył strzelania bojowego oraz walki wręcz. Colman, spędziwszy popołudnie w górach w dalszej części półwyspu na obserwowaniu ćwiczeń uczniów szkoły w terenie, wrócił przekonany - jak opowiadał Jay - że niektórzy z Chirończyków byli tak dobrzy, jak najlepsi snajperzy wojskowi.

Lecz Merrick nie był skłonny rozwodzić się nad tym aspektem zagadnienia. - Ale mimo wszystko Chirończycy są zabijani - powiedział. - Na jak długo starczy im cierpliwości i jak długo będziemy musieli czekać, aż przynajmniej niektórzy z nich nie zdecydują się wziąć sprawy we własne ręce i rozpocząć odwet na oślep przeciw naszym ludziom? Byłoby to przecież zgodne z ich zasadą pożerania się nawzajem, którą wydajecie się aprobować, prawda?

- Nigdy tego nie mówiłem. Cała rzecz w tym, że oni nie działają na oślep. Masa ludzi od nas właśnie tego nie umie pojąć, więc nie wie, że nie musi się bać. Chirończycy nie mają zwyczaju rysować kreski wokół całej grupy ludzi i zakładać, że każdy wewnątrz niej jest taki sam. Nie zaczęli nienawidzieć wszystkich żołnierzy z tego powodu, że przypadkiem noszą płaszcze tego samego koloru, co banda, która tam grasuje i nie zaczną nienawidzieć każdego Ziemianina. Oni nie myślą takimi kategoriami.

Merrick przez kilka chwil przyglądał się mu chłodnym wzrokiem i nadal nie był zadowolony. - No cóż, mogę tylko powiedzieć, że nie wszyscy podzielają waszą godną zazdrości wiarę w naturę ludzką - ja również nie, powinienem dodać. Oficjalna linia polityczna, przekazana mi z Dyrektoriatu, którą macie obowiązek popierać tak jak ja, bez względu na osobiste zapatrywania, brzmi, że nie można wykluczyć możliwości gwałtownej reakcji ze strony Chirończyków. Dlatego, biorąc pod rozwagę przyszłość, musimy liczyć się z taką ewentualnością.

Bernard rozłożył ręce z rezygnację. - Dobrze, rozumiem, że ma sens być przygotowanym. Ale nie widzę, w jaki sposób tu na statku mogłoby to wpływać na planowanie w Inżynierii.

Merrick na moment ściągnął brwi, a potem zdecydował się zrezygnować z okrężnego podejścia do tematu. - Około dziesięciu tysięcy naszych ludzi znajduje się obecnie w Canaveral City i jego bezpośredniej bliskości. - Spojrzał prosto na Bernarda. - Są poważnie uzależnieni od wszelkiego rodzaju usług i urządzeń chirońskich, od energii elektrycznej poczynając, a kończąc na pożywieniu. Jeśli tam w dole zamieszki wybuchną na szeroką skalę, ludzie ci będą całkowicie na łasce i niełasce Chirończyków.

Zanim Bernard zdołał przemówić, Merrick podniósł rękę, by ukrócić wszelkie jego obiekcje. - Jasne, że nie możemy tolerować takiego stanu rzeczy. Zdecydowano więc, wyłącznie jako środek ostrożności dla zabezpieczenia w razie potrzeby naszych ludzi, że musimy być zdolni zapewnić im ciągłość podstawowych usług, jeśli okoliczności będą tego wymagać. A ponieważ nie mamy do czynienia ze środowiskiem zacofanym technicznie, istotne znaczenie dla wypełnienia tych zobowiązań będzie miał wysoki stopień fachowości w zakresie nowoczesnych procesów przemysłowych, co wyznacza nam, Inżynierii, niezastąpioną rolę. Myślę, że mnie rozumiecie.

Oczy Bernarda zwęziły się odrobinę. Miał już dodatkowe wyjaśnienie tego, co Kath mówiła w kombinacie termojądrowym - po odjęciu całego uzasadnienia. A więc to przygotowywał Merrick - zwiększenie przewidywanego zespołu kierowniczego, ponieważ Dyrektoriat zdecydował się na działanie pod pretekstem sprawy Padawskiego? - Nie jestem pewien - odpowiedział. - Tak to brzmi, jakby pan mówił o przejęciu niektórych kluczowych urządzeń chirońskich. Czy to jeszcze nie pogorszy sytuacji?

- Nie wspominałem o przejmowaniu czegokolwiek. Mówię tylko, że musimy być wystarczająco zaznajomieni z ich działaniem, aby móc zapewnić usługi, jeśli będzie to potrzebne. Otóż mieliśmy okazję obejrzeć Port Norday i kilka innych zakładów. Jestem przekonany, że potrafimy nimi kierować. Dotychczas nie chciałem nikomu zabierać w związku z tym czasu, ale teraz, gdy cała sprawa wydaje się wykonalna, chciałbym, abyście obejrzeli sobie Norday. Weźcie ze sobą Hoskinsa. Oczywiście był tam z nami poprzednim razem, ale nic mu się nie stanie, jeśli odświeży sobie wrażenia, a wam przyda się towarzystwo człowieka, który już się w tym orientuje. O tym właśnie chciałem z wami porozmawiać. - Merrick mówił obojętnym tonem, w sposób sugerujący, że rozmawiają o sprawach powszechnie

Rozdział XXV

Leighton Merrick ułożył palce w kształt żłobkowanej kolumny, podtrzymującej gotyckie łuki jego brwi i patrzył w dół na biurko, dobierając słów. – Przeglądałem wasze akta osobowe, Fallows – wyrzekł, spojrzawszy na koniec do góry. – Wykazują stałą i bardzo wydatną uwagę, poświęconą szczegółom... wszystko wyczerpujące, kompletne i należycie udokumentowane. To chwalebne, bardzo chwalebne... tego rodzaju postawa może być lepiej wykorzystana przez Służbę.

– Dziękuję panu, sir. – Oczywiście Merrick starał się go zmiękczyć. Bernard zachował nieruchomą twarz i zastanawiał się, co nastąpi teraz.

Merrick pozwolił swoim dłoniom opaść na wysokość piersi. – Jakeście się zainstalowali? Czy wasza rodzina dobrze się przystosowuje?

– Bardzo gładko, biorąc pod uwagę, że to było dwadzieścia lat. – Bernard pozwolił sobie na słaby uśmiech. – Jean uważa niektóre sprawy za dziwne, ale jestem pewien, że jej to przejdzie.

– Dobrze, bardzo dobrze. A jaki macie pogląd ogólny na nasze stosunki z Chirończykami.

– Uważam, że są to krzepiąco uczciwi i bezpośredni ludzie. Z nimi wiadomo, na czym się stoi. – Bernard lekko wzruszył ramionami. – Biorąc pod uwagę, jak krótko tu jesteśmy, sądzę, że wszystko rozwija się zadziwiająco pomyślnie. Na pewno mogłoby być znacznie gorzej.

– Hmmm... – Nie była to odpowiedź, jak się okazało, której oczekiwał Merrick. – Jestem pewien, że nie wszystko jest tak dobrze – powiedział. – A co z zabójstwem kaprala Wilsona przed tygodniem?

– To było nieszczęście – zgodził się Bernard. – Ale moim zdaniem, sir, on to sprowokował.

– Niewykluczone, ale nie to miałem na myśli – powiedział Merrick. – Z pewnością nie usprawiedliwiacie przez to rządów motłochu, które tu ludziom zastępują prawo. Czy chcecie powiedzieć, że powinniśmy narażać naszą własną ludność na niebezpieczeństwo, że ktokolwiek na ulicy może ją zabijać?

Bernard westchnął. Jak zwykle Merrick próbował przekręcać jego odpowiedzi tak długo, aż będą brzmiały, jak chciał. – Na pewno nie. Ale uważam, że ludzie przesadzają na temat sytuacji. Ten incydent nie był reprezentatywny dla tego, czego możemy się spodziewać. Chirończycy tak traktują innych, jak inni ich. Ludzie, którzy pilnują własnych spraw i nie wychylają się, by obrzydzać życie innym, nie mają się czego bać.

– Więc każdy stanowi prawo dla siebie – dokończył Merrick.

– Nie, tu istnieje prawo i podlega mu każdy, ale trzeba się go umieć nauczyć. – Bernard zmarszczył brwi. Rozmowa nie wychodziła tak, jakby sobie życzy. Aż prosiła się o replikę, że gdy dwaj patrzą na to samo, widzą co innego. Ale u Chirończyków z tą różnicą, że im to nie przeszkadza. – Chciałem tylko powiedzieć, że nie sądzę, by sprawy wyglądały aż tak źle, jak niektórzy chcą je przedstawić – wyjaśnił, zdając sobie równocześnie sprawę, że wyjaśnienie jest kulawe.

– Przypuszczam, że słyszeliście ostatnie wiadomości o żołnierzach, którzy uciekli z koszar w Canaveral – powiedział Merrick.

– Tak, ale to nie potrwa. Jeśli armia ich nie dostanie, zrobią to Chirończycy.

Padawski i jego ludzie jakimś sposobem pojawili się na przeciwległym brzegu Morza Śródchirońskiego, który był słabo zaludniony i, jak się wydawało, usadowili się w górach jako bandyci. Trudno było sobie wyobrazić, co bandyta może spodziewać się osiągnąć na takiej planecie, jak Chiron, ale wiązało się to ściśle z zamiarem zemsty na Chirończykach. Napadnięto na dwa oddalone domy, splądrowano je i ograbiono; pięciu Chirończyków i jeden żołnierz zostali zabici. Trzy Chironki, w tym piętnastoletnia dziewczyna, zostały zgwałcone. Armia przeczesywała teren z powietrza i patrolami pieszymi, ale jak dotąd bez powodzenia – uciekinierzy byli dobrze wyszkoleni w ukrywaniu się. Satelity były mało przydatne, gdy nie wiedziały dokładnie czego szukać, szczególnie w górzystym terenie.

Bernard podejrzewał jednak, że Chirończycy są w stanie dać sobie z tym radę bez pomocy armii. Dysponowali przecież ekspertami w każdej dziedzinie, włącznie z pewną liczbą doskonale wyszkolonych strzelców wyborowych, a także zwiadowców leśnych, którzy w dawniejszych latach od czasu do czasu bywali wzywani, by uspokoić, a jeśli konieczne – zlikwidować uporczywych wichrzycieli. Na przykład Van Ness – człowiek, który położył Wilsona celnym strzałem z głębi

kroczy i c h granice? Czy mamy pogodzić się z tym, że nie zrobimy nic, aż dostaniemy telefon z wiadomością, że Jay leży w szpitalu – albo jeszcze gorzej – dlatego, że powiedział nie to, co należy?

Bernard westchnął i zmusił się do mówienia spokojnym głosem. – No, daj spokój... Ten chłopiec złamał surowy zakaz upijania się i zaczął maltretować dziewczynę na długo po tym, jak dostał wystarczająco wiele ostrzeżeń, by ochłonąć. A syn Van Nessa był tam właśnie wśród ludzi, którzy wmieszali się, by go uspokoić. A ty co byś zrobiła, gdyby pijak stał się nieobliczalny i wymachiwał naładowanym pistoletem prosto w twarz twojemu dziecku? Co każdy by zrobił?

– Skąd to możesz wiedzieć? – sprzeciwiła się Jean. – Nie byłeś tam. I nie tak to wyglądało w opowiadaniu Kalensa przed chwilą. I masa ludzi z nim się zapewne zgadza.

– On tylko wygrywa ludzkie emocje, Jean. Ja też tego słuchałem tutaj przez parę minut, ale nie mogłem znieść. Wszystko, co go obchodzi, to wygrać parę argumentów na szkodę Wellesleya i zahamować szybki wzrost poparcia dla Lechata. A ta cała gadanina, że Chirończycy twierdzą, iż wszystko tu należy do nich – to czysta bzdura! Twierdzę, że nic nie jest dalsze od prawdy, tylko nikt nie chce poświęcić chwilki na to, by się nad tym zastanowić.

Zamyślił się przez chwilę marszcząc brwi. To prawda, że nie był w „Dwóch Księżycach", ale z samego rana zadzwonił do Colmana i usłyszał relację, która brzmiała prawdziwie. Ale przy takim nastroju Jean nie chciał o tym wspominać. – W każdym razie fakty dotyczące strzelaniny zostały zarejestrowane – powiedział. – Wystarczy, że zapytasz o nie Jeevesa.

Wydawało się, że Jean już o tej sprawie przestała myśleć. Przez parę sekund spoglądała niepewnie na Bernarda, a potem powiedziała: – Tak naprawdę, to wcale nie o to chodzi. Idzie o – och, nie mogę tego inaczej wyrazić – o ciebie.

Bernard wcale nie wyglądał na szczególnie zdziwionego. – Chcesz to zrzucić z serca?

Jean dotknęła czoła dłonią i rozpaczliwie potrząsnęła głową, jakby żądano od niej formułowania rzeczy, rozumiejących się same przez się. – Gdy cię poznałam, nie byłeś człowiekiem, który by siedział tutaj i bawił się pociągami, gdy to wszystko dzieje się wokół – wyjąkała w końcu. – Czy nie rozumiesz? To, co się tutaj dzieje, w tej właśnie chwili, jest w a ż n e ! Dotyczy ciebie, mnie, Jaya, Marie i tego, jak wszyscy będziemy żyli – prawdopodobnie przez całą resztę życia. Przed dwudziestu laty ty – my oboje – coś byśmy z r o b i l i . Dlaczego siedzimy tutaj zamknięci i pozwalamy innym ludziom – próżnym, aroganckim, chciwym, pozbawionym skrupułów ludziom – decydować o naszym życiu? Dlaczego nic nie robimy? To o to chodzi. Nie mogę tego wytrzymać.

Bernard nie odpowiedział, tylko pytająco podniósł brwi.

Jean błagalnym gestem uniosła ręce. – Czy to, co dziś rano mówił Paul Lechat, nie przemawia do ciebie jako bardzo mądre? Czy to nie jedyna droga? Przecież on będzie potrzebował p o m o c y w tej sprawie. Miałam nadzieję, że zaraz tam zatelefonujesz i dowiesz się, czy jest tam dla nas coś do roboty. Ale ty prawie nie wspomniałeś o tym. Do diabła, wiem, że i ja jestem o dwadzieścia lat starsza, ale przynajmniej nie zapomniałam o tym wszystkim, o czym mówiliśmy wówczas. Mieliśmy dopomóc w budowie nowego świata – naszego świata, takiego jakim być powinien. I co, przybyliśmy. Podróż skończona. Czy nie czas pomyśleć o zapłacie za bilety?

Bernard wstał, powoli przemierzył piwnicę, przyjrzał się półce narzędziowej na przeciwległej ścianie, ważąc coś w umyśle. Przez dłuższy czas nie odpowiadał. W końcu wydał długie westchnienie i odwrócił się twarzą do Jean, która zrobiła w drzwiach krok do tyłu.

– Ciągle jeszcze możemy go zbudować – powiedział. – Ale to nie jest dokładnie tak, jak myśleliśmy wtedy. Wiesz, Jerry miał rację – to całe społeczeństwo przeszło przez zmianę fazową ewolucji. Nie da się tego cofnąć tak samo, jak nie da się ptaków cofnąć do stadium gadów.

Bernard podszedł o krok bliżej, jego głos przybrał ton przekonujący i zachęcający.

– Nie chciałem nic o tym mówić, dopóki sam bym się czegoś wcześniej nie dowiedział, ale my nie musimy się do tego wszystkiego mieszać – żadne z nas. Kalens i cała ich reszta należą do epoki, którą zostawiliśmy za sobą. Już ich nie potrzebujemy. Czy nie widzisz, że to nie przetrwa?

– O czym ty mówisz, Bernard?

– Kiedy pojechałem z Jayem do Port Norday, okazało się, że oni planują utworzenie nowego kombinatu dalej na północ. Potrzebują inżynierów – inżynierów termojądrowców. Prawie mi obiecali, że nie

będę miał problemów z dostaniem się tam, może na kierownicze stanowisko. Pomyśl tylko - nasz własny dom, dokładnie taki, o jakim zawsze marzyliśmy i koniec z zalewaniem sadła za skórę przez Mericka czy któregokolwiek z nich - Bernard uniósł wysoko ramiona. - Będę mógł być s o b ą po raz pierwszy w życiu... i ty też będziesz mogła, każde z nas. Już nigdy nie musimy od nich wysłuchiwać nauk, kim jesteśmy i kim mamy być. Czy to... - Przerwał, widząc że jego słowa nie wywierają takiego wrażenia, jak się spodziewał. Jean cofała się przez drzwi, potrząsając głową w niemym proteście.

- Ciebie też to wzięło - szepnęła zduszonym głosem. - Tak jak już wzięło Ewę i Jerry'ego. Och, jak ja nienawidzę tego miejsca! Czy nie widzisz, co ono robi z nas wszystkich?

- Ależ kochanie, wszystko co ja...

Jean odwróciła się na pięcie i pobiegła do windy. Chiron kradł jej życie, jej dzieci, jej przyjaciół, a teraz nawet jej męża. Przez chwilę chciała, by „Mayflower II" spuścił na dół bomby i starł z powierzchni planety Chirończyków co do jednego. A wtedy mogliby zaczynać od początku, czysto i przyzwoicie. Wstydząc się tej myśli odepchnęła ją od siebie, wracając do holu. Spojrzała na barek pod przeciwległą ścianą, po chwili wahania podeszła i nalała sobie dużą szklankę nierozcieńczonego alkoholu.

Rozdział XXII

- On jest zdumiewający, prawda? - powiedziała Shirley z lękiem, nachylona, by lepiej widzieć, nad ramieniem swej siedzącej na podłodze córki Ci. - Musi mieć wskutek mutacji genetycznej lepkie palce czy coś w tym rodzaju.

- Lepkie palce, to ostatnia z rzeczy, które by się tu przydały - mruknął Driscoll, nie podnosząc głowy. Zręcznie wyrównał talię kart, przełożył ją kilka razy w powietrzu i potasował, po czym zaczął rozdawać tak płynnymi ruchami, że zdawało się, iż talia sama się rozdaje.

- No to popatrzmy, co tu mamy - rzekł Adam. Wziął swe karty i rozłożył w wąski wachlarzyk. To samo zrobiła reszta graczy przy stole: Paula - jedna z cywilnych dziewcząt z „Mayflower II" i Czang, ciemnoskóry przyjaciel Adama.

- Można nie patrzeć - powiedział nonszalancko Driscoll. - Ty masz parę króli. - Adam parsknął i rzucił otwarte karty na stół. Miał króla kier, króla pik i trzy karty nie do pary.

- A co ja? - spytała Ci, patrząc na Driscolla. Pochyliła się w bok, pokazując matce swą rękę.

Driscoll popatrzył na nią. - Trzy damy, a ja mam lepiej - powiedział. Ci i Shirley wymieniły zakłopotane spojrzenia.

Paula przyglądała mu się z szelmowskim uśmiechem. - A czy myślisz, że masz lepiej niż ja? - zapytała dziwnym głosem.

- Pewnie - odrzekł Driscoll. Na moment zabłysły mu oczy. - Jeśli chcesz wiedzieć, w jaki sposób podbije, to asami.

- Jesteś pewien, Tony? - spytała Paula. - Ale nie założysz się o to, prawda? - Paula zwróciła głowę do swego przyjaciela Terry'ego, również z „Mayflower II", przyglądającego się grze zza jej pleców i uśmiechnęła się chytrze.

Driscoll patrzył jej spokojnie w oczy. - Zaryzykuję. - powiedział. - A gdybyśmy grali na pieniądze, postawiłbym.

- Ile? - spytała Paula.

Driscoll wzruszył ramionami. - A ile ty?

- Dwadzieścia?

- Zgoda, dwadzieścia przebite.

- Pięćdziesiąt?

- Jestem.

- Setkę?

- Setkę.

Uradowana Paula rzuciła na stół cztery asy. - Przegrałeś! No i co? Rozłożyłam go. Widzicie, ja wiedziałam, że on blefuje.

Dziwne to było, ale zrozumienie, iż zaczyna przyswajać sobie chirońskie oddanie się życiu, zaniepokoiło Pernaka. Zaniepokoiło, bo im więcej dowiadywał się o ich historii i zwyczajach, tym bardziej rozumiał jak nieustępliwie i zaciekle bronić będą swej wolności, by dać wyraz temu oddaniu. Bronili jej indywidualnie i nie mógł sobie wyobrazić, by zbiorowo nie bronili jej z taką samą determinacją. Od przeszło dwudziestu lat wiedzieli, że „Mayflower II" się zbliża, a pod powłoką jowialnej swobody bynajmniej nie byli bierną i pokorną rasą, która powierzyłaby swą przyszłość przypadkowi i apelom do lepszych stron natury innych ludzi. Byli realistami, a Pernak był przekonany, iż przygotowali się na najgorsze, co mogła przynieść sytuacja. Choć nikt nie wspominał mu o jakimkolwiek uzbrojeniu, z tego co zaczynał wiedzieć o poziomie chirońskiej nauki, ich środki przeciwstawiania się złu mogły być zaiste bardzo potężne.

Był spokojny, że Chirończycy nigdy nie sprowokują pierwsi działań wojennych, ponieważ nie żywili lęku przed Ziemianami i chętnie ich przyjęli, czego w pełni dowodziło wszystko, co zdarzyło się po przybyciu statku. Nie uważali, by sposób życia wybrany przez Ziemian w jakiejkolwiek mierze ich obchodził, ale nie pozwoliliby, aby na ich własny sposób życia ktokolwiek wpływał. Nie niepokoili się perspektywą współzawodnictwa o zasoby materialne, ponieważ z ich punktu widzenia wszelkie zasoby były nieomal nieskończone. Ale Pernak nie był tak pewien Ziemian - przynajmniej niektórych z nich. Kalens nadal wygłaszał podżegające przemówienia i rozkazywał poważnej liczbie zwolenników, zaś sędziego Fulmire'a atakowały z oburzeniem pewne środowiska za odmowę zrewidowania decyzji o niewytaczaniu oskarżenia w sprawie zabójstwa Wilsona. Ostatnio zaś Pernak słyszał od Chirończyków o krążących po Franklinie ludziach, wyglądających na funkcjonariuszy wywiadu wojskowego po cywilnemu, stawiających pytania, zmierzające do zidentyfikowania Chirończyków, mających skrajne poglądy, żale czy urazy, oraz ludzi o silnej osobowości - innymi słowy takich, którzy typowo nadawali się do zrekrutowania jako agitatorzy czy organizatorzy protestów. Te wysiłki nie dały wiele efektów, ponieważ bardziej bawiły, niż zaciekawiały Chirończyków. Ale fakt pozostawał faktem, że ktoś badał potencjalne możliwości posiania wśród Chirończyków niepokoju. Nie trzeba było wiele zgadywać, by ustalić prawdopodobną przyczynę takich działań: historia polityczna Ziemi roiła się od wypadków, gdy władze z rozmysłem prowokowały zaburzenia, aby usprawiedliwić w oczach własnych narodów brutalną reakcję. Jeśli jakaś grupa, prawdopodobnie nader potężna, rzeczywiście intrygowała, by spowodować konfrontację i jeśli na tym, co Pernak zaczynał dostrzegać u Chirończyków, można było polegać, to grupę te powinny oczekiwać paskudne niespodzianki. Nie to martwiło szczególnie Pernaka, ale to, że przy tej okazji wielu ludzi musiałoby ucierpieć. Wiedząc to, co teraz, uważał, że nie może sobie pozwolić na siedzenie na stronie i czekanie, aż sprawy przybiorą taki bieg.

Być może zbyt się pośpieszył - powiedział sobie - może był trochę zbyt naiwny podczas rozmowy Ewy i swojej z Lechatem. Nadal wierzył, jak wierzył wówczas, że Ziemianie we właściwym czasie mogą wtopić się w życie chirońskie, jeśli zostawi się ich w spokoju. Ale coraz wyraźniejsze było, że nikt ich w spokoju nie zostawi.

Nadal nie uważał, że permanentny Separatyzm jest rozwiązaniem, ale na najbliższą przyszłość czułby się lepiej, widząc u steru kogoś zdolnego do zrównoważonej oceny sytuacji - jak Lechat. Po namyśle Pernak żałował swej odpowiedzi na prośbę Lechata o pomoc. Lecz było już zbyt późno, by potrafił to zmienić. Nie wiedział, w jaki dokładnie sposób mógłby dopomóc, ale zaczynał poznawać Chirończyków i rozumieć wiele z ich sposobu postępowania. Z pewnością tę wiedzę można by z pożytkiem wykorzystać.

Lechat był na orbicie w „Mayflowe II", a Pernak miał opory przed składaniem tam wizyty, ponieważ jako „dezerter" nie był pewien, jakie przyjęcie oczekuje go ze strony władz. Armia wysyłała oddziały „S", by zmusić dezerterów wojskowych do powrotu; krążyły plotki, że nie wszyscy „S"-mani odkomenderowani do tych zadań powrócili. Tak więc na wysokich szczeblach mogło się zacząć coś podobnego do paniki. Nie uważał także za roztropne powierzanie spraw, które chciał przedyskutować, elektronicznym środkom łączności. Ale Ewa mówiła coś, że Jean Fallows stała się bardzo aktywna jako stronniczka i organizatorka kampanii Lechata... Dobrze było zacząć od tej strony.

Kiwnął głową sam do siebie. Tak właśnie uczyni. Zadzwoni do Jean, a potem pojedzie do Cordova Village, by omówić wszystko z nią i z Bernardem.

cone właściwości antywszechświata. W tym momencie znaczne ilości wyzwolonych w reakcji trali przekształcały się w antytrale, zaś istniejące warunki wysokoenergetyczne dawały uprzywilejowanie raczej przekształceniu się ich w antykwarki i antyleptony, niż w promieniowanie. Występowały przy tym pewne straty wskutek ich anihilacji z cząstkami materii, również tworzącymi się, choć w mniejszych ilościach; to samo bez wątpienia następowało także w samym Wielkim Wybuchu, ale ostatecznym rezultatem był ogromny zysk energetyczny w porównaniu z energią włożoną dla podtrzymania procesu i Chirończycy już dowiedli słuszności swego modelu teoretycznego w zakładzie eksperymentalnym na przeciwległym krańcu Orieny.

Oznaczało to, że mogą tanio „nabyć" znaczne ilości antymaterii. W rezultacie nauczyli się panować nad „małymi wybuchami", o których Pernak rozmyślał przez wiele lat.

Usiadłszy wygodnie w swym gabinecie pracy, by dać odpoczynek umysłowi do wchłaniania informacji, prezentowanych na leżącym na przeciwległej ścianie ekranie, Pernak zaczynał rozumieć, że teoria ta otwierała całe nowe światy. To, co mu tutaj zaświtało, nie było tylko fizyką; była to kompletnie nowa filozofia bytu, wynikająca z interpretacji fizycznej.

W chirońskim umyśle nie było miejsca dla odmalowanego przez wcześniejsze pokolenia ziemskich myślicieli ponurego obrazu wszechświata, zrodzonego przez unikalny wypadek w przyrodzie, przez chwilę migoczącego jak iskra w ciemności nocy, by rozpłynąć się w nieskończoności i zamarznąć w lodowym paraliżu rosnącej, nieubłaganej entropii. Dla Chirończyka wszechświat był tylko jednym atomem z prawdopodobnie nieskończonego Kosmosu bratnich wszechświatów, z których każdy współistniał w każdym punkcie przestrzeni z pradomeną, która spłodziła jego rodzinę z rozrzutnością letniej chmury burzowej, siejącej kroplami deszczu. Poprzez to praźródło każdy wszechświat mógł się sprząc z każdym innym, zaś sprzęgając się z samym źródłem każdy - jak to wykazało doświadczenie z wytwarzaniem antymaterii - mógł być podtrzymywany, żywiony i zaopatrywany z nieograniczonej i nieskończonej hiperdomeny, tak ogromnej i niewyobrażalnej, że wszystko co istniało, od bakterii do najbliższych kwazarów, było ledwie cieniem jej najdrobniejszego pyłka.

Pernak wstał od biurka, przy którym pracował i podszedł do okna, by popatrzeć w dół na trawniki między dwoma blokami, tworzącymi frontowe skrzydła budynku. Pojawiało się coraz więcej pracowników i studentów, niektórzy odpoczywali rozwaleni na słońcu, inni tu i tam bawili się w sporty zespołowe przy zbliżającej się przerwie południowej. Pernak był przyzwyczajony do życia wśród ludzi, odczuwających własną znikomość i lęk wobec wszechświata, który postrzegali jako zimny i pusty, zdominowany przez siły rozkładu, gnicia i na koniec - śmierci; świata, w którym kruche dziwactwo, zwane życiem, może niepewnie i przez krótką chwilę czepiać się kalekiej egzystencji, nie mającej prawomocnie przysługującego miejsca w porządku rzeczy. Nauka sięgnęła do początków wszystkiego, co można było pojąć i taką ponurą odpowiedź znalazła tam wypisaną.

W przeciwieństwie do tego Chirończyk widział bogaty, jasny, pulsujący wszechświat, przejawiający na każdym poziomie strukturalnym i w każdej skali wielkości tę samą nieodpartą siłę samoorganizującej się, samoporządkującej ewolucji, która zbudowała z plazmy atomy, z atomów molekuły, później samo życie, a dalej najwyższe zjawisko: umysł i wszystko, co umysł mógł stworzyć. Słabiutkie zmarszczki, biegnące pod prąd ewolucji, były tak nie zdolne do jej zatrzymania, jak lekki wietrzyk do odwrócenia biegu rzeki. Przyszłość obiecywała nowe horyzonty, otwierające się bez kresu na wiecznie rozszerzające się krajobrazy coraz większej wiedzy, nieprawdopodobnych zasobów i nieograniczonych perspektyw. Bo sięgnąwszy do początków wszystkiego, co można pojąć, Chirończycy zaledwie zaczynali się uczyć.

I dlatego odrzucali złowrogą wiarę w nieuchronność poddania się ostatecznej uniwersalnej stagnacji i rozpadowi. Tak, jak organizm umierał i rozkładał się z braku pożywienia, lub miasto opuszczone przez swych budowniczych rozpadało się w proch, entropia rosła tylko w zamkniętych systemach, izolowanych od źródeł energii i życia. Ale wszechświat Chirończyków nie był już zamkniętym systemem. Jak sadzonka zakorzeniona w glebie i kąpiąca się w wodzie i promieniach słońca, jak komórka jajowa w łonie, dzieląca się i różnicująca, był on kwitnącym, rosnącym organizmem - otwartym systemem, karmionym z niewyczerpanego źródła.

A dla takiego organizmu prawem uniwersalnym jest życie, nie śmierć.

- Blefuję? Ucho! - Driscoll położył na stół jeszcze pięć asów, a w pokoju wybuchły śmiechy i oklaski.

- Hej, mnie nikt nie pytał, co mam - powiedział Czang. - Ja to biję.

- Ty? - spytał zdziwiony Driscoll.

Czang rzucił karty na stół i wycelował w partnera dwa czarne palce. - Smith i Wesson biją pięć asów. - Wyszczerzył zęby i wstał od stołu. - Czy wszyscy chcą po drinku? - Dało się słyszeć chóralne potwierdzenie i Czang poszedł do barku na końcu pokoju.

Słowa Shirley, by się z nią skontaktować, gdy będzie na planecie, Driscoll potraktował poważnie, ona zaś zaprosiła go do siebie do Franklina na przyjęcie. Dodała, że może przyprowdzić ze sobą kogo tylko zechce. Driscoll poprosił więc Colmana, Swyleya, Maddocka i Stanislaua, oni zaś wspólnie przekonali Sirocco, by także przyszedł. Sirocco znów zaproponował, by wziąć wraz z nimi kilka dziewcząt z „Mayflower II". Adam, który jak się okazało był przyjacielem Ci, został również zaproszony wraz z Kath, oni zaś ze swej strony przyprowadzili brata-bliźniaka Adama, imieniem Casey, oraz dziewczynę Caseya z „Mayflower II" - tę wesołą, której Coman nie mógł wtedy zidentyfikować.

Okazało się, że jest to bardzo zgrabna ruda, imieniem Weronika, zajmująca apartament w segmencie Baltimore. Colman pamiętał ją trochę z widzenia, ale dotychczas nie wiedział, jak się nazywa. Gdy rozmawiali przy barku wcześniej tego wieczoru, Weronika była nie mniej zaintrygowana Colmanem, niż on nią. - Oczywiście tam byłem - odpowiedział na jej pytanie, zadane z szatańskim błyskiem w oku. - Mało jest miejsc, których by się w ciągu dwudziestu lat wcześniej czy później nie zwiedziło.

- A czegóż by taki przystojny sierżant jak ty szukał w segmencie Baltimore?

- A któż by się tym interesował?

Przyjrzawszy się przez parę chwil jego niewzruszonej twarzy, Weronika powiedziała cichym głosem: To ty, prawda?

- Nawet gdybyśmy założyli, że wiem o czym mówisz, nie sądzę, byś spodziewała się odpowiedzi. - oboje nawzajem poddali próbie swą dyskrecję i z uznaniem przyjęli wyniki. Dalsze słowa były zbędne.

Ponieważ wszystkie bary zostały po strzelaninie objęte zakazem wstępu dla żołnierzy, przyjęcie wypadło w sam czas - pomyślał Colman, stojąc oparty o barek i ze szklanką w ręku rozglądając się po pokoju. Z tyłu za nim Swyley i Stanislau stali w grupie Chirończyków płci obojga, wypytując o środki komunikacji i warunki podróży na Chironie; na środku pokoju Sirocco w innej grupie dyskutował na temat komunikatów wojennych z Ziemi. Maddock zaś, wyglądający już na z lekka zużytego, leżał wyciągnięty na tapczanie w alkowie po przeciwległej stronie, obejmując ramieniem Wendy, jedną z dziewcząt z „Mayflower II", która chyba zasnęła. Najprzyjemniejsze było znaleźć się z dala od awantury politycznej, która rozdarła Misję na stronnictwa już nazajutrz rankiem po strzelaninie. Kalens domagał się narzucenia we Franklinie ustawodawstwa ziemskiego; Lechat chciał, aby wszyscy przenieśli się do Iberii; ktoś nazwiskiem Ramisson żądał rozwiązania Kongresu i integracji z ludnością Chirona, a gdzieś pośrodku Wellesley próbował sterować własnym kursem między nimi wszystkimi. Na jednym ze skrajnych skrzydeł niektórzy popierali Kalensa, organizując antychirońskie demonstracje z żądaniami polityki twardej ręki. Padawski oraz jego grupa spod „Dwóch Księżyców", z Anitą włącznie, byli zatrzymani w bazie wojskowej w Canaveral, w oczekiwaniu na przedstawienie im oskarżenia o niewykonanie rozkazów i chuligaństwo. Ramelly był dodatkowo oskarżony o pobicie, Padawski zaś o brak dyscypliny w podległym mu pododdziale oraz o groźby karalne. Groźby te stały się główną przyczyną zatrzymania grupy Padawskiego w bazie, ponieważ niektórzy politycy obawiali się reakcji Chirończyków, gdyby ludzie ci pozostawali na wolności. Colman nie przypuszczał, by groził im odwet, gdyż żaden z Chirończyków, z którymi rozmawiał nie przywiązywał większego znaczenia do incydentu. Życzyłby więc sobie, aby więcej polityków widziało sprawę w takich proporcjach, zamiast rozdmuchiwać wypadek ponad wszelką miarę dla swoich celów. Gdyby się do tego nie mieszali i pozwolili, by wojsko własnymi metodami załatwiło sprawę z własnymi ludźmi - myślał - o całej sprawie nikt by już nie pamiętał.

Adam, Casey i Weronika siedzieli za stołem, przy którym Driscoll dawał swój pokaz. Kath podeszła, by zamienić z nimi parę słów. Choć Colman czuł się teraz przy niej mniej skrępowany niż na początku

znajomości, musiał włożyć dużo wysiłku, by przyzwyczaić się do poczucia, że jest swobodnie i naturalnie akceptowany przez kogoś takiego, jak ona, i traktowany, jakby był kimś ważnym na „Mayflower II". Wówczas gdy szedł z nią z domu Adama pod „Dwa Księżyce", czuł się trochę jak zdefektowany robot Adama, Kulas - niezdarny, nie na miejscu i niepewny o czym mówić i jak się zachować. Ale przez cały tamten wieczór, mimo wypadku ze strzelaniną, zarówno w drodze powrotnej i potem w domu Adama, jak i następnego dnia, gdy po służbie spotkali się na mieście w restauracji, Kath zachowywała się spokojnie i naturalnie. Powoli się odprężał, ale ciągle nie mógł wyjść ze zdumienia, że ktoś, kto był dyrektorem zakładów termojądrowych czy jak tam się jej stanowisko nazywało, mógł tak traktować sierżanta inżynierii, zdegradowanego do służby w piechocie. Dlaczego tak postępowała? I w ogóle czemu jakikolwiek Chirończyk miałby się więcej niż przelotnie interesować jakimkolwiek Ziemianinem?

- Bo ona cię uwodzi - szepnął głos za jego plecami.

Colman odwrócił się i ujrzał Swyleya, który stał oparty rękami o bar i wpatrywał się w stojące w nim butelki. Colman uniósł brwi. Gdyby chodziło o kogokolwiek innego, byłby bardziej zdumiony, lecz czytanie myśli przez Swyleya należało do rzedu jego tajemnych uzdolnień, które w kompanii „D" przyjmowano za coś oczywistego. Po chwili Swyley kontynuował: - Uwodzą nas wszystkich. W ten właśnie sposób toczą wojnę.

Colman nie odpowiedział, ale pozwolił odczytać pytanie, które zadał w myśli. Swyley oczywiście odpowiedział: - Nie produkują bomb, nie organizują armii. To zbyt brudne i zbyt wielu niewinnych ludzi mogłoby ucierpieć. Oni działają u korzeni. Wywołują u ludzi myślenie i zadawanie pytań, jakich nigdy nie uczono ich zadawać. W ten sposób po kawałku wybiorą fundamenty, aż dach sam się zawali. - Przerwał, po czym kontynuował, patrząc na ścianę. - Jesteś inżynierem, a ona współkieruje zakładami termojądrowymi. Jeśli chcesz wyjść z wojska, masz tam miejsce dla siebie. To właśnie ona chce ci powiedzieć.

Colman po części zaczął już dostrzegać istnienie takiego planu, chociaż nie tak jasno i całkowicie, jak to Swyley opisywał. To, co Swyley mówił, mogło być prawdą, lecz Colman był pewien, że w wypadku Kath coś jednak pominął, coś bardziej osobistego od motywów politycznych.

Poczuł na ramieniu dotknięcie ręki, która posunęła się do góry i pogłaskała go po karku. Odwrócił się i ujrzał, że Kath wróciła. - Zaczynasz tu w kącie organizować kawalerskie przyjęcie - powiedziała. - Muszę je przerwać, zanim pomysł stanie się zaraźliwy.

Coman uśmiechnął się. - Słuszna myśl. Zaczynaliśmy już tu rozmawiać na tematy zawodowe. - Wskazał głową Weronikę, pogrążoną w ożywionej rozmowie z bliźniaczymi synami Kath i wyraźnie bardzo zadowoloną. - Ktoś tam ma wielkie powodzenie.

- A czy ona nie jest bardzo zabawna? - zapytała Kath. - Właśnie przekonuje Caseya, by uczył ją architektury. I może się tego nauczyć. To inteligentna kobieta. Czy dawno ją znasz?

Colman uśmiechnął się pod wąsem. - Pierwszy raz ją zobaczyłem. To może idiotycznie wyglądać, ale faktem jest, że przed dzisiejszym wieczorem nigdyśmy się nie spotkali.

- Przez dwadzieścia lat na tym samym statku? To przecież niemożliwe.

Colman wzruszył ramionami. - Dziwne rzeczy zdarzają się na morzu, jak mówią. A myślę, że jeszcze dziwniejsze w kosmosie.

- A ty jesteś kapral Swyley, który widzi rzeczy, których nie widać - rzekła Kath, robiąc krok w tamtą stronę. - Twój kapitan Sirocco powiedział mi, co potrafisz. Lubię go. Opowiedział mi także, w jaki sposób zepsułeś na statku manewry. Uważam, że to było wspaniałe.

- Jeśli i tak musisz przegrać, lepiej byś wygrał - odpowiedział Swyley. - Jeśli wygrywasz w niewłaściwy sposób, to przegrywasz, a jeśli przegrywasz jakimkolwiek sposobem, toś przegrał. Więc czemu się nie zabawić?

- Co się stanie, jeśli wygrasz we właściwy sposób? - spytała go Kath,

- Wtedy przegrywasz z systemem. To tak, jak gra przeciw Driscollowi - system wyciąga własne asy.

W tym momencie jedna z chirońskich dziewczyn z grupy stojącej w kącie lekko wzięła Swyleya pod rękę. - Myślałam, że przygotujesz nam jeszcze trochę drinków - powiedziała. - Usychamy tam wszyscy

W tym właśnie miejscu fizyka chirońska poszła odmienną drogą. Chirończycy zrobili godny uwagi krok: rozciągnęli równoważność masy i energii na samą czasoprzestrzeń: wszystkie trzy były manifestacjami tej samej „rzeczy". Fala uderzeniowa, tworząca się wewnątrz pierwotnej domeny tralaterii, mogła, jak wykryli, stworzyć gradient energetyczny dostateczny do „rozerwania" elementów złożonej czasoprzestrzeni i rozłożenia ich na znane wymiary czasu i przestrzeni, w których powszechnie przyjęte prawa fizyki mogły się ujawnić. W ten sposób Chirończycy odkryli przyczynę nieciągłości.

Bezpośrednio z chirońskiej równoważności masy-energii-przestrzeni wynikała rozszerzalność czasu: ochładzający się fluid fotonowy przekształcał się wówczas zarówno w przestrzeń, jak w tralaplety materii, przy czym stosunek między tymi procesami zależał od temperatury i przesuwał się od sytuacji sprzyjającej tworzeniu tralapletów do tworzenia przestrzeni, w miarę jak ochładzał się wszechświat. W ten sposób galaktyczne przesunięcie ku czerwieni nie było spowodowane rozeszerzaniem się kosmosu - Chirończycy postawili całą sprawę na głowie i wyciągnęli odwrotny wniosek: że rozszerzanie się przestrzeni kosmicznej było produktem wydłużania się długości fal. Innymi słowy promieniowanie definiowało przestrzeń i w miarę jak ochładzało się do większych długości fal, rosła przestrzeń. Tak Chirończycy dokonali syntezy traladynamiki i ogólnej teorii względności, odnosząc właściwości przestrzeni do fotonów, jak również i właściwości czasu. „Wyspy" materialnych tralapletów, pozostawione przez ochładzający się fluid fotonowy, były zdominowane wewnętrznie przez oddziaływania silne, podczas gdy grawitacja stała się oddziaływaniem dominującym w stworzonym na zewnątrz królestwie makrokosmosu, i wyspy te pod wieloma względami zachowywały się tak, jak mikrokosmosy z domeny, która dała im początek.

Jeszcze bardziej godną uwagi była następna predykcja, wynikająca z chirońskiego stosunku symetrii, który wymagał, by równolegle z wszechświatem powstał „antywszechświat", utworzony z antymaterii i stanowiący niezwykłe królestwo, w którym „antyczas" biegł wstecz, zaś „antyprzestrzeń" kurczyła się z pierwotnej zerowej objętości. Wszechświaty jak cząstki, tworzone były parami. I to właśnie dualizm wszechświatów, z których każdy odznaczał się czasoprzestrzenią rozłożoną na dwa wymiary dyskretne, był przyczyną dwukierunkowego dualizmu, manifestowanego przez trale i antytrale: lamy, limy, antylamy i antylimy były po prostu przestrzeniopodobnymi, czasopodobnymi, antyprzestrzeniopodobnymi i antyczasopodobnymi projekcjami tej samej fundamentalnej realności, istniejące w bezczasowej i bezprzestrzennej domenie tralakosmosu.

I co było najbardziej zadziwiające, wystarczył tylko jeden ‚hipertral" w tralakosmosie, aby wytłumaczyć wszystkie projekcje, postrzegane jako lamy, limy, antylamy, antylimy i oba wszechświaty. Wszechświat w rzeczywistości był ekranem, na którym te same projekcje wciąż i wciąż się powtarzały w wyniku rozdzielenia się wymiarów przestrzeni i czasu na samym ekranie, co oczywiście powodowało, że każdy lam był taki sam, jak każdy inny lam, a każdy lim - jak każdy inny lim. Było to tak, jakby maszyna do pisania stwarzała papier w miarę pisania, pozostawiając płaskim mieszkańcom dwuwymiarowego wszechświata, który stworzyła, swobodę rozważania, dlaczego wszystkie znaki występujące seryjnie w ich własnym „płaskim czasie" musiały mieć dokładnie taki sam kształt.

Więcej trali niż antytrali było rzutowanych na ekran zwykłego wszechświata, a więcej antytrali niż trali na antywszechświat i to właśnie, zgodnie z chirońską interpretacją, było przyczyną, dla której wszechświat był zbudowany z materii, a nie z antymaterii. Odwrotne stosunki panowały oczywiście w bliźniaczym antywszechświecie. Wobec tego, rozumowali Chirończycy, sposobem na otrzymanie antymaterii byłoby spowodowanie, by mały kawałek wszechświata wyglądał jak antywszechświat, aby tralakosmos mógł zostać „nabrany" na rzutowanie nań antytrali zamiast trali. Innymi słowy, zamiast wydatkować olbrzymie ilości energii na tworzenie antytrali „piechotą", jak to było uważane za nieuniknione przez większość uczonych ziemskich, czy nie lepiej było „przerzucić" trale w stan antytrali w materii, którą dysponowali?

Ku własnemu zdumieniu przekonali się, że jest to możliwe. Dokonali tego zaprzęgając wysokoenergetyczne inercyjne termojądrowe człony napędowe do produkowania plazmy dostatecznie skoncentrowanej, aby „zagotowała się" do czystego fluidu fotonowego, który w małej objętości mógł odtworzyć początkowe warunki panujące w Wielkim Wybuchu. Wewnątrz niej przestrzeń i czas sprzęgły się ponownie i skurczyły dośrodkowo z implodującym rdzeniem, na chwilę symulując dziwaczne, odwró-

nie bezkolorowy ładunek jednostkowy, czego wynikiem był pozytron, oznaczany AAA; zaś trzy antylamy, każdy o „antyładunku" jednej trzeciej, tzn. ładunku ujemnym, tworzyły zwykły elektron. Trzy limy nie miały ładunku i dawały neutrino elektronowe, zaś trzy antylimy połączone zamykały generację stanu podstawowego antyneutrinem elektronowym. Wynikało z tego, że „antytrale" nie muszą w konieczny sposób tworzyć antycząstek, zaś trale nie zawsze dają cząstkę. Niemniej w budowie normalnej materii trale przeważały nad antytralami; na przykład proton, składający się z dwóch kwarków górnych i jednego dolnego, był reprezentowany przez trójkę „tralapletów": AAI, AIA i AIA, zależnie od ładunków kolorowych przypisanych trzem składającym go kwarkom.

Ten schemat nareszcie wyjaśniał wiele rzeczy, które dotychczas były tylko notowane, jako zaobserwowane empirycznie ciekawe koincydencje. Wyjaśniał, czemu kwarki występowały w trzech kolorach: każda kombinacja jeden-plus-dwa lamów i limów miała trzy i tylko trzy możliwe permutacje. Wyjaśniał, czemu leptony były „białe" i nie poddawały się silnym oddziaływaniom; istniały tylko jedne możliwe permutacje: AAA lub III. Wyjaśniał też, czemu ładunki elektryczne kwarków i leptonów były równe: niosły je te same trale. Zaś dalsze studia „traladynamiki" umożliwiły pierwsze spekulacje na temat, co zapoczątkowało Wielki Wybuch.

Wyniki matematyczne wskazywały na wcześniejszy stan fluidalny czystej „tralaterii", o nieokreślonych rozmiarach i szczególnych właściwościach, ponieważ przestrzeń i czas były związane jako wymiar złożony, co nie pozwalało na pojawienie się jakichkolwiek procesów analogicznych do czegokolwiek opisywalnego znanymi terminami fizycznymi. Istniały podstawy do przypuszczeń, że gdyby rozszerzająca się nodula rozplątanego czasu i przestrzeni została arbitralnie wprowadzona za pomocą jakiegoś mechanizmu – niektórzy uzmysławiali to obrazem banieczki pojawiającej się w wodzie sodowej, choć nie było to ściśle – spadające „ciśnienie" wewnątrz banieczki zapoczątkuje kondensacje surowej „tralaterii" z „tralaprzestrzeni", w formie eksplozji trali i antytrali; przy czym trale zachowywałyby aspekt „czasopodobny", antytrale zaś „antyczasopodobny" pierwotnej bezczasowej domeny ich pochodzenia. Ich wzajemne powinowactwo przyspieszyłoby ich łączenie się w gęsty fluid fotonowy, w którym przywrócona zostałaby bezczasowość, co zgadzałoby się z teorią względności, wyjaśniając, czemu dla poruszających się fotonów czas pozostawał nieruchomy, oraz czemu w obserwowanym wszechświecie istniało dziwne powiązanie między stopniem upływu czasu i szybkością światła. Wysokoenergetyczne warunki pierwotnego fluidu fotonowego, którego gęstość zbliżała się do gęstości jądra atomowego, sprzyjałyby tworzeniu się jednostek „tralapletów", zapoczątkowując interakcję materii w warunkach zdominowanych przez silne oddziaływanie jądrowe, co ujawniało się przywracając nie-Ablowską symetrię pomiarową w odniesieniu do wariancji stopni swobody, wprowadzonych przez rozdzielenie czasu i przestrzeni. Następnie już ewolucja wszechświata podążała zgodnie z dobrze znanymi zasadami.

Teorie obecnie preferowane na Ziemi przypisywały przewagę występowania materii we wszechświecie w porównaniu z antymaterią zakłóceniu równowagi w stosunku jeden do miliarda w reakcjach występujących w najwcześniejszej fazie Wybuchu. Dostępna energia produkowała wówczas obficie egzotyczne cząstki, nie występujące w obecnym wszechświecie, których model rozpędu łamał prawo zachowania liczby barionowej. W obecnym wszechświecie występowały rzadko, tylko jako nietrwałe „cząstki wirtualne" i były odpowiedzialne za niemal niemierzalny, ale zmierzony okres życiowy protonu, wynoszący 1031 lat.

Uważano, że cząstki wirtualne są dlatego wirtualnymi, ponieważ warunki obecnego wszechświata nie pozwalają na dostarczanie energii w ilościach koniecznych dla podtrzymywania istnienia tralapletów. Wobec tego jedynym sposobem stworzenia antymaterii było zogniskowanie w jednym punkcie dostatecznej ilości energii, by rozdzielić składniki pary wirtualnej, zanim pochłoną się wzajemnie i podtrzymać ich egzystencję, co w praktyce oznaczało dostarczenie im przynajmniej ich równoważnika masowego, jak się to działo na przykład w gigantycznych akceleratorach. Z tego powodu szeroko rozpowszechnione były zastrzeżenia, że zysk energetyczny netto nigdy nie będzie mógł być uzyskany z późniejszej anihilacji antymaterii. Uważano, że w najlepszym razie jest to skomplikowany akumulator i do tego niezbyt sprawny; lepiej było zamiast podawać energię do akceleratora, przyłożyć ją wprost tam, gdzie miała być zastosowana antymateria.

z pragnienia. Mogę ci pomóc. A potem wracaj i opowiedz nam jeszcze o Mafii. To było bardzo interesujące.

Colman otworzył szeroko oczy ze zdziwienia. – On? Co on u diabła może wiedzieć o Mafii?

Dziewczyna rzuciła mu dziwne spojrzenie. – Jego wuj był szefem na całą West Side w Nowym Jorku i zgarnął przy tym dodatkowo pół miliona. Gdy to wyszło na jaw, musiał wydać wszystko, by kupić miejsce na statku. Nie wiedziałeś o tym?

Przez chwilę Colman gapił się na nią z otwartymi ustami. Wiedział tylko, że Swyleya jako dziecko zabrał na „Mayflower II" jakiś wujek, który w piętnastym roku podróży zmarł na serce. – Hej, a jak to się stało, żeś nigdy nam o tym nie mówił? – zawołał za Swyleyem, którego dziewczyna już prowadziła z sobą.

– Nigdy mnie nie pytałeś – odrzucił Swyley przez ramię.

Colman odwrócił się, potrząsnął rozpaczliwie głową i znowu spojrzał na Kath. Gdy Swyley dołączył do reszty towarzystwa, jej trochę oficjalne zachowanie zmieniło się w bardziej bezpośrednie. Colman patrzył na nią, a spojrzenie jej szarozielonych oczu błądziło spokojnie, ale badawczo po jego twarzy, jakby chciała przeniknąć do jego myśli. Uświadomił sobie z całą ostrością, że Kath ma pod obcisłą różową sukienką mocne, pełne ciało; miękkie rozwichrzone włosy o delikatnym aromacie i gładką, opaloną skórę na kształtnych ramionach. Przez cały wieczór podświadomie czekał na przyjście tej chwili, ale dopiero teraz gotów był to świadomie przyjąć. Jej promienne oczy wystarczyły, by rozproszyć wszystkie jego wątpliwości, ale uwarunkowania, jakim był przez całe życie poddany, uniemożliwiały przełamanie bariery. Przez parę chwil, które zdawały się trwać wieki, czuł się jak we śnie: wiedział co pragnie powiedzieć i zrobić, ale ciało i język miał sparaliżowane. Wiedział, że jest to odruch warunkowy, wywołany przez zakorzenione nawyki myślowe, lecz równocześnie brakło mu sił, by go przełamać.

Nagle zdał sobie sprawę, że Kath uśmiecha się w sposób mówiący, że nie musi niczego tłumaczyć ani się usprawiedliwiać. Patrząc mu nadal prosto w oczy powiedziała spokojnym i cichym głosem: – Lubimy się nawzajem jako ludzie i podziwiamy za to, czym jesteśmy. Na Chironie nie istnieje lęk przed tym, co powinno nastąpić. Ludzie, którzy czują do siebie to co my, zwykle idą do łóżka, jeśli mają na to ochotę. – Przerwała na chwilę. – Czy nie chcesz właśnie tego?

Colman wahał się jeszcze sekundę, poczuł, że sam się do niej uśmiecha, a ulotne światełka, tańczące w jej oczach mówią mu: jesteś wolnym człowiekiem w wolnym świecie. I nagle niewidzialna bariera prysnęła.

– Tak, chcę – odpowiedział. Nic więcej nie trzeba było mówić.

– W Port Norday mieszkam tylko w dni robocze – powiedziała Kath. – Mam też mieszkanie we Franklinie. Zupełnie blisko stąd.

– A ja mam służbę dopiero jutro o świcie – odrzekł Colman.

Znów się uśmiechnął, a ona odpowiedziała mu szelmowskim uśmiechem.

– To co my tu jeszcze robimy? – zapytali równocześnie.

Rozdział XXIII

Kath zrobiła przerwę w rozmowie i przechyliła się, by nalać wina z karafki stojącej na nocnym stoliku koło łóżka. Colman, rozłożony na miękkich poduszkach, z przyjemnością rozglądał się po pokoju, rozkoszując się ciepłym, miłym poczuciem odprężenia, którego nie doznawał od długiego czasu. Był to przytulny, pogodny i kobiecy pokój, pełen gobelinów, atłasowych draperii, puszystych dywanów, pastelowych kolorów i przyjemnych drobiazgów, rozstawionych na półkach i półeczkach. Bardzo przypominał apartament Weroniki w segmencie Baltimore. Na przeciwległej ścianie wisiała fotografia dwóch chłopaków o łobuzerskich minach. Choć na zdjęciu mieli ze dwanaście lat, rozpoznał w nich bez trudu Caseya i Adama. Inne, otaczające ją fotografie przedstawiały, jak przypuszczał, resztę rodziny Kath. Jedna oprawiona, stojąca na toaletce, podobna była do Adama, choć mniej do Caseya i przedstawiała ciemnowłosego, brodatego mężczyznę w wieku Colmana. Domyślił się, że jest to Leon, choć wolał o to nie pytać. Bardziej z powodu zahamowań, wynikających z własnego wychowania, niż obawy, że będzie to

krępowało Kath. Zainteresował go obraz przedstawiający scenę wiejską w dwudziestowiecznej Nowej Anglii. – Podarunek od jednego z przyjaciół – powiedziała Kath, gdy zwrócił na to uwagę. Od chwili przybycia na Chirona Colman spotkał wiele takich pamiątek życia na Ziemi, nieznanego żadnemu z Chirończyków. Pytając o nie dowiedział się, że uczucie nostalgii za planetą ich pochodzenia, znaną tylko z drugiej ręki za pośrednictwem maszyn, nie było rzadkością wśród Chirończyków.

Kath odwróciła się od stolika nocnego i usiadła, by wypić trochę wina, po czym oddała mu szklankę i znów przytuliła się do jego ramienia. – Przypuszczam, Steve, że musimy bardzo dziwnie wyglądać w twoich oczach, pochodząc od maszyn i komputerów. – Zaśmiała się cicho. – Założę się, że na waszym statku jest masa ludzi, uważających nas za kosmitów. Czy są przekonani, że poruszamy się jak Kulas i mówimy monotonnymi, metalicznymi głosami?

Colman uśmiechnął się i popił ze szklanki. – Tak źle nie jest. Ale niektórzy z nich mają na ten temat zabawne pomysły – a w każdym razie mieli. Masa ludzi nie może wyborazić sobie, że dzieci zrodzone z maszyn mogą być czymś, co by nie było... „nieludzkie". Myślę, że określiłabyś to słowem – zimne, czy jakimś podobnym.

– Zupełnie tak nie było – powiedziała. – Chociaż, jak przypuszczam, nie powinnam wiele o tym mówić, bo nie mam z czym porównywać. Ale tam było... – wzruszyła ramionami – ciepło, przyjaźnie... masa rozrywek i zawsze pełno ciekawych rzeczy, których można się było dowiedzieć. Na pewno nie żałuję, że nie kładziono mi w głowę tego wszystkiego, na co później mnóstwo ziemskich dzieci musi poświęcać całe życie, by się z tego wywikłać. Nauczyliśmy się uznawać i szanować wzajemnie za zdobyte umiejętności i różni ludzie byli przyjmowani jako przywódcy dla różnych spraw. Nikt nie może być ekspertem od wszystkiego, dlatego pojęcie stałego, absolutnego szefa, czy jak to się tam nazywa, nigdy nie chwyciło.

– Jak długo byłaś tam, na „Kuan-yin", Kath, zanim wysłano cię na dół na planetę?

– Byłam jeszcze bardzo młoda. Nie potrafiłabym sobie dokładnie przypomnieć, nie sprawdziwszy w notatkach. Na górze powierzchnia i warunki życia były ograniczone i maszyny skierowały na dół pierwsze grupy, jak tylko zbudowały dla nich bazę.

– Od tej pory statek bardzo się zmienił – zauważył Colman. – Spostrzegłem to w dniu, gdyśmy tam przylecieli z „Mayflower II", wkrótce po przybyciu... wtedy, gdy Shirley i Ci poznały Tony Driscolla. Dziób statku musi być przynajmniej dwa razy większy, niż dawniej.

– Tak, zrobiono tam wiele różnych rzeczy przez ostatnie dziesięć czy piętnaście lat.

– A co to za zmiany wokół rufy? – zapytał ciekawie Colman. – Wygląda to na zupełnie nowy system napędowy.

– Bo jest. Zespół naukowy przebudowuje „Kuan-yin", by wypróbować napęd na antymaterię. Projekt jest już całkiem nieźle zaawansowany. Tam na Ziemi pracują nad tym samym, prawda?

Brwi Colmana podjechały wysoko w górę ze zdumienia. – To prawda, ale... dla mnie bomba! Nie miałem pojęcia, że już jesteście tutaj tak zaawansowani. – Eksperymenty i badania nad ujarzmieniem potencjału wyzwolonej energii antymaterii były prowadzone na Ziemi od pierwszej ćwierci wieku, głównie pod kątem programu zbrojeń. Ich atrakcyjność wynikała z teoretycznej sprawności energetycznej anihilacji materii z antymaterią – stuprocentowego przekształcenia masy w energię, co zaćmiewało nawet reakcję termojądrową. W zastosowaniu do bomb i wiązek napromieniownia proces dawałby niszczycielskie efekty, a od dawna też doceniano możliwości, jakie taka wiązka otwierała jako wysoce efektywny system napędu statków kosmicznych.

Jeśli Chirończycy już go montowali na „Kuan-yin", musieli wcześniej rozwiązać masę problemów, które na Ziemi ciągle jeszcze były sporne – pomyślał Colman. I zdał sobie w tym momencie sprawę, że cała ta planeta była gigantyczną siłownią, napędzającą postęp, nie hamowany żadnymi nierozumnymi tradycjami ani przeszkodami ze strony właścicieli włożonych kapitałów. Jeśli ten wzorzec będzie funkcjonował dalej, póki Chiron nie stanie się gęsto zaludnioną planetą, za sto lat zostawi za sobą Ziemię w epoce kamiennej.

– Czy lataliście nią już kiedyś? – zapytał, zwracając głowę do Kath. – To znaczy „Kuan-yin"... czy zrobiła jakąś wyprawę po wejściu na tutejszą orbitę?

dwieście razy cięższym. Jak na koniec zrozumiano, członkami każdej następnej generacji były te same cząstki „stanu podstawowego" z pierwszej generacji, podnoszone do kolejno wyższych stanów wzbudzenia. W zasadzie nie istniała granica liczby wyższych generacji, które można było produkować, dostarczając odpowiednio wyższych energii wzbudzenia, eksperymenty zdawały się potwierdzać to przewidywanie. Niemniej wszystkie te egzotyczne odmiany cząstek mogły być wyjaśnione ciągle za pomocą tych samych ośmiu kwarków i leptonów stanu podstawowego, plus odpowiadające im antycząsteczki oraz kwanty pola, za pomocą których oddziaływały na siebie. Tak więc po ogromnej pracy, która pochłaniała uczonych z całego świata przez niemal wiek cały, osiągnięto wielkie uproszczenie. Ale czy kwarki i leptony to był już koniec sprawy?

Okazało się, że odpowiedź jest negatywna, gdy dwa zespoły naukowców po przeciwległych stronach świata – jeden kierowany przez profesora Okasotokę w Tokijskim Instytucie Nauk, drugi w Stanford pod kierownictwem Amerykanina nazwiskiem Schriber – wypracowały identyczne teorie ujednolicenia kwarków i leptonów, i równocześnie je ogłosiły. Jak z nich wynikało, szesnaście cząstek i antycząstek generacji stanu podstawowego, może być wyjaśnionych przez tylko dwa składniki, które odznaczały się zadziwiająco niewielką liczbą właściwości wrodzonych: każda miała połówkowy moment spinowy, jedna miała ładunek elektryczny wynoszący jedną trzecią, druga nie miała żadnego. Inne właściwości, dotychczas uznawane za podstawowe, jak kolor ładunku kwarków, „smak" kwarków czy nawet masa, ku zdumieniu niektórych można było traktować jako konsekwencje sposobu, w jakich kombinacje tych dwóch podstawowych składników były ułożone, w znacznej mierze podobnie, jak melodia wynika z układu nut, ale nie może być pojmowana jako właściwość pojedyńczej nuty.

Istniały więc dwa składniki, a każdy z nich miał swój „antyskładnik". Kwark lub lepton były tworzone przez tryplet albo trzech składników, albo trzech antyskładników. Istniało osiem możliwych kombinacji dwóch składników – występujących w tryplecie i osiem dwóch antykomponentów w tryplecie, z czego wynikało szesnaście cząstek i antycząstek generacji stanu podstawowego.

Mając do wyboru dwa typy składników lub antyskładników dla każdego trypletu, mógł on zawierać albo trzy jednego typu, albo dwa jednego i trzeci drugiego. W ostatnim wypadku istniały trzy możliwe permutacje każdej kombinacji dwa-plus-jeden, co odpowiadało trzem ładunkom kolorowym kwarków. Kombinacja trzech-jednego rodzaju mogła być ułożona tylko w jeden sposób i odpowiadała leptonowi. Dlatego właśnie leptony nie mogły nieść ładunku kolorowego i nie reagowały na silne oddziaływania jądrowe.

Tak więc kwark lub lepton składał się zawsze z trzech składników lub antyskładników; masa wynikała jako konsekwencja tego, że składniki w tryplecie nie ulegały zmieszaniu. Kombinacje mieszane nie wykazywały masy i wyjaśniały istnienie cząstek wektorowych, pośredniczących w przenoszeniu sił podstawowych: gluonu, fotonu, bozonu wektorowego o masie zerowej i grawitonu.

Dla tych dwóch podstawowych składników Okasotaka zaproponował nazwę „kami" – zaczerpniętą ze starojapońskiego określenia bogów sił Przyrody. Bogowie japońscy mieli dwie dusze: jedną łagodną – „nigi-mi-tama" i jedną gwałtowną – „ara-mi-tama". Zgodnie z tym Okasotaka nazwał swe dwa rodzaje „kami": „nigionami" i „araonami", co międzynarodowy komitet standaryzacyjny uroczyście potwierdził i wprowadził do świątyni oficjalnie uznanej nomenklatury fizycznej. Schriber dla różnych kombinacji trypletów wymyślił sposób mnemotechniczny, nucąc sobie słówka takie, jak „li-la-la" dla kwarka górnego, „la-li-li" dla antykwarka dolnego, czy „la-la-la" dla pozytronu, i wobec tego nazwał dwa „kami" – „lampy" i „limy". Studenci natychmiast dodali do tego „trala", jako określenie ogólne, i ku wielkiemu ubolewaniu strażników powagi naukowej, wersja ta została przyjęta do powszechnego użytku przez resztę uczonych całego świata, których wkrótce zmęczyło recytowanie „nigi-nigi-ara", a spodobało im się tamto. Naukowcy nie byli jednak przygotowani do zaakceptowania twierdzenia Schribera, że tym sposobem zostały zintegrowane: mechanika kwantowa i re-la-li-tywizm.

Ponieważ oba słówka zaczynały się na tę samą literę, „la" zaczęto oznaczać jako „A", zaś „li" jako „I". Lam miał ładunek jednej trzeciej, lim żadnego. Dwa lamy i jeden lim tworzyły kwark górny, którego trzy możliwe kolory wyrażano trzema możliwymi permutacjami: AAI, AIA i IAA. Podobnie dwa limy i jeden lam dawały antykwark dolny w trzech kolorach ładunków: AII, IAI i IIA; podobnie dwa „antylamy" i jeden „antylim" – górny antykwark, a dwa antylimy i antylam – kwark dolny. Trzy lamy niosły wspól-



Kath potwierdziła ruchem głowy. – Na oba księżce, a także na wyprawy do wszystkich planet systemu Alfy. Ale to już było dawno. Jeszcze z pierwotnym napędem. Jest zaplanowany program utworzenia stałych baz w całym systemie, ale odłożyliśmy budowę statków, które miały to wykonać, do chwili, kiedy zdecydujemy, jak będą napędzane. Dlatego „Kuan-yin" przebudowuje się na próbnik doświadczalny. Nie byłoby rozsądne pospiesznie budować całą masę zwykłych napędów termojądrowych, które za parę lat mogą stać się przestarzałe. Na Chironie jest mnóstwo do zrobienia, więc z tamtym nie ma pośpiechu. – Zwróciła się twarzą do niego i potarła policzkiem o jego ramię. – Ale po co o tym rozmawiamy? Powiedziałeś mi, bym ci przeszkodziła mówić o sprawach zawodowych. Okay, tak zrobiłam. No i właśnie!

Colman uśmiechnął się i pogłaskał ją po głowie. – Masz rację. Więc o czym chciałabyś posłuchać?

Przytuliła się mocniej i położyła mu rękę na piersi. – Opowiedz mi o Ziemi. Mówiłam ci, jak ja rosłam. A jak było z tobą?

Colman uśmiechnął się smutnie. – Ani nie pochodzę z dobrej rodziny, ani nie mam rodowodu pełnego słynnych przodków, by warto o tym mówić – ostrzegł.

– Nic takiego mnie nie interesuje. Chcę po prostu usłyszeć o kimś, kto tam żył i stamtąd przybył. Skąd ty pochodzisz?

– Początkowo z miasta zwanego Chicago. Słyszałaś o nim?

– Oczywiście. Leży nad jeziorem.

– Zgadza się – nad Michigan. Sądzę, że byłem niezbyt pożądanym wypadkiem. Moja matka lubiła wesołe życie – masa mężczyzn, noce poza domem i te rzeczy. Myślę, że przez prawie cały czas jej przeszkadzałem.

– Czy twój ojciec też był taki?

– Nigdy nie dowiedziałem się, kto to był. O ile wiem, nie dowiedział się tego nikt.

– Och, rozumiem.

Colman westchnął. – Więc ciągle uciekałem z domu i pakowałem się w głupie kłopoty i w rezultacie większość dzieciństwa spędziłem w państwowych domach dla trudnych dzieci. Czasami próbowano mnie umieszczać w różnych miejscach u rodzin, ale nigdy nic z tego nie wychodziło. Ostatnia z nich bardzo się starała. Adoptowała mnie prawnie i w ten sposób dorobiłem się mojego nazwiska. Później przenieśliśmy się do Pennsylwanii... Mój przybrany ojciec był inżynierem magnetohydrodynamiki i chyba dzięki temu się nią zainteresowałem... Ale znów wynikły kłopoty i wylądowałem w wojsku.

– Czy to tam zapoznałeś się z inżynierią? – spytała Kath.

– To przyszło później – gdy już pewien czas byłem na statku. Najpierw byłem w piechocie... widziałem trochę walk w Afryce. Pomimo to większość podróży odbyłem w Korpusie Inżynierii... aż do chwili rok czy dwa lata temu.

– Czemu zgłosiłeś się na podróż?

Colman wzruszył ramionami. – Nie wiem. Sądzę, że nie wyglądało to tak, bym mógł tu narobić jeszcze większego bałaganu, niż już narobiłem.

Kath roześmiała się i przewróciła na plecy, by popatrzeć na sufit. – Jesteś bardzo podobny do nas, prawda? – powiedziała. – Nie wiesz, skąd pochodzisz.

– To się zdarzyło całej masie ludzi – dopowiedział. – Po wojnie panował taki zamęt... Czy to ma jakieś znaczenie?

– Sądzę, że nie – powiedziała Kath. Przez pewien czas leżała w milczeniu, aż wreszcie odezwała się bardziej zamyślonym tonem. – Ale to ciągle nie to samo. Myślę, że urodzić się tam było cudowne... wiedzieć, że przez te wszystkie pokolenia pochodzisz bezpośrednio i wprost z czasów, gdy wszystko się zaczęło.

– Co?

– Życie! Ziemskie życie. Jesteś jego częścią. Czy to nie wspaniałe uczucie? Musi tak być.

– Ale ty też jesteś – nalegał Colman. – Geny chirońskie zostały wzięte z tego samego zbioru, co wszystkie inne. Na chwilę kody genetyczne zmieniły się w elektroniczne, a później z powrotem w kwas dezoksyrybonukleinowy. I co z tego? Książka zakodowana w komputerowym banku danych jest nadal tą samą książką, gdy się ją stamtąd wyciągnie.

– Z technicznego punktu widzenia masz rację – przyznała Kath. Podniosła głowę, by spojrzeć na zdjęcie swoich dzieci na ścianie, z nieobecnym wyrazem twarzy. – Mogą rozproszyć się po całej planecie, ich sposób życia może być dziwny w porównaniu z twoim, do którego się przyzwyczaiłeś. Ale na swój sposób jest to szczęśliwe życie rodzinne – szepnęła. – Ale to ciągle nie jest to samo. Nie czuję się, by jakakolwiek jego część miała związek z tym, co zdarzyło się dawniej, niż pięćdziesiąt lat temu. Czy nie sądzisz, że to jest... no nie wiem, w jakiś sposób zawstydzające?

To, o czym myślała, Colman zrozumiał nie wcześniej, niż w godzinę później, gdy siedział w wagonie maglewu w drodze do Canaveral, mając przed sobą niewesołe widoki urwania może godzinki snu, zanim obejmie służbę przed wschodem słońca, z ciężkiem dniem w perspektywie.

Rodzina?

Ziemia?

Wyprostował się nagle na siedzeniu, gdy zaświtało mu zrozumienie, jak się to wszystko łączy. Być może Swyley mimo wszystko doszedł do prawidłowych wniosków.

To d l a t e g o ktoś z Chirona zgadza się utrzymywać stosunki z kimś z Ziemian!

*

Chirończycy udostępniali na tymczasowe koszary dla oddziałów wojskowych, kwaterujących na planecie, niedawno ukończony kompleks budynków zaprojektowanych na szkołę, która miała być uruchomiona później, gdy Canaveral City się rozwinie. Należał do niego blok administracyjno-socjalny, którego armia używała też główne do celów administracyjnych i socjalnych; komplet bloków dydaktycznych i mieszkalnych, służących głównie za koszary, w części jednego z ich mieścił się areszt; ośrodek sportu i ćwiczeń fizycznych, który przekształcono w składnice, arsenał w garaż; oraz wspólna stołówka, którą pozostawiono bez zmian.

Było już po godzinie 0400 czasu lokalnego, gdy Colman wrócił do dzielonego z Hanlonem pokoju w Bloku Omara Bradleya. Nawet w dwudziestoczterogodzinnym chirońskim systemie „długich godzin", była to odrażająca pora dnia, jak na Ziemi. Mając pokój do wyłącznej dyspozycji, ponieważ Hanlon był na służbie, z przyjemnością wpełzł między prześcieradła, nie troszcząc się o kąpiel, aby wyzyskać ile się da z możliwości niezakłóconego snu aż do 0530, gdy nadejdzie jego zmiana.

Zdawało się, że ledwie dotknął głową poduszki, gdy pokojem wstrząsnął wybuch, a huk dobiegający do uszu postawił go na nogi, zanim jeszcze zdołał się ocknąć. Na zewnątrz budynku rozległy się jeszcze szybko po sobie następujące eksplozje, po nich zaś odgłosy strzelaniny, wrzasków i biegnących stóp. W parę sekund później zawyła syrena, a z głośnika w pokoju rozległ się głos: – „Alarm Ogólny! Alarm Ogólny! Próba ucieczki z aresztu. Wszyscy oficerowie i żołnierze zgłosić się na stanowiska alarmowe".

Po czym nastąpił Bałagan Ogólny.

Colman spotkał w kancelarii kompanii Sirocca, działającego na własną rękę po otrzymaniu ze sztabu pułkownika Wessermana sprzecznych rozkazów. Sirocco skierował większość żołnierzy do zabezpieczenia bloku przed wtargnięciem z zewnątrz i zablokował wszystkie sąsiednie drogi, wiodące poza bramę. Wysłał Colmana z kombinowanym oddziałem z drugiego i trzeciego plutonu, aby udzielił pomocy, komu uzna za właściwe. Zaraz napotkali oddział „S"-manów, który zabrał ich ze sobą do bramy zachodniej – małej furtki wiodącej do obozu – przy której, jak podano, miała miejsce akcja. Colman chciał ustawić posterunki wokół parkingu, gdzie znajdowało się wiele samolotów towarowych, przysłanych z „Mayflower II", ale sprzeciwił się temu starszy stopniem, który zapewnił, że zajmuje się tym inny oddział „S". A wtedy zgasły wszystkie światła.

Zdawało się, że połowa armii zbiegła się przy zachodniej bramie, gdzie grupę uciekinierów przygnieciono ogniem do ziemi. Gdy zamieszanie sięgało szczytu, seria gromowych eksplozji okryła dymem areszt i składnicę. Gdy dym się rozproszył, brakowało jednego z transporterów. Nikt nie pilnował parkingu.

Wkrótce potem poddała się grupa przy bramie zachodniej i okazało się, że jest ich tylko kilku, z całą masą urządzeń pozorujących. Na radarze schwytano transporter, który nisko i szybko leciał nad Morzem Śródchirońskim. Dwa ziemskie myśliwce, stojące w pogotowiu w bazie Canaveral, wysłano w pogoń. Przechwyciły go w chwili, gdy przelatywały nad przeciwległym brzegiem i zawróciły, wystrzeliwując dwie rakiety ostrzegawcze, po czym eskortowały go do Canaveral, gdzie jego załoga została aresztowana przez „S"-manów.

Ale historia, która zaczęła wychodzić na jaw w ciągu poranka, w miarę kolejnych przesłuchań, nie dawała podstaw do uczucia ulgi. Okazało się, że przywódcy grupy z bramy zachodniej, niejakiemu szeregowcowi Davisowi, Padawski powiedział, że brama ta będzie punktem zbornym do ataku na parking. Albo Davis z rozmysłem został tak wystawiony, aby odciągnąć pogoń, albo Padawski w ostatniej chwili zmienił plany. Nikt więcej nie pojawił się przy bramie zachodniej i grupa Davisa została na lodzie. Ale w transporterze, który wylądował było jeszcze tylko paru, a Padawski wśród nich się nie znajdował. Oświadczyli oni, że po zawładnięciu samolotem, usłyszeli przez radio od Padawskiego, aby uciekali póki mogą, ponieważ on wraz z główną grupą zostali zablokowani przy Bloku Omara Bradleya. Ale Sirocco trzymał Blok Omara Bradleya dobrze zabezpieczony i obstawiony i nikt się tam nie zbliżył. I w jakiś sposób, pośród tego wszystkiego, Padawski i dwudziestu trzech innych, wszyscy potężnie uzbrojeni, rozwiali się w powietrzu.

Dwóch uciekinierów i jeden strażnik zostali zabici przy bramie zachodniej, dwóch strażników ciężko zranionych wewnątrz aresztu. Sześciorga z przebywających w areszcie żołnierzy płci żeńskiej, wśród nich Anity, brakowało.

– Od początku do końca fenomenalnie to spieprzono – oświadczył Sirocco, szarpiąc wąsa podczas wieczornej rozmowy z Colmanem na temat wydarzeń. – Zbyt wiele rzeczy, które nie mogły nie zagrać, właśnie nie zagrało... Nikt nie pilnował samolotów, nikt nie pilnował elektrowni, kilka oddziałów skierowanych w jedno miejsce i ani oddziału we wszystkich innych... I w jaki sposób dostali broń? Nie podoba mi się to, Steve. Całkiem nie podoba. Cały ten interes śmierdzi w niebogłosy.

Rozdział XXIV

Już po krótkim czasie spędzonym na uniwersytecie koło Franklina, Jerry Pernak zdał sobie sprawę, że chirońska fizyka teoretyczna i eksperymentalna znacznie oddaliły się od głównego nurtu badań, prowadzonych na Ziemi. Naukowcy chirońscy nie tyle wyprzedzili swych ziemskich kolegów, ile – co nie było dziwne, biorąc pod uwagę brak na Chironie tradycyjnych nawyków myślowych oraz autorytetów których szacowne opinie mogły być atakowane dopiero po ich śmierci – poszli w zupełnie nieoczekiwanym kierunku. A niektóre z rzeczy, na które natknęli się po drodze, były dla Pernaka zdumiewające.

Twierdzenie Pernaka, że Wielki Wybuch nie był aktem absolutnego stworzenia, lecz osobliwością oznaczającą zmianą fazową z jakiejś wcześniejszej – jeśli ten termin miał w ogóle zastosowanie – epoki, w której znane prawa fizyki wraz z samymi pojęciami czasu i przestrzeni załamywały się, było reprezentatywne dla powszechnie przyjętych mniemań, istniejących wówczas na Ziemi. Istotnie, jeśli dziwaczne warunki istniejące przed Wybuchem nie mogły zostać opisane w terminach jakiegokolwiek intuicyjnie znaczącego modelu myślowego, zaczynały jednak świtać niektóre z ich właściwości, wyłaniając się z abstrakcyjnego symbolizmu niektórych gałęzi fizyki matematycznej.

Oszałamiające mnożenie się najpierw barionów i mezonów, a później kwarków, mających tę sprawę uprościć, które było plagą studiów nad strukturą materii pod koniec dwudziestego wieku, zostało sprowadzone do uporządkowanej hierarchii „generacji" cząstek. Każda generacja składała się tylko z ośmiu cząstek: sześciu kwarków i dwóch leptonów. Pierwsza generacja zawierała kwarki „górny" i „dolny" każdy występujący w trzech kolorach-wariantach ładunku silnych oddziaływań jądrowych, co dawało w sumie sześć; elektron i neutrino elektronowe. Druga generacja była zbudowana z kwarków „dziwnych" i „powabnych", oba znów występujące w trzech możliwych kolorach, mionu i neutrina mionowego. Trzecia generacja zawierała kwarki „piękny" i „czarowny", lepton tau i neutrino tau. I tak dalej.

Generacje odróżniały się tym, że każdy członek każdej z nich miał swój odpowiednik we wszystkich innych, identyczny pod każdym względem, z wyjątkiem masy: mion na przykład był elektronem, ale

Nienawidzę wojny. Nie rozumiem, jak ludzie mogą robić coś tak obrzydliwego. Zawsze głosuję na tę partię, która jest przeciw zbrojeniom, bo zbrojenia sporów nie rozwiążą. Uważam, że najlepiej wyrzucić do morza całą naszą broń, a wtedy reszta świata zrobi to samo. Gdyby mój kraj został zaatakowany, a rząd chciał mnie posłać na bezsensowną wojnę, na pewno bym odmówił. Na szczęście nie ma obawy, bo dzikusy wolą się tłuc między sobą, niż nas atakować.

Z odrazą oglądam w starych, zakurzonych albumach pożółkłe zdjęcia z dawno minionej wojny, w którą kraj mój dał się kiedyś niebacznie wplątać. Jak silnie te odpychające zdjęcia na mnie działają, niech świadczy fakt, że nie mogę im się spokojnie przyglądać, bo zaraz ręce mi drżą, album się trzęsie, a obrazy się zacierają, co powoduje czasem dziwne złudzenia wzrokowe. Kiedyś, gdy oglądałem zdjęcie jakiegoś rozstrzeliwania, zdawało mi się wręcz, że jeden z dowodzących akcją oficerów spojrzał w moją stronę, drgnął, nachylił się do drugiego i coś mu szeptał, a tamten popatrzył na mnie i kiwnął potakująco głową. Tak mnie to przeraziło, że zatrzasnąłem album i więcej do niego nie zaglądałem.

Skręcam się, lecz nie mogę uciec syczącym językom, które zlizują mi ciało aż do kości. Resztką sił charczę: „Żądam widzenia z konsulem! Zaprowadźcie mnie do mojej ambasady!" Odpowiada mi chóralny wybuch śmiechu. Przez płomienie i dym widzę jeszcze, że nawet zapłakane kobiety i dzieci ocierają łzy, skręcają się ze śmiechu i przyglądają mi się, jakby z satysfakcją. Chciałbym zrzucić skórę i pobiec w las, uciec od bólu i strasznego swądu palonego ciała.

Tak się złożyło, że konsul, którego ku uciesze gromady dzikich rozpaczliwie wzywałem, przejeżdżał właśnie jeepem przez dżunglę, w towarzystwie miejscowego generała. Usłyszał krzyki i rozpoznał we mnie rodaka. Zatrzymał jeepa i ugasił mnie samochodową gaśnicą, a potem powiedział kilka słów do generała. Ten zrobił wielkie oczy, pogroził paluszkiem żołnierzom i kazał mnie odwieźć do szpitala. Konsul, wyraźnie zadowolony ze szczęśliwego zakończenia, pochylił się i ścisnął mi dłoń, rozdzierając mi przy tym upieczoną, podeszłą osoczem skórę, która ześliznęła się z ciała jak skórka rozgrzanego nad parą pomidora i została zdziwionemu konsulowi w palcach. Strzepnął ją na ziemię eleganckim ruchem i odjechał wraz z generałem. Żołnierze rzucili mnie na ciężarówkę, a dokończywszy palenia storturowanych więźniów i oddawszy kilka serii w tłum kobiet i dzieci – zawieźli mnie do szpitala.

ZA PARAWANEM

Tomasz Matkowski

Lubię natomiast oglądać w telewizji reportaże z wojen w dalekich krajach, na innych kontynentach. Kupiłem nawet niedawno najnowszy model telewizora, z trójwymiarowym ekranem i z urządzeniem odtwarzającym zapachy. Gdy patrzę na tych ludzi w dalekich krajach, myślę sobie: „Jakże oni są od nas różni! I czemuż tak ciągle się tłuką!? Nie mogliby siedzieć cicho i nie zawracać nam głowy?"

Pewnego wieczoru siedziałem sobie spokojnie w moim zacisznym salonie. Za oknem szalała śnieżyca, a u mnie było cieplutko, przytulnie: ogień buzował w kominku, choinka, stojąca od Bożego Narodzenia, rozsiewała odurzający zapach igliwia: na moich kolanach leżał wypielęgnowany spanielek i słodko pomrukując, trawił witaminizowany kotlet dla psów, a ja oglądałem z odrazą, lecz i z dreszczykiem emocji, obrazy przekazywane przez ekran z daleka, jakby z innej planety.

Rozklekotana, przedpotopowa ciężarówka telepie się przez dżunglę i zatrzymuje w jakiejś wiosce. W szoferki wyskakują bykowaci żołnierze o mordach kryminalistów i zrzucają ze skrzyni okrwawione strzępy ludzkie, które jeszcze żyją, lecz najwidoczniej są tak umęczone, że nie mogłyby uciec. Żołnierze wyciągają z ciężarówki kanistry z benzyną. Z całej wsi zbiegają się obdarte, wychudłe kobiety i dzieci; otaczają żołnierzy, płaczą głośno, lecz nie śmią napierać na opuszczone lufy automatów. Żołnierze polewają jeńców benzyną i podpalają. Słychać łopot płomieni, trzaski, skwierczenie, nieludzkie wycia i jęki. Rozchodzi się straszliwy swąd palonego ciała. Biorę ze stolika nadajnik zdalnego sterowania i ustawiam intensywność zapachów na „0". W tym momencie jeden z kaprali spogląda w moją stronę, podchodzi do drugiego i cicho mu coś tłumaczy, wskazując w moim kierunku pałą metrowej długości. Tamten kiwa głową potakująco, z przekonaniem, po czym szczeka krótki rozkaz dwóm żołnierzom, którzy natychmiast rzucają się w moją stronę i jakby ekran nie był dla nich najmniejszą przeszkodą – wskakują do mojego salonu! Już chcę im zwrócić uwagę, że mi zabłocą dywan, lecz nie zdążam, bo podbiegają do mnie, kopią spanielka, który podskoczył, by się z nimi pobawić, chwytają mnie za ramiona, wyrywają z głębokiego fotela i ciągną w kierunku ekranu. Próbuję wyjaśnić, że nie mają prawa, a nawet grożę, że zadzwonię do mojego adwokata, ale nie słuchają. Wciągają mnie w ekran i nagle znajduję się w wilgotnej dżungli. W oka mgnieniu wiążą mnie i obalają na ziemię. Czuję mdły zapach benzyny i po chwili jestem cały mokry. Nagle słyszę łopot płomieni. Ogarnia mnie ból tak straszny, że serce zamiera, a potem bije z zawrotną szybkością.

Stamtąd, po kilku miesiącach, gdy rany się jako tako podgoiły i nic już nie groziło memu życiu, trafiłem do miejscowej komendy policji, gdzie po trwającym dwadzieścia sekund procesie (podczas którego sędziowie posługiwali się najnowszym komputerem, pochodzącym, jak zdążyłem zauważyć, z mojego kraju, który to komputer, mimo swej szeroko reklamowanej niezawodności, podał jednak o mnie same fałszywe dane) zostałem skazany na śmierć.

Przewieziono mnie do więzienia, przeznaczonego wyłącznie dla skazańców, czekających na wykonanie wyroków śmierci. Siedzę tu już od dłuższego czasu i czekam na moją kolej. To, że się jeszcze nie doczekałem, nie jest niczym szczególnym, bowiem, zapewne z przyczyn technicznych (a może biurokratycznych), wyroku nie wykonuje się tu natychmiast po przybyciu skazańca, lecz po pewnym, bliżej nie określonym czasie. Niekiedy trwa to krótko, niekiedy bardzo długo. Podobno zdarza się, że skazani czekają po kilkanaście czy kilkadziesiąt lat, a niektórzy nawet umierają na uwiąd starczy. Nic więc dziwnego, że nie znając daty egzekucji, większość z nas po pewnym czasie przestaje o nim myśleć, i żyje dniem codziennym, martwiąc się błahymi kłopotami, a ciesząc drobnymi przyjemnościami: posiłkiem, telewizją lub partią szachów w świetlicy, nowym pasiakiem czy parą chodaków, wypożyczonych lub otrzymanych z magazynu na własność. Dostać coś na własność jest największym powodem do zawodolenia i dumy, i gdy ktoś wraca z magazynu, a inni zachwycają się jego nowym pasiakiem, jest wniebowzięty, mogąc się pochwalić: „Nie pożyczony! Dostałem go na zawsze!".

Bardzo szczęśliwym wydarzeniem w życiu więźnia jest ślub. W naszym więzieniu są bowiem całe piętra przeznaczone dla kobiet, z którymi wolno nam się co sobotę spotykać, po pierwszych osiemnastu latach pobytu w więzieniu (o ile oczywiście wyrok nie został wykonany wcześniej, co zdarza się często). Po ślubie wolno nawet sypiać razem w sobotnie noce, a w niedziele odbywać długie wycieczki w dalekie, zakazane rejony więziennego podwórka. Możemy mieć dzieci, z tym, że prawo skazuje te dzieci również na karę śmierci, jako że są dziećmi skazańców. Egzekucje na dzieciach też bywają wykonywane z opóźnieniem,

tak że często zdążą one jeszcze mieć swoje własne dzieci, i na ogół giną później niż rodzice, choć bywa i odwrotnie, na przykład zabija się sporo niemowląt.

Nikt z nas nie wie, w jaki sposób wykonają na nim wyrok. Nikt nie wie też, kiedy. Tylko w wyjątkowych przypadkach lekarz uprzedza któregoś z nas, że nazajutrz zostanie zgładzony. Wtedy więzień taki zapomina nagle o pasiaku, który miał odebrać z magazynu w przyszły piątek, i na który tak się cieszył, popada natomiast w dziwny stan, który całkiem izoluje go od reszty więźniów. Czasem więzień taki dostaje histerii, że zmarnował życie, i w niesamowitym pośpiechu bazgrze coś całą noc na ścianie celi, mamrocząc co chwila, że wszystko zrozumiał, i że to przekaz dla przyszłych pokoleń. Oczywiście, nie czytamy tych bazgrołów, zresztą ściany celi są regularnie oskrobywane z mchu (który je z uporem porasta) i bielone wapnem.

Niektórzy, dowiedziawszy się, że nazajutrz umrą, chcą jeszcze na gwałt użyć życia i rwą się do celi kobiet, a ponieważ wieczorem jest to zabronione – onanizują się, palą skręty ze słomy wyciągniętej z siennika i piją płyn do czyszczenia wychodków, którego wprawdzie nie wolno nam przechowywać w celi, ale którego zapasy mamy zawsze poukrywane pod pryczami.

Jeszcze inni żegnają się z celą i z nami, twierdząc, że gdzieś się kiedyś spotkamy. Odpowiada im wrogie milczenie, bo oczywiście nikt nie ma ochoty się z nimi spotykać.

Z początku próbowałem takich pocieszać, tłumacząc im, że skoro wszyscy jesteśmy skazani, to przecież żadna różnica czy umrzemy jutro, czy za dwadzieścia lat. Nie słuchali mnie jednak, dałem więc spokój i przyłączyłem się do reszty więźniów, którzy nie tylko nie pocieszają idącego na śmierć, lecz nawet wcale się nim nie interesują. Odwracają się od niego, a tylko od czasu do czasu łypiąc nań okiem – oceniają dyskretnie, jakie też zostaną po nim przedmioty i szepczą między sobą o ich podziale. Rozmowy te często przeradzają się w dyskusje namiętne i gwałtowne, szept przechodzi w krzyk i dochodzi do bójek, podczas których więźniowie wydzierając sobie nawzajem włosy i wydrapując oczy, wrzeszczą:

– Ja wezmę kalesony!

– Nie, to ja wezmę kalesony! Ty sobie weź onuce!

– A ja chcę górę od pasiaka!

Skazany patrzy na to dziwnym wzrokiem i nic nie mówi.

Skazaniec uprzedzany jest jednak o swej rychłej śmierci tylko w wyjątkowych wypadkach, na ogół zaś odbywa się wszystko po prostu tak, że rano do celi wchodzi kat, ubrany w czerwony kostium z kapturem, w towarzystwie lekarza w białym kitlu. Kat spogląda przez dziurki w kapturze po wszystkich więźniach. Jest to straszna chwila. Udajemy, że go nie widzimy i spuszczamy wzrok, jak na lekcji, kiedy nauczyciel ma pytać, a uczniowie są nie przygotowani. Nie mamy zresztą pewności, czy kat rzeczywiście w takiej chwili wybiera kandydata do egzekucji, czy też wyboru tego już przedtem dokonano w wysokich więziennych kręgach (których istnienie podejrzewamy, lecz na które nie mamy dowodów), przez legendarnego Naczelnika więzienia (którego żaden z nas nie widział, lecz który objawił się ponoć kiedyś więźniom sprzed kilkuset pokoleń), a kat tylko udaje, że wybiera.

Wreszcie kat chwyta któregoś z nas za pasiak na karku i wyciąga na środek celi. Wybrany opiera się, wierzga, usiłuje kata przekonać, że to nie jego kolej, wskazuje tych, co czekają dłużej, lecz kat jest niewzruszony. Rozciąga skazańca na wilgotnej ziemi, będącej posadzką celi. Lekarz dokładnie bada więźnia i gdy stwierdzi, że nic mu nie dolega, wyraża zgodę na egzekucję. Jeśli wyrok ma być wykonany przez zastrzyk fenolu, lekarz rysuje też na skórze pacjenta kółko, w miejscu, dokładnie wyznaczonym za pomocą stetoskopu, gdzie znajduje się serce. Dzięki temu kat może śmiało wbić tam długą igłę ogromnej strzykawy.

Samych egzekucji nie oglądamy, odbywają się one w kącie celi, za parawanem. Moglibyśmy wprawdzie tam chodzić i przyglądać się, lecz nie jesteśmy ciekawi. Wiemy, że jest tam podręczna gilotynka, zgrabna szubieniczka, składane, ale bardzo wygodne krzesło elektryczne, mała, przytulna komora gazowa, strzykawki, zapasy fenolu i wysterylizowanych igieł, imadło, szczypce i sznury.

Po śmierci skazańca (którą poznajemy po tym, że ucichły jęki) kat i lekarz wychodzą z celi, a jeden z nas, narzuciwszy na plecy derkę, czyta na głos fragmenty więziennego regulaminu, które powtarzamy za nim chórem. Potem dzielimy się rzeczami zmarłego (przy czym też dochodzi do bójek), wynosimy trupa do wychodka i zapominamy o całej sprawie, do tego stopnia, że gdy kat, który jest przecież dość charakterystycznie ubrany, przychodzi następnym razem, pytamy: „Pan w jakiej sprawie?" (choć przecież strażnika czy kalefaktora poznajemy od razu). Dopiero, gdy jego małe oczka spojrzą na nas intensywniej przez dziurki w kapturze, przypominamy sobie, o co chodzi, każdy spuszcza wzrok i się kuli.

Pytanie „W jakiej sprawie?" nie jest zresztą tak całkiem pozbawione sensu, bo kat nie zawsze przychodzi w sprawie śmierci. Czasem za parawanem słychać wprawdzie jęki, lecz po pewnym czasie skazaniec wypełza stamtąd lub zostaje przez kata wykopany, żywy. Często jest wtedy trochę uszkodzony, na przykład brakuje mu ręki, nogi czy oka. Kat bowiem lubi od czasu do czasu tak z kimś poigrać: zamiast głowy wkłada w otwór gilotyny jego rękę, albo wiesza go, lecz zaraz odcina, zanim ten zdąży się udusić, albo ściska mu parę razy głowę w imadle. Lekarz, towarzyszący jak zwykle katu, lubi natomiast pasjami wyrywać migdałki, zęby lub wyrostki robaczkowe, te ostatnie po rozkrojeniu brzucha żyletką, którą zawsze nosi przy sobie i w razie potrzeby ostrzy o zelówkę.

Więzień, wróciwszy zza parawanu, szybko o wszystkim zapomina, i tylko skarży się na różne dolegliwości, których zresztą nie wiąże z działalnością kata czy lekarza: „Boli mnie brzuch – musiałem zjeść coś nieświeżego; rwą mnie wszystkie mięśnie – na pewno będzie lało; łeb mi pęka – pewnie zmiana ciśnienia; ależ miałem dziś rano duszności – dyżurny chyba nie przewietrzył celi".

Wielką satysfakcję sprawia więźniom praca. Kopią kanał, mający połączyć jezioro, znajdujące się w głębi lądu, z morzem, rozpościerającym się za wzgórzami. Wieczorami rozmawiają o tym, ile wykopali, duma ich rozpiera, gdy przekroczą dzienną normę, smutek ich trapi, gdy z powodu twartości gruntu czy złamania łopaty normy tej nie zrealizują. Spytałem, jak wygląda brzeg morza, lecz okazało się, że żaden z nich tam nie był. Któregoś dnia, wiedziony ciekawością, skorzystałem z nieuwagi strażników i wymknąłem się z wykopu. Najpierw pełzałem, potem szedłem skulony, wreszcie puściłem się biegiem w stronę, w którą zmierzał drążony przez nas rów. Gdy wbiegłem na wzgórza, ujrzałem po tamtej stronie taki sam bezkresny step, jaki rozpościerał się wokół więzienia. Ziębnięty i przemoczony od rosy i mżawki wróciłem, korzystając z podwieczornej mgły dołączyłem niepostrzeżenie do kolumny więźniów i wraz z nimi przekroczyłem bramę więzienia. W chwilę później, w jasno oświetlonej celi, jadłem ciepłą zupkę z brukwi.

Jeszcze tego wieczora powiedziałem kolegom, że po drugiej stronie wzgórz nie ma żadnego morza. Ku memu zdziwieniu, nie wywarło to na nich najmniejszego wrażenia.

– Po co ten kanał? – pytałem. – Co ma połączyć? Czy kiedykolwiek popłynie nim woda?

Żaden z więźniów nie umiał mi wyjaśnić, strażników zaś nie warto było pytać, gdyż osobnicy ci nie wydawali innych dźwięków prócz warczenia i szczekania rozkazów. Tego dnia straciłem wszelką ochotę do pracy. Tłumaczyłem kolegom, że nie mogę robić czegoś, co nie ma sensu, a jeśli nawet ma, to nie wiem jaki, lecz oni pytali:

– O co ci właściwie chodzi? Przecież robota nie jest ciężka, dajemy sobie radę, wszystko idzie gładko!

Następnego dnia zbuntowałem się i powiedziałem, że palcem nie kiwnę. Zarówno strażnicy, jak i towarzysze niedoli solidarnie rzucili się na mnie, pobili, a potem zapędzili do łopaty. Przy tej okazji dowiedziałem się, że strażnicy to tacy sami więźniowie jak my, tylko ubrani w mundury zamiast pasiaków i uzbrojeni w styliska od łopat, i nie muszą nic robić, poza, oczywiście, biciem, jeśli zajdzie potrzeba, za co dostają podwójną porcję brukwi. Zapewne więzienie było tak zdyscyplinowane, że Naczelnik, a może nawet sama Dyrekcja Więzień, postanowili nam zaufać i dla oszczędności powierzyć nam również funkcje strażników. Zastanawiałem się, co by było, gdyby więzienie się jeszcze bardziej usamodzielniło, zaczęło żyć własnym życiem i w końcu

Tomasz MATKOWSKI

(ur. w 1952 r. w Warszawie) – absolwent Filologii Romańskiej UW. Tłumacz literatury francuskiej, m.in. Rolanda Topora („Chimeryczny lokator", Czytelnik 1980). Od 1975 roku obok przekładów opowiadań z angielskiego i francuskiego publikuje w prasie własną czarną prozę, pozostającą, zwłaszcza na początku, pod wpływem Topora. Latem-84 ukazała się we francuskim wydawnictwie Denoel, w jego własnym tłumaczeniu, książka Matkowskiego **„Devisagé"**, której fragmenty, jako krótkie opowiadania, były publikowane u nas, w „Przekroju" i „Przeglądzie Technicznym".

przegryzło pępowinę, łączącą je z Dyrekcją: czy ona by o nim zapomniała?

Koledzy, zapytani skąd się to całe więzienie wzięło, opowiedzieli o tym, jak to w zamierzchłych czasach pewien wszechpotężny, jedyny nie skazany na śmierć, więzień zbudował je w kącie swej ogromnej, pozłacanej celi. Stworzył też więźniów i ustanowił Naczelnika, żeby ich pilnował. Sam siedzi sobie na wyściełanej atłasem pryczy i przygląda się nam z góry: widzi każdy nasz ruch, nic nie dzieje się bez jego woli, to on ustala harmonogram egzekucji. My go nie widzimy, bo jest za wielki, nieogarniony dla wzroku, niepojęty dla naszych głów...

Nie bardzo chciało mi się w to wszystko wierzyć. Podejrzewałem, że więźniowie po prostu go wymyślili na swój obraz i podobieństwo, a w rzeczywistości nikogo takiego nie ma, a jeśli jest, to i tak nie umiemy go sobie wyobrazić. Wątpiłem też w to, że on zbudował nasze więzienie. Utwierdziłem się w mych wątpliwościach, gdy pewnego dnia, remontując wychodek, zeskrobawszy wiele warstw tynku, trafiłem na brązową płytę, będącą czymś w rodzaju aktu erekcyjnego czy tablicy pamiątkowej. Wyryty na niej napis głosił, że „... Więzienie zbudowali więźniowie... ku pożytkowi przyszłych pokoleń".

Pewnego ranka kat wyciągnął mnie na środek celi. Zdarł ze mnie pasiak i zaraz sam się rozebrał.

– No, czego stoisz jak ciele!? – wrzasnął. – Jazda, zakładaj spodnie! tu masz kurtę i kaptur!

Sam ubrał się w mój pasiak, po czym wręczył mi jakąś kartkę.

– Masz tu harmonogram egzekucji na dzisiaj. No, powodzenia!

Lekarz ciągnął mnie na korytarz;

– Szybciej, szybciej, lecimy, bo dzisiaj od groma roboty!

– Zaraz, zaraz chwileczkę! – krzyknąłem wyrywając się. – Co to ma znaczyć!?

Koledzy wyjaśnili, że w więzieniu nie ma etatowego kata, więc funkcję tę pełnią kolejno wszyscy więźniowie. Teraz przyszła kolej na mnie.

Nie chciałem się zgodzić:

– Jak to!? Ja miałbym kogoś zabić!? Ależ po co!? To potworne! Ohyda! Nie chcę!

Zarówno jednak lekarz, koledzy z celi, jak i poprzedni kat, wszyscy hurmem namawiali:

– Zgódź się! Co ci szkodzi? Nie rób zamieszania! Poplączesz cały harmonogram!

Po chwili zrozumiałem, że nie chodzi o harmonogram, lecz o coś znacznie ważniejszego: każdy z nas, bez wyjątku, musi być katem i ofiarą, bo wtedy wina za tortury i śmierć rozkłada się równomiernie na wszystkich, nikt do nikogo nie ma pretensji ani nie próbuje się mścić. Czy wymyślił to Naczelnik, czy też więźniowie ułożyli to z własnej inicjatywy – nie udało mi się dociec.

Zgodziłem się i nawet mnie nie bolało. Z początku czułem litość i obrzydzenie, lecz potem się przyzwyczaiłem, a pod koniec poranka zaczęło mi to nawet sprawiać przyjemność.

To doświadczenie skłoniło mnie do rozmyślań o śmierci, odsuwając na plan dalszy dociekanie sensu pracy. „Skoro życie się kończy, a kanał nie prowadzi do nikąd, to po co żyć i kopać"? – myślałem. Choć nie miałem ochoty żyć, bałem się jednak śmierci, a właściwie nie tyle jej samej, co poprzedzających ją męczarni. Wciąż rozważałem, co bardziej boli: powieszenie, zastrzyk fenolu czy cięcie gilotyną? Koledzy, gdy o to pytałem, wzruszali ramionami, a kiedy nalegałem – patrzyli na mnie jak na wariata. Obawiałem się nawet, że przylgnie do mnie opinia pomyleńca, ale na szczęście oni o wszystkim szybko zapominali.

Przyszło mi do głowy, że zamiast czekać na egzekucję, najlepiej byłoby samemu pozbyć się życia, lecz nie wiedziałem, jak tego dokonać w bezbolesny sposób. Zapytani o zdanie, koledzy obruszyli się:

– Nie po to ci dano prycze, pasiak, robotę i żarcie, żebyś miał się na to wszystko wypiąć – odparli, tłumacząc też, że byłby to nietakt względem Naczelnika.

Po jakimś czasie przestałem dumać o śmierci i wróciłem do rozmyślań o życiu. Czy nasze więzienie jest jedyne na świecie? Więźniowie twierdzili, że tak i że cały świat został stworzony po to, by pomieścić więzienie, a w nim nas. Moje obserwacje zdawały się tę opinię potwierdzać, bowiem ani w czasie kopania kanału, ani podczas samotnej wyprawy na wzgórza, nie dostrzegłem najmniejszego śladu innych więzień, czy czegoś, co mogłoby świadczyć o przeznaczeniu świata.

Z celi, choć znajdowała się na jednym z wyższych pięter, żadnych obserwacji prowadzić nie mogłem, gdyż okno przesłaniał z zewnątrz specjalny okap, pozwalający widzieć tylko więzienne podwórko i część okalających je murów. Czułem jednak niejasno, że więźniowie mocno przesadzają, twierdząc, iż świat został stworzony tylko dla nich. Jakżeby takie pyłki, śmiecie, szmaty, które w każdej chwili można zdusić czy pociąć na kawałki, miały być celem świata? Przypuszczałem, że jesteśmy raczej jakimś produktem ubocznym, pasożytem, nikomu niepotrzebnym mchem, porastającym świat stworzony do celów dla nas niepojętych.

Pewnego razu brukiew, z której gotowano posiłki, zgniła wskutek panującej w piwnicach wilgoci. Strażnicy powtarzali w kółko, że niedługo przyjdzie dostawa świeżej brukwi, lecz po kilku dniach wygłodzeni więźniowie stracili cierpliwość i ulegając moim namowom – zbuntowali się. Pobiliśmy strażników, którym ciężko się było bronić przeciw większości samymi styliskami i którzy widząc, że sytuacja się zmienia, przeszli na naszą stronę. Wspólnym wysiłkiem zburzyliśmy więzienie. Okazało się przy tym, że było ono zbudowane z ludzkich kości i czaszek, spojonych kruchą zaprawą koloru rdzawobrunatnego. W zaprawie, między czaszkami, zamurowane były resztki pasiaków, chodaków, i mycek. Kraty w oknach były zrobione z piszczeli, sczerniałych ze starości i przypominających żelazo.

Za zburzenie więzienia nie spotkała nas żadna kara. Naczelnik, którego moi towarzysze tak się panicznie bali, nie zjawił się. W pustej kancelarii znaleźliśmy rozkaz wybudowania więzienia, podpisany przez radę więźniów-założycieli, oraz, podpisane przez więźnia-architekta, szczegółowe plany, wyrysowane jakimś brunatnym atramentem na wyjątkowo delikatnym pergaminie. Z planów tych dowiedzieliśmy się, że do zaprawy murarskiej użyto piasku i kamieni nerkowych oraz żółci zmieszanej z krwią i spermą.

Choć nie spotkała nas kara, martwiliśmy się, co dalej robić. Wysłaliśmy jednego na zwiad, w kierunku wzgórz.

Tymczasem nadszedł transport świeżej brukwi. Gotowaliśmy ją w kotłach nad ogniskami, palonymi na zgliszczach więzienia.

Po dwóch dniach zawiadowca wrócił. Opowiedział, że w którąkolwiek stronę próbował iść, jakaś tajemnicza siła ciągnęła go z powrotem do ruin więzienia, nie dając mu odejść dalej, niż na jakiś kilometr, i pozwalając co najwyżej krążyć wokół nas w promieniu tego kilometra, jak na sznurku. Nic nie zobaczył, prócz stepu, i po dwóch dniach chodzenia, skrajnie wyczerpany, wrócił.

Koledzy mieli teraz do mnie pretensje, że za moją namową zburzyli wygodne więzienie i nie mają się gdzie podziać.

– Skoro twierdzisz, że na świecie są inne więzienia, to idź i znajdź nam takie, do którego będziemy się mogli przeprowadzić. Nic nas nie obchodzi, czy jakaś tajemnicza siła będzie cię ciągnęła z powrotem, czy nie. Jedyne, co możemy dla ciebie zrobić, to nadać ci takie przyśpieszenie, żebyś się mógł tej sile wyrwać.

Co powiedziawszy, chwycili mnie za nogi, zakręcili mną młynka i wyrzucili mnie w stronę wzgórz.

Nie wiem, czy cisnęli mną tak mocno, czy też na mnie owa tajemnicza siła działała słabiej, dość że biegłem bez wysiłku, nogi same mnie niosły w bezkresny step, którego zieleń zlewała się, niknąc w szalonym pędzie pod moimi stopami. Nagle potknąłem się o wykrot. Spadałem w otchłań i wreszcie rymnąłem jak długi. Rozejrzałem się. Leżałem obok fotela. Dookoła, na zabłoconym dywanie, lśniło mnóstwo odłamków szkła. Wstałem z trudem. Bolały mnie wszystkie kości. Ujrzałem mój salon, fotele, półki z książkami, telewizor z rozbitym ekranem. Spanielek podbiegł do mnie, kulejąc i popiskując.

Więc to był tylko sen! Co za koszmar! Że też człowiekowi potrafię się przyśnić takie brednie! Musiałem się zdrzemnąć w fotelu. Ale że Pimpuś, taki zwykle spokojny, stłukł telewizor! I jeszcze poroznosił po dywanie ziemię z doniczek! A może ekran sam się rozleciał? W każdym razie to na pewno dźwięk tłuczonego szkła wywołał cały ten koszmar. Musiałem się nieźle rzucać przez sen, skoro spadłem z fotela, i chyba kopnąłem Pimpusia, bo kuśtyka. Jutro zaprowadzę go do weterynarza. Tymczasem trzeba wezwać kogoś z biura napraw telewizorów.

Zadzwoniłem. Potem zmiotłem kawałki szkła, starłem błoto z dywanu, zabandażowałem Pimpusiowi łapkę i wyprowadziłem go na siusiu.

Nazajutrz raniutko do drzwi zadzwonił facet przedstawiający się jako technik telewizyjny. Otworzyłem.

– Pan w jakiej sprawie? – spytałem.

Nic nie odpowiedział, tylko jego oczka spojrzały na mnie intensywniej przez dziurki w kapturze.

Tomasz Matkowski

Ako wzywa Tenuta! Ako wzywa Tenuta!

– Chreesunghtewhad agnothawtha bher! Chresunghtewhad agnothawtha bher!

– Deszyfrator! Kto wyłączył deszyfrator?

– Coś jest niedobrze.

– Spróbujcie jeszcze raz.

– Już w porządku.

Z deszyfratora płynęły znowu dźwięki zrozumiałe dla Akańczyków.

– Tenut do Aki! Tenut do Aki! Nowy obiekt w sto sześćdziesiątym ósmym laboratorium. Wizja: kanał ósmy koma sześć. Fonia: kanał piętnasty koma osiem. Tenut ogłasza alarm. Powód: możliwość spotkania się osobników tego samego gatunku, pochodzących z planet o odmiennym stopniu rozwoju i innych warunkach życia. Koniec meldunku Lambda 1-6-2. Odbiór.

– Ako potwierdza odbiór meldunku Lambda 1-6-2. Rozpoczynamy potwierdzenie obserwacji równoległej. Przejmujemy kontrolę nad obcym obiektem w sto sześćdziesiątym ósmym laboratorium. Koniec.

wytrzymać osłona. Po upływie siedniu ulików uczuł wstrząs; dysk zatrzymał się. Znikła siła paraliżująca dotąd wolę Utorma, był teraz w stanie swobodnie poruszać się w obrębie pola ochronnego, natomiast nie potrafił spowodować ruchu dysku, który tkwił na dnie, jak przyśrubowany. A przecież według znanych mu zasad nauki to niemożliwe. Zdezorientowany przysiadł na tylnych łapach, próbując przypomnieć sobie, czy na spotkaniach u Redda nie było mowy o podobnych przypadkach. Ale nie zostawiono mu wiele czasu do namysłu. W pewnej chwili osłona drgnęła i Utorm zaczął się wraz z nią przemieszczać z dużą szybkością po dnie. Mijał zwierzęta, poruszające majestatycznie różnokolorowymi wachlarzami płetw i patrzące bez lęku w jego wystraszone ślepka. Mijał kępy wodorostów i glonów, omszałe, wielkie głazy i jaskinie iskrzące się w świetle dysku wszystkimi barwami tęczy. Zdał sobie sprawę, że gdyby nie poczucie zagrożenia, zmysł estetyczny, rozwinięty w równie wysokim stopniu, jak u wszystkich Itańczyków, dostarczyłby mu wspaniałych przeżyć. Ale zaskoczenie, nieoczekiwana sytuacja, strach – spowodowały, że tkwił w osłonie skulony i drżał na całym ciele pokrytym gęstym włosiem.

KARALUCH

Hanna Hamer

Utorm budził się powoli z koszmarnego snu. Śniło mu się, że w końcu go dopadli. Dostał najwyższy wymiar kary – zesłanie na jeden z tych położonych na końcu wszechświata okruchów Kosmosu. Miał sobie odtąd radzić sam. Otrząsając się z resztek snu, przetarł łapą oczy. Wokół niego rozciągała się przestrzeń o barwie nie przypominającej w niczym tak rozpowszechnionego na Iicie koloru bladego różu. Zerwał się gwałtownie stając na wszystkich czterech łapach.

– Więc to prawda! – wydał z siebie przeraźliwy pisk. – Jednak zrobili to! Dranie! – rozszerzonymi z lęku oczkami mierzył świat, którego mieszkańcem właśnie go uczyniono.

Karłowate drzewa były połączone ze sobą rodzajem lian oplatających zarówno korony drzew, jak ich boczne gałęzie. Utorm przyzwyczajony do innego krajobrazu poczuł się obco i niepewnie. Dobrze, że chociaż trawa i mech nie różniły się zbytnio od poszycia leśnego Iity, oczywiście z wyjątkiem koloru. Ciężko oddychając przysiadł na tylnych łapach, chcąc spokojnie zebrać myśli.

„Oni nie tolerują indywidualistów" – brzmiały mu w uszach słowa powtarzane jak refren przy każdej okazji przez Ailę. „Rozdzielą nas, jeśli nie przestaniesz głosić wszędzie tych swoich wywrotowych teorii. Dlaczego nie podporządkujesz się zarządzeniom, tak jak wszyscy. Przecież oni reprezentują Prawo!"

Potrząsnął długimi uszami, nawet w tej chwili czując litość dla jej potulności i naiwności, po czym wstał i ruszył przed siebie rozglądając się uważnie.

„Chyba niemożliwe, żebym był tu zupełnie sam" – pomyślał. „To na pewno jedna z tych zapóźnionych w rozwoju planetek, o których tyle ostatnio słyszałem na spotkaniach u Redda. Przypuszczam, że skoro nie skazano mnie na głodowanie, znajdę tu jakieś pożywienie. Trzeba pomyśleć o polowaniu."

Na myśl o jedzeniu poczuł skurcz żołądka Przekręcił gałkę ochrony osobistej i po chwili, otoczony świetlistym dyskiem, szybował w powietrzu. Ląd pod nim zmieniał kolory i kształty. Przyzwyczajony do jednostajności krajobrazu Iity, Utorm przyglądał się temu ze zdziwieniem i zaciekawieniem.

„Szkoda, mimo wszystko, że nie ma ze mną Aili" – pomyślał. „jej by się tu podobało".

W dole skończyły się drzewa. Pojawiła się natomiast ogromna, nie mająca końca przestrzeń wodna o kolorze krzewów i traw. Minęło zaledwie kilka ulików i Utorm poczuł, że jakaś potężna moc paraliżuje jego wolę i obniża lot. Udało mu się jedynie wzmocnić osłonę. Musiał w tym celu wytężyć wszystkie siły i maksymalnie się skoncentrować. Rozpaczliwie próbował znaleźć wytłumaczenie zakłócenia programu lotu.

„Może podali mi jakiś lek o opóźnionym działaniu rozregulowujący celową aktywność? Podobno to jedno z ostatnich odkryć. A może rozmieścili w terenie aparaturę emitującą fale antyalfa blokujące mózg? Nie, to chyba jednak megalomania z mojej strony. Nie zawracaliby sobie głowy aż tak jednym wygnanym wrogiem". Jego rozmyślania uciął miękkie zderzenie i wejście dysku ochronnego w półprzezroczysty, dziwnie opalizujący płyn. Dysk zagłębiał się coraz bardziej, a Utorm uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, jakie ciśnienie potrafi

Zdawało się, że podróż nie będzie mieć końca. Wreszcie pod nieskończenie długim, jak na jego zszarpane nerwy, czasie, dotarł do miejsca, którym okazała się duża sala. Wokół osłony zakłębiło się nagle, jakby wciągał ją jakiś wir. Przypominało to trochę dezynfekowanie dysków na Iicie za pomocą strumienia energii. Mogło to być coś podobnego.

Hala przypominająca wielki, niezamieszkały rattus itański zajaśniała przyjemnym, różowym blaskiem. Wokół nie było widać żadnej żywej istoty, natomiast na wprost Utorma znajdował się zestaw silnie podświetlonych urządzeń niewiadomego pochodzenia. Siedział przez chwilę nieruchomo, czując jak napięcie powoli ustępuje miejsca rozluźnieniu. Potarł o siebie spocone i zimne łapki.

„Chyba zaryzykuję" – pomyślał i zamykając oczy wydał dyspozycję: „ochrona zbędna".

Po chwili, uwolniony, stał na twardym, niewątpliwie sztucznym podłożu wielkiej hali rozglądając się trwożnie dookoła. Wreszcie ruszył wolno ze sztywno wyprężonym ogonem w kierunku maszyn i stanąwszy w bezpiecznej, jak mu się zdawało, odległości, zaczął się im przypatrywać dokładniej. Przypominały trochę ciąg pulpitów sterowniczych z wieloma ekranami i niezliczoną liczbą przycisków. Jako humanista nie znał się na tym ani po części tak dobrze, jak na przykład wszechstronnie wykształcony szef itańskiej opozycji i jego osobisty przyjaciel – Redd. Próbował właśnie wyobrazić sobie, co zrobiłby Redd mając przed nosem szereg napisów w nieznanym języku, kiedy na wprost niego zapaliła się jedna z lampek. Pulsowała intensywnie czerwonym światłem, zdawała się wprost zapraszać do podjęcia decyzji.

Po namyśle Utorm przysunął się bliżej i marszcząc nerwowo pysk, przycisnął łapą guzik. Na ekranie, nieco z lewej strony, pojawił się wreszcie zrozumiały tekst w ojczystym języku. Utorm wydał ostry pisk radości i zabrał się do czytania.

Witamy mieszkańca Iity w pracowni Omega 701 na planecie zwanej przez jej mieszkańców Ziemią. Jesteśmy tylko gośćmi w tej części Układu Słonecznego, co prawda dobrze już zadomowionymi. Od stuleci obserwujemy rozwój cywilizacji ziemskiej dostarczając danych Archiwum Wszechgalaktycznemu. Jedna z naszych stacji poinformowała nas o rodzaju kary, jaką stosują władze itańskie wobec nieposłusznych obywateli. Jak nam wiadomo, przeciwstawienie się obowiązującym na Iicie, sztucznie i pod presją narzuconym normom współżycia, jest karane zesłaniem na tę planetę. W ciągu ostatnich trzech cykli byłby to już sześćset osiemnasty przypadek zesłania Itańczyka na Ziemię. Ze względu na znaczną różnicę poziomu cywilizacji ziemskiej i itańskiej, uznaliśmy za konieczne odseparowanie przybyłych tu zesłańców, aby nie zakłócić normalnego rozwoju planety. Dalszych informacji udzieli za chwilę nasz wysłannik. Odpowie na każde zadane pytanie. Prosimy o obdarzenie go zaufaniem i poddanie się sugestiom dla dobra Iity i Ziemi. Dziękujemy. Koniec przekazu.

Ekran migotał jeszcze przez chwilę, po czym światła przygasły. Utorm siedział pełen napięcia, nieświadomie przez cały czas prężąc sztywno ogon.

„Obca cywilizacja?" – pokręcił niedowierzająco łbem. „Jak to

Bogusław KOSTIA



Bogusław Kostia

możliwe? Przecież Redd mając do dyspozycji całą swoją aparaturę wiedziałby o tym. I nas też obserwują? A może to test na lojalność wymyślony przez naszych mózgowców? Ale po co, jeśli jest prawdą, że żaden zesłaniec nie powrócił na Iite? W jakim celu zadawaliby sobie tyle trudu?" We łbie skołowanego Utorma zaczynało się już kręcić. Czuł się znużony i otępiały.

„Chyba po prostu poczekam na tego »galaktycznego« wysłannika" – pomyślał sennie. „Na pewno wszystko się wyjaśni. A na razie zdrzemnę się trochę"

Przewrócił się na plecy i z łapkami wyprężonymi ku górze i wyciągniętym pyskiem spał po chwili twardym, kojącym snem.

Obudził się i pierwszą rzeczą, na której zatrzymał wzrok, była wielka, groźnie uzębiona paszcza obłego, szarawego stwora o długości ponad dwóch metrów. Stworzenie wielokrotnie przewyższało dorosłego Itańczyka.

Utorm zerwał się piszcząc przeraźliwie i w paru skokach dopadł ściany, którą okazało się pole siłowe, powstrzymujące napór wody. Potwór nie ruszając się z miejsca odezwał się z obcym akcentem, ale za to niewątpliwie po itańsku.

– Pozdrawiam mieszkańca prześwietnej Iity i przepraszam za niekorzystne wrażenie, jakie wywarła moja zewnętrzna powłoka. Postać, którą posiadam w tej chwili nie jest właściwa stanowi świadomości, jaki reprezentuję. Przybraliśmy ją w tutejszych warunkach dla wygody. Na Ziemi nazywa się nas delfinami i zalicza do zwierząt. To dobrze. Nie budzimy najmniejszych podejrzeń o ingerencję jakiegokolwiek rodzaju. Czy mogę prosić o przybliżenie się do mnie? – W śpiewnym głosie delfina Utorm wyczuł sarkazm i tłumioną wesołość. – Tak głośne przemawianie nie leży w naszym zwyczaju i jest dość męczące.

Itańczyk starając się kroczyć godnie, przysunął się mężnie przed samą paszczę potwora. Ten mówił dalej:

– Zostałem oddelegowany w charakterze łącznika kontaktowego między moją cywilizacją a przedstawicielami kultury itańskiej ze względu na to, że studiowałem wasz język. Chciałbym przede wszystkim przeprosić za sposób, w jaki skłoniliśmy mieszkańca Iity – tu skłonił niezgrabnie łeb połączony w jedno z tułowiem – do przybycia tutaj. Posiadamy właściwość, z którą zapewne w dość nieprzyjemny sposób zetknęli się przybywający na Ziemię Itańczycy. Jest to zdolność do wytwarzania bardzo silnego pola magnetycznego, zakłócającego pracę wszystkich urządzeń sterujących, także ziemskich. Ściągamy w ten sposób do tej i jej podobnych hal różne latające i pływające pojazdy wraz z załogami. Nasze pracownie mieszczą się w głębinach oceanu na obszarze wielkiego trójkąta, co ułatwia nam kontakt między sobą. Jak dotąd Ziemianie, czy może ściślej, ludzie, bo tylko ten gatunek osiągnął na razie na ziemi samoświadomość, nie wykryli naszej tajemnicy. Wszystkich zatrzymanych i ich pojazdy, po dokładnym przebadaniu, umieszczamy w innej galaktyce, gdzie spokojnie dożywają swych dni. Oprócz wymienionego, mamy wiele innych sposobów kontaktowania się ze światem ludzi, ale to nie należy do rzeczy.

Chciałbym wyjaśnić, że obecnie nadszedł czas, aby wszyscy zesłańcy z Iity jak najszybciej opuścili Ziemię, wkrótce bowiem nastąpią tu wydarzenia, które wasza planeta przeżyła już w przeszłości. Obecność Itańczyków mogłaby zakłócić, jak sądzimy, kolejny etap rozwoju tej planety. Jesteśmy w stanie dopomóc wam w szybkim dotarciu do domu. Czy to, co powiedziałem, było dostatecznie zrozumiałe, czy też są może jakieś wątpliwości lub pytania? – Stworzenie bacznie przypatrywało się Utormowi, który stał sztywno, próbując uporządkować wszystkie usłyszane rewelacje.

– Zrozumiałem wszystko, co powiedziałeś – odezwał się wreszcie. – Czy mógłbym się dowiedzieć, skąd pochodzicie i dlaczego pracujecie właśnie w tym rejonie wszechświata?

Delfin skinął poważnie łbem.

– Oczywiście, to nie jest tajemnicą. Zamieszkujemy galaktykę odległą od Układu Słonecznego o siedemset lat świetlnych. Jesteśmy koordynatorem wszelkich poczynań obserwacyjnych i interwencyjnych we wszechświecie. Nasz układ nazywa się Ako, a stacja informacyjna w tym rejonie nosi nazwę Tenut. Są to kryptonimy zrozumiałe przy komunikowaniu się w różnych językach.

– A czy Iitę również obserwujecie? – Utorm patrzył z napięciem na szarawego stwora.

– Zbieramy informacje o wszystkich planetach, na których istnieje życie – brzmiała lakoniczna odpowiedź.

– W takim razie chciałbym spotkać się z moimi rodakami – zapiszczał nieśmiało Utorm – i opracować wspólny plan działania.

Czy dopomożecie nam w opuszczeniu Ziemi niezależnie do tego, dokąd zdecydowalibyśmy się na razie udać?

– Nie – głos delfina miał ton kategoryczny. – Pomoc dotyczy jedynie powrotu na macierzystą planetę. Taka jest decyzja moich mocodawców i nie mam na nią żadnego wpływu. Jestem jedynie łącznikiem kontaktowym.

Utorm pokiwał pyskiem, chociaż nie miał pojęcia, dlaczego Akańczykom zależy na walce zesłańców z władzami itańskimi, do której to walki musi w tej sytuacji niewątpliwie dojść. Rozmówca nie dał mu jednak czasu do namysłu. Powiedział, że w celu skontaktowania się z pobratymcami musi Utorm wcisnąć klawisz z napisem „eentropeertywhklant".

– Proszę nie niepokoić się objawami zaburzenia równowagi, które niewątpliwie wystąpią, aż do stanu uśpienia włącznie. Podróż, którą trzeba odbyć w celu spotkania z rodakami, mogłaby być zbyt trudna do zniesienia w stanie pełnej świadomości.

Utorm nie pytał o nic więcej. Zdawał sobie sprawę, że jest całkowicie zależny od postanowień Akańczyków bez względu na własne chęci. Skinął łbem bez słowa i nie patrząc dłużej na delfina podszedł do pulpitu. Spotkanie z Itańczykami tak czy owak powinno pomóc w pełniejszym wyjaśnieniu ich sytuacji. Decyzje będą wówczas łatwiejsze do podjęcia, zwłaszcza, że wśród zesłańców znajdowali się także wybitni naukowcy. A zresztą, czy ma jakikolwiek wybór?

Nie zastanawiając się, mocno wcisnął wskazany klawisz. Przez chwilę nic się nie działo, po czym poczuł ucisk w skroniach, zawirowało mu przed oczami i stracił przytomność.

Aila pędziła wąwozem wyprężona jak struna. Ciężko dysząc, prawie nieprzytomna ze zmęczenia dopadła wreszcie rattusa siostry Utorma, Intry. Oparła się bez tchu o drzwi i przyłożyła prawą łapę do informezu. Usłyszała melodyjny dźwięk i po chwili srebrzystoszara grota stała przed nią otworem. Wbiegła do środka i natychmiast spostrzegła Intrę, spoczywającą na ściśle dopasowanym do jej ciała ronerze.

– Pozdrowienie Aili! – odezwała się gospodyni patrząc na przybyłą z widocznym lekceważeniem, choć starała się to pokryć udawaną serdecznością. – Widzę, że już wiesz.

– Czy wiem? – z pyszczka Aili wydobył się rozpaczliwy skrzek. – Został zesłany! Wiem na pewno, że został wyrzucony gdzieś w kosmosie na pewną śmierć. Och, Intro – zaszlochała – co robić?

Spokojna jak zawsze siostra Utorma wskazała Aili sąsiedni roner.

– Przede wszystkim połóż się i odpocznij. Opowiem ci w skrócie, czego dowiedziałam się od chwili, kiedy z Najwyższej Komisji Kontroli Czystości Norm otrzymałam informację o karze wymierzonej memu bratu. Skontaktowałam się natychmiast z Reddem, który po przekonsultowaniu możliwości działań z Radą Opozycji, wysłał sondę w kierunku przypuszczalnego miejsca zesłania Utorma. Wiemy już, że podobnie jak inni zesłańcy znajduje się na planecie zwanej Ziemią. Są separowani od Ziemian przez obcą rasę, która stworzyła dla nich specjalny rezerwat głęboko w skorupie ziemskiej. Nudzą się tam potężnie i oprócz badań biologicznych, zabijają czas doświadczeniami fizykochemicznymi powodując znaczne straty na powierzchni, na skutek wywoływanych trzęsień ziemi i wybuchów wulkanów. Krótko mówiąc, wstyd mi za nich. Zachowują się doprawdy jak dzieci. Nic dziwnego, że ci obcy nie dopuścili ich do kontaktu z naszymi analogami, żyjącymi na Ziemi w nieprawdopodobnej nieświadomości własnej mocy. Zdeprawowaliby ich zupełnie, a nadmiernie pomagając obniżyliby tylko ich dość na razie niski współczynnik inteligencji. I tak przyszłość należy do naszej rasy bez względu na to, gdzie mieszka. Niech się rozwija w spokoju. Nasi zapatrzeni we własną ideologię władcy nie mają, jak się zdaje, najmniejszego pojęcia o tym, co się tam dzieje. Tak to bywa, kiedy władza jest przesadnie zainteresowana utrzymaniem się u steru, a naszej umyka też fakt, że naukowcy pracujący potajemnie są już o krok od zastosowania nowych rodzajów broni i przejęcia kontroli nad wszystkim. No, ale wróćmy do tematu – Intra patrząc na rozedrgany z niepokoju o Utorma pyszczek Aili poczuła wyrzuty sumienia.

„Ależ się mądrzy" – pomyślała Aila czekając cierpliwie na dalsze wiadomości o swoim samcu.

– Rada Opozycji – ciągnęła Intra – jest w kontakcie z zesłańcami, którzy powrócą na Iitę w najbliższym czasie i to w sposób, który pozostanie nieznany naszym strażnikom przestrzeni. Pojazdy, którymi przybędą, otrzymane w darze od goszczących ich na Ziemi przyjaciół, posłużą do natarcia we wszystkich kluczowych osadach jednocześnie. To będzie najszybszy atak w historii Wszechświata i najświetniejsze zwycięstwo – entuzjazmowała się Intra. – Przyszłość należeć będzie wreszcie do tych, którzy na to zasługują.

– Co za patetyczny styl – pisnęła do siebie Aila, a głośno wychrypiała: – Skąd wiesz to wszystko? Jakim cudem...

– To proste – przerwała jej gospodyni. – Nasi przyjaciele, tu na Iicie, nie dali się ogłupić nawoływaniom do powszechnego zjednoczenia umysłów. Znaleźli sposób na oddawanie sztucznych, zbudowanych przez siebie mózgów, a swoje wykorzystują, jak widzisz, dla dobra tej planety. Zaszliśmy już bardzo daleko, Ailo. Czy Utorm nigdy ci nie wspominał o naszych pracach? – spojrzała z wyższością na samiczkę brata.

– Wiem tylko, że obowiązuje was ścisła tajemnica, a Utorm zawsze dotrzymuje słowa – brzmiała zdecydowana odpowiedź.

Nie zrażona Intra ciągnęła dalej:

– Dowiedzieliśmy się, że Ziemia ulegnie wkrótce zagładzie termonuklearnej. Przetrwają tylko nasze analogi i odpowiedniki żyjącego także na Iicie gatunku rdaków. Zesłańcy muszą się wobec tego pospieszyć z powrotem do domu, wiemy nawet, gdzie będą lądować. Wszystko jest już ustalone i przygotowane. Do czasu przejęcia władzy pozostaniesz pod moją opieką. Sądzę, że Utorm życzyłby sobie tego. Jak sądzisz?

Aila pochyliła nisko łeb wiedząc dobrze, że ta propozycja jest w istocie rozkazem. Musiała słuchać starszej od siebie samicy. Leżała przez chwilę zupełnie nieruchomo, po czym zapiszczała spokojnie:

– Kiedy będę mogła zobaczyć się z Utormem?

– Następnej nocy. Już wkrótce skończy się ten koszmar i zaczniemy wreszcie żyć jak normalni, wolni Itańczycy.

Przejęta swoimi słowami Intra otarła łzę z oka.

Aila popatrzyła na nią z niechęcią i pisnęła sucho:

– Zostaję.

Tenut wzywa Akę! Tenut wzywa Akę!

– Ako słucha Tenuta! Czy zaszło coś nowego?

– Tenut do Aki! Zmiany wprowadzone do programu sto sześćdziesiątego ósmego laboratorium nie wywołały oczekiwanych skutków. Dążenie Ziemian do samozagłady opiera się wszelkim naszym usiłowaniom. To jedyny zarejestrowany przypadek we Wszechświecie. Ocena: mamy do czynienia z gatunkiem zdegenerowanym, nie nadającym się do reedukacji. Rezygnujemy z dalszych oddziaływań. Przewidywany termin Wybuchu – paro koma siedem.

– Przechodzimy jednocześnie na pełną rejestrację zjawisk na terenie dwieście czwartego laboratorium, dokąd właśnie podążają obiekty usunięte z Ziemi. Koniec meldunku Lambda 1–6–3. Odbiór.

– Ako potwierdza odbiór meldunku Lambda 1–6–3. Zgadzamy się z waszą oceną sytuacji. Zarządzamy ponadto likwidację pozostałych przy życiu osobników z gatunku ludzi przebywających w galaktyce R-16, jako nieuleczalnie chorych i niebezpiecznych dla prawidłowego rozwoju Wszechświata. Przejmujemy kontrolę nad ziemskimi analogami Itańczyków, którzy po Wybuchu powinni dogonić obecną cywilizację Iity w ciągu około tysiąca lat. Ako zobowiązuje Tenuta do wszechstronnej rejestracji zmian w dwieście czwartym laboratorium. Koniec.

Utorm mocno tulił Ailę do siebie. Była taka ciepła i miękka. Włoski pokrywające całe jego ciało drżały ze wzruszenia i podniecenia. Z oczu samiczki płynęły łzy.

– Tak strasznie się bałam. Czekałam i czekałam na ciebie. Czy naprawdę musisz już iść?

– Tak, kochanie – zapiszczał wyżej niż zwykle Utorm. – Jestem im potrzebny. Ale obiecuję ci, że to nie potrwa długo i że zwyciężymy. Pamiętaj koniecznie o dysku ochronnym.

– Ale dlaczego użycie ochrony jest takie ważne – zaprotestowała z niezadowoleniem Aila. – To takie niewygodne.

– Chodzi o to, żeby nie dosięgnął cię ten sam los, co tych drani – Utorm mocno przycisnął samicę do siebie i musnął pyskiem jej ogonek. – Dysponujemy niezawodną bronią, która ich wykończy, a nam da władzę. Wszyscy, którzy mają być uratowani zostali już powiadomieni o sposobie zachowania się. Jeśli nie zastosują się do poleceń, to znaczy, że są zbyt głupi i niezdyscyplinowani, aby żyć.

– Używasz zupełnie takich samych argumentów, jak przedtem oni!

Hanna HAMER

Urodziła się 28 lipca 1949 roku. Ukończyła Wydział Psychologii i Pedagogiki w Uniwersytecie Warszawskim. Jest doktorem nauk humanistycznych. Pracuje jako psycholog w Akademii Rolniczej w Warszawie. Autorka skryptów, artykułów naukowych i popularnonaukowych oraz recenzji. „**Karaluch**" jest jej debiutem w gatunku SF.

Bogusław KOSTIA



Bogusław Kostia

– Nic nie rozumiesz, najmilsza, ale i tak cię kocham. Zostań tu z Intrą, tak będzie lepiej. Do zobaczenia! – raz jeszcze potarł pyskiem jej wygięty tułów i wybiegł z rattusa.

Tenut do Akil! Tenut do Aki! Zgodnie z przewidywaniami w dwieście czwartym laboratorium zastosowano broń bakteriologiczną. Czynnik uboczny, niedostrzeżony jeszcze przez byłą opozycję polityczną, która przeżyła – bezpłodność. Sygnalizujemy pełną odporność na użyte przez Itańczyków wirusy NTHCLX rasy, określanej na Iicie jako rdaki. Rozpoczynamy obserwację poczynań tej rasy, która po najbliższym cyklu pozostanie jedyną na Iicie. Koniec meldunku Lambda 1–6–4.

Różowy blask niknął powoli za horyzontem, kiedy ze wszystkich szpar i szczelin niewidocznych za dnia, zaczęły wyłazić ostrożnie niewielkie stworki o długości od kilku milimetrów do około trzech centymetrów. Ich owalne, lekko spłaszczone ciała o małej główce poruszały się, w miarę zapadania ciemności, coraz śmielej, a czułki rozpoznawały przestrzeń przed sobą coraz odważniej. Brunatnoczarne ubarwienie zwierzątek pozwalało na przemykanie się po ciemnym podłożu w sposób niemal niezauważalny dla obserwatora z zewnątrz. Ale nie było żadnego obserwatora, stworków natomiast pojawiało się coraz więcej i więcej. Ciepły i wilgotny klimat Iity służył im. Nienasycone w żarłoczności ogołacały teren przed sobą. W tej olbrzymiej gromadzie wyróżniał się wielkością i rozmiarami głowy jeden z rdaków, ciemny i bardziej błyszczący niż inne. Spoczywał leniwie rozparty, pozwalając na znoszenie sobie pokarmu. Otaczające go samice reagowały na każde skinienie czułków.

Zaczynała się nowa era.

Hanna Hamer

Rajski koszmar

Janusz Zajdel wydał kolejną powieść, w której obraz społeczeństwa zdominował fabułę i zepchnął na plan dalszy indywidualne losy ludzkie. Właściwie jest to zjawisko charakterystyczne dla całej literatury fantastyczno-naukowej: pomysł, jakikolwiek by on był, zaprząta uwagę autorów do tego stopnia, że w większości przypadków ich inwencja wyczerpuje się w opisie świata przedstawionego, zasad jego funkcjonowania, zjawisk, z którymi mają do czynienia powieściowi bohaterowie. Nader rzadko, w najwybitniejszych utworach science fiction zostaje wiarygodnie, z psychologicznym prawdopodobieństwem przedstawiona reakcja bohatera na to, co wymyślił autor, wobec czego go postawił. Postać jest w SF bardziej marionetką niż wielostronnie ukazanym człowiekiem. Z moich czytelniczych doświadczeń wynika, że jest to przypadłość, z której fantastyka naukowa nie prędko się wyleczy, że jest to jej niezbywalna cecha. Nie zamierzam więc z tego powodu czynić Zajdlowi zarzutu.

Jest on pisarzem tworzącym od pewnego czasu modele zbiorowości ograniczające swobody jednostki ludzkiej. Zajdel bada społeczeństwo masowe, które przez swoją liczebność jest zmuszone do stosowania najróżniejszych mechanizmów broniących je przed rozpadem i chaosem. Autor „Paradyzji" przestrzega przed wynaturzeniami i nadużyciami, jakie mogą wystąpić na tym obszarze, analizuje różne formy podporządkowania człowieka ogromnej machinie państwowej, sytuację, kiedy stajemy się drobnym elementem układu, nad którym nie panujemy, którego nie rozumiemy i nie kontrolujemy.

Kolejne powieści Zajdla – „Limes inferior", „Wyjście z cienia", „Cała prawda o planecie Ksi" i wydana ostatnio „Paradyzja" – to jakby odmienne wersje tego samego tematu, różniące się zaledwie niuansami. Wszystkie one, łącznie ze świetnym „Cylindrem van Troffa" czynią z Zajdla czołowego przedstawiciela socjologizującej odmiany fantastyki naukowej, „podgatunku" literackiego, która chyba nigdzie na świecie nie rozwinęła się tak bujnie, jak w Polsce. Gdzieś daleko pisarze i czytelnicy zabawiają się baśniami, opowieściami o smokach i gwiezdnych wojnach, a u nas dominuje fantastyka zaangażowana w walkę o prawa człowieka, o uratowanie istotnych wartości humanistycznych obojętnie niszczonych przez świat.

„Paradyzja" jest opisem nowoczesnej, przyszłościowej odmiany państwa niewolniczego. Większość społeczeństwa żyje tu w zamknięciu i jest zmuszona do pracy, a z jej owoców korzysta uprzywilejowana grupa – potomkowie ludzi, którzy podstępnie zdobyli kiedyś władzę nad nieświadomą większością. Układ zbiorowy opisany przez Zajdla jest tym bardziej perfidny, że wyzyskiwana większość nie zna i znać nie może prawdy o swoim położeniu, że ukryta jest przed nią prawdziwa struktura społeczna i państwowa, która istnieje dzięki ich pracy i niewiedzy.

Zaczęło się od tego, że przed laty (w stosunku do czasu akcji) wyruszyła z Ziemi duża grupa ludzi, którzy mieli zasiedlić pewną, nie do końca zbadaną planetę. Oczywiście podróżowali w stanie hibernacji. Kiedy dolecieli na miejsce, kierownictwo ekspedycji zawiadomiło Ziemię, że planeta nie nadaje się do zamieszkania, ale z uwagi na jej naturalne bogactwa trzeba ją eksploatować – skonstruują zatem sztuczną planetę, na której wszyscy znajdą schronienie, a specjalne ekipy będą pracowały w kopalniach. Ludzie przyjmują to wyjaśnienie za dobrą monetę. Życie na Paradyzji (sztucznej planecie) obserwujemy oczyma przybysza z Ziemi, pisarza, któremu po wielu perypetiach udało się otrzymać zezwolenie na przyjazd. Paradyzja broni się jednak przed obcymi, chroni swoje tajemnice. Poznajemy społeczeństwo stłoczone na małej przestrzeni, żyjące w stanie ciągłego zagrożenia z zewnątrz, czujne i gotowe do obrony swojego stylu życia, nieświadome ubóstwa, w jakim jest pogrążone i uznające za normę wszystkie ograniczenia, którym się musi podporządkować.

W sumie nie byłby to nawet obraz szczególnie egzotyczny, ponieważ dzisiejszy świat wytwarza najróżniejsze modele społeczne, niekiedy jeszcze bardziej surowe dla nieprzygotowanego człowieka. Perfidia systemu opisanego w „Paradyzji" polega na tym – co mozolnie odkrywa przybysz z Ziemi – że sztuczny satelita w ogóle nie istnieje. Ludzie żyją zamknięci w budowli stojącej na powierzchni planety i tylko wmówiono im, że poruszają się w przestrzeni kosmicznej. Skazani zostali na takie zamknięcie przez kierownictwo wyprawy, które nie chciało utracić nad nimi kontroli i postanowiło żyć ich kosztem w luksusowym osiedlu na powierzchni dalekiego globu nadającego się do zasiedlenia.

I to właściwie wszystko. Zajdel smakuje szczegóły codziennego bytowania mieszkańców „sztucznej planety", obyczaje, jakie wytworzyły się w zamknięciu, w sytuacji nieustannej kontroli wszystkich wypowiedzi. Znakomite są fragmenty, w których opisuje sposoby porozumiewania się przy pomocy niezwykłego języka opartego na luźnych skojarzeniach i aluzjach, jakimi można oszukać czuwający i wszechobecny komputer. Tu autor błyska ciekawym pomysłem, a przy tym tchnie w swoich czytelników wiarę, że człowiek nawet w najbardziej nieludzkich warunkach, poddany drobiazgowej kontroli zdolny jest do oporu, do przeniesienia w przyszłość nadziei na ocalenie, na uratowanie, jeśli już nie samego siebie, to przynajmniej swojego potomstwa.

Wspomniane partie powieści cechuje olbrzymi optymizm, mimo iż finałowy fragment jest utrzymany w tonacji przeciwnej. Ale tym właśnie nie możemy się przejąć, ponieważ nie wzrusza nas uczucie rodzące się pomiędzy bohaterem powieści i dziewczyną świadomą sytuacji istniejącej na planecie. Rinah pokazany jest zbyt zdawkowo, stanowi tylko ucho i oko czytelnika w świecie Paradyzji, toteż żyje na cudzy rachunek. Dziewczyna natomiast przeżywa dramat – ujawniła Rinahowi całą prawdę, ale nie mogła wyrwać się ze swego dwuznacznego, oszukańczego świata. Jest to postać ze wszech miar tragiczna: świadoma swego losu, nieuchronności czekających ją rozwiązań i dokonująca wyborów w sytuacji, gdy dokonać ich właściwie nie można – każda decyzja w jednakowym stopniu jest naznaczona przegraną.

Dramat tej dziewczyny – prezenterki paradyzyjskiej telewizji, więc oszukującej na co dzień swych współziomków – najbardziej wzrusza. Właśnie ona pozostaje w pamięci czytelnika, a wraz z nią świadomość bezwyjściowości, zagubienia, totalnej porażki. Jeszcze raz koszmar.

Leszek Bugajski

Janusz A. Zajdel: *Paradyzja*. Iskry, Warszawa 1984. Cena 100 zł.

■

Ulegamy złudzeniom. Lokujemy uczucia nie tam, gdzie trzeba, by przegapić te, które mogłyby być dla nas istotne. Przyznajemy się do związków nie istniejących, wypieramy te, które są oczywiste. Piotr Szulkin, pierwszy fantasta-ekspresjonista polskiego kina powiedział w wywiadzie sprzed ośmiu lat („Film na świecie" 9/77), że nic nie łączy go z rówieśnikami. Chodziło o młodych filmowców, którym rosło już w rękach kino „moralnego niepokoju". Sprowokowany, zapewne dorzuciłby Szulkin wówczas i młodych pisarzy. Pisarzy SF także. W żadnym wypadku nie miał i nie miałby racji.

W tamtym wywiadzie przedstawił się Szulkin jako reżyser ze skłonnością do kaligrafii pozbawiony predyspozycji Kieślowskiego i Zanussiego. Znaczyło to, że nie interesuje i nie bawi go kino społeczne. Więcej nawet, że nie pokłada w społeczeństwie specjalnych nadziei. W kaligrafii natomiast – i owszem. Jego filmik „Copyright by Film Polski" był wysmakowanym zapisem miażdżenia rumianego jabłuszka przez hydrauliczną prasę. „Dziewce z ciortem" składało się ze statycznych obrazów ilustrujących rubaszną przyśpiewkę o dziewczynie, która puściła się z diabłem. „Oczy uroczne" z kolei to była filmowa opowieść oparta na ludowej piosence o panu z oczami bazyliszka, którego uzdrowiła miłość – Szulkin filmował rzeczy bardzo piękne i bardzo wymyślnie. Esteta, facet z boku, neurotyk i... kaligraf. Tak można było mówić o Szulkinie, dopóki w odstępach 2-3-letnich, nie zaczęły pojawiać się na ekranie „Golem", „Wojna światów – następne stulecie" i „O bi, o ba". Znaczy pozostał nerwus i kaligraf, ale przybył chyba społecznik. Choć społecznik szczególny, społecznik-mizantrop.

Skończył się też z tymi filmami mit Szulkina jako odrębnego oryginała chodzącego własnymi drogami. Teraz widać już chyba, że filmy Szulkina to kino moralnego niepokoju, przetworzone przez ekspresjonistyczną wyobraźnię. Tylko że tamta formacja rozpadła się, rozjechała, a Szulkin został i kręci filmy. Podobne do siebie filmy. Wrócę jeszcze do tej sprawy.

Wspomniałem o młodych fantastach. W listopadzie-84 ukazał się w „Przekroju" fragment nowego scenariusza Szulkina inspirowanego m.in. powieścią Mirosława P. Jabłońskiego. Wygląda to na pokrewieństwo odnalezione – czyż nie tak? Ale byli ludzie, którzy o tym pokrewieństwie wiedzieli wcześniej. Myślę o przedstawicielach polskiej SF socjologicznej – Zajdlu, Oramusie, częściowo Żwikiewiczu, a także o Popik, Ziemkiewiczu,

Damon Knight (ur. 1922) to jeden z naocznych świadków i współtwórców niemal całej historii SF w Stanach Zjednoczonych, członek towarzystwa „The Futurians", któremu poświęcił książkę wydaną w roku 1977. Debiutował w roku 1941, ale rozkwit jego twórczości przypadł na lata pięćdziesiąte. Zasłynął jako autor opowiadań (za najlepsze uważa się zwykle „Maski" znane polskiemu czytelnikowi z „Kroków w nieznane", tom 4/1973) oraz krytyk – w roku 1956 otrzymał nagrodę Hugo za wybór recenzji „In Search of Wonder". Później pisał niewiele, poświęcając się pracy edytorskiej. Wydana zatem w roku 1984 powieść „The Man in the Tree" (Człowiek na drzewie) była niemałym zaskoczeniem dla czytelników. Książka ta warta jest omówienia zarówno ze względu na temat, jak i na sposób jego potraktowania.

Akcja „The Man in the Tree" rozgrywa się w czasie historycznym i tylko w ostatniej części wybiega w przyszłość. Bohater powieści – Anderson – jest zatem naszym współczesnym, żyje wśród nas. Urodził się w miasteczku Dog River w północnym Oregonie jako syn cieśli. Mając dwa lata nauczył się sięgać do równoległego świata i wyjmować stamtąd duplikaty przedmiotów z naszej rzeczywistości. W dwa lata później dowiedział się, że inni tego nie potrafią. Anderson wyróżnia się także fizycznie – wyrasta na olbrzyma. Jego nadprzyrodzone moce ujawniają się spontanicznie w chwilach przestrachu i zagrożenia. W jednej z takich sytuacji bohater powoduje śmierć napastującego go syna miejscowe-

Czarny Piotruś

właśnie o Jabłońskim. Niektóre z ich opowiadań, powieści, portretujących potrzaskane, skrachowane społeczeństwa i poniżonych bohaterów dzieją się w scenerii podobnej do tej namalowanej kamerą Szulkina (albo tej z filmu Andrejewa „Czułe miejsca"). Fantaści chodzili na te filmy, mówili o podobieństwach: spotkała ich i filmowców podobna przygoda, jak Cybisa, która ten opowiedział z kolei Czapskiemu: „*Czasem człowiek siedzi w pracowni i zdaje mu się, że wymyślił coś genialnego. Schodzi potem do kawiarni, a tam już wszyscy mówią o tym samym. Myśli latają w powietrzu*".

Do owych powieści i opowiadań nurtu socjologicznego dołącza więc teraz wybór fantastycznych nowel filmowych. Szulkin nazywa je „prawdziwymi" – może dlatego, że naprawdę zostały zrealizowane. Może dlatego, że jest większym pesymistą niż ktokolwiek sądzi. A może dlatego, że chce być po prostu przekorny. Kogo nie stać na wideokasetę, kolorowy telewizor, aparaturę odtwarzającą – może za jedne 156 złotych surogat tego kina postawić na półce. Powiedziałem „surogat" i będę się przy tym określeniu upierać.

Kino Szulkina jest dziełem artysty. Jego nowele filmowe, wszystko jedno czy napisane przed kręceniem, czy zmodyfikowane po fakcie, mają charakter notatek do obrazu. Dobre są w tych notatkach dialogi, bo są to niemal te same dialogi, które padają z ekranu. Dobre są sytuacje – nieco, czasem nawet znacznie gorszy od obrazów jest język, którym opowiada Szulkin swe obrazy czytelnikowi. Szulkin przerabiał trochę te scenariusze, rozbudował, ale Szulkin nie jest pisarzem. Jest reżyserem, artystą kina, jest trochę też filozofem, niestety w krainie słów porusza się na skróty, używa sloganów, bywa tandetny, kiczowaty, nawet niesmaczny. Podczas lektury tych scenariuszy, wyświetlając sobie ponownie na ekranie wyobraźni wybrane znakomite sceny z jego filmów, potykamy się jednocześnie na słowach. Za dużo w tych filmowych didaskaliach przeróżnych rozdziewiczonych drzwi, rur worywujących się w kadłub (Marsjanina), usportowionych sanitariuszy; za dużo przenośni nadto już potocznych, za dużo literackiej łatwizny. Na dłuższą metę męczy także monotonna w sumie perspektywa narracyjna i ubóstwo introspekcji – opowiada nam przecież Szulkin w scenariuszach raczej obrazy niż przeżycia. Stąd też w tej książeczce (bardzo pożytecznej skądinąd i chwała „Alfie" za to, że ją wydała) zalety Szulkinowskiego kina są mniej widoczne, niż jego grzechy. Lepiej natomiast wychodzi pewne zasadnicze nieporozumienie co do twórczości Szulkina.

Spotkała bowiem autora „O bi, o ba" szczególna przygoda. Nie sądzę, by specjalnie lubił on ludzi (przyznaję to zresztą w wywiadach), a jednak masowa, a w każdym razie fanowska publiczność czeka ze zniecierpliwieniem na jego filmy. Szulkin daje wizerunek sytuacji ponurych, beznadziejnych – publiczność czerpie z jego filmów coś w rodzaju przekornego pokrzepienia. Jest to możliwe dzięki temu (lub przez to?), że Szulkin jest wysłuchiwany nie do końca, bądź jakby w połowie. Ale teraz, wraz z tą książeczką publiczność dostanie nie sfilmowaną jeszcze nowelę „Ucięta głowa czarownicy" (nie wiem, nawiasem mówiąc, czy to w ogóle da się sfilmować) opowiadającą już jednoznacznie o społeczeństwie okrutnym, bezmyślnym, wrogim, sadystycznym wobec jednostki. I co publiczość pocznie z tym fantem? Czy i tym razem zechce filozofię Szulkina przeoczyć?

Znam chyba odpowiedź na pytanie, dlaczego tak się dzieje, dlaczego publiczność potrafi darować Szulkinowi to, że przeczy jej doświadczeniu, a nawet to, że ją częściowo obraża. Że nie mówi jej tych tajnych rzeczy, które ona sama powtarza sobie przed zaśnięciem. Otóż za demaskacjami Szulkina wyczuwa się szczerość – intelektualną szczerość doświadczenia i przeżycia, których można nie podzielić, ale które wypada przyjąć do wiadomości.

Tylko, że ta szczerość i wynikająca z niej niezmienność perspektywy stają się powoli słabością Szulkina. Najlepiej widać to właśnie w „Uciętej głowie czarownicy" – przy czym, proszę mnie zrozumieć, nie polemizuję ze sztuką Szulkina, tylko z jego filozofią. Jego światy są zamknięte, także intelektualnie, nie ma z nich wyjścia. Szulkin powtarza już chwyty i sceny. Wszędzie, w „Golemie", w „Wojnie światów", w „O bi, o ba" są podobne, jeśli nie bliźniacze sceny burdelowe. Wszędzie światy są beznadziejne, potrzaskane, a spłaszczone jednostki podporządkowują się bez buntu ich entropijnym regułom. Przepraszam – Idem i Stary z „Wojny światów" mają momenty wielkości, za to zresztą cenię ten film najwyżej. W „Wojnie światów" i „O bi, o ba" powtarza się końcowy motyw wyjścia w rozświetloną mgłę. W każdym filmie (scenariuszu) jest sekwencja w toalecie. Nawet aktorzy się powtarzają. Krystyna Janda kreuje zawsze tę samą świętą kurwę – pozornie tylko wolną, a naprawdę niewolnicę sytuacji, gestów, profesji, a przecież Janda to jest aktorka-dynamit zdolna rozbić w puch nie taki schemat. Z zaangażowanym do „O bi, o ba" Jerzym Stuhrem mogłoby być podobnie. I co? I nic! Mam wrażenie, że w podobny sposób w jaki zamyka, ogranicza aktorów – zamyka Szulkin oczy na tę weselszą prawdę o człowieku, którą dobrze zna jego widownia. Bohater z rozpadającego się atomowego schronu przechowujący w lodówce śliczne panienki na piękniejsze czasy, to przykład aktywności i zapobiegliwości zdegenerowanej; jego przeciwieństwem jest w „O bi, o ba" inżynier, który w ogóle odmawia działania. A przecież można to sobie wyobrazić, widzimy to w historii i wokół siebie – bywają w najgorszych warunkach aktywności i zapobiegliwości ze znakiem moralnie dodatnim. Niepokojąco mało jest takich działań w światach Szulkina.

Ten stan braku wyjścia znany był również kinu moralnego niepokoju. Ale tamto kino próbowało się odeń uwolnić. „Wodzirej" kończył się przecież uderzeniem, uderzał bohater pozytywny. „Kung-fu" przypominało o obowiązku pokoleniowej solidarności. Szulkin wydaje się nie doszedł jeszcze w swej twórczości do tych konstatacji. Jeśli chodzi o propozycję wyjścia, pozostaje także za pisarzami, że przypomnę zakończenie „Limes inferior". Zresztą, może Zajdlowa Alicja przypomina trochę Szulkinową Arkę – ale Alicja jest prawdziwym cudem, a Arka mistyfikacją. Szulkin mnoży piękne, nosne sceny (w ostatnim filmie zachwycające są zwłaszcza tancerki na linach, rura nad tłumem, z której wylatuje żałosna strawa, biblioteka, z której wyeliminowano Biblię na spasanie, bo zabrakło w niej zdania o Burach)... ale są granice tej gry. Widzowie mówią, że ostatni film nie jest już tak dobry, jak poprzednie. Nie wiem, czy mają rację. Artystycznie może nawet jest lepszy. Rzecz w tym, że nie jest chyba mądrzejszy. Nie rozrywa zamkniętego kręgu, w którym reżyser się kręci.

Maciej Parowski

Piotr Szulkin: *O bi, o ba i inne prawdziwe nowele filmowe*. Wydawnictwa ALFA, Warszawa 1984. Cena 156 zł.

Gdy nadchodzą prorocy...

go policjanta. Jedenastoletni Anderson musi uciekać przed zemstą. Kolejne etapy jego edukacji to szkoła plastyczna w Kalifornii, nauka u hiszpańskiego malarza Avili (która przeradza się w związek erotyczny), występy w objazdowym wesołym miasteczku w roli „największego człowieka wszechczasów" (Anderson dorasta tymczasem do 8 1/2 stop, tj. 260 cm), podróże po świecie własnym jachtem. Okresy względnej stabilizacji przerywają mu ciosy mściwego policjanta, dla którego tropienie Andersona stało się celem życia. W toku swoich wędrówek bohater uczy się panować nad swoją mocą, ukrywać ją lub maskować w postaci sztuczek magicznych. Po drodze zostaje milionerem dzięki duplikacji drogich kamieni.

W końcowej części książki Anderson świadomie przyjmuje na swoje barki ciężar świata i postanawia uczynić się jego zbawcą (Zbawicielem?). Skupia wokół siebie grupę wybitnych umysłów i szuka wyjścia z beznadziejnej sytuacji, w jakiej znalazła się ludzkość. Wpada na pomysł światowej organizacji – ligi dla której zjednuje zwolenników organizując wielkie wiece łączące muzykę rockową, pokazy cyrkowe i seanse uzdrawiania chorych. Knight nie ukazuje świata poprawionego (czy tylko zmienionego) przez Andersona. Wiemy jedynie, że dla wzmocnienia efektu swojego posłannictwa bohater zaaranżował swoją śmierć (egzekutorem jest najwierniejszy uczeń) dając początek nowej religii.

„The Man in the Tree" jest powieścią nierówną, ma swoje blaski i cienie, ale zasługuje na uwagę jako przykład pewnego zjawiska.

Temat powtórnego przyjścia Chrystusa lub poprzedzającego go Antychrysta nabrał we współczesnej kulturze amerykańskiej jakiejś szczególnej wagi. Nasuwają się skojarzenia z powieścią „Stranger in the Strange Land" Heinleina (Hugo 1962) czy „Dzieckiem Rosemary" Polańskiego. Postać mesjasza, prawdziwego, fałszywego lub podejrzanego przewija się przez całą twórczość Dicka aż do fantastyczno-naukowego dopełnienia Apokalipsy w przedostatniej powieści „The Divine Invasion". Temat to w Ameryce wcale nie abstrakcyjny. Charles Manson (Syn Człowieczy), morderca żony Polańskiego, stylizował się na bohatera powieści Heinleina. Potem był wielebny Jones, który doprowadził swoich zwolenników do zbiorowego samobójstwa. Dzisiejsza prasa amerykańska pełna jest informacji o poczynaniach hinduskiego guru Rajneesha, którego zwolennicy opanowali całe miasteczko w Oregonie. Wśród samozwańczych „zbawicieli świata" nie brak jednego (kiepskiego) pisarza SF: Ron Hubbard wymyślił własną religię – scientologię, i zbił na niej grube miliony, które inwestuje teraz w reklamę swojej najnowszej powieści. Natłok proroków (jak poznać, który z nich jest prawdziwy?), groźba zagłady nuklearnej, koniec tysiąclecia – wszystko to składa się na wyraźnie histeryczną nutę współczesnej kultury amerykańskiej, ujawniającą się najpełniej w literaturze SF.

Powieść Damona Knighta, której nietrudno wytknąć wiele uchybień, zwłaszcza w części drugiej, ma jeszcze inną cechę odpowiadającą współczesnej odmianie science fiction. Jest znakomicie osadzona w konkretnych realiach autentycznego, małego miasteczka i – jak twierdzi w swojej recenzji A. Budrys – jest w całej literaturze amerykańskiej (nie tylko SF) jednym z najlepszych opisów dorastania człowieka obdarzonego zdolnościami przekraczającymi zapotrzebowanie społeczności, z której się wywodzi. Ta konkretność ujawnia się także w obserwacji, typowego dla USA, środowiska „artystów" wesołego miasteczka. Wyrazistość fragmentów przedstawionego świata nie tylko nadaje cechy prawdopodobieństwa elementom fantastycznym, ale stanowi o samoistnej literackiej wartości powieści.

Lech Jęczmyk

Damon Knight: *The Man in the Tree*. N. York 1984.

Jesionowski Jerzy (ur. 1919)

Prozaik, dramaturg

Urodził się 7 listopada 1919 roku w Ponikwi Dużej (woj. warszawskie). Syn Zygmunta – pracownika administracji rolnej i Heleny z Karpińskich. Absolwent Gimnazjum Ogólnokształcącego im. Władysława IV w Warszawie. Podczas okupacji przebywał w stolicy. W roku 1945 wstąpił do II Armii Wojska Polskiego. Po demobilizacji zamieszkał we Wrocławiu; studiował na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Wrocławskiego. W roku 1950 powrócił do Warszawy. Podjął studia na Wydziale Mechanicznym Politechniki i na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Warszawskiego. W roku 1955 uzyskał dyplom inżyniera mechanika i do roku 1959 pracował jako inżynier łączności. W roku 1965 objął stanowisko naczelnego redaktora Programu III Polskiego Radia, a w roku 1966 dyrektora programowego tej instytucji. W trzy lata później został kierownikiem artystycznym zespołu filmowego „Wektor" (1969). Laureat licznych konkursów literackich, uhonorowany nagrodami i odznaczeniami państwowymi.

Jesionowski ma w swym dorobku 13 powieści i 9 sztuk teatralnych. Debiutował jako uczeń szkoły średniej w „Kuźni Młodych", w roku 1934. W latach czterdziestych zamieszczał wiersze i utwory satyryczne w „Trybunie Robotniczej" i „Zdroju". W roku 1959 ukazała się jego pierwsza sztuka „Milion" wystawiona przez Bałtycki Teatr Dramatyczny w Koszalinie (druk w „Teatrze Ludowym" 1959/1-2). Sporym zainteresowaniem cieszyły się powieści: „Niewygodny człowiek" (Wyd. Poznańskie, 1965), „Dwadzieścia batów" (Wyd. Ossolineum, 1966) i dramat „Nieosądzony" (w: „Dialog" 1967/2).

Konwencją fantastyki naukowej posłużył się Jesionowski w trzech powieściach: **„Z drugiej strony nieba"** (Czytelnik, 1969), **„Przygoda w czasie"** (Czytelnik, 1970) **„Opowieść Kosmopilota Patryka"** (Wyd. Literackie, 1984) oraz w pięciu sztukach: **„Wyprawa po zielony metal"** (wyd. książkowe: LSW, 1972), **„Za tych, co w górze"** (druk w zbiorze: „Teatr szklanego ekranu", Iskry, 1970), **„Odnowiciel"** (w: „Dialog" 1974/12), **„Nowe piękne czasy"**(w: „Dialog" 1977/3); **„Egzylia"** (w: „Dialog" 1982/8).

W twórczości Jerzego Jesionowskiego fantastyka naukowa zbliża się do założeń głównego nurtu science fiction lat sześćdziesiątych. Jest literaturą niepokoju moralnego, prozą dydaktyczną, niekiedy nawet publicystyczną, nie gardzi prostymi rozwiązaniami konstrukcyjnymi, przygodową oprawą wydarzeń. Przerysowując negatywne tendencje społeczne ostrzega przed ich realizacją, umożliwia stawianie pytań dotyczących najbliższych losów cywilizacji. Bada zachowanie człowieka w warunkach ekstremalnych, jest kontynuacją „eksperymentu myślowego", któremu patronuje pisarstwo Stanisława Lema. W powieści „Z drugiej strony nieba" (1969) autor podąża śladami poprzedników („Obłok Magellana", „Zagubiona przeszłość") obserwując, na przykładzie długotrwałego lotu kosmicznego, narastające trudności adaptacyjne, lęk przed izolacją środowiskową, zagubieniem w bezmiernej pustce Wszechświata, wewnętrzne konflikty mikrogrupy społecznej prowadzące do ujawnienia kompleksów, frustracji i dewiacji psychicznych. Motyw „laboratoryjnego testu" na odporność ludzkiego organizmu łączy autor z tematem eksploracji obcych światów, potwierdzając głośną tezę Lema („Solaris"), iż ucieczka poza Ziemię nie rozwiąże podstawowych kwestii etycznych, nie wyzwoli nas od nas samych, naszej pamięci, przeszłości, historii. Załoga „Minerwy" nie zdaje trudnego egzaminu – nie wytrzymuje okrutnej presji czasu i wzajemnych samoudręczeń; ukazuje z przerażającą ostrością kruchość konwencji obyczajowych, kulturowego zawłaszczania świata. Gorzką, pesymistyczną wymowę książki pogłębia narracja epistolarna: obszerne listy wymieniane przez członków załogi z Ziemią wskazujące na stopniowy upadek moralności, chaos urbanizacyjnych centrów wielkomiejskich, beznadziejną walkę z przeludnieniem, epidemiami o charakterze cywilizacyjnym.

W kolejnej powieści „Przygoda w czasie" (1970) Jesionowski kontynuuje tematykę społeczną, ale w nieco innej formie – co wynika z młodzieżowego adresu książki. Jej bohaterowie, Emil i Hanka zasiadają za sterami wehikułu tem-

pożółkłe kartki

Jerzy Jesionowski

Z drugiej strony nieba

409 doba lotu

Dziś mieliśmy planową łączność radiową z Ziemią. Rozmawiał, jak zwykle, Kajus.

Zameldował, że mamy nienaprawialne uszkodzenie odparowywacza i funkcjonujemy od trzech dni na dublerze. Z Ziemi kazali powtórzyć meldunek, prosili o dokładne opisanie defektu, była przeszło dwuminutowa przerwa w rozmowie (porozumiewali się, widać). Potem odpowiedzieli, że przyjmują informację do wiadomości; nic więcej. Deprymujące. Przez te dwie minuty oddychałam nadzieją, że może coś nam jednak poradzą. Wierzę głęboko w kwalifikacje Kajusa, pisałam już o tym, ale wolałabym, żeby tym razem okazał się omylny w swej diagnozie. Niestety.

Kiedy Kaj kończył już rozmowę, do nadajnika przysunął się Piotr. Dał mimicznie znać, że także chce rozmawiać. Kaj przeprosił na chwilę Ziemię, zasłonił dłonią mikrofon.

– Mam przekazać coś od ciebie? – zapytał Piotra.

– Nie. Chciałbym mówić sam.

– Z kim?

– Z głównym nawigatorem. Wszystko jedno zresztą z kim.

Kajus popatrzył na Piotra podejrzliwie, nie odpowiedział. Potem odsłonił mikrofon, oznajmił krótko „dziękuję, to wszystko, do następnego razu" i wyłączył nadajnik. Milczeli przez chwilę obaj, czułam przyczajone napięcie, bałam się wybuchu Piotra.

– Dlaczego nie pozwoliłeś mi mówić? – zapytał Piotr, na szczęście spokojnie, bez agresywności w tonie.

– A co miałeś do powiedzenia? – odebrał pytanie Kajus, również spokojnie.

– Kilka słów prawdy.

– O czym?

– O nas. I w ogóle o kosmonautyce.

– Nie sądzę, żeby byli tego ciekawi. Nie po to łączą się z nami na taką odległość.

– Jasne, od nas oczekuje się tylko żołnierskich meldunków. Międzyplanetarni zwiadowcy, forpoczta kosmologii, sny i marzenia niedorostków. Świetlane kukły z czytanek szkolnych, do dziś jeszcze pamiętam parę wierszyków: „Mamo, mamo, spójrz za siebie, nowa gwiazdka mknie po niebie. To nie gwiazdka drogie dzieci, to nasz kosmonauta leci". Mocne, co? Może jeszcze jeden?

– Dziękuję, wystarczy.

– Myślę. Teraz napisałoby się inny wierszyk, co?

– Nie zastanawiałem się. Nie moja profesja.

– Aluzja? Proszę bardzo, może coś napiszę. Ale zobowiąż się, że pozwolisz mi przedyktować to na Ziemię. No?

Kajus odwrócił się od nadajnika.

– Słuchaj, Piotrze, uspokój się. W ten sposób denerwujemy się tylko niepotrzebnie.

– Piotrze, Kajus ma rację – wtrąciłam się do rozmowy. – To naprawdę nie ma sensu, niczego nie zmieni. Idź już spać, pora na ciebie, sen dobrze ci zrobi.

Popatrzył na nas oboje, wahał się chwilę, ale usłuchał. Sypia ostatnio bardzo nieregularnie. (...)

411 doba lotu

Dlaczego właśnie Piotr zdecydował się na tę wyprawę, której psychicznie nie wytrzymuje? Czego się spodziewał? Przed paroma dniami lepiłam własne domysły na ten temat. Dziś zapytałam o to samego Piotra.

– Byłem głupi – odpowiedział – Po prostu, byłem głupi.

– To mi niewiele wyjaśnia. Coś musiało cię przecież do tego skłonić?

– Właśnie matka głupich, nadzieja. Bo cóż nam pozostaje na Ziemi? Przeżuwać w miękkich pantoflach nasz syty dobrobyt, trawić dzionki między łóżkiem, biurkiem i sterowizorem? Jakoś tam przeżyć swoją setkę lat, nie umrzeć za wcześnie? Moi przodkowie byli szkutnikami. Żyli krótko i niehigienicznie, budowali za to najlepsze w Europie łodzie wyścigowe. Każdy model był przez nich wypieszczony jak dziecko, wkładali do niego całe swoje mózgi i serca. Jeśli zwyciężał w wyścigach byli dumni i szczęśliwi, pili z radości. Jeśli przegrywał, pili z rozpaczy, a potem zamykali się na długo w warsztacie i budowali nowy model, doskonalszy. Własną głową, własnymi rękami.

– Zamierzchłe dzieje – wtrąciłam – drobnotowarowa gospodarka, anachronizm, przerabialiśmy to na ekonomii.

– Niestety. Kiedy przemysł zaczął wyrabiać łodzie seryjnie i doprowadził rzemiosło do ruiny, mój pradziad, ostatni szkutnik w rodzie, popełnił po paru latach narkomanii samobójstwo. Nie widział dla siebie miejsca w fabryce, nie potrafił być ogniwem taśmy produkcyjnej, przykręcaczem któregoś tam detalu, bezmyślną akordową łapą. Wybujały indywidualizm, powiedziałoby się dziś, stepowa dusza, przerabialiście to pewnie na psychologii. Ja bym się chyba na jego miejscu tak daleko nie posuwał. Ale też nie widziałem siebie w roli ograniczonego automatu.

– I dlatego zostałeś artystą?

– Zostałem... Raczej chciałem zostać.

poralnego – cudownego wynalazku profesora Anzelma, aby opisać historię Europy. Doświadczenia młodocianych zwiadowców nie napawają optymizmem. Wyprawy w czasie przynoszą rozczarowania, omal nie kończą się tragicznie. W XV wieku proletyczni outsiderzy, uznani za szarlatanów, z trudem unikają kary z wyroku inkwizycji (*„Gdyby zaczęli rozpowszechniać prawdy staliby się prorokami, a do tego nie może dopuścić Kościół"*). W XXV stuleciu sfrustrowani bohaterowie zostają odizolowani od społeczeństwa, aby nie rozpoznali zasadniczego kształtu przyszłości (lecz nawet to, co zdołają zobaczyć nie wygląda najlepiej: przeludnienie, brak surowców naturalnych, klęska ekologiczna, urbanistyczna, surowe prawa kodeksu karnego). *„Przyszłość musi być dla ludzi zamkniętą kartą. To jest warunek postępu"* – tłumaczą parze przyjaciół właściciele „nowego, wspaniałego świata". Optymizm to jednak pozorny. Nawet jeśli zaakceptować nieco banalne przesłanie książki odwołujące się do prostych prawd.

„Życzymy szczęścia. W innej epoce go nie znajdziecie. W przyszłości będziecie spóźnieni i bezradni – w przeszłości niebezpieczni, a nigdy potrzebni, jak we własnych czasach".

Bibliografia wybrana:

– B. Sowińska: *Spojrzenie z drugiej strony nieba* (w:) „Życie Warszawy", 1969/291
– J. Wilhelmi (w:) „Kultura" 1969/45.
– B. Kacperska: *Pisarz inżynier o wieku XXI* (w:) „Polityka" 1970/1.
– [J. Maj] (jamb.): *Za trzydzieści parę lat* (w:) „Gromada – Rolnik Polski" 1970/4

Nie ma co taić... nie udało się. Talentu widać nie starczyło. A może uporu, to zresztą już nieważne. Odpadłem w przedbiegach, mówiąc językiem sportowym, nie zakwalifikowałem się. Nie muszę ci chyba tłumaczyć, co czuje człowiek w takiej sytuacji. Ani wieńca na głowie, ani gruntu pod nogami. No i śmieszność: grafoman. Rozeszliśmy się w dodatku z żoną. Zaczęły mnie pociągać narkotyki, na które nie miałem pieniędzy. Wiedziałem już zresztą z rodzinnych kronik, czym się to kończy. Zrozumiałem, że muszę coś ze sobą zrobić, wskoczyć do jakiegoś pociągu, który mnie gdzieś zawiezie, możliwie szybko i daleko.

– I pomyślałeś o kosmonautyce?

– Tak, robiła wrażenie jakiejś szansy, ostatniej wielkiej przygody, bo i tu prawdopodobnie przestaną być potrzebni żywi ludzie. Mogłem oczywiście, tak jak wielu innych, zadowolić się czymś skromnym. Popłynąć tratwą przez ocean, wspinać się na któryś z górskich szczytów. Albo zapolować na rekiny, na nie jeszcze wolno, choć też już przebąkują o ochronie, bo niewiele ich ponoć zostało. Ale to wydawało mi się zupełnie bezsensowne, a ja koniecznie chciałem mieć pewność, że j e s t e m p o t r z e b n y, że robię coś ważnego, nie tylko mamię siebie.

– Czy masz ją teraz?

– Co?

– Tę świadomość użyteczności.

– Nie... Już nie.

– Co się zmieniło?

Piotr zastanowił się, nie przygotowany widać na takie pytanie.

– Chyba ja – odpowiedział – wszystko poza mną jest przecież takie jak przedtem, jeden rok świata nie odmienia. Tylko ja to już inaczej widzę (...).

Jerzy Jesionowski, „Z drugiej strony nieba", Czytelnik 1969, wybór ze stron 76–94.

Przygotował
Andrzej Niewiadowski

1961

SF dla dorosłych (ASF):

378. [BĚLÁĚV Sěrgěj]: *Przygody Samuela Pingle'a. Wiarogodne zapiski w 12 zeszytach.* Powieść fantastyczno-naukowa. Tłum. [z ros.] Tadeusz Kossakiewicz. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 294, nlb. 2. 20 000 egz. – Na k. tyt. aut. Siergiej Bielajew. – Seria z jamnikiem.
379. *BIAŁY stożek Alaidu.* (Wybór opowiadań fantastyczno-naukowych). Aut.: Anatolij Dňeprow [i in.]. Tłum. [z ros. ze zbioru opow. *„Bělyj konus Alaida"*] Janina Dziarnowska. Warszawa, Iskry. 16° ss. 222, nlb. 2. 10 000 egz.
DOBRACZYŃSKI J.: *Wyczerpać...* – zob. Utopia.
380. [ĚFRĚMOV Ivan].: *mgławica Andromedy.* Tłum. [z ros.] Lew Kaltenbergh. Warszawa, Iskry. 8° ss. 222, nlb. 6. 10 000 egz. – Na k. tyt. aut.: Iwan Jefremow.
381. FRADKIN B [oris]: *Jeńcy płonącej otchłani.* Tłum. [z ros.] Bohdan Drozdowski. Warszawa. Iskry. 16° ss. 194, nlb. 2. 8 000 egz.
382. GAMOW George: *Mister Tompkins w krainie czarów* [oraz *Mister Tompkins poznaje atom*]. Tłum. z ang. Barbara Wójtowicz – Natanson, Ludwik Natanson i Maria Nowakowska – Hurwic. Warszawa. Państw. Wyd. Nauk. 8° ss. 248, nlb. 7. 5 000 egz. – Dodruk do poz. 333/60. – Biblioteka Problemów. – Książka popularno-naukowa z elementami fantast.
383. GRZYBOWSKA Krystyna: *Julian, czyli o końcu świata. Żart z pewnym sensem.* Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 242, nlb. 2. 7 000 egz.
384. LEM Stanisław: *Księga robotów.* Warszawa. Iskry. 16° ss. 304, nlb. 4. 10 000 egz. – Zawiera: *DZIENNIKI GWIAZDOWE IJONA TICHEGO: Podróże 11, 12, 14, 22–25; ZE WSPOMNIEŃ IJONA TICHEGO: I, II, III, IV, Formuła Lymphatera; TERMINUS.*
385. LEM Stanisław: *Pamiętnik znaleziony w wannie.* Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 294, nlb. 2, err. 10 000 egz. – ASF/Utopia.
386. LEM Stanisław: *Powrót z gwiazd.* Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 243, nlb. 5. 20 000 egz. – Seria z Jamnikiem.
387. LEM Stanisław. *Solaris.* Warszawa. Wyd. MON. 16° s. 196, nlb. 4. 10 000 egz.
388. [STRUGACKIJ Arkadij, STRUGACKIJ Boris]: *W krainie purpurowych obłoków.* Tłum. [z ros.] Leonid Teliga. Wiersze tłum. Jerzy Litwiniuk. Warszawa. Iskry. 16° ss. 272, nlb. 4. 8 000 egz. – Na k. tyt. aut.: A. i B. Strugaccy.

SF dla dzieci i młodzieży (CJSF):

389. BIELICKI Marian [Lech]: *Moje skarby w kosmosie, czyli Powieść pozornie fantastyczna.* Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° ss. 216, nlb. 4. 10 000 egz.
390. BROSZKIEWICZ Jerzy: *Wielka, większa i największa.* Wyd. II. Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° ss. 265, nlb. 3. 3 000 egz. – CJSF/F.
391. BUCZKÓWNA Mieczysława: *Topsi astronauta.* [wierszem]. Warszawa. Czytelnik. 16° knlb. 48. 30 000 egz.
★ **392.** KOREWICKA – ADAMSKA Krystyna: *Podróż na księżyc.* Gdynia. Wyd. Morskie. 4° knlb. 24. 30 000 egz. – CJSF/F.
★ **393.** NIEMCZYNOWSKI Zbigniew: *Rakieta „Alfa 1".* Sztuka fantastyczna dla dzieci w 4 odsłonach. Oprac. inscenizacyjne Mieczysław Kochanowicz. Warszawa 1960 [antydat.: 1961]. Zakł. Wyd. CPARA. 4° ss. 56. 1 000 egz. – Biblioteka Repertuarowa CPARA.
394. *PRZYGODY z tej i nie z tej Ziemi, czyli Świat za wiele, wiele lat.* Aut.: Alek Zapolski [i in.]. Red., wstęp i oprac. Stanisław Aleksandrzak. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 142, nlb. 1. 20 000 egz.
SWIFT J.: *Podróże...* – zob. Utopia.

Utopia (U):

395. CHESTERTON Gilbert Keith: *Klub niezwykłych zawodów.* Tłum. [z ang.] Zofia Sroczyńska. Warszawa. Inst. Wyd. Pax. 16° ss. 177, nlb. 3. 5 000 egz.
396. DOBRACZYŃSKI Jan: *Wyczerpać morze.* Warszawa. Inst. Wyd. Pax. 16° ss. 287, nlb. 1. 10 000 egz.
397. FONTENELLE [le BOUVIER Bernard de]: *Rozmowy zmarłych* Wyd. I powoj. Tłum. [z franc.] Juliusz German, uwspółcz. Wanda Jedlicka. Wstęp Krzysztof Pomian. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 343, nlb. 1. 3 200 egz. – Biblioteka Sympozjum.
★ **398.** JESIONOWSKI Jerzy: *Milion.* Sztuka w dwóch aktach, w trzech odsłonach. Warszawa. Lud. Spółdz. Wyd. 16° ss. 109, nlb. 3. 5 000 egz. – Biblioteka Teatrów Ludowych.
399. KUREK Jalu: *Pepe kanarek.* Warszawa. Iskry. 16° ss. 331, nlb. 1. 10 000 egz. – Książka realistyczna z elementami fantast.
LEM S.: *Pamiętnik...* – zob. ASF.
400. MROŻEK Sławomir: *Ucieczka na południe.* Warszawa. Iskry. 16° ss. 196, nlb. 3. 10 000 egz. – Biblioteka Stańczyka.
401. ROIDIS [lub ROIDES] Emmanuel: *Papież Joanna.* Tłum. z grec. K. Ubarek i L. Mavroidis. Warszawa. Lud. Spółdz. Wyd. 16° ss. 246, nlb. 2. 20 000 egz.
402. SWIFT Jonathan: *Podróże Guliwera.* Wg... oprac. Jacek Bocheński i Marian Brandys. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 250, nlb. 2. 30 000 egz. – Utopia /CJSF.
403. TRUCHANOWSKI Kazimierz: *Młyny boże.* T. I.: *Niepokój.* Warszawa. Czytelnik. 8° ss. 572., nlb. 4. 4 000 egz. – Książka realistyczna z elementami fantast. – Fragmenty ukazały się w zbiorze opow. *„Piękny warkocz Bereniki".*
404. VERNE [Jules]: *Tajemnicza wyspa.* T. I–II. Tłum. [z franc.] Janina Karczmarewicz. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° T. I, ss. 352, nlb. 4; T. II ss. 338, nlb. 2. 20 000 egz. – Na k. tyt. imię aut.: Juliusz.
405. WINAWER Bruno: *Doktor Przybram.* Wyd. I powoj. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 115, nlb. 5. 7 000 egz.

Fantazja dla dorosłych (AF):

406. (?) BĄDKOWSKI Lech: *Pieśń o miłosnym wieńcu.* Gdynia. Wyd. Morskie. 16° ss. 231, nlb. 1. 10 000 egz. – Elementy fantastyki.
407. CHAMISSO Adalbert: *Przedziwna historia Piotra Schlemihla.* Tłum. [z niem.] Witold Wirpsza. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 113, nlb. 3. 10 000 egz. – Seria z Jednorożcem.
★ **408.** KAFKA Franz: *Nowele i miniatury.* Tłum. [z niem.] Roman Karst i Alfred Kowalkowski. Wstęp R[oman] Karst. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 389, nlb. 3. 10 000 egz. – Część opow. fantast. – AF/Weird.

cdn.

Przygotował **Jacek Izworski**



Doc. dr hab. Ryszard Handke (ur. 1932) – pracownik naukowy Wydziału Filologii Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego, teoretyk literatury SF – jest autorem pierwszej krajowej monografii gatunku „Polska proza fantastyczno-naukowa. Problemy poetyki" (Ossolineum, 1969). W roku 1980 uzyskał habilitację na podstawie rozprawy „Utwór fabularny w perspektywie odbiorcy". Od 1981 r. kieruje Zakładem Metodyki Literatury i Teorii Literatury na Wydziale Filologii Polskiej UW., jest współredaktorem „Pamiętnika Literackiego" (Wyd. IBL). Rozprawy i recenzje dotyczące gatunku SF publikuje w zbiorach: „Nowela, opowiadanie, gawęda" (1974), „Styl i kompozycja" (1965), „Baśń i dziecko" (1978) oraz w „Tekstach" (1974/5), „Ruchu Literackim" (1979/2) i w „Języku Polskim" (1964/5).
Szkic „Wokół tożsamości science fiction" stanowi skróconą wersję referatu wygłoszonego na seminarium krytycznym w Staszowie 5 października 1984 r. **(a.n.)**

Wokół tożsamości science fiction

Ryszard Handke

Sądzę, że wśród jej czytelników, „jaka jest fantastyka naukowa" każdy wie, na tym więc, za przykładem autora „Nowych Aten", należałoby poprzestać i zająć się innym problemem, gdyż SF nastręcza ich niemało. Cóż, kiedy swoje wie jej zwolennik, a przeciwnik swoje. Nie można więc począć tu sobie jak ks. Benedykt Chmielowski z koniem i przynajmniej wśród badaczy podobna postawa nie znajduje naśladowców. Przeciwnie, ledwie musną jakieś zagadnienie dotyczące naukowej fantastyki, z reguły natychmiast czują się zobligowani, by do jej rozlicznych określeń dorzucić coś oryginalnego, a w każdym razie wystarczająco wymyślnego. Leży to zapewne w ich naturze, ale chyba także w naturze przedmiotu, co do którego istoty – jak widać – brak ostatecznie uzgodnionych opinii i nawet nie bardzo wiadomo, w jakich go rozpatrywać kategoriach: genologicznych, czy może raczej aksjologicznych.

Tylko potocznie SF wydaje się nie budzić wątpliwości. Jej rozpoznawanie rzeczywiście jest mało kłopotliwe i może nawet dziwić, że narosło wokół niej aż tyle nieporozumień, że problem ten wyzwala emocje, jakie rzadko towarzyszą usiłowaniom klasyfikacyjnym dokonywanym pod auspicjami literackiej genologii, czy innym próbom typologizacji zjawisk artystycznych.

Otóż właśnie! Czy mamy do czynienia ze zjawiskiem artystycznym, a więc literackim, filmowym, uchwytnym w sferze plastyki, a może i muzyki? Skoro tak, to czy należy mówić o SF jednej i tej samej, a znajdującej media komunikacyjne w owych konkretnych dziedzinach, czy też osobno o literaturze fantastyczno-naukowej, filmie itd.? Zależy to od uznania za ważniejszą albo rozpoznawanej identyczności czegoś, co nazwiemy naukową fantastyką, albo odmienności materii, w której owo „coś" się przejawia i związanych z tym sposobów stawania się, a potem bycia SF.

Z punktu widzenia genologii (jest to już przypadkiem aberracji) próbuje się nawet rozważać SF nie jako typ dzieł, lecz rodzaj dyspozycji i potrzeb umysłowych wspólnych zarówno twórcom, jak i odbiorcom, a ściślej jednej dominującej dążności do wybiegania w przyszłość, przewidywania i wyobrażania tego, co z perspektywy empirii ledwie da się pomyśleć.

Może to być również zjawisko przede wszystkim społeczne. Nader przekonująco przemawia za tym ruch dostrzegalny już dla każdego na powierzchni życia zbiorowego, ale wówczas skuteczniej i właściwiej byłoby je badać i określać w kategoriach psychosocjologicznych niż za pomocą metod literaturoznawczych, filmoznawczych itp.

W każdym razie zjawisko szeroko pojętej fantastyki naukowej wyraźnie **n i e m i e ś c i s i ę w p o j ę c i u g a t u n k u l i t e r a c k i e g o** i to od paru dziesiątków lat, odkąd z jednej strony literacka narracja przestała być jego jedynym środkiem przekazu, z drugiej zaś wytworzył się i rozwinął wokół niego ruch zwolenników w życiu literackim nie mający precedensu. Żadna forma piśmiennictwa w ogóle czy fikcji literacko-artystycznej w szczególności nie dała jak dotychczas początku czemuś podobnemu. Nie śni się zrzeszać (choćby najbardziej nieformalnie) czytelnikom, autorom, krytykom, czy wydawcom powieści psychologicznych, kryminalnych lub reportaży. W wypadku innych form literackich kryteria gatunkowo-tematyczne nie decydują o zespoleniu wokół przedmiotu zainteresowania, a gdy można się co do tego wahać czynnik zespalający nie bywa wyodrębniany tak ostro i z towarzyszeniem takich emocji, jak się to dzieje w przypadku utworów fantastyczno-naukowych.

Stwierdzenie przynależności do sfery SF jest nie tylko aktem poznawczym, który umożliwia decyzję o zaszeregowaniu przedmiotu poznania na podstawie takich jego właściwości, jakie uznaje się za istotne i wspólne całej klasie. W odniesieniu do dzieł naukowej fantastyki akt poznawczy jest bezpośrednio sprzężony z aktem wartościowania albo przynajmniej dokonuje się w atmosferze aksjologicznego uczulenia, jeśli nie przeczulenia. Postanowienie o zaliczeniu utworu literackiego czy innego faktu kulturowego do SF jest niemal zawsze obciążone aksjologicznie: nawet jeśli nie leży to w intencjach podejmującego postanowienie, dla postronnych, gdy są z góry przeświadczeni o jej prymitywizmie artystycznym będzie ono przesłanką deprecjacji. Natomiast dla zwolenników SF ewentualnie ujemna ocena będzie współistnieć z ogólnie pozytywnym przeświadczeniem i pod jego wpływem zapewne ulegnie złagodzeniu.

Dla rozpatrywanej tu kwestii ważniejsza jest wszakże skłonność towarzysząca pozytywnemu nastawieniu do SF. Tworzący dzieła w dążeniu do poszukiwania nowych środków i form wyrazu, gatunkowego synkretyzmu i konstrukcji hybrydycznych nieustannie i nieuchronnie przekraczają najprzemyślniejsze bariery genologiczne. Z kolei miłośnicy odbierający efekty ich poczynań starają się rozszerzać ulubioną dziedzinę choćby drogą bezpodstawnych zawłaszczeń, nierzadko za cenę rozmywania i osłabiania istotnych wyróżników.

W tureckich nawałach czy szwedzkich potopach etniczni Turcy i Szwedzi mieli dość mizerny udział, ale nie liczyło się to ani w rachunku militarnym, ani historycznym. Tolerancja w zaliczaniu do tego, co „nasze" występowała zawsze i wszędzie, a dążność do rozszerzania zakresu stosowalności miana SF jest najlepszym dowodem. W tej sytuacji trzeba rozpocząć od wyboru punktu widzenia, z którego mamy ustalać, czym jest, a czym nie jest SF – od umieszczenia go wewnątrz obozu zwolenników jej „sprawy", czy choćby wbrew własnym skłonnościom – na zewnątrz.

Jeżeli przyjmiemy pespektywę bojowników walki o nowy podział świata – oczywiście świata kultury – szukających rewanżu za rzeczywiste lub tylko urojone, niesprawiedliwe wydziedziczenie naukowej fantastyki ze sfery tzw. sztuki wysokiej, nie widać racji rozróżniania między przestrzenią kosmiczną i wewnętrzną, utopią lub horrorem uwikłanymi w naukowo-techniczną futurologię od utworów pozbawionych podobnych zobowiązań. Skoro w dziedzinie ewidentnej fantazji SF wypełnia niekiedy miejsce zajmowane dotychczas przez baśń, po co przejmować się takim drobiazgiem, że może to być identyfikacja jedynie funkcjonalna, bo łączy je tylko niewerystyczność fikcji, a dzieli całkowicie odmienna zasada motywacyjna itd.

Jeżeli natomiast za nadrzędną uznamy bezstronność i sprawność poznawczą – kłopoty zaczną się na dobre. Skuteczność, a nawet sensowność prób określenia SF

będzie teraz zależeć od decyzji, co mianowicie zamierzamy w siatkę pojęć schwytać. Zanim poczniemy jeszcze chytrze wiązać jej węzły logiczne musimy wiedzieć – czemu ma sprostać: partykularnemu przejawowi w określonej dziedzinie, czy zjawisku w całej jego złożoności. Nie bez znaczenia jest również czas, a więc aktualność definicji. Czy ma pretendować do ogarnięcia zjawiska od narodzin, przez wszystkie stadia ewolucji i formy przeobrażeń aż po zarysowanie tendencji rozwojowych i hipotezy futurologiczne, czy kontentować się określeniem wybranej jego fazy lub postaci, lecz ów swoisty partykularyzm wynagradzając precyzją i szczegółowością.

Definiowanie SF powyżej poziomu organizacji środków wyrazu może najbardziej odpowiadać powszechnym intuicjom, ponieważ samo zjawisko wydaje się raczej przynależeć do sfery tego, co przekazywane, niż do sfery medium w przekazywaniu uczestniczącego. W odczuciu zainteresowanych, a zwłaszcza wolnych od profesjonalnych obciążeń myślowych, fantastyczno-naukowe bywają przede wszystkim tematy, wątki czy poszczególne motywy i to przedstawiane zarówno narracyjnie, jak i bezpośrednio w postaci audiowizualnej, gdy coś ma się dziać w fikcyjnym czasie i miejscu, lub w postaci wizerunku stanowiącego konkretyzację pewnego typu fantastycznych wyobrażeń, gdy mamy do czynienia ze sztuką plastyczną. Pewnego typu, bo nie wszystko co fantastyczne jest zarazem fantastyczno-naukowe. Niewyciąganie wniosków z precyzującego członu określenia gatunkowego zdarza się jednak częściej niż należałoby oczekiwać. Zdarza się twórcom nie dbającym o to, by roztaczane przez nich fantastyczne wizje i pomysły były choć w pewnym stopniu ekstrapolacjami opartymi na aktualnym stanie nauki i techniki. Zdarza się także odbiorcom identyfikującym z SF również inne postacie fantastyki i nie rozróżniającym starannie zarówno ich odmian, jak i tego, co dla sposobu istnienia i oddziaływania utworu zasadnicze od tego, co stanowi luźny element nie decydujący o charakterze całości.

Jeśli fantastyczno-naukowe miałyby być, mówiąc najogólniej, treści przedstawione, oznaczałoby to dość istotne ograniczenie dziedziny SF. Wykluczone z niej byłyby wszystkie dzieła rezygnujące z prezentowania fikcyjnej rzeczywistości w sposób właściwy sobie i zależny od możliwości tkwiących w ich tworzywie, a więc o niczym nie opowiadające w przypadku twórców językowych; niefiguratywne, gdy idzie o plastykę; w muzyce – dalekie od programowości. Nasuwa się pytanie, co począć z utworami wytwarzającymi zaledwie nastrój przywodzący na myśl świat przedstawiany przez SF. Jeżeli nie byłoby to tylko rezultatem indywidualnych dyspozycji odbiorcy nastawionego na dostrzeganie motywów SF przy każdej lepszej lub gorszej okazji, lecz stanowiło *intencję* dającą się wyprowadzić z organizacji elementów znaczeniotwórczych, wówczas ich wyeliminowanie musiałoby wywołać obiekcje choćby intuicyjne.

Nie odpowiada również prawdzie stwierdzenie jakoby dziedzina sposobów przedstawienia była w fantastyce naukowej zupełnie neutralna. Przynajmniej nie jest tak na obszarze sztuki słowa. Trzeba wszakże podkreślić, że występują tu tendencje do preferowania określonych chwytów i rozwiązań, charakterystyczne sposoby i e-wentualnie większa częstotliwość posługiwania się tymi lub owymi środkami narracyjnej prezentacji – nie są to jednak środki dla SF specjalnie stworzone i tylko w niej spotykane.

Przed wielu laty w książce „Polska proza fantastyczno-naukowa" zwracałem uwagę na specyficzny charakter relacji nadawczo-odbiorczych w SF i rolę neologizmów w kreowaniu jej świata przedstawionego. Dostrzeżone odrębności w zakresie tych normalnych zjawisk i operacji pozwoliły opisać mi poetykę powieści fantastyczno-naukowej jako odmiany gatunkowej prozy narracyjnej i przyznam, że myślałem wtedy o SF wyłącznie na wybranym poziomie operacyjnym. Miałem przed sobą nie tyle zjawisko przejawiające się w konkretnych gatunkach rozmaitych sztuk posługujących się rozmaitymi tworzywami, lecz właśnie gatunek – ściślej: gatunek powieści fantastyczno-naukowej. Różnica warta uwagi. Tam jako jedyna możliwa opozycja nasuwa się na myśl „nie-SF", a więc wszystko inne, wszystko, co nią nie jest. Tu wyodrębniany gatunek sytuuje się w całym szeregu klasyfikacyjnym różnych od niego i w tym sensie tworzących opozycje, zarazem pod jakimś względem z nim jednorodnych, co uzasadnia uformowanie z nich szeregu, który na następnym piętrze klasyfikacji zostanie przeciwstawiony innym szeregom. *Gatunków* SF jest oczywiście wiele, aktualnie akurat tyle, w ilu dziedzinach jedno i to samo *zjawisko* SF znajduje odmienne formy wyrazu.

Jednym ze źródeł komplikacji, na jakie natrafiamy próbując ustalić tożsamość SF jest czynnik czasu. Wiążą się z nim przeobrażenia przedmiotu naszej obserwacji, a więc konieczność uwzględniania zmienności tego, czego tożsamość staramy się uchwycić. Dylemat ów trzeba rozwiązywać tak, by w obrębie gatunkowej tożsamości historyczna zmienność nie została zanegowana, a przy tym definicja nie stała się wszechogarniająca w stopniu odbierającym jej sens. W związku z tym wyznaczniki gatunku zwykle tak są wybierane, by pośród zmienności stanowiły rozpoznawalny czynnik stały. Pozwala to mówić o historii gatunku, o jego narodzinach, ewolucji i na koniec zaniku. Jak długo w świadomości kulturowej twórców i odbiorców dominuje poczucie genetycznej ciągłości i strukturalnego podobieństwa, powstają coraz to nowe definicje mające ogarnąć zjawiska nie dające się pomieścić w dotychczasowych sformułowaniach. W przeciwnym razie historia gatunku dobiega kresu, co zresztą fantastyki naukowej na razie wydaje się nie dotyczyć. Wszelkie ustalenia gatunkowej tożsamości są więc *relatywnym* stwierdzeniem niezmienności, ale tylko tego, co przyjęto za wyznacznik gatunkowej przynależności. Nie oznacza to bynajmniej negowania zmienności – przeciwnie, pozwala ją śledzić i opisywać.

Obserwując z kolei przeobrażenia samych definicji dostrzegamy, jak składniki konstytutywne stają się ledwie akcydentalnymi albo zachowują znaczenie wyróżnika, ale jakiejś jednej tylko pod-odmiany ograniczonej jeszcze historycznie. W literaturze SF przykładem tego jest powieść o cudownym wynalazku, a przebąkuje się o końcu kariery przygód kosmicznych albo ich przesuwaniu się ku peryferiom epoki fantastyczno-naukowej, gdyż poczyna się je uważać za odmianę pośledniejszą, wyzbytą wyższych ambicji artystycznych, bądź niezdolną im sprostać.



Weryfikowalność definicji nie przekreśla sensowności ich upartego, wciąż od nowa budowania. Artykułowana jest w ten sposób i stymulowana społeczna świadomość gatunku, która w sferze literackiej komunikacji oznacza lepszą orientację w konwencjach umożliwiających porozumiewanie się pisarzy z czytelnikami, czy ogólniej – twórców z odbiorcami.

Charakter tych rozważań dotyczących przede wszystkim sytuacji, w jakich się definiowanie SF odbywa, właściwie zwalnia od ich zamknięcia jakąś pozytywną propozycją, np. definicji uniwersalnej, ostatecznej i wszystkie aspekty wyczerpującej. Zwalnia, bo nie o to chodziło i nie jest to w ogóle możliwe. Interesującym aneksem byłby może chronologiczny przegląd ustaleń, czym jest lub za co uchodzi SF. Sądzę jednak, że czytelnicy prac dotyczących fantastyki naukowej mają o tym i tak niezłe pojęcie, innych nadmiar materiału mógłby zniechęcić, zwłaszcza że definicje starając się być rewelatorskie, bywają wobec siebie redundantne.

Co z wyznaczników naukowej fantastyki jest najczęściej przywoływane, wciąż jeszcze się nie zdezaktualizowało, a ponadto powtarzając się w określeniach poszczególnych gatunków fantastyczno-naukowych albo ich odmian może pretendować do kształtowania w naszej świadomości adekwatnego określenia zjawiska SF jako pewnej całości? Przede wszystkim musi należeć to do właściwości empirycznie dających się stwierdzić w dziełach, być im wspólne, a także istotne dla nich i charakterystyczne. Powinno przy tym stanowić warunek tyleż konieczny, co zarazem wystarczający, aby konkretny twór uznać za przynależny do SF.

Podkreślmy, że chodzi o zaliczanie się do właściwości dzieł nie zaś repertuaru przedmiotów ich świata przedstawionego. Rakiety, planety i cała reszta to tylko akcydentalne rezultaty niezbywalnego dla SF założenia, że prezentowane jako rzeczywiście istniejące będzie to, co zaledwie implikuje aktualny w momencie tworzenia fikcji stan nauki i opartej na niej techniki. Logiczność i... lojalność owych implikacji są cenne, pożądane, a przede wszystkim wartościowe poznawczo, ale premiowana wzięciem u odbiorców jest ich pomysłowość. Do niedawna była to pomysłowość w koncypowaniu fantastycznych urządzeń technicznych. Mit Verne'a wyprzedzającego realne wynalazki na koniec przestał jednak działać, bo stało się to zbyt niemożliwe, a wszelkiej maści fantastyka igra jednak prawdopodobieństwem; choć kunszt jej polega na zbliżaniu się do ekstremów. Dziś

dokończenie ze strony 55

za atrakcyjne uważane są przede wszystkim interesujące sytuacje socjologiczne, psychologiczne, moralne, skłaniające do niebanalnych spostrzeżeń i ważkich wniosków, a nie dające się zaaranżować w obrębie konwencji fikcji werystycznej. Cuda techniki mogą spokojnie zejść na plan dalszy.

Oczywiście, jeśli nie wnikać w poetyki konkretnych gatunków fantastyczno-naukowych, podstawowy wyznacznik SF aktualnie jest właściwie jeden, a stanowi go udział w kreowaniu fantastycznej wizji czynnika naukowej czy pseudonaukowej ekstrapolacji, a przynajmniej oparcia na związku z nią mechanizmu motywacyjnego funcjonującego w dziele. Na poziomie gatunków SF konstytutywnych dla nich wynaczników znalazłoby się więcej, ale byłyby to już od tamtego mniej lub bardziej bezpośrednio pochodne.

Oparcie się nie na liście frekwencyjnej motywów, lecz na typie zasady motywacyjnej ma jeszcze tę zaletę, że pozwala radzić sobie z wszelkimi hybrydami, na jakie tylko stać wyobraźnię autorów. Im wolno ciała astralne pakować do kosmicznych kombinezonów, choć nieczystość gry prowadzonej z odbiorcą może wywołać niesmak. Żrobić mogą wszystko, co zrobić się da, a pojęcia klasyfikacyjne służą tylko lepszemu rozeznaniu się w ich tworach. Nie wszystko jednak musi być naukową fantastyką ani za takową zostać uznane. Przynajmniej dopóki nie wybiła godzina świętej wojny o jednolicie fantastyczno-scjentyficzny kształt naszej kultury i sztuki.

Żarty żartami, zastanówmy się jednak na koniec, czy tożsamość SF nie jest przypadkiem naprawdę zagrożona. Oswaja nas ona z troską o bardzo odległą przyszłość, ba, potrafi uczynić to zupełnie niezłą zabawą – spójrzmy pod tym kątem na nią samą.

Jak długo można rozszerzać zasady gry wprowadzając elementy heterogeniczne z punktu widzenia u początków zarysowanej formuły? W jakimś momencie ewolucji obiekt SF nie jest już tym samym obiektem. Doświadczyliśmy tego sami jako gatunek i to powinno pouczać nas, że obstawać za ortodoksją przeciwko ewolucji nie warto.

Pracowite, starannie przemyślane, nie tylko artystycznie efektowne, lecz i poznawczo efektywne przełamywanie zastanych konwencji po to, by natychmiast wznosić nowe, może w pewnym momencie doprowadzić do czegoś, czego z zacnym Verne'em pod jedną czapką nie da się już schować. Jeżeli będzie to zarazem przezwyciężeniem ograniczeń, które, co tu dużo mówić, niekiedy przeszkadzają np. literaturze fantastyczno-naukowej być po prostu dobrą, czy jak to się czasem określa – wysokoartystyczną – to świetnie. Conrada czy Dostojewskiego nikt nie uważa za pisarzy powieści kryminalnych, bo zdołali tak się jej schematami posłużyć, że już i rozpoznać je trudno. „Jeżeli" otwiera wszelako miejsce alternatywie. Konwencje można rozwalać i mogą się one rozwalać same, bo się o nie dba jak leniwy gospodarz o płot, bo się ich oporu nie umie lub nie chce cenić i właściwie wyzyskiwać.

Ryszard Handke

Samotnik z Malinki

z Andrzejem Trepką rozmawia Andrzej Krzepkowski

Andrzej Krzepkowski: – ***Osiem lat temu udzieliłeś mi pewnego przywileju. Skorzystam z niego i teraz, bo lepiej się chyba gawędzi bez oficjalnych form. Ta bezpośredniość to Twój sposób traktowania i rozumienia świata?***

Andrzej Trepka: – Traktowania? Tak. A co do rozumienia, to może niezupełnie. Wielu codziennych spraw, wielu zjawisk społecznych nie rozumiem.

– Jakich?

– Lubię na przykład chodzić od urzędu do urzędu i załatwiać czyjeś sprawy. Daje mi to zadowolenie. Ale są ludzie, którzy potrafią przejść te same urzędy, żeby innym szkodzić. I tego już zupełnie nie pojmuję. Przecież to zmarnowany czas. Wiem, że do życia podchodzę inaczej niż większość ludzi. Ale czy to znaczy, że gorzej?

– Jesteś idealistą?

– Na to pytanie jednym słowem odpowiedzieć nie mogę. Bo jestem materialistą, jeśli chodzi o światopogląd. Ale kiedy chodzi o zjawiska społeczne, wybieram program altruizmu, tak jak Dybowski. Wierzę, że ludzie są nieskończenie dobrzy. Choć... nie pod każdym względem.

– Rozumiem, że chciałbyś być uznany za przyjaciela wszystkich ludzi.

– Tak.

– A ludzie? Czy wszyscy odpłacają Ci tym samym?

– Ludzie. Z natury nie są źli. A jeżeli czasem uważają mnie za wroga... to ich sprawa. Umiem pomóc i temu, kto mi kiedyś szkodził. Lecz kiedy zemsta staje się celem działania...

– Bądź co bądź silny motorek.

– Ale nie dla mnie. Nie umiem i nie lubię komuś wypominać tego, co było kiedyś.

– A powiedz: jaki ślad zostawiają te poglądy w rzeczach, które piszesz?

– Bardzo wyraźny. Czasem prowadzi to do pewnych nieporozumień. Pamiętam, jak wracaliśmy całą grupą z Plovdiv. I tak się zgadało o „Dwunastu apostołach". Jeden z kolegów stwierdził wtedy, że świat ludzi z założenia dobrych jest dla niego czymś ohydnym. To chyba była przekora. Bo przecież wiemy, że życie ludzi i całych społeczeństw można byłoby układać bez konfliktów.

– Echa Utopii?

– Tak.

– A kto niby ma to zrobić?

– Ludzie. Sami. Odgórnie nic się nie stwarza. A całe to mrowie ludzkich starć i zderzeń składa się ze spraw, których przy odrobinie dobrej woli można uniknąć. Może to odrębność, może już dziwactwo. Ale wiesz, mój drogi, nigdy właściwie nie miałem ochoty z kimś się pokłócić. Często na przykład zaskakują mnie Twoje reakcje. Być może dlatego, że swój instynkt agresji przetwarzam i pod postacią jakiejś dyskusji zapisuję, wyładowuję w powieści.

– Zgoda. Można i tak. A od ilu lat tak sam siebie rozładowujesz?

– Będzie ze trzydzieści sześć. Najpierw pisałem dla siebie, potem, w 1951 roku, zacząłem istnieć jako dziennikarz. Właśnie wtedy, kiedy w „Sztandarze Młodych" drukowano kolejne odcinki „Astronautów" Lema.

– A teraz? Ile masz książek „na sumieniu"?

– Wydanych 13. W tym 3 w spółce z Krzysiem Boruniem.

– A ile nie wydanych? Tych dopiero robionych przez Ciebie albo może już gdzieś złożonych?

– W druku mam kilka. Poczekaj... „Biokosmos", „Rezerwat", „Gawędy o zwierzętach" w KAW, „Cierpienia przyrody" w Wydawnictwie Lubelskim", „Opowieści o zwierzętach" w Naszej Księgarni. Tyle ostatnio zrobiłem. Tak.

– A w tej chwili? Piszesz coś właśnie?

– Owszem. Political fiction.

– To zdaje się u ciebie coś dosyć niespodziewanego. Zawsze mi się wydawało, że wolisz się trzymać raczej „czystych" te-



matów. Sięgnę po to na pewno z ciekawością. A tytuł?

– Jeszcze nie umiem powiedzieć.

– O fabule kiedyś wspominałeś, ale to było w prywatnej rozmowie. Zdradzać jej tutaj na razie nie będziemy?

– Raczej nie. Ogólniki, które mógłbym rzucić, nic nikomu nie dadzą.

– Wróćmy więc do rzeczy dokonanych. Ogółem napisałeś 19 książek. A wznowienia? Wiem, że chyba coś się kroi.

– Krzyś i ja dostaliśmy z „Iskier" umowę na wznowienie „Zagubionej przyszłości" i „Proximy".

– Bez „Kosmicznych braci"? O ile wiem, czytelnicy kupują zazwyczaj całe trylogie.

– W planie jest całość.

– Które to będzie wydanie?

– Trzecie.

– Właściwie książek SF masz w swoim dorobku niewiele, jeżeli uwzględnimy ich stosunek do wszystkiego, co napisałeś.

– Tak. Trzy z Boruniem w „Iskrach", dwie w „Śląsku" i trzy w Krajowej Agencji Wydawniczej.

– Można wyciągnąć wniosek, że Twój świat na fantastyce się nie kończy?

– Nigdy nie oddzielałem fantastyki zbyt wyraźnie i ostro od innej literatury. Problemy miłości, wojny i głodu, bohaterstwo i podłość ujmuje się podobnie, może tylko lepiej lub gorzej w każdym literackim dziele. Bo tak się jakoś dziwnie na Ziemi złożyło, że wszyscy pisarze są ludźmi. I operują ludzką etyką. A ponadto, faktografie powieści historycznych i fantastyczno-naukowych właściwie nie różnią się rzetelnością. Inne są tylko zakresy tematyczne.

– Historyk pewnie by się z Tobą nie zgodził. Toż to drażnienie jego ambicji, osłabianie prestiżu. Ale myślę, że wiesz, dlaczego to mówisz. Bo pisałeś przecież książki i z tamtej dziedziny.

– Jeżeli biografię można nazywać opowieścią historyczną, to były rzeczywiście dwie takie książki. O Dybowskim i o Ciołkowskim.

– A przy okazji pisania o zwierzętach nigdy nie wgłębiasz się w historię?

– To, mój drogi, historia w trochę innym wymiarze. Raczej geologicznym.

– Więc można twierdzić, że jeszcze bliższa nauce, bo oparta na skałach, a nie na literach.

– Zgadzam się. Paleontologia ma swoje zalety. Między innymi i tę, że fakt, gdzie i kiedy żyły tygrysy szablastozębe mało komu może posłużyć do udowodnienia wyższości Wielkanocy nad Świętami Bożego Narodzenia. Trudno martwe tygrysy wykorzystać w polityce.

– Właściwie kim czujesz się bardziej: literatem czy popularyzatorem?

– Literatem. Bo nie zgadzam się z szufladkowaniem. Sztywne podziały to bzdura. Weź sobie

do ręki dowolną książkę Ditfurtha. Popularyzacja to, czy już literatura? A „Tak zwane zło" Konrada Lorenza, a książki Wendta i Dröschera?

– Fakt. To, co mi pożyczyłeś, właśnie Dröschera, czytałem jak najlepszą powieść.

– Nie twierdzę, że piszę tak, jak oni. Sięgam po inne tematy i staram się nieco inne sprawy akcentować. To ciągnie za sobą inne sposoby realizacji. Ale zawsze uważam, że nie tylko fabuła wyznacza granice literackości. Ważny jest dla mnie ładunek filozoficzny dzieła.

– No, pod tym względem otoczenie raczej ci sprzyja. Nie od dziś góry funkcjonują w ludzkiej świadomości jako swoisty symbol filozoficznego natchnienia, nastroju, refleksji. Czy mogę stwierdzić, że z Twoją filozofią zawieraną w książkach ma bardzo ścisły związek głoszona przez Ciebie teza, że poza Wisłą nad Wisłą świat staje się złudzeniem?

– Ta rzeka przed domem to Malinka. A poza tym zgoda. Choćbym wyjechał z Wisły tylko na parę dni, już zaczynam tęsknić do swoich gór.

– Swoich? A urodziłeś się...?

– W Rychłocicach nad Wartą. Co w sumie nie ma większego znaczenia.

– Słyszałem o paru Chińczykach, którzy oszczędzali przez całe życie tylko po to, żeby rodzina mogła ich ciała pogrzebać w rodzinnych wioskach.

– To zupełnie inna mentalność. A dla mnie...? Wiem, że oprócz patriotyzmu w pierwszym tego słowa znaczeniu, czyli oprócz tego, co jest cechą każdego uczciwego człowieka, istnieje także coś nazywanego patriotyzmem lokalnym. Mówi się o więzach krwi, sentymencie... A ja po prostu widzę w tym ślad terytorializmu. Jeszcze jedną cechę, która jak i inne dobre obyczaje, została przez nas odziedziczona po zwierzętach. A co do obyczajów jeszcze, to uważam, że posądzanie ludzi o zezwierzęcenie powinno być raczej komplementem dla nich. Za to dla zwierząt często bywa obrazą.

– Życia bez gór sobie nie wyobrażasz. A bez pisania?

– Oczywiście nie.

– Pokazywałeś mi kiedyś swoje opowiadanie pod tytułem „Milczenie gór". Czy to była próba połączenia obu Twoich wielkich miłości? Dowód, że świat bez gór i pisania nie istnieje?

– Dla mnie go nie ma.

– W takim razie, jaki świat być powinien? Co najbardziej lubisz mieć przed oczami?

– Hm... Nazwałbym to, mój drogi, bardzo wysublimowanym popędem. Krajobraz to prawie jak kobieta. I... bez wypukłości jest nie do przyjęcia.

– To ładne. Mógłbyś sobie czasem na taką frywolność i w książce pozwolić. Ale właśnie, do dzieł ważkich wracać nam należy. Z pobieżnego wyliczenia wynika, że jedną książkę piszesz prawie dwa lata.

– W okresie od 1958 do 1970 roku nowych książek nie pisałem, więc wychodzi czasu trochę mniej. Trudno zresztą pisać bez przerwy.

– Żarty. Przecież ile razy w Wiśle się zjawię, tylekroć widzę Ciebie nad maszyną do pisania. Przerabiasz, przepisujesz, nagrywasz na magnetofon, poprawiasz, przepisujesz, przerabiasz... Pomińmy, że to piekielnie czasochłonna metoda. Ale czy szukanie słów to aż tak żmudne zajęcie?

– Nie wiem. Mnie po prostu zależy na każdym słowie. Styl jest, rzecz jasna, ważny, ale mam takie swoje małe umiłowanie. Słowa obce, które wtargnęły do naszego i potocznego, i literackiego języka staram się zastępować słowami rdzennie polskimi.

– Trudna sprawa. I przedobrzyć łatwo, jak zrobił to Rydel, u którego Spartanie mawiali: „O, wciurności!"

– Staram się w przesadę nie popadać. Wiem, że to szkodzi.

– Słowa słowami, ale przecież nie tylko z tego opowieść się składa. Widać to już w trylogii, najmocniej wylazło w „Dwunastu apostołach", że beletrystykę uważasz za swoisty wykład etyki.

– Tak. Ukazuję tam, w „Dwunastu apostołach" może za dobitnie trochę, to właśnie, jaki świat według mnie być powinien.

– Co stawiasz na drugim miejscu?

– Intelekt. A dopiero potem czyjeś poglądy i przekonania. Czyli cenię to samo, co i w codziennym życiu. Małośmy się razy ze sobą nie zgadzali?

– Nooo, w wielu sprawach to my się pewnie nigdy nie zgodzimy.

– Ale możemy siąść sobie razem i pogwarzyć, prawda. To właśnie pożytek z tolerancji.

– Warstwa językowa, warstwa filozoficzna... A informacyjna? Wiem, że fascynuje Cię biologia. Co jeszcze?

– Astronomia, od której zaczynałem. I oczywiście astronautyka. Byłem nią zafascynowany już wtedy, kiedy większość ludzi wcale nie wierzyła w możliwość opuszczenia Ziemi. W początku lat pięćdziesiątych popularyzowanie astronautyki było zajęciem niesłychanie niewdzięcznym. W redakcjach patrzono na mnie niekiedy jak na nieodpowiedzialnego maniaka.

– Znam paru takich, którzy i dziś podśmiewają się nieco z Twojej ówczesnej żarliwości. Podobno w jednym z artykułów twierdziłeś, że ludzie za parę lat polecą na Marsa. Czy możesz powiedzieć, kiedy i gdzie to napisałeś?

– O ile pamiętam, nie było to tak, że już za parę lat. Napisałem do dwutygodnika „Wieś", który oczywiście redagowano w Warszawie, a nie na wsi, recenzję „Astronautów". Było to gdzieś na początku lat pięćdziesiątych właśnie. Może rok po ukazaniu się „Astronautów", może półtora. Zwróciłem tam uwagę, że Lem umieszcza pierwszą podróż międzyplanetarną w roku 2006, natomiast moim zdaniem powinno to się zdarzyć jeszcze przed końcem bieżącego stulecia. A stulecie jeszcze końca nie dobiegło.

– Zapał, żarliwość... Rzeczy cenne. Ale Ty nie należysz chyba do zapaleńców, którzy innym ludziom narzucają swoje zdanie za wszelką cenę?

– Ja za ż a d n ą cenę nie narzucam nikomu mojego zdania.

– Twierdzę, że każda książka jest swoistym odbiciem psychiki autora. Ty należysz do ludzi z założenia spokojnych. Czy dlatego Twoje książki nie obfitują w sensacyjne chwyty, nieoczekiwane zwroty akcji, zaskakujące pomysły, sceny gwałtu i przemocy? Bo przecież wiesz, że wielu czytelników tego właśnie szuka?

– Jestem tolerancyjny wobec ludzkich pragnień i zachcianek. Z drugiej jednak strony jestem na tyle egoistą, że nie chcę ani czytać, ani pisać tego, co nie sprawia mi przyjemności. Gwałt i przemoc nie powinny istnieć na świecie. A co do zwrotów akcji, lubię przebieg zdarzeń uładzony. Sensacji w tym ogólnym, potocznym rozumieniu nie uznaję, więc nie są dla mnie sensacją perfidny mord czy wulgarna bójka. Co innego, kiedy w grę wchodzi na przykład odkrycie nowego zwierzęcia. Niechby to był i najmarniejszy owad. Kolczatki i dziobaki badano przez 87 lat. I tyle właśnie trwał spór zoologów o jajorodność tych ssaków. Spór, w przypadkach obu zwierząt, został rozstrzygnięty przez dwóch, pracujących od siebie niezależnie, przyrodników. Australijski zoolog W.H. Caldwell badał dziobaki, Niemiec Wilhelm Haacke kolczatki. Trzeba trafu, że telegramy rozstrzygające wieloletni spór wysłali obaj tego samego dnia, 2 września 1884 roku. Jakie może być prawdopodobieństwo takiego zbiegu okoliczności? Sensacyjne bardziej niż morderstwo, prawda? A ja po to osiadłem w Malince, żeby uciec od tanich sensacji.

– Wspaniale. Siedzisz sobie wygodnie, spokojnie. Ale czy nie brakuje ci nieco żywszego, bliższego kontaktu z tym, co się obecnie w literaturze SF dzieje?

– I to bardzo. SF momentalnie znika z półek w całym kraju. A cóż dopiero w Wiśle, gdzie jest jedna jedyna, maleńka księgarnia. Za to wiele mi dają bezpośrednie kontakty z czytelnikami.

– Fakt. Właściwie pamiętam tylko jedną większą imprezę fanów SF, na której Cię nie było. I zawsze jeździsz w swoim nieśmiertelnym garniturze. Czy jego staż towarzysko-literacki jest wiele krótszy od Twojego?

– Niewiele. Zresztą mam już nowy, jak sam widziałeś.

– Ale też słyszałem, że zjawiłeś się gdzieś w tym nowym i kiedy zaczęto Ci to wymawiać, z kamienną twarzą otworzyłeś swoją nieodstępną teczkę, z której wyjrzał nasz stary, brązowy znajomy. Można to uznać za dowód, że nie zdradzasz starych przyjaciół.

– Istotnie. Nie mam tego zwyczaju.

– Rozumiem, że i pisania w żaden sposób zdradzać nie zamierzasz.

– O, to na pewno.

– Więc kiedy spotkasz się z nami na nowo? Twoja książka na półce w księgarni, a my przed ladą.

– Tego ci nie powiem, mój drogi.

– Tajemnica?

– Nie. Mam pięć książek napisanych i złożonych w różnych wydawnictwach. Która z nich ukaże się jako pierwsza, to i dla mnie leży teraz w sferze niespodzianki.

– Cóż, poczekamy razem. Póki co, mogę Ci tylko życzyć: Do szybkiego zobaczenia! ■

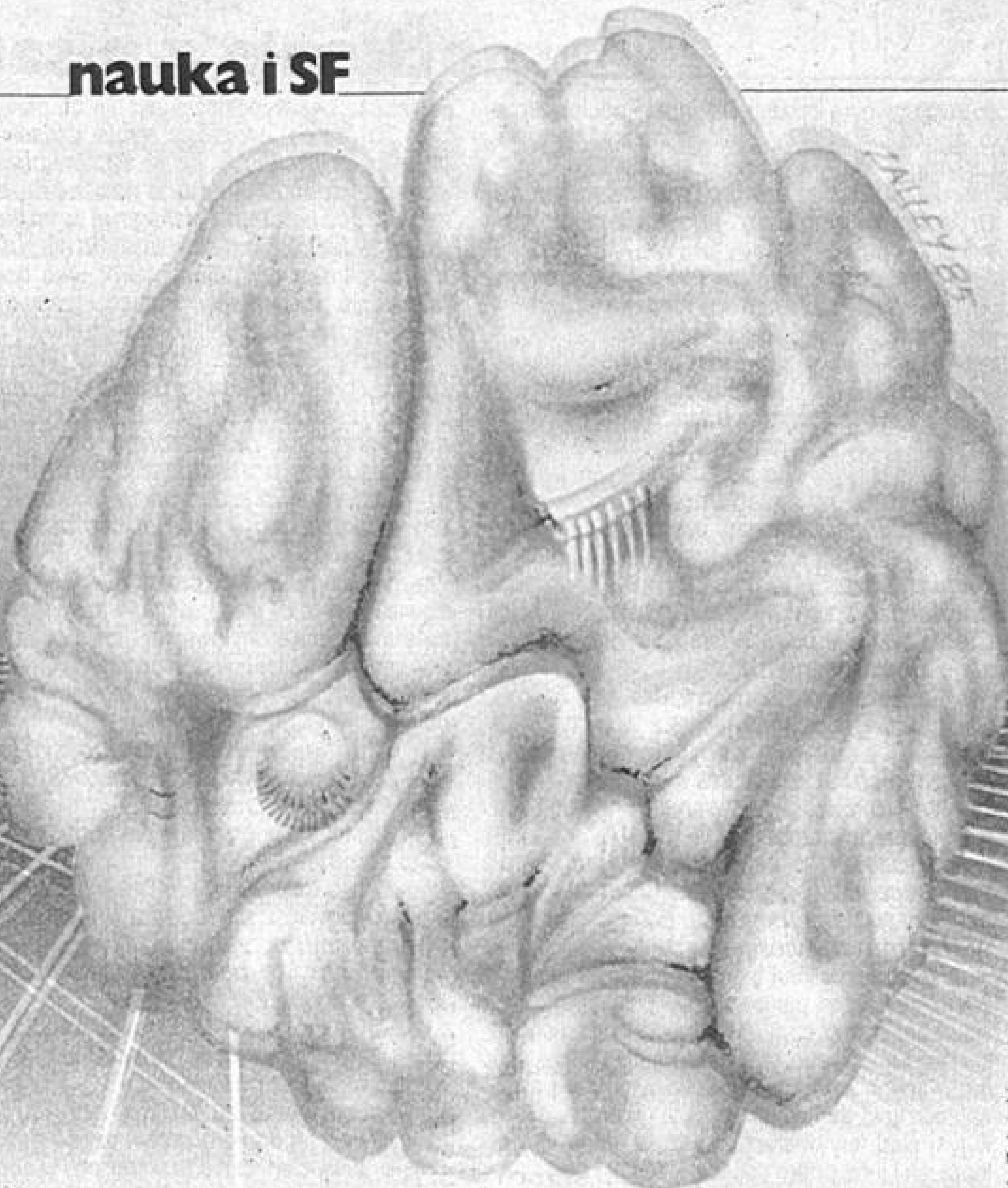
Andrzej TREPKA

Urodził się w roku 1923 w [illegible] Rychłocicach nad Wartą (wersja metrykalna, ogólnie przyjęta) lub Warszawie (wersja mniej znana, ale za to prawdziwa) [illegible] (wersja o stuprocentowej pewności).

Po II wojnie światowej studiował [illegible] astronomię na UMK w Toruniu. Po roku [illegible] [illegible] z dalszego studiowania astronomii zrezygnował [illegible] Uprzednio – jeszcze podczas okupacji – ukończył szkołę rolniczą [illegible] stopnia prowadzoną przez prof. Jana [illegible]. Zgodnie ze zdobytym wykształceniem był już po wojnie administratorem majątku Kamieniec, a następnie Księżenice na Dolnym Śląsku. Później pracował w agronomii społecznej jako inspektor Wojewódzkiego Zarządu Samopomocy Chłopskiej w Bydgoszczy. Tam właśnie podjął decyzję o zmianie rodzaju [illegible] został dziennikarzem, współpracownikiem trzech bydgoskich pism od razu: „Ilustrowanego Kuriera Polskiego", „Gazety Pomorskiej" oraz „Ziemi Pomorskiej".

Dalsze koleje losów Andrzeja Trepki wiążą się z faktem poznania Krzysztofa Boruna. Obaj młodzi dziennikarze [illegible] zadebiutowali wspólnym tomem **„Zagubiona przyszłość"** (Iskry 1953) po uprzednim druku tejże książki w odcinkach w „IKP". Rzecz znamienna jest jedno: obaj pisarze twierdzą, że [illegible] zaczęło się z podkuszenia tego drugiego. Krzysztof Borun twierdzi, że przyszedł do niego Andrzej Trepka z pomysłem książki. Andrzej Trepka twierdzi, że było odwrotnie. Prawdopodobnie spotkali się w połowie drogi. Zabawa spodobała im się do tego stopnia, że wkrótce w tym samym wydawnictwie ukazały się następne tomy trylogii: **„Proxima"** (1956) i **„Kosmiczni bracia"** (1959). Wydawało się, że [illegible] Andrzeja Trepki, który jako autor powieści milczy zawzięcie przez dobrych parę lat. W roku 1963 przeprowadza się do Wisły Malinki na Śląsku Cieszyńskim i zaczyna pracę nad kolejną książką, którą jest **„Atol trydakny"** (SF) wydany w roku 1973 przez Wydawnictwo „Śląsk". Od tej pory Andrzej Trepka [illegible] **„Wizjonerem kosmosu"** (popularyzacja, „Śląsk" 1974), a to **„Życiem we Wszechświecie"** (popularyzacja, „Śląsk" 1976). Sypią się [illegible] książki [illegible] **„Zwierzęta wychodzą z mórz"** (popularyzacja, „Śląsk" 1977), **„Dwunastu apostołów"** (SF, „Śląsk" 1977), **„Benedykt Dybowski"** (popularyzacja, „Śląsk" 1979), **„Kosmiczny meldunek"**, **„Totem leśnych ludzi"** (SF, KAW 1980), **„Fenomeny przyrody"** (popularyzacja, „Śląsk" 1981), **„Król tasmańskich stepów"** (popularyzacja, „Śląsk" 1982), **„Końcówka"** (SF, KAW 1983). [illegible] Andrzej Trepka [illegible] z jego wypowiedzi nie uważa „Końcówki" za swoje ostatnie słowo. (A.K.)

W głowie każdego z nas tkwi około półtora kilograma miękkiej galaretowatej substancji o barwie – jak to kiedyś określił XVII-wieczny anatom – brudnego śniegu. Jest to bez wątpienia najbardziej zdumiewająca substancja we Wszechświecie (w każdym razie nie znamy dziwniejszej od niej). Jest to „substancja", której nie tylko zawdzięczamy namalowanie Mony Lisy, skomponowanie IX Symfonii czy napisanie Hamleta – zawdzięczamy jej również stworzenie nauki, zaś dzięki nauce owa „galareta" może poznawać świat i samą siebie.



Marek Zaleski

Maciej Iłowiecki

Dwie dusze

Z tamtej strony lustra

Ciekawe jednak, że wyjątkowych funkcji mózgu nie dostrzegali najwięksi myśliciele starożytności. Na przykład „ojciec medycyny" Hipokrates sądził, że w ludzkiej czaszce tkwi coś w rodzaju nieczułej, zimnej gąbki, której jedynym zadaniem ma być wydzielanie śluzu do chłodzenia „gorącego serca"! Arystoteles zaś nie dostrzegł łączności mózgu z resztą ciała i również przypuszczał, że narząd ten służy do chłodzenia, tyle że zmysłów. W starożytności żyli jednak uczeni podejrzewający związek mózgu z myśleniem, z psychiką. Tak sądził na przykład grecki filozof i lekarz z VI wieku p.n.e. Alkmeon z Krotony, a także wielki Platon i przedstawiciele aleksandryjskiej szkoły medycznej – Herofilos z Chalcedonu i Erasistratos z Keos (III w. p.n.e.).

W XVI wieku włoski lekarz Giovanni Baptista Fantoni określił mózg słynną do dziś formułą: „Obscura textura, obscuriores mordi, functiones obscurissime" (niezrozumiała budowa, jeszcze niezrozumialsze choroby, zupełnie niepojęte funkcje). Dziś oczywiście taka formuła byłaby przesadą, ale też nie tak znów wielką: o działaniu mózgu wiemy chyba najmniej ze wszystkich organów naszego ciała.

Wiemy wszakże jedno na pewno: mózg ludzki jest organem parzystym i właśnie nad tą sprawą chciałbym się dzisiaj zatrzymać. Na pozór parzystość nie jest niczym nadzwyczajnym, skoro mamy również dwie nerki, dwa płuca, dwoje oczu itd. – po prostu jedne narządy są parzyste, inne pojedyncze. Przecież już dobrze ponad sto lat temu zauważono, że połączone spoistym więzadłem, ale poza tym oddzielne, dwie półkule mózgu nie są równoważne pod względem funkcji. W latach sześćdziesiątych XIX wieku sławny francuski antropolog i chirurg Paul Broca wykrył w ludzkim mózgu ośrodek mowy artykułowanej. Był to pierwszy dowód, że pewne czynności mózgu są związane z konkretnym miejscem w tym narządzie. Miejsce rządzące mową nazwano ośrodkiem Broca – wszakże najciekawsze było to, że ów ośrodek u ludzi praworęcznych (takich jest około 90 proc.) znajduje się w l e w e j półkuli mózgu. Wiedziano już wtedy, że dzięki skrzyżowaniu dróg nerwowych, lewa półkula rządzi prawą połową ciała (więc i prawą ręką), prawą zaś lewą. Tak więc u ogromnej większości ludzi lewa półkula warunkuje zdolność mówienia; ponieważ większość ludzi lepiej posługuje się prawą ręką niż lewą, widać ośrodki koordynacji ruchów ręki są również lepiej wykształcone w lewej półkuli niż w prawej. Potem odkrywano coraz więcej dowodów na to, że pewne zachowania, pewne czynności, znajdują się u ludzi pod szczególną kontrolą tylko jednej z półkul mózgowych. Po prostu jest tak, że każda półkula zawiaduje innymi funkcjami, choć podział nie jest absolutny, bo w razie uszkodzenia jednej z półkul druga może całkiem nieźle zastępować tę uszkodzoną. Zaś u ludzi leworęcznych ośrodek mowy znajduje się zwykle z prawej strony; mają oni jakby „przestawione" połówki mózgu. Dlaczego? Tajemnica.

Jeszcze jeden dziwny szczegół z historii poznawania mózgu: otóż prawie do ostatnich lat sądzono, iż obie półkule są pod względem anatomicznym identyczne, to znaczy mają taką samą budowę, różnią się tylko funkcjami. Dopiero w 1968 r. zauważono, że między dwiema półkulami mózgu istnieją dość istotne różnice anatomiczne i że nawet różnice te można zobaczyć gołym okiem! Oprócz różnic tak łatwo dostrzegalnych (dlaczego nikt nie zauważył ich przez tyle lat?) są też różnice subtelniejsze. Na przykład rozgałęzienia i połączenia komórek nerwowych mózgu, neuronów, są w wielu miejscach lewej półkuli bardziej rozwinięte. Bogatszą sieć połączeń neuronowych wiąże się zwykle z ich większymi możliwościami przetwarzania informacji; można by powiedzieć, że lewa półkula dysponuje jakby potężniejszym komputerem niż prawa.

Tak więc doszliśmy do wniosku, że istnieje spora a s y m e t r i a półkul mózgowych – zarówno pod względem funkcjonalnym, jak anatomicznym. Ostatnio antropologowie z Uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku donieśli, że asymetrię mózgu stwierdza się także u ludzi pierwotnych (na podstawie analizy ich czaszek). Mało tego: podobnie jest u małp człekokształtnych. Prof. Geschwind z Bostonu dowodzi, że asymetria mózgu występuje u wszystkich zwierząt, u których mózg jest w ogóle wyodrębniony.

Zostawmy jednak i tę kwestię na boku, choć jest nadzwyczaj ciekawa – dlaczego bowiem mózg jest w ogóle asymetryczny? Na razie zajmiemy się wnioskiem wynikającym z dotychczasowych badań mózgu ludzkiego: otóż u ludzi współczesnych jedna z półkul dominuje nad drugą (i u większości jest to właśnie lewa półkula). Ludzie bowiem zawdzięczają swe człowieczeństwo w ogromnej mierze właśnie mowie, a zdolność mowy jest związana głównie z lewą półkulą. Lewa półkula odpowiada za kluczowe ludzkie funkcje psychiczne: rozumienie (percepcję) języka, tworzenie języka i sterowanie precyzyjnymi ruchami rąk (przypomnijmy sobie, jak wielką rolę przypisuje się ręce w procesie „uczłowieczenia" małpy!).

Tak więc w latach sześćdziesiątych jednym z kanonów tzw. klasycznego poglądu neurologicznego był osąd, że lewa półkula reprezentuje właściwy intelekt człowieka, jego rozum – bo wyższe funkcje poznawcze związane są przecież z językiem i zdolnością do abstrakcyjnego myślenia, z tworzeniem i rozumieniem symboli. Prawa półkula jest niema, niepiśmienna, głucha na słowa, „opóźniona w rozwoju" – i wobec tego musi być podporządkowana swej „przewodniczce", lewej siostrzycy.

W latach siedemdziesiątych było już wiadomo, że lewa półkula odpowiedzialna jest także za zdolność do rozumowania matematycznego, do myślenia logicznego. To tutaj znajdują się centra „intelektualnej" analizy napływających ze świata zewnętrznego informacji, ośrodki tzw. pamięci werbalnej (pamiętanie słów, pojęć). Lewa półkula zdaje się działać podobnie jak cyfrowa maszyna matematyczna. Zdaniem jednego z największych dziś badaczy mózgu, Roge-

ra Sperry z Kalifornijskiego Instytutu Technologii (słynna uczelnia znana w świecie pod skrótem Caltech), lewa półkula jest *„słowno-cyfrowa, zachowawcza, obiektywna, racjonalna, logiczna, analityczna, liniowa"*. Interesuje ją przede wszystkim otoczenie zewnętrzne, formy rzeczy, ich szczegóły.

Roger Sperry otrzymał za badania mózgu Nagrodę Nobla (w 1981 r.). Jego prace przyczyniły się jednak do zrewidowania poglądu o „przywództwie" i w ogóle tak ogromnej przewadze półkuli lewej. Można powiedzieć, że Sperry ściągnął z piedestału dumną lewą półkulę. To znaczy – owszem, lewa półkula jest bardziej eksponowana, jest to zjawisko raczej natury kulturowej niż biologicznej. W sensie biologicznym półkula prawa jest równie dla nas wartościowa i niezbędna. Sperry wykazał właśnie, że prawa półkula rozwiązuje problemy tak samo istotne, tylko innego rodzaju – jej udział w wyższych funkcjach poznawczych jest równie ważny jak półkuli lewej. Dziś jest już pewne, że obie półkule ludzkiego mózgu operują różnymi – nawet wzajemnie antagonistycznymi – procesami poznawczymi. Więc prawa półkula pracuje „obrazami", syntezą. To tutaj mieszczą się centra postrzegania przestrzennego, orientacji przestrzennej, integracji szczegółów. Dzięki prawej półkuli możemy rozpoznawać bardzo złożone obrazy, zapamiętywać kształty trudne do określenia (np. twarze), zapamiętywać melodie itd.; to tutaj zdaje się mieścić centrum wyobraźni, intuicji, rozpoznawania całości ze zbioru części. Prawa półkula rozpoznaje także uczuciowe (emocjonalne) zabarwienie odbieranych komunikatów (podczas gdy lewa analizuje przede wszystkim ich treść; wiemy zaś dobrze z doświadczenia, że czasem uczuciowe zabarwienie głoszonego tekstu mówi coś innego niż jego treść). Sperry powiada, że prawa półkula jest zatem *„ejdetyczno-analogowa, operująca językiem obrazu, innowacyjna, subiektywna, emocjonalna, syntetyczna, wielowymiarowa, obejmująca raczej całość, niż dostrzegająca szczegóły"*. Analogowa – to oznacza, iż pracuje na podobnej zasadzie, jak komputer analogowy; ejdetyczna – to znaczy mająca zdolność odtwarzania rzeczy tylko bardzo krótko przedtem oglądanych (czy wysłuchanych) i to z dokładnością niewiarygodną – przekraczającą o wiele zwykłe przypominanie. Taki rodzaj specjalnego uzdolnienia mają przede wszystkim dzieci – dopiero „doroślenie", wychowanie, kształcenie – tę zdolność zabija (podobnie jak bardzo ogranicza wyobraźnię).

Zanim jeszcze wiedziano o funkcjach obu półkul, znane było zjawisko „zastępowania" w ludzkim umyśle obrazów i uczuć przez słowa, nazwy i logiczne myślenie. W miarę wychodzenia z wieku dziecięcego następuje jakby zmiana charakteru wyobraźni i percepcji (odbioru wrażeń) – i zjawisko to nazywa się cerebracją. Dziś przypuszcza się, iż ma ono właśnie związek z dominacją w naszej kulturze (choć nie we wszystkich ludzkich kulturach!) półkuli lewej. Zatem półkula prawa reprezentuje jakby „dziecinny" sposób odbioru świata i reagowania? W pewnym sensie tak – jeśli „dziecinny" uznać nie tyle za prymitywniejszy czy mniej wartościowy, ile po prostu za i n n y. Dzisiaj zresztą zaczyna się dochodzić do wniosku, iż przytłumienie owych tkwiących w nas zawsze „dziecinnych" sposobów reagowania przynosi wiele szkód, ogranicza możliwości poznawcze i zwłaszcza twórcze człowieka. Nie bez kozery mówi się przecież o „dziecinnym" spojrzeniu na rzeczywistość wielkich artystów.

W związku z odkryciem tak znacznych różnic między półkulami mózgu powstała m. in. niezwykła koncepcja psychologa Juliana Jaynesa z Princeton, iż ludzie pierwotni mieli „umysł dwupółkulowy", zaś u najwcześniejszych przodków człowieka dominującą rolę odgrywała półkula prawa i jej sposoby percepcji świata. Dopiero rozwój cywilizacji i kultury poszedł takim torem, że „wyeksponował" półkulę lewą, której w końcu zawdzięczamy współczesną naukę i narzucenie nam pewnej „wizji świata".

Są i tacy uczeni, którzy przypuszczają, że w historii ludzkości na przemian występują epoki „lewej półkuli" z epokami „prawej półkuli" – i w tych epokach zachowanie się i myślenie ludzi bywa zgodne z możliwościami owych połówek mózgu. Są to przypuszczenia bardzo ciekawe i zapewne płodne poznawczo, jednak wciąż jeszcze bardzo słabo umotywowane.

Nie mogę w tym miejscu powstrzymać się od przytoczenia jeszcze jednej dziwnej ciekawostki. Otóż w kulturze chińskiej istnieje pojęcie jakby dwóch pierwiastków przenikających wszystko. Są to yin – pierwiastek nocny, księżycowy, syntetyczny, intuicyjny, i yang – jasny, słoneczny, analityczny, rozumowy. Charakterystyczny znak – koło przecięte falistą linią na dwie połowy, białą i ciemną, z jasnym punktem na ciemnej połowie i ciemnym na jasnej ma stanowić symbol subtelnej jedności yin i yang. I oto niedawno niektórzy badacze mózgu zwrócili uwagę na dziwny zbieg okoliczności: jak bardzo półkula prawa podobna jest w swych funkcjach do yin, lewa zaś – do yang. Zaś kolisty zarys przekroju mózgu człowieka widziany z góry przypomina... opisany znak. Ciemna połowa odpowiada prawej półkuli, jasna – lewej, falista linia podziału odpowiada szczelinie między obu półkulami, zaś dwa punkty, symbolizujące ich łączność – to jakby wiązadło wielkie.

W każdym razie dzisiaj raczej nie odrzuca się przypuszczenia, że właśnie „kulturowa dominacja" lewej półkuli (pierwiastka yang!) jest charakterystyczna przede wszystkim dla kultur Zachodu, wyrosłych w świecie śródziemnomorskim; stare kultury wschodnie z ich zwróceniem się do wnętrza człowieka byłyby związane raczej z półkulą prawą (pierwiastkiem yin?). Nie jest oczywiście pewne, czy w ogóle można w ten sposób ujmować związki danej kultury z „przewagą", którejś z półkul, ale wiadomo też od dawna, że wśród ludzi zauważa się jakby dwa skrajne typy umysłowości (obok, naturalnie, większości typów mieszanych). Rozróżnił je wyraźnie m. in. wielki rosyjski neurofizjolog Iwan Pawłow jeszcze w czasach, kiedy różnice między obu połówkami mózgu były mało poznane. Pawłow pisał: *„Doświadczenie wyraźnie wskazuje, że istnieją dwie kategorie ludzi: artyści i myśliciele (...). Artyści chwytają rzeczywistość w całości, jako pełną, żywą i niepodzielną jedność. Z drugiej strony myśliciele rzeczywistość tę dzielą poszukując jakby jej szkieletu, a potem dopiero montują od nowa jej części.*

Intuicja Pawłowa okazała się genialna. Przecież jego „artyści" to właśnie ludzie, u których przeważa odczuwanie i rozumienie świata „prawopółkulowe". „Myśliciele" zaś są typowymi „lewopółkulowcami".

Wydaje się oczywiste, że dla prawidłowego funkcjonowania umysłu i ciała człowieka niezbędne są obie półkule mózgu z ich odmiennymi „metodami" działania. Jest również oczywiste, że w każdym zdrowym człowieku obie półkule współpracują ze sobą, wspomagają się i nawet – w razie potrzeby – nawzajem się hamują. Pełna osobowość wymaga ich d o p e ł n i a n i a się, co nie przeszkadza, że u różnych ludzi w różnym stopniu któraś z „połówek" może dominować. Może zresztą i na tym polega jedyna w swoim rodzaju indywidualność jednostki ludzkiej, że stanowi ona za każdym razem różną „mieszaninę" owej lewo- i prawostronności mózgu?

Z różnicami między połówkami mózgu wiąże się jedna jeszcze, pasjonująca kwestia. Czy w istocie są to właśnie dopełniające się połowy, czy może... dwie odrębne jednostki. Dwa mózgi w jednej głowie, dwie dusze w jednym człowieku?

Ten ostatni pogląd reprezentuje m. in. znakomity brytyjski znawca mózgu R. Puccetti. Uważa on, że każdy zdrowy człowiek (z nie uszkodzonym mózgiem) ma dwie odrębne całościowe struktury mózgowe, współpracujące wprawdzie, ale mające jakby własne, odrębne świadomości, własne osobowości. Człowiek zatem naprawdę jest syntezą dwóch podobnych, ale wcale nie tożsamych osobowości, indywidualności. Jest to myśl naprawdę niezwykła! Zdaje się ją potwierdzać równie niezwykłe doświadczenie: istnienie ludzi, u których z powodu pewnych schorzeń mózgu trzeba przeciąć spoidło łączące jego dwie półkule. Taka operacja nazywa się komisurotomią; po raz pierwszy wykonał ją Roger Sperry i on też zajął się badaniem ludzi z przeciętym spoidłem. Okazało się, że rozdzielenie obu półkul nie upośledza za bardzo czynności życiowych człowieka, natomiast leczy pewne nieuleczalne i śmiertelne formy padaczki (dlatego w ogóle odważono się na takie operacje). Sperry stwierdził jednak bez wątpliwości: każda półkula mózgu jednego człowieka po przecięciu spoideł zachowuje się jak odrębny mózg. Po pierwsze: *„jedna półkula nie wie tego, czego nauczyła się druga lub co akurat ta druga wykonuje czy co zdziałała"*. Po drugie: każda półkula *„ma odrębną domenę poznawczą, osobiste prywatne doznania zmysłowe, własne sposoby uczenia się, własne odrębne pamięci, niedostępne dla drugiej półkuli"*. Okazało się, że obie półkule dysponują niejako własną samoświadomością. Fakty te Sperry potwierdził pięknymi i niepodważalnymi eksperymentami.

Czy wszystko to oznacza taką potworność, że człowiek po komisurotomii ma „w sobie" dwie osobowości? Na szczęście tak nie jest – dwa mózgi w jednym ciele nie doprowadzają do dezintegracji człowieczeństwa; wyjaśnia się to faktem, że owe dwie odrębne jednostki psychiczne znajdują się przecież w jednym ciele, dochodzą do nich te same wrażenia, mają wspólne przeszłe i obecne doświadczenia, wspólne wszelkie podstawowe instynkty. Mimo iż człowiek po przecięciu spoideł mózgu nie odczuwa istnienia w sobie dwu mózgów (choć czasem czuje jednak coś bardzo niepokojącego), mimo że taka operacja bywa czasem jedynym ratunkiem przed śmiercią, wśród neurochirurgów jest wielu przeciwników takich zabiegów. Ale to już inna sprawa.

Puccetti twierdzi, że nawet nie powinno się mówić „prawa" i „lewa" półkula, ale po prostu „prawy" i „lewy" mózg człowieka.

Laureat Nobla z 1963 r., wielki neurofizjolog John Eccles ma inne zdanie: popiera nadal pogląd wcześniejszy, iż świadoma ludzka osobowość jest związana przede wszystkim z półkulą lewą (to znaczy z tą, w której zlokalizowane są dyspozycje językowe, te zaś – przypominam – umieszczone są najczęściej w półkuli lewej). Zdaniem Ecclesa półkula prawa wobec lewej *„jest jak pasażer wobec kierowcy"*.

Roger Sperry skłonny jest pogodzić obie skrajne koncepcje, Puccettiego i Ecclesa. W zdrowym mózgu obie półkule wspólnie tworzą jedność świadomości, zaś czynnikiem integracji, całkowitego ich zjednoczenia, jest owo nieuchwytne dotąd w kategoriach nauki doświadczenie wewnętrzne. Coś, co psychologowie nazywają introspekcją, „oglądem wewnętrznym", odczuwaniem mego własnego ja, a co dotąd – zdaniem przyrodników – było właśnie badaniom przyrodniczym niedostępne.

Wydaje się, że badania Sperry'ego mają znaczenie zasadnicze nie tylko dla neurofizjologii. Mniej może jest ważne czy mamy w końcu dwa mózgi, czy jeden, złożony z dwóch różnych połówek. Ważniejsze, że nowe spojrzenie na świadomość, na owo „doświadczenie wewnętrzne", może w ogóle zmienić pogląd na rzeczywistość świata i na nas samych.

Kapitan Andrzej Urbańczyk – wykładowca chemii i fizyki, popularyzator i marynista – jest jedną z ciekawszych postaci współczesnego żeglarstwa polskiego. Ukończył studia politechniczne, był asystentem u profesora Adamczewskiego, zajmował się tematyką promieniowania jonizującego i perspektywami napędu statków kosmicznych (tzw. „słonecznymi żaglami"). Swoje artykuły zamieszczał na łamach „Problemów", „Horyzontów Techniki", „Astronautyki". Jeden z nich – dostrzeżony i przedrukowany w Stanach Zjednoczonych – zaowocował propozycją współpracy naukowej i długoletnim pobytem w Kalifornii.

Drugą pasją życiową Urbańczyka – zapalonego żeglarza i podróżnika – są odważne eskapady morskie zapoczątkowane w roku 1957 („Tratwą przez Bałtyk" – rejs NORD I). Ukoronowaniem kilku kolejnych wypraw (m.in. pierwsze polskie przejście północnego Pacyfiku na trasie San Francisco – Jokohama; jacht – NORD III) była samotna podróż dookoła świata podjęta na pokładzie najmniejszego jachtu, NORD IV, jaki opłynął Ziemię. Urbańczyk okrążył kulę ziemską w niecały rok, zatrzymując się tylko w trzech portach, uzyskując średnią prędkość powyżej stu mil na dobę i... publikując jednocześnie 25 artykułów w międzynarodowych czasopismach żeglarskich.

Warto dodać, że kapitan Urbańczyk jest znany także miłośnikom prozy marynistycznej. Opublikował 14 książek m.in.: „Tratwą przez Bałtyk" (Iskry, 1958), „Człowiek i morze" (PZWS, 1967), „Oceanonauci – ludzie głębin" (Wyd. Morskie, 1968), „Bomba z Palomares" (Wyd. Morskie, 1968), „Statki pułapki" (Wyd. Morskie, 1969), „Tratwa RA tonie" (Wyd. Morskie, 1970), „William Willis, żeglarz niezłomny" (Wyd. Morskie, 1970), „Samotne rejsy. Sto lat samotnego żeglarstwa" (Wyd. Sport i Turystyka, 1972), „Szalone eskapady. Wyprawy na tratwach od Odyseusza do Heyerdahla" (Wyd. Sport i Turystyka, 1975), „Słuchając głosu oceanu" (KAW, 1982), „Rejs NORD III" (Nasza Księgarnia, 1982). Czytelników naszego miesięcznika zainteresuje, być może, fakt, iż kapitan Urbańczyk jest również autorem literatury science fiction: jego opowiadania ukazywały się w latach pięćdziesiątych na łamach „Młodego Technika", „Horyzontów Techniki" i „Astronautyki".

„Science fiction za życia" to impresje z ostatniej ekspedycji Andrzeja Urbańczyka. Esej ten – napisany na zamówienie naszej redakcji (zob. „Lądowanie XIX", „Fantastyka" nr 9/84), nadesłany z dalekiej Montary po pomyślnym zakończeniu rejsu – ukazuje bezprzykładną ingerencję techniki w losy współczesnych odkrywców niezmierzalnego... (an)

Science fiction za życia

Andrzej Urbańczyk

Niewielki, mierzący zaledwie 7 metrów w linii wodnej slup płynie szybko tnąc ostrzem dziobu błękit Pacyfiku. Mimo stalowanego oceanu jacht płynie bezpiecznie. Żagle slupa, pełne pasatu, nie zrodziły się na pachnących latem lnianych zagonach, ale w reaktorach kombinatu chemicznego produkującego dakronowe włókno. Kadłub nie rósł dębem wiekowej puszczy, lecz powstał ze szklanych mat spojonych mocą epoksydowych żywic.

Samotny żeglarz śpi spokojnie w miękkiej koi. Może śni się mu zamknięta w szarych komórkach, pod siwą już skronią, przeczytana w dzieciństwie opowieść o sośnie z Puszczy Naboickiej, która stała się smukłym masztem wielkiego żaglowca. Ale maszt niosący dakronowe żagle jachtu samotnego podróżnika jest wykonany z aluminium. Z nierdzewnej stali o podwyższonej wytrzymałości wykonano, odkładając w zapomnienie konopie, podtrzymujące maszt liny. Z nierdzewnej stali wyprodukowano też wszystkie pozostałe elementy dzielnego slupa drwiące z korozji i słabości starzenia. Jedynie kil – fundament jachtu, został odlany z 2,5 ton ołowiu. Mniejszy od stalowego, pozwolił na zredukowanie oporów hydrodynamicznych dając nieznaną jeszcze niedawno ścigłość jachtu. Gdyby jednak przyszło niewielkiemu slupowi startować w regatach, ołów zastąpiłby uran o jeszcze większej gęstości właściwej.

Samotny człowiek i jego, zwinięty w kulkę, kot mogą spać spokojnie. Prowadzony przez samoster, o którym nie marzono nawet jeszcze kilka lat temu, jacht płynie prosto wracając nieomylnie na kurs, gdy odrzuca go w bok grzywacz niesfornej fali. Zamocowany na topie masztu reflektor radarowy strzeże od kolizji ze statkiem, gdyby taki znalazł się w ciemności czy mgle pustych tu zazwyczaj regionów Pacyfiku. Temu samemu celowi służy stroboskop – jego błyski rozświetlają mrok na wiele mil – kosztem minimalnej ilości energii elektrycznej. Nie ma zresztą obawy, by wyczerpały się spoczywające pod pokładem akumulatory. Każdego dnia kwanty padające na krzemowe liście zwracających się ku słońcu baterii fotoelektrycznych zostają zamienione w potok elektronów ożywiających spichlerz energii. Baterie te – produkt przemysłu kosmicznego – nie tylko zasilają dziś w elektryczność dziesiątki jachtów. Jeszcze bardziej spektakularne ich zastosowanie to napędzany słońcem samolot SOLAR CHALLENGER przelatujący kanał La Manche, to podróż w poprzek słonecznej Australii cichobieżnego słonecznego czterokołowca QUITE ACHIEVER.

Monokryształy krzemu tkwią również w niewielkim pudełku, z którym w dłoni usnął samotny żeglarz. Zmęczył go pojedynek z elektronowym przeciwnikiem nie dającym się pokonać na miniaturowej szachownicy, nazwanym „Borys", w respekcie dla arcymistrza. Krzemowy szachista, mimo iż jego móżdżek zawiera jedynie sto tysięcy tranzystorów – imitację skrawka ludzkiego mózgu, potrafi prowadzić strategie swych 16 figur na wiele ruchów naprzód. Żeglarzowi, którzy przez lata pracował w Silicon Valley produkując obwody scalone o kilka rzędów wielkości bardziej skomplikowane, udaje się to tylko czasem...

Wysoko ponad pokrytą cirrusami atmosferą przelatuje jeden z 8 satelitów systemu nawigacyjnego Transit. Jego sygnały odbiera zawieszony pod sufitem kajuty, tuż obok plastykowej maskotki E.T. – nawigacyjny komputer o zaczerpniętej z telewizyjnego serialu SF nazwie STAR-TRAC. Znając parametry satelity i czas, opierając się na efekcie Dopplera, elektroniczny nawigator w ciągu kilku sekund określa współrzędne geograficzne małego jachtu. Rozlega się delikatny sygnał budzący samotnego człowieka. Na zielonym ekranie błyskają cyfry: LAT 35°12.32' LON 128°01.10'. Następny napis informuje 16 h 32 min. GMT, podczas gdy cyfry sekund sypią się nieustannym piaskiem. Potem pojawiają się wartości dryfu, deklinacji magnetycznej, prędkości jachtu, przebytej drogi...

Trochę jeszcze senny żeglarz naciska kilka cyfr gładkiej powierzchni zastępującej „rzędy guzików", o jakich czytał nie tak dawno w ukrywanych pod szkolną ławą opowiadaniach fantastycznych. Następny przelot satelity nie będzie przerywał już snu. STAR-TRAC przejmie samodzielnie wszystkie dane notując je w swej pamięci, po czym – ponieważ do kolejnego przelotu będzie mieć aż trzy godziny – aparatura „zapadnie w drzemkę" oszczędzając energię, nie zapominając jednak nakręcić swego własnego „budzika".

Ta sama pamięć podniesie jednak natychmiast alarm, jeśli odnotowane w niej współrzędne wszystkich wybrzeży, wysepek, mielizn czy raf zaczną się różnić mniej niż o jedną milę od stale zmieniających się współrzędnych pędzącego pod pełnymi żaglami jachtu.

Sam żeglarz, nim jeszcze zaciągnie zamek wypełnionego syntetycznym puchem śpiwora – bioniczne odwzorowanie rzepu, którego kolczastymi owocami tak niedawno jeszcze obrzucał kolegów na przerwach, sięgnie ku szafce ze smakołykami. Odwodnione ananasy – lekkie i pożywne, zachowały dzięki liofilizacji swój zapach i smak. Tak samo naturalnym smakiem obdarzy go uzyskana dzięki aparaturze odwróconej osmozy woda czerpana z oceanu.

★

Wszystko to – bezpieczny mimo samotności w oceanie człowiek, krzemowe cuda, wyczarowany z retorty jacht – mogłoby się wydać opowieścią z tomu science fiction. Na pewno zaś było nią, gdy zacząłem z kart



książek poznawać ten najwspanialszy ze światów.

Dziś, w roku 1984, prowadząc powrotnym szlakiem, po przebyciu trzech oceanów najmniejszy z jachtów, jaki okrążył glob pod biało-czerwoną banderą, traktuję wszystkie te rzeczy jako realność codziennego istnienia mego małego świata.

Rzeczywistością wprost ze stron fantastyki, które pochłaniałem od momentu, gdy nauczyłem się sylabizować, są nie tylko baterie słoneczne czy zasilany nimi radiotelefon – maleńka skrzynka wielkości dłoni, ale też mikroskop o plastykowych soczewkach – rzeczywistością też jest jego niezwykle niska cena...

Tak samo aparat fotograficzny dający kolorowe odbitki w ciągu kilku sekund, kalkulator, który sprawił, że mój nieodłączny druh – Tablice Wojtowicza, zaczęły pokrywać się kurzem strychu.

Jeszcze ćwierć wieku temu wszystko to mogło być baśnią, opowieścią z gatunku science fiction. Jedną z tych, które rumieniły emocją moje chłopięce policzki, dziś gładko ogolone elektryczną maszynką – zasilaną tak, jak i kalkulator maleńką baterią słoneczną. I chociaż wówczas nie wątpiłem w realność takich opowieści, to przecież nie myślałem, że spełnią się za mego życia...

Science fiction! Postawiłem na nią, jak stawia się na loterii i wygrałem. Wygrałem najwyższą stawkę marzeń stających się codziennością.

Wiatr, jak zwykle o wschodzie słońca, tężeje. Muszę skorygować kurs. Robiąc to na małym, mieszczącym się w kieszeni, komputerze nawigacyjnym migocącymi kolumnami cyfr pojawiających się w sekundę nie wiem, czy większym cudem jest jego matematyczny fenomen, „perpetuum mobile" słonecznego zasilania, czy fakt, że kosztuje tak niewiele – zaledwie godzinną pensję inżyniera...

Każdy z użytkowników kalkulatora wie – zbudowano go w Japonii, bardziej wtajemniczeni, że został wynaleziony w USA. Ale tylko niektórzy, że do wyprodukowania monokryształu krzemu tkwiącego w kapsułce mikroprocesora posłużono się metodą polskiego wynalazcy Czochralskiego sprzed niemal stu lat, a operacje matematyczne oparto na „odwrotnej notacji polskiej". Granice między narodami zaczynają zanikać. Coraz bardziej wbrew tym, którzy chcą nas dzielić, stanowimy jedną rodzinę. Fantazja staje się rzeczywistością...

Wchodzę do kajuty zarefować żagle. Obracają się walce kabestanów zwiększające dziesięciokrotnie siłę ramion. Powierzchnie ich lśnią niklem odbijając róż wschodzącego słońca, mimo że od roku usiłuje nadgryźć je sól oceanów. Tak samo bielą się, jak nowe, nylonowe liny i teflonowe płaskowniki. Gdy urodziłem się, ba, gdy kończyłem studia, większość tych przedmiotów nie istniała.

Każda fantazja staje się kiedyś rzeczywistością. Hen, gdzieś w przestworzach, wysoko nad pochylonym masztem mknie miarowa błyskawicą odrzutowy samolot pasażerski. Czarodziejski dywan linii lotniczych przenosił w kilka godzin do portów, w jakich się zatrzymywałem pania mego serca, wciąż pachnącą jeszcze kalifornijskimi eukaliptusami tak jak dawniej jechało się do pobliskiej wioski. Gdy przybywała do Japonii, Australii, Afryki witano ją, jak kogoś swego. Coraz rzadziej nienawidzimy się, coraz mniej nas – ludzi planety Ziemia, dzieli od siebie.

Zamyśliłem się. Powracam do samolotu, po którym pozostał już tylko srebrzysty pęczniejący sznur pereł na błękicie tropikalnego nieba. Przychodzi mi na myśl jeszcze jeden z niezwykłych cudów. Tak niedawno czytaliśmy w „Obłoku Magellana" o zagubionym w tłumie chłopcu: Sygnał CZŁOWIEK W NIEBEZPIECZEŃSTWIE, przekazany systemem stacji, obiegł Ziemię i powiadomił rodziców zguby. Patrzę na niewielki czerwony tubus wystający z nylonowego pokrowca torby awaryjnej. Gdyby zaszła potrzeba, wystarczy otworzyć wieko tubusa i nacisnąć przycisk. EPIRB (Emergency Position Indicating Radio Beacon) zacznie nadawać sygnały na częstotliwości ratunkowej. Sygnały te przejmie każdy z cywilnych czy wojskowych samolotów – z ich wysokości zasięg odbioru jest ogromny i w sekundę przekaże na ląd. Nadzór brzegowy – ściślej jego komputer, zdecyduje, czy ku tonącemu wyruszy samolot, helikopter czy znajdujący się akurat w pobliżu statek.

W jednym z pięciu pojemników torby awaryjnej (woda, żywność, sygnalizacja, nawigacja, środki medyczne) grzechoczą, wstrząsane wysoką falą, kolorowe kapsułki przypominające lata gry w szklane kulki. To pastylki antybiotyków oddalających lęk przed śmiercią z infekcji – kiedyś zmorę samotnego człowieka w oceanie. Inne kolorowe kulki rechocą w swych buteleczkach naigrywając się ze szkorbutu – starej plagi marynarzy dalekich szlaków. Jeszcze inne odganiają na wiele nocy senność – wroga nr 1 samotnych żeglarzy...

Takimi samymi cudami są zapasy żywnościowe. Pierwszy to suszone, konserwowane, bądź liofilizowane, lekkie jak piórko, owoce, warzywa, jarzyny. Też produkty przemysłu kosmicznego. Rzecz niezbędna dla astronautów, zaś dar nieba dla żeglarzy, wspinaczy, polarników. Drugi, może jeszcze większy cud to to, że w niewielkich hamaczkach nad moją koją kołyszą się... ależ tak! – zwyczajne pomidory, jabłka, cytryny i złote główki cebuli. Zupełnie takie same, jakie jadłem pół wieku temu czytając o konsumującym obiad w tabletce „Władcy przyszłości"...

„Back to Nature" – powróćmy do natury – woła od pół wieku truty preparowanymi konserwami i pełnymi na wpół sztucznych dodatków pokarmami konsument. I człowiek wraca do mamy natury, do dawnych recept, ale jednak nie do tłustości cholesterolu i niestrawnych białek...

Nic więc dziwnego, że w kambuzie prowadzonego przez satelity i zasilanego słonecznymi bateriami żaglowca pochlupują sokiem spowite w wieńce kopru zielone ogóry, którym wtóruje do taktu morskiego kontredansa kiszona kapusta. Niestety, w pośpiechu kupiona w puszkach...

Dla mnie szczególny posmak ma fakt, że nasza kuchnia liofilizowanych i naturalnych produktów wzmacniana tym, co wyrośnie w eksperymentalnych skrzynkach z „syntetyczną" glebą, oparta jest na liczących sobie tysiące lat regułach dietetyki buddyjskiej Zen, że nie zabieram nigdy ani kawałka mięsa zajadając się jarzynami, owocami, chlebem. Nieustanne zdrowie jest mi nagrodą za niewielkie zresztą wyrzeczenia.

Gdzie spojrzeć, fantazja stała się rzeczywistością, czy też rzeczywistość prześcignęła dawne wizje. Ponad masztem, ponad ptakami, chmurami, rozwianymi przez wiatr odrzutowca mknie pławiąc się w lenistwie nieważkości wahadłowiec CHALLENGER. Spełniły się marzenia naszego rodaka Ciołkowskiego.

Stały się powszechne, bliskie, niemal leżące w zasięgu ręki. Dzisiaj można za śmieszną cenę 25 centów, z domu czy ulicznego automatu, wykręcić dziesięciocyfrowy numer włączając się do rozmowy pomiędzy CHALLENGER a Ziemią. Można usłyszeć „na żywo" głos astronautów, instrukcje z ośrodka lotów, odgłos pracującej aparatury. To, że nie możemy porozmawiać z weteranami kosmosu czy uroczą Sally Ride – też ma swój smak. Po prostu w każdej minucie z samych tylko Stanów „telefonuje" do astronautów 150 osób. By sprostać tej lawinie, wahadłowiec musiałby odpowiadać co godzina na 9 tys. telefonów. Uffi...

Rzeczywistość znów przekracza fikcję. Jeśli ktoś zafascynowany kosmosem tak jak ja, nie ma akurat pod ręką telefonu – i na to jest rada. Niewielka „czarna skrzynka" rejestrująca w domu nadchodzące podczas nieobecności gospodarza telefony, zanotuje dla mnie głosy astronautów. Za dzień, tydzień czy miesiąc – mijając jakiś statek czy dysponującą łącznością z



E.T. – maskotka rejsu



dokończenie ze strony 61

kontynentem wyspę, za pomocą mego małego radiotelefonu o horyzontalnym zasięgu dotrę do stojącego na podłodze mieszkania telefonu, a „czarna skrzynka" odtworzy na moje żądanie cierpliwie czekającą swego dnia taśmę. To, że będę mógł to zarejestrować na pokładowym magnetofonie kasetowym z trzema mikrofonami (w koi, kokpicie i przy stole nawigacyjnym) jest czymś tak codziennym, że po prostu wstyd o tym pisać.

Gdyby jednak zabrakło mi owych 25 centów do automatu na posłuchanie CHALLENGERA czy na dalsze 3 minuty łączności, mogę posłużyć się plastykową kartą kredytową wielkości wizytówki. Jej 14-cyfrowy numer uruchamia automatyczne telefony uliczne, łącząc z dowolnym abonentem na świecie.

Tak samo automatycznie (niestety!) nadejdzie na domowy adres rachunek za kredytowe rozmowy z poprzedniego miesiąca. Krzemowy rachmistrz (znów niestety) nie myli się nigdy i nigdy nie zapomina...

Nic więc dziwnego, że niecierpliwie upatruję mogących pośredniczyć w rozmowach z lądem czy kosmosem statków. Trudno, skoro nie zabrało się krótkofalowej stacji radiowej dającej łączność z całym światem – bo chciało się „być naprawdę samym w oceanie" – trzeba płacić cierpliwością. Ale jakże radosne są te, tak rzadkie, „kontakty trzeciego stopnia" – namiastka, wierzę już niedalekich, spotkań gwiezdnych braci. W błękitnym kosmosie oceanu poznaję nowych przyjaciół z Niemiec, Rosji, Chin, Australii. Nie czuję się wobec nich obcy. A gdy spotykam czasem w bezmiarze Pacyfiku tych, którzy radują mnie najbardziej – żeglujących pod taką samą jak moja banderą – nie wynoszę ich ponad innych – bowiem wszyscy jesteśmy równi wobec gwiazd i galaktyk.

Czy dzień mego lotu w kosmos – największe z marzeń, przyjdzie nim poszybuję w nieskończoność i zapomnienie? Plastykowe, elastyczne i przyczepiające się do wszystkiego lusterko pokazuje, że czasu pozostaje coraz mniej. Ale czy podróże – przez bezkresy oceanów nie są w jakimś stopniu podróżami kosmicznymi? Tak samo jak astronauci („Omnia mea mecum porto") zabieram ze sobą wszystko, od żywności do „cudownych pastylek", od rezerwy żagli do nożyczek, zapasowych ołówków, guzików... Tak jak astronauci zawierzam komputerowi, sekstansowi, tablicom. Tak samo najgroźniejsze jest dla mnie lądowanie, tak samo mogę być zmuszony odłożyć je, jeśli rozpanoszy się sztorm, tak samo z utęsknieniem na nie czekam...

Patrzę na maszt pochylony naporem wiatru. Gdyby struktura walcowanego aluminium, które już wkrótce zastąpią produkowane w kosmosie monokryształy o nieprawdopodobnej wytrzymałości, zawiodła skazując nas na bezwładny dryf nie zawróciłbym ku wschodowi, by płynąć pod wiatr i prąd, osiągnąć pobliski ląd. W sytuacji awaryjnej jedynym właściwym wyjściem byłoby skierować się ku dalekim Hawajom i poruszać wolno z pasatem i nie znającym znużenia prądem – istnym transporterem oceanów. Tak właśnie, jak uczyniła załoga uszkodzonego pojazdu APOLLO 13, który ku zdumieniu laików nie zawrócił na Ziemię, lecz z „wiatrem" grawitacji powędrował ku Księżycowi, okrążył srebrny glob, by z tym samym „wiatrem" powrócić na zbawczą Ziemię.

Tych analogii astronautycznych jest bez liku. Bowiem nawet małe niedzielne wyjście z portu i powrót do niego, uzależnione są od sytuacji pływowej – fazy Księżyca rządzą wielkością przepływu, a więc głębokością wód, prędkością pływowych prądów. Zaś pory roku sterujące mocą pasatu, prawdopodobieństwem cyklonów to domena naszej gwiazdy – Słońca.

Tak samo jak astronaucie kosmos, tak żeglarzowi ocean oferuje swą nieskończoność: asteroidy pustych skalistych wysepek, żyzne planety zielonych atoli – jakby żywcem wyjęte z książek Lema, Bradbury'ego, Asimova, Clarke'a...

Może trochę śmieszne, może dziwne, ale tym, co odczułem najsilniej jako nadejście nowej, zapowiadanej przez wizjonerów, ery były muzea techniki zwiedzane z pasją w Waszyngtonie, Moskwie, Tokio, Monachium. Niezwykłe uczucie – SKYLAB, kapsuły SOJUZ, APOLLO, MERKURY – wczoraj jeszcze marzenie przyszłości – dziś szacowne zabytki historii śpiące obok „Spirit of St. Louis" – pierwszego samolotu, który przeleciał Atlantyk, łodzi Wikingów, straszącego gigantycznym kołem welocypedu... Księżycowy kamień dotykany o krok od indiańskiego krzesiwa.

Na wielkim ekranie panoramicznego kina wznoszą się wieże wiertnicze bazy Księżyc, przelatują fotonowe rakiety pasażerskie, tryskają snopy elektryczności termonuklearnych elektrowni. Zmęczony całodniowym zwiedzaniem przecieram oczy. Czy to wizja przyszłości, teraźniejszości, czy może już zgalwanizowana muzealna historia cywilizacji?

*

Poszukiwania perpetuum mobile i podziw dla mocy wiatru, zachwyt żaglem... One to pchnęły mnie i moją kołyszącą się na fali kapsułę na dalekie szlaki. To książki Verne'a, Centkiewiczów, niemal nie znanego w swej ojczyźnie Grina, Amundsena i Londona pchnęły mnie na szlak – jak wiatr popycha łódź. Marząc i wierząc, że kiedyś pożegluję w kosmos, przebywam na razie oceany.

Napędzany tylko słońcem i wiatrem, bez biletu, bez silnika za to „z kotem i gitarą" – jak głosi slogan rejsowy – przebyłem niemal dwa razy tyle, ile wynosi obwód pokrywających naszą planetę wód. Gdybym używał silnika spalinowego – zużyłbym niemal kolejową cysternę benzyny, kosztującą istną fortunę... Paliwo to zaoszczędziłem w jakiś sposób dla nas wszystkich rozpinając w erze atomowej żagiel.

Nie jest dla mnie ważne, że z samotnego biegu wokół Ziemi przywożę cztery nowe rekordy. Istotne jest natomiast wspomnienie nocujących, na specjalnie w tym celu zbudowanej „kurzej grzędzie", ptaków, pamięć świateł gwiazd – migoczących jak okna dalekich domów i myśl: „Te oceany, chmury, gwiazdozbiory były takie same, gdy Hamurabi układał swój kodeks, gdy Mieszko obejmował Dąbrówkę. Będą też takie same, kiedy człowiek zniknie z powierzchni naszej planety".

Wszystko pozostałe zmienia się.

Na horyzoncie łańcuchy strzelistych gór Sierra. Ląd, który już dawno wyczuł „Myszołów". Koniec podróży! Wkrótce odejdzie ona do lamusa wspomnień. Ważna jest tylko przyszłość i o niej myślę, nim skończę ostatnią milę drogi.

Co nam przyniesie?

Trzymam w ręce podarowany mi, bibliofilski, egzemplarz Verne'a „Z ziemi na księżyc", żółty, z 1922 roku – niezwykła książka, która spełniła się w nieprawdopodobnie szczegółowy sposób, w 1967 roku. Trzyosobowym lotem APOLLO 8 wokół Księżyca, startem z Florydy, wodowaniem na Pacyfiku. Romantyka! Bezlikiem innych szczegółów. Na pożółkłym marginesie, fioletowym wyblakłym od dawna atramentem, ktoś nagryzmolił: *„Panie Verne, możesz pan takie bajki swej babci opowiadać..."*

Boję się, że we wspaniałym i wielkim XXI wieku czytelnik „Fantastyki" – wydawanej zniewalającą, niewyobrażalną dziś, techniką drukarską w milionach – odnajdując w skomputeryzowanym światowym archiwum niniejszą relację – wizję przyszłości, skwituje ją podobnie pobłażliwym uśmiechem, kiwając głową nad małością mej wyobraźni...

Andrzej Urbańczyk

Pięć stuleci minęło od momentu zdetronizowania Ziemi w systemach kosmologicznych, a jednak geocentryzm, jako podstawa naukowego spojrzenia na przyrodę, przetrwał i kształtuje nadal świadomość i podświadomość badaczy. Nasze współczesne wyobrażenia o życiu, o biosferze niemal wyłącznie są konstruowane na podstawie uogólniania zjawisk ziemskich. Regułą jest, że rozciągamy na cały Wszechświat prawa Ziemi, a znacznie rzadziej jesteśmy skłonni zauważać w ziemskiej codzienności przejawy praw Kosmosu. Geocentryczna wyobraźnia przydała Ziemi aureolę wyjątkowości, na długo uniemożliwiając poszukiwania związku zjawisk kosmicznych ziemskich. Choć przecież od najdawniejszych czasów funkcjonował u różnych ludów mit ludzi – dzieci Słońca.

Przed niespełna stu laty lord Kelvin – czołowy autorytet naukowy tamtych czasów – kategorycznie odrzucił możliwość „ingerencji z zewnątrz" w zjawiska i procesy ziemskie. Burze magnetyczne, na przykład – twierdził – nie mogą mieć żadnego związku ze zjawiskami zachodzącymi poza Ziemią. Z jeszcze większym oporem torowały sobie drogę poglądy wskazujące na możliwość pozaziemskich wpływów na zjawiska medyczno-biologiczne. Pachniało to zupełnie wyraźnie... astrologią.

Istniały jednak i obiektywne przyczyny opozycji ówczesnych teoretyków. Model biosfery, izolowanej od środowiska kosmicznego, był bardzo przydatnym „przybliżeniem" na określonym etapie badań (takie dyscypliny ekologiczne, jak biometeorologia czy medycyna klimatologiczna dopiero się formowały). Wydawało się oczywiste, że powstanie biosfery i jej ewolucja są niemożliwe bez efektywnego „odgrodzenia" od środowiska kosmicznego, zgubnego dla życia. Drugą, nie mniej ważną przyczyną był kompletny brak wiedzy o środowisku kosmicznym. Czyż można konstruować modele, opisujące na przykład wpływ aktywności słonecznej na biosferę, bez ilościowych danych o tym, co i kiedy zmienia się w kosmicznej przestrzeni okołoziemskiej w związku ze zmianami na Słońcu? Oddziaływanie ze strony Kosmosu okazuje się w rzeczy samej niemożliwe, jeśli środowisko kosmiczne wyobrażamy sobie jako „pustkę", w której nic się nie dzieje. W tej sytuacji narodziny nowej, „naukowej astrologii" należy wiązać z datą wystrzelenia pierwszego sztucznego satelity Ziemi, który zapoczątkował bezpośrednie badania otaczającej nas przestrzeni kosmicznej.

*

Podczas przeprowadzania długiej serii eksperymentów laboratoryjnych z bakteriami w Krymskim Instytucie Medycznym w latach siedemdziesiątych, stwierdzono z pewnym zdziwieniem, że istotna część doświadczeń (20–30%) nie była powtarzalna. Nie wnikając w istotę doświadczeń, powiedzmy tylko, że dzień w dzień w eksperymentach badawczych i kontrolnym mierzono intensywność rozmnażania się kilku gatunków bakterii. Przy czym każdy z eksperymentów zaczynał się o tej samej porze doby, w standardowych środowiskach i w jednakowych warunkach. Próbując znaleźć przyczynę częściowego braku powtarzalności eksperymentów, badacze wykluczyli z obserwacji doświadczenia przypadające na dni, którym towarzyszyły znaczniejsze rozbłyski słoneczne, nagłe zaburzenia jonosferyczne i burze magnetyczne. Okazało się, że stopień powtarzalności doświadczeń średnio istotnie się poprawił (dla stafilokoków, na przykład, 1,8 raza). Stało się jasne, że kolonie bakterii w doświadczeniach kontrolnych, w warunkach przeprowadzanego eksperymentu rosły mniej intensywnie w dni, którym towarzyszyły heliogeofizyczne zakłócenia.

Ten przykład ukazuje, jaką drogę ma już za sobą „kosmizacja" różnych dyscyplin naukowych. Badacze niemal rutynowo korzystają z na-

Kosmiczne przyczyny

gromadzonych obserwacji i wniosków. Ale przez wiele lat były to tylko wnioski wynikające z prostego zestawienia jakiegoś wybranego wskaźnika działalności życiowej organizmu z czynnikami aktywności słonecznej czy zakłóceniami geomagnetycznymi. Przez wiele lat nie wchodziło w rachubę modelowanie procesów na podstawie logicznej analizy danych ani eksperyment. W ostatnich latach podjęto trud sprawdzenia wcześniejszych badań, wniosków i twierdzeń.

Najostrzejsze spory wywoływał przed laty problem wpływu aktywności słonecznej na funkcjonowanie ośrodkowego układu nerwowego człowieka i jego psychiki. Najprostszy test polega w tym przypadku na znalezieniu wpływu aktywności słonecznej w statystyce nieszczęśliwych wypadków drogowych oraz przy pracy. Badania lat siedemdziesiątych (ZSRR, Japonia, Indie, RFN) przyniosły jednoznaczne rezultaty: ze wzrostem poziomu zakłóceń zwiększa się liczba wypadków. Istotne przy tym było, że w różnych miastach w tym samym przedziale czasu przyrost liczby wypadków zachodził synchronicznie. Wygląda na to, że organizm człowieka reaguje na zmianę jakiegoś parametru środowiska, zachodzącą jednocześnie ze wzrostem aktywności słonecznej i zakłóceń geomagnetycznych: zwiększał się czas reakcji na sygnał, wzrastało prawdopodobieństwo podjęcia niewłaściwej decyzji.

Jeśli ten wpływ jest realny, to powinniśmy zetknąć się z analogicznymi korelacjami przy analizie innych wskaźników funkcjonowania ośrodkowego układu nerwowego. Taki związek rzeczywiście stwierdzono, między innymi w Mińsku (ZSRR), gdzie poddano obserwacji 104 pacjentów chorych na psychozy maniakalno-depresyjne. Przy wysokim poziomie zakłóceń geomagnetycznych, kiedy łączna długotrwałość burz magnetycznych wynosiła 3506 godzin (rok 1960) i 2010 godzin (1961), wśród chorych przeważała faza maniakalna (odpowiednio 65 i 57%). Przy stosunkowo niskich zaburzeniach geomagnetycznych w latach 1964 i 1965, kiedy łączny czas trwania burz magnetycznych wynosił 1487 i 880 godzin, bardziej charakterystyczne były fazy depresyjne: częstość występowania faz maniakalnych spadła do 26–31%.

Jest oczywiste, że wpływ na ośrodkowy układ nerwowy i psychikę człowieka musi mieć również swoje odbicie w fizjologii organizmu. Jednym z najprostszych testów jest w tym przypadku analiza krwi, wykonana według standardowej metodyki. Rezultaty uzyskane przez różnych badaczy są jednakowe: zaobserwowano zmniejszenie się koncentracji leukocytów u zdrowych ludzi w okresie wzmożonej aktywności słonecznej. Ostatnio odkryto także inne wskaźniki – zmiany aktywności enzymów w limfocytach i w surowicy.

W kolejnych badaniach ujawniono związek między zakłóceniami geomagnetycznymi a chorobami układu krążenia (m.in. zawałem), chorobami zakaźnymi (szkarlatyna, grypa, polio, żółtaczka zakaźna), przypadkami patologii ciąży. Okazało się, że długość ciała i ciężar noworodków również w określony sposób związane są z aktywnością słoneczną. Wniosek, jaki sformułował na podstawie badań noworodków W.A. Kozłow w 1975 r. brzmiał: *„Poziom aktywności słonecznej w roku narodzin dziecka w sposób istotny odbija się na jego cechach konstytucyjnych"*. Lekki retusz tego sformułowania wystarcza, żeby zdanie to zabrzmiało jak przepowiednia średniowiecznego astrologa.

Narzuca się pytanie o mechanizm oddziaływania tak odległych zjawisk na ziemskie życie. Dopiero bezsporne ustalenia w tej kwestii można będzie uznać za ostateczne naukowe dowody istnienia nie korelacji, lecz zależności. Pierwsze wnioski na ten temat nasunęły się w wyniku eksperymentów przeprowadzonych przez prof. G. Pizzardiego z Instytutu Fizykochemii Uniwersytetu we Florencji. Wykazał on, że proste chemiczne układy koloidalne (roztwory soli bizmutu), rozmieszczone w różnych punktach kuli ziemskiej, synchronicznie zmieniają swój stan w zależności od zmian w środowisku kosmicznym. Ponieważ układy biologiczne, w szczególności krew, limfa, płyny komórkowe i praktycznie cały żywy organizm stanowią z fizykochemicznego punktu widzenia układ koloidalny, można w sposób uzasadniony przypuszczać, że warunki kosmiczne wpływają na organizmy żywe.

Doświadczenia prof. Pizzardiego, zainicjowane jeszcze podczas słynnego Międzynarodowego Roku Geofizycznego, należą już dziś do klasyki. Były powtarzane z różnymi modyfikacjami. W Tomsku na przykład badacze „zastąpili" Słońce słabym polem elektromagnetycznym. Rezultatem oddziaływania tego pola było zmniejszenie się koncentracji biologicznie aktywnych jonów wapnia. Byłby to już bezpośredni dowód, wskazujący na mechanizm oddziaływania promieniowania słonecznego. Przebieg zdarzeń mógłby być następujący: słoneczny rozbłysk – wzrost promieniowania ultrafioletowego i rentgenowskiego oraz zaburzenia w słonecznym wietrze – zakłócenia w jonosferze oraz magnetosferze – zmiany widma elektromagnetycznego – elektromagnetyczna aktywacja wody. Ostatnim ogniwem byłyby roztwory składające się na organizm żywy.

Tym schematem nie można jednak wytłumaczyć wszystkiego. Na przykład w statystyce zachorowań na raka skóry również daje się zaobserwować 11-letnią cykliczność. Eksperymentalnie stwierdzoną przyczyną zachorowań jest napromieniowanie ultrafioletowym komponentem promieniowania słonecznego. Wszystko wskazuje na to, że istnieje jeszcze jeden (obok oddziaływania elektromagnetycznego) kanał, za pośrednictwem którego może być realizowany związek: aktywność słoneczna – biosfera. Zakłócenia w magnetosferze mogą mianowicie powodować zmiany w warstwie ozonowej, spełniającej, jak wiadomo, rolę tarczy ochronnej przed promieniowaniem ultrafioletowym. W rezultacie do pewnych miejsc na Ziemi mogą niekiedy dotrzeć zbyt intensywne dawki promieniowania ultrafioletowego.

Jeszcze innym czynnikiem oddziałującym na organizmy żywe mogą być infradźwięki. Wiadomo bowiem, że z jednej strony, są one generowane w atmosferze w czasie pojawiania się zórz polarnych, z drugiej zaś strony – udowodniona jest ich biologiczna aktywność. I wreszcie, na liście czynników oddziałujących na biosferę, szczególnie zaś na organizmy roślinne, znajdują się powolne wahania wielkości elektrycznego pola Ziemi – również wywoływane przez zakłócenia w magnetosferze Ziemi.

Wszystkie przedstawione formy oddziaływania czynników kosmicznych (głównie aktywności Słońca) oraz ich skutki sprawiają wrażenie oddziaływań bardzo subtelnych, nie prowadzących do bardziej radykalnych przemian w sferze ziemskiego życia. Coraz częściej jednak wypowiadane są opinie o decydującym charakterze oddziaływań kosmicznych. Już przed laty dwaj radzieccy uczeni W.I. Krasowski i I.S. Szkłowski zwrócili uwagę na to, że tło promieniowania jonizującego po dotarciu do Ziemi promieni kosmicznych pochodzących z miejsca wybuchu Supernowej może wzrosnąć do tego stopnia, że wywoła wyraźne zwiększenie liczby mutacji ze wszystkimi wynikającymi z tego następstwami. Obecnie stało się jasne, że nie jest to jedyna, i być może, nie najważniejsza, zmiana w środowisku życiowym po takim wybuchu. Niektórzy badacze przypuszczają, że ważniejszym efektem będzie „prześwietlenie" ziemskiej atmosfery wyjątkowo intensywnym impulsem rentgenowskim. W rezultacie, w górnych warstwach atmosfery powinna wystąpić wysoka koncentracja tlenku azotu – skutecznego katalizatora procesu likwidacji ozonu. Może dojść do zniszczenia w krótkim czasie ozonosfery i wszystkie organizmy żywe zostaną poddane niszczącemu działaniu ultrafioletowego promieniowania Słońca i wybuchającej Supernowej. Jednocześnie (jeszcze jedno następstwo zniszczenia ozonosfery) powinno wystąpić istotne oziębienie. W sumie zmiany te mogą doprowadzić do wymarcia pewnych gatunków organizmów i pojawienia się innych, a więc do skokowej zmiany gatunkowego składu biosfery. Tego rodzaju kryzys ewolucyjny odnotowano około 65 mln lat temu, kiedy wymarły wielkie gady.

Wielu badaczy uważa, iż również nasze Słońce może być w zasadzie źródłem katastrof ekologicznych, chociaż, jak się oblicza, wybuchy na Słońcu, które mogłyby spowodować większe szkody w biosferze, zachodzą nie częściej niż raz na 100 000 lat. Tym niemniej podejmowane są próby określenia stopnia „odpowiedzialności" Słońca za niektóre katastrofy typu trzęsień ziemi i wybuchu wulkanów. Okazało się, na przykład, że łączne wartości sumarycznej energii wstrząsów sejsmicznych i roczna liczba silnych trzęsień ziemi zależą od fazy 11-letniego cyklu słonecznego. Okazało się także, że moment wystąpienia silnych trzęsień ziemi zależy od aktywnych procesów na Słońcu. Mechanizm oddziaływania aktywności słonecznej na litosferę jest realizowany za pośrednictwem atmosfery. Stwierdzono bowiem obecnie istnienie wyraźnego statystycznego związku między silnymi trzęsieniami ziemi a zmianami ciśnienia powietrza na poziomie ziemi zarówno w skali globalnej (na przykład dla średnich wartości ciśnienia półkuli zachodniej i wschodniej), jak i w różnych rejonach wokół epicentrum trzęsienia ziemi. Na przykład silne trzęsienia ziemi w strefie Kurylo-kamczackiej zachodzi przy określonych skokach ciśnienia atmosferycznego w rejonie Wschodniej Syberii i na zachodzie Pacyfiku. Skoki ciśnienia atmosferycznego w granicach sejsmicznie aktywnej strefy prowadzą do zmiany bilansu sił działających na skorupę ziemską. Przy czym na obszarze równym powierzchni typowego cyklonu zmiana działającej siły, wskutek zmiany ciśnienia, może wynieść 10^{12} ton (ciężar góry Elbrus).

Warto dodać, że – zgodnie z pewnymi poglądami – przemiany w atmosferze (a więc i aktywność słoneczna) mogą być również przyczyną ruchu biegunów Ziemi i wariacji prędkości kątowej jej ruchu.

O ile istnienie słonecznych rytmów i ich wpływu na życie Ziemi i biosfery można uznać za udowodnione, o tyle pod znakiem zapytania stoją mechanizmy innych oddziaływań. Znany radziecki geolog W.L. Liczkow wydziela wielkie okresy geologiczne o czasie trwania około 500 mln lat. Uwzględniając dodatkowo następowanie po sobie w geologicznej historii okresów rozkwitu i wymierania poszczególnych klas zwierząt, Liczkow stwierdził współzależność epok najbardziej aktywnych ruchów skorupy ziemskiej z „falami życia". Jego zdaniem tego rodzaju korelacja jest spowodowana okresem obiegu Układu Słonecznego wokół środka Galaktyki.

Znak zapytania należałoby postawić przy niektórych doniesieniach o istnieniu związku między słoneczną aktywnością a twórczą działalnością człowieka. Twierdzi się, na przykład, że nie jest przypadkową zbieżnością fakt, iż najwybitniejsze osiągnięcia naukowe powstały w latach maksymalnej aktywności słonecznej: szczególna teoria względności – rok 1905, ogólna teoria względności – 1916, 1926–27 – „bohaterski" okres mechaniki kwantowej. Podejmowano próby przewidywania zdarzeń polityczno-społecznych na podstawie cyklicznej działalności Słońca. Chociaż wnioski te są dość odległe w swym charakterze od nauki, nie jest jednak wykluczone, że może zachodzić określona synchronizacja procesów społecznych i ich intensyfikacja w pobliżu maksimum cyklu słonecznego. Oto lista tych maksimów, którą przytaczamy za publikacją badaczy radzieckich (B.F. Gordijec, M.N. Markow, L.A. Szelepin). Pojawiają się na niej takie daty jak 1830, 1848, 1870, 1905, 1917, 1947.

1804	1848	1893	1937
1816	1860	1905	1947
1830	1870	1917	1958
1837	1883	1928	1969

Heliofizycy bez trudu mogą przedłużyć tę listę. Pojawi się na niej rok 1980, 1992, i następne. Być może będzie nam dane sprawdzić, czy nadal jesteśmy dziećmi Wszechświata, czy też już sierotami.

Opracował Adam Zubek

„Tych, co na pięknym kłamstwie sparli życia chwałę,
Rozgrzesz o śmierci..."

(z cyklu „We mgle", 1910)

BRONISŁAWA OSTROWSKA

(1881–1928)

„Nie ma rzeczywistości,
Nie ma prawdy i treści.
Są tylko puste kształty,
w których nic się nie mieści,
Jak dziecinne wydmuszki,
jak ślimacze skorupy,
Puste chodzące trumny,
puste chodzące trupy".

„Koło święconej kredy", 1923

Urodziła się w roku 1881. Debiutowała pod gwiazdą poezji neoromantycznej, lirycznych wierszy Przybyszewskiego, Tetmajera, Kasprowicza. To prawda, nie ustrzegła się powtórzeń, ułatwień, przelotnych fascynacji. Ale też mistrzów miała nie byle jakich: dojrzewała w kręgu warszawskiej „Chimery" redagowanej przez Zenona Przesmyckiego (Miriama).

Bronisława Ostrowska – obok Maryli Wolskiej i Kazimiery Zawistowskiej najciekawsza poetka naszego fin de siécle'u – mimo kilku współczesnych wznowień („Pisma poetyckie", 1932–1933; „Biała godzina", 1969) należy do autorek zupełnie zapomnianych. Trudno powiedzieć dlaczego. Terminowała przecież u Verlaine'a i Maeterlincka, była znakomitą tłumaczką poezji francuskiej, zafascynowana genezyjską wizją świata Juliusza Słowackiego poświęciła mu debiutanckie „Opale" (1902) i „Poezje" (1905). Mimo neoromantycznych stylizacji, tradycyjnej symboliki i rozwichrzeń składniowych wiersze Ostrowskiej odznaczały się zawsze niespotykaną sugestywnością obrazów, prostotą określeń, wyrazistością nastrojów („Jesienne liście", 1905; „Chusty ofiarne", 1910; „Pierścień życia", 1919). Wstrząsająca „Tancerka z Kambodży", pochodząca z jej kolejnego tomu „Aniołom dźwięku" (1913) zaczarowała nawet samego Bolesława Leśmiana. W tym fantastycznym poemacie – oddającym w ekstazie religijnego tańca mistyczną integrację ze światem – ujrzał autor „Sindbada" jedno z największych osiągnięć epoki.

Tragiczna biografia Ostrowskiej: tułaczka wojenna, dramatyczne spięcia osobiste nie sprzyjały osiągnięciu spokoju, chwilom wytchnienia, konsolacji. U progu dwudziestolecia rodzi się cykl niezwykle wyrazistych erotyków zwiastujących liryczne wystąpienia Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Powstają symboliczne wiersze o tematyce patriotycznej („A.B.C. Polaka Pielgrzyma", 1916; „Z raptularza", 1910 – 1917; „Poezje", 1917) pełne patosu, dydaktyzmu... nieuchronnych złudzeń. Cudownie zmartwychwstała Polska jest dla Ostrowskiej „drabiną Jakubową prowadzącą do nieba", udręczoną figurą – Chrystusem. Nieustanne cierpienia, męki narodu służą ciągłemu postępowi ducha. Bóg jest bytem absolutnym, życie zaś myślą Boga:

„Ja jestem, wy jesteście
W Bożej myśli szeleście
W Bożych dumań przedświcie
Co nazywa się życie..."

– pisze autorka „Jesiennych liści" interpretując życie i świat jako znak, w którym można odczytać myśl Stwórcy, dzieło Boga.

Jakże szybko rezygnuje jednak z lirycznych uniesień, „snów o przenajświętszym kraju". W „Tartaku słonecznym" (1928) – bezsprzecznie najciekawszym tomiku życia – stwierdza z goryczą: zakreślamy wokół siebie „koło święconej kredy", wewnątrz niego wszystko staje się pozorem, fałszem, brakiem autentyczności. Natura i przedmioty przestają być znakami głębszych treści, a ludzie nie są w stanie przyznać się do omyłki grając bez końca te same role, jak w upiornym tańcu słomianego chochoła:

„Nie powiecie nikomu ani wy, ani ja,
Że nas pustka dławi za gardła,
Że z koła świętej kredy, jak spod klosza ze szkła
Wytłoczono powietrze do dna, do dna, do dna..."

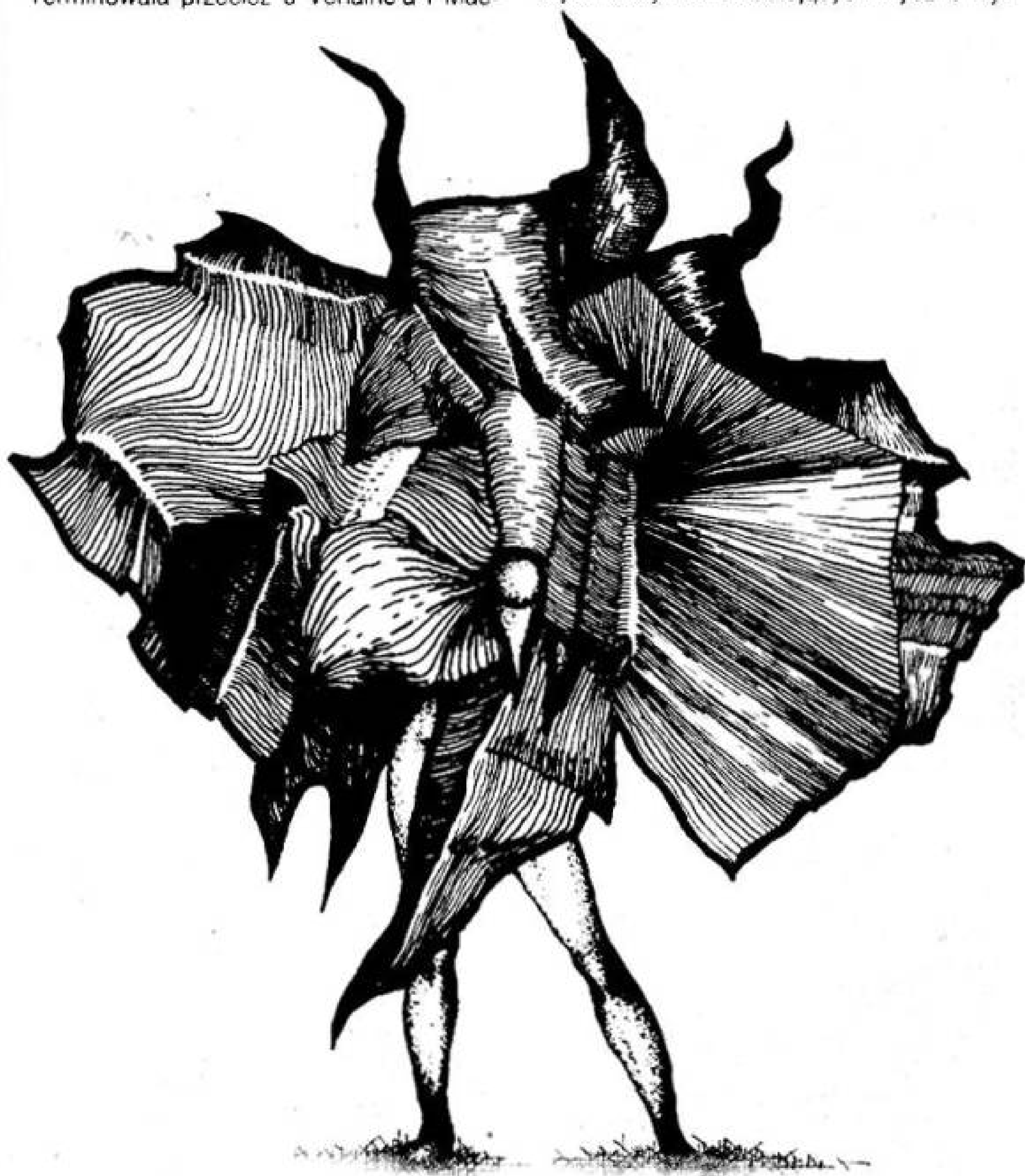
Patronem poetki jest znów Słowacki – autor „Grobu Agamemnona", „Lilii Wenedy". Również i Norwid, twierdzący, że poezja nie może istnieć poza życiem, a twórczość powinna być samorealizacją piszącego.

Po krzyku rozpaczy nadchodzi wreszcie uspokojenie, akceptacja świata w całym jego wymiarze – dobra i zła. Lecz są to już ostatnie wiersze Bronisławy Ostrowskiej:

„Nad czarną wodą latarnie,
Złote smugi.
Daj mi przeżyć, daj mi przeżyć Panie
Ten wieczór długi.

Taki długi wieczór, takie złote smugi
W sercu coraz to ciszej...

W czarnych wodach,
Na złotych głębokich wschodach
Życie się moje kołysze –



Walkiewicz

Opracował
Andrzej Niewiadowski

BRONISŁAWA OSTROWSKA

* * *

Zszarzały klombów płomienne rabaty,
Zgasł żar nasturcji i szkarletów krew –
I nagle widać tylko białe kwiaty
Pod ścianą mrocznych drzew.

Gwiazdy zabłysły w gałęziach topoli.
W białych tytoniach krążą szare ćmy –
Pamięć nie boli i życie nie boli...
Srebrne są kwiaty i gwiazdy, i łzy.

(z cyklu „Biała godzina", 1918–1925)

* * *

Widzieć krew ściekającą żłobionym
ostrzem szabli – ostrzem nieugiętym –
i myśleć – spłynie...

Iść lasem – spalonym popieliskiem
zwęglałych, okaleczałych królewskich pni –
i myśleć – odrośnie...

Słuchać serca, rozrywającego pierś
ciosami śmiertelnego, zwycięskiego buntu –
i myśleć – zapomni...

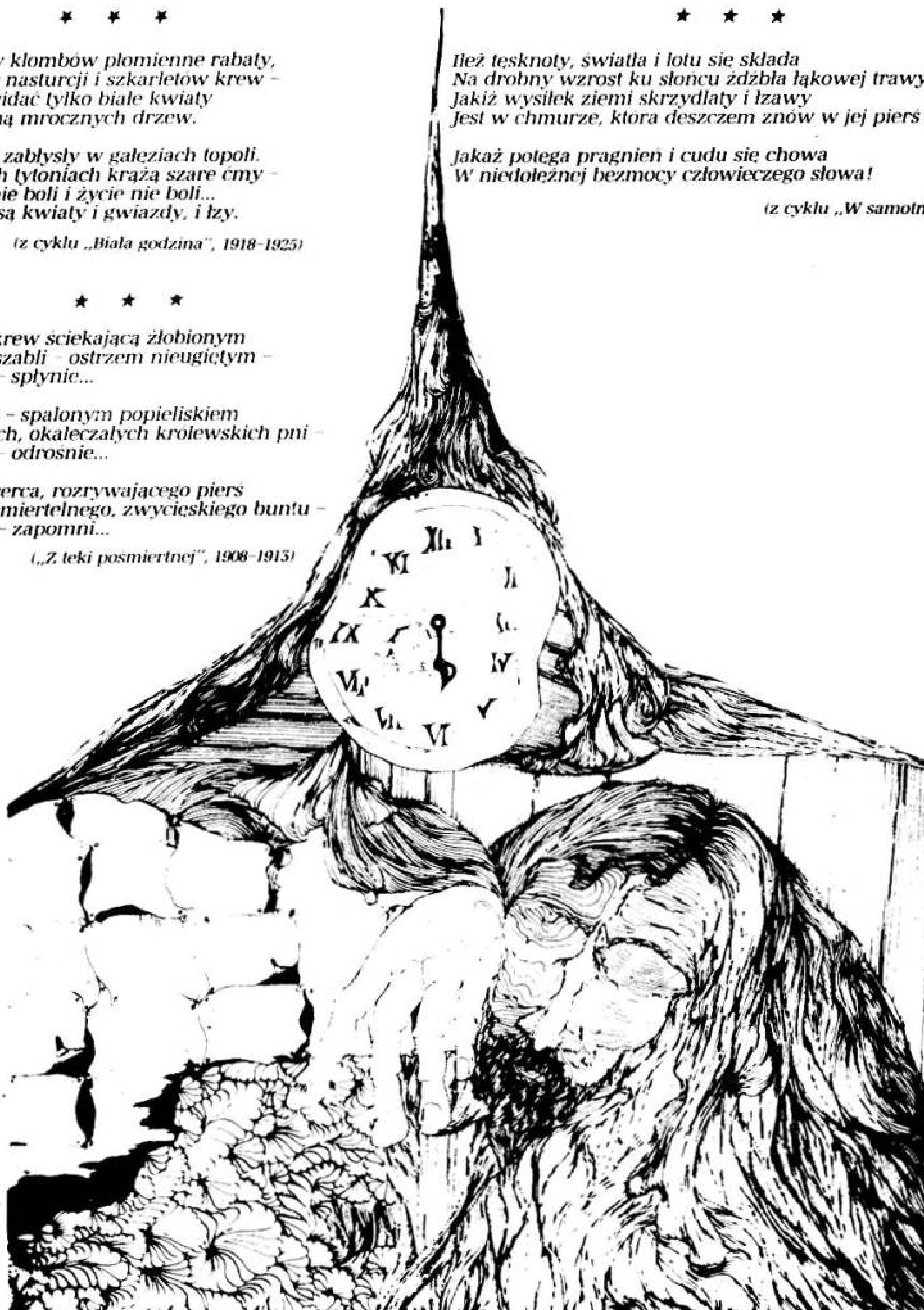
(„Z teki pośmiertnej", 1908–1913)

* * *

Ileż tęsknoty, światła i lotu się składa
Na drobny wzrost ku słońcu źdźbła łąkowej trawy!
Jakiż wysiłek ziemi skrzydlaty i łzawy
Jest w chmurze, która deszczem znów w jej pierś opada!

Jakaż potęga pragnień i cudu się chowa
W niedołężnej bezmocy człowieczego słowa!

(z cyklu „W samotni", 1910)



„Pójdę do miasta i zobaczę znowu czerwony krzyk nieskończonych
kominów fabrycznych
i kolejkę bezrobotnych, tępo wpatrzonych w tępy szary bruk,
i posłańców w czerwonych frakach, niosących kinematograficzne
plakaty:
dziś – „Chrystus", jutro – „Benefis czterech diabłów"...
...I szaleństwo ulicznego zbytku, ocierające się twardo
o ludzki głód,
jak ostrzona piła o pilnik opornego metalu.
Trza by iść długo w tłumie i szukać dziecinnego uśmiechu
i mówić – co?"

(z tomu „Tartak słoneczny", 1923)